

Carole Matthews

*Z
tobą
lub
bez
ciebie*



CAROLE MATTHEWS

Z TOBĄ LUB BEZ CIEBIE

Z angielskiego przełożyła Hanna Szajowska

Dla wszystkich, którzy przyczynili się do mojej pamiętnej wizyty w

Nepalu:

Dla wspaniałych skromnych mieszkańców Nepalu, naszego uroczego

przewodnika Sanjiva Thakuri i jego zespołu Szerpów - Kapitana

Dendi, Teka, Dorge, Jangbu, Nawang-transwestyty i pana Borna,

kucharza. A także wszystkich wspaniałych tragarzy, którzy tak ułatwili

nam życie.

Dla moich towarzyszy podróży, szczególnie Jacqueline, Rosemary,

Gail i raftingowej ekipy Petera oraz Vala, Petera II i taty Keva, Johna.

I dla cudownego Keva, który dźwigał mój plecak i pozwolił mi zająć

większą część śpiwora.

Namaste!

Rozdział pierwszy

Popsuło się, prawda? - Przez jedną głupią chwilę myślałam, że

Jake mówi o tosterze. Od jakiegoś czasu nie był w najlepszej formie.

Podobnie jak my.

Dwa idealne złocistobrazowe kawałki pełnoziarnistego chleba

wyskakują z radosnym „brzdęk!”. Podnoszę wzrok znad miseczki

„luksusowego” muesli i próbuję udawać, że każda łyżka kleistych

płatków gładko przechodzi mi przez gardło.

Jake bierze tosty, krzywiąc się, kiedy parzy sobie palce. Rzuca je na

talerz, dopiero potem patrzy na mnie.

- Wiesz, o czym mówię, Lysso.

Tak. Wiem. Nasza czwarta i najbardziej wyczerpująca próba zapłodnienia in vitro właśnie zakończyła się czerwoną masą w muszli klozetowej i łzami. Moimi łzami. Naszymi łzami.

Oczywiście, że wiem. Staram się nie płakać. Powinnam podejść i go pocieszyć, ale nie mam dość emocjonalnej energii, by wystarczyło jej dla mnie, nie wspominając o dzieleniu się nią z kimś jeszcze. Zmuszam się do uśmiechu.

- Możemy spróbować jeszcze raz.

Jake nawet nie zaczął smarować masłem grzanki. Na pewno stygnie.

W rondlu na kuchence, naszym jedynym garnku Raymonda Blanca, obijają się o siebie dwa jajka. Wrząca woda przesuwa je z miejsca na miejsce. Mój chłopak, czy jak tam powinnam go określać, mówi poirytowany:

- Nie chodzi mi o in vitro.

W duchu dokonuję przeglądu listy wszystkich naszych domowych urządzeń, które mogą być w kiepskim stanie.

- Chodzi mi o nas - precyzuje twardo. - O nas. Między nami się popsuło.

Mało brakuje, a wybuchnęłabym śmiechem. Właśnie się zastanawiałam, czy miał na myśli lodówkę. Pokrywa się szronem o wiele za szybko jak na mój gust. Jestem pewna, że kiedyś tak nie było, ale z drugiej strony człowiek tak naprawdę nie poświęca zbyt

wiele uwagi lodowce, prawda? Ani partnerowi. Przynajmniej na to wychodzi. A potem dociera do mnie, że Jake jest śmiertelnie poważny. Skórę wokół oczu ma napiętą bardziej niż kiedykolwiek, kąciki ust opuszczone.

- Przechodzimy trudny okres - stwierdzam spokojnie, choć tak naprawdę mam ochotę wrzasnąć: „To nie ty krwawisz, Jake!”.

Wzdycham cicho. - Wszystkim parom się to zdarza. To minie.

Jake podchodzi do stołu i siada. Ujmuje moją rękę i odwraca ją, przygląda się jej uważnie, jakby wcześniej nigdy jej nie widział.

- A jeśli nie chcę czekać, aż to minie? A jeśli dotarło do mnie, że życie to coś więcej niż czekanie, aż „to minie”?

Otwieram usta, by odpowiedzieć jakimś banałem, jak to życie nie zawsze bywa usłane różami, ale on nie dopuszcza mnie do słowa.

- A jeśli nie chcę dziecka? A jeśli nie chcę już spędzać czasu w zimnych klitkach z wygniecionymi czasopismami dla onanistów?

Otwieram szeroko oczy. Myślałam, że ten właśnie etap lubił najbardziej. Czasami sam wybierał pornograficzne gazetki, które miał ze sobą zabrać.

- A jeżeli nie chcę życia seksualnego zawałonego wykresami, termometrami i zastrzykami?

-Ja...

- Kiedy ostatnio poszliśmy na całość i zrobiliśmy to z powodów czysto rekreacyjnych?

-Ja...

- Kiedy? - W jego głosie pobrzmiwała triumfalna nuta.

- O co ci chodzi? Nie wycinam kresek na framudze drzwi.

Muszę jednak przyznać, że każde nieudane zbliżenie pozostawia ślad w moim sercu. Nieudane w tym znaczeniu, że w jego efekcie nie doszło do zrobienia różowiotkiego, pulchnego dzieciaczka.

- Myślałam, że jesteś zadowolony z naszego życia seksualnego.

- W takim razie masz urojenia - stwierdza Jake.

Brak mi słów. Miałam nadzieję, że w obliczu kolejnego rozczarowania, kolejnego unicestwionego marzenia, weźmie mnie w ramiona, osuszy moje łzy - mimo że w dzisiejszych czasach uważa się to za niepoprawne politycznie - i powie, że wszystko będzie dobrze, że znajdziemy kolejny plik ciężko zarobionej gotówki do wydania na hormony, które Jake wstrzykuje mi w pupę, że następnym razem Pan Plemniki spotka się z Panią Komórką Jajową i przestaniemy być nieudacznikami, którymi czyni nas niemożność odniesienia sukcesu w tym najbardziej podstawowym z ludzkich zadań.

Czy tak trudno zrobić dziecko? W dzisiejszych czasach nastolatki rodzą co chwila. Wielka Brytania ma najwyższy procent młodocianych matek. Czy komórka i dziecko nie znajdują się na szczycie listy najpotrzebniejszych rzeczy każdej uczennicy? Wystarczy przejść się w sobotę po dowolnej ulicy i człowiek ma wrażenie, że trafił na zjazd nastoletnich matek. No dobrze, sama mam już za sobą okres dojrzewania, ale trzydzieści cztery lata to trochę za wcześnie, żeby wszystkie moje komórki jajowe okazywały się za twarde, jak

zapomniane przez Jake'a jajka w rondelku.

- Potrzebuję przestrzeni - mówi Jake, gdy ja użalam się nad sobą.

- Nie jesteś kosmonautą. Nie potrzebujesz przestrzeni. Tylko

kosmonauci i Sigourney Weaver potrzebują „przestrzeni”, żeby żyć.

Reszta rodzaju ludzkiego musi pogodzić się z ograniczeniami - biur, domów, związków - o to w tym wszystkim chodzi. Żaden człowiek nie jest samotną wyspą. A żaden mężczyzna, którego plemniki określono jako „niemrawe”, nie ma prawa mówić mi czegoś takiego.

- Potrzebuję czasu dla siebie.

I to mówi facet, który w każdy weekend zajmuje się jakimś sportem: piłką nożną i krykietem w sezonie, golfem i squashem, kiedy znajduje czas. Moim zdaniem ten facet ma masę czasu dla siebie i zanim zaczęliśmy się kłócić o dzieci, kłóciliśmy się o to, ile czasu ma dla siebie. Zastanawiam się, dlaczego to wszystko przychodzi mi do głowy, choć usta pozostają zamknięte.

Jake oddycha głęboko. Puszczą moją rękę, która ląduje w plamie z mleka. To chyba ja wylałam je na kuchenny stół.

- Uważam, że powinniśmy się na próbę rozstać - dodaje Jake. - Na kilka dni, kilka tygodni.

- Poznałeś kogoś?

- Nie. - Patrzy na mnie, jakbym była stuknięta, w ogóle dopuszczając taką myśl.

- Nie chodzi o kogoś innego. Chodzi o mnie i o ciebie. I twoją obsesję.

- Pragnienie dziecka to nie obsesja. Ja... Jake czeka.

- ... jestem zaabsorbowana. - Może czasami graniczy to z obsesją.

Trochę. - Chcę mieć dziecko, czy to takie dziwne?

Jake wstaje. Widać w tym ruchu zdecydowanie.

- Spakowałem kilka rzeczy. Zostanę przez parę dni u Pipa. Muszę się nad tym zastanowić. Muszę zdecydować, czego chcę.

- A to, czego ja chcę, już się nie liczy? Wygląda na to, że Jake ma mnie dość.

- Przypuśćmy, że nie będziemy mogli mieć dziecka, Lysso. Co wtedy? Ile czasu zajmie ci porzucenie nadziei, że pewnego dnia współczesna nauka przestanie rozkładać ręce z powodu naszej niemożności poczęcia?

- Nie wiem. - Nieznacznie wzruszam ramionami. - Trzy tygodnie? Cztery?

Nie udaję mi się udawać beztroski.

- Zadzwoń do ciebie wieczorem - rzuca Jake. - Upewnić się, czy wszystko w porządku.

Chcę powiedzieć, że nie będzie w porządku. Teraz też nie jest. Być może już nigdy nie będzie.

- Nie możesz tak po prostu odejść.

- Zadzwoń.

- Jake. Nie odchodź. Nie w ten sposób. - Czuję narastającą panikę.

Błagalne słowa wzbierają mi w gardle, ale nie pozwolę, żeby wyszły z moich ust. Nie mogę. Dlaczego Jake to robi? Nie myśli

jasno. To ja powinnam cierpieć z powodu buzujących hormonów i

zmian nastroju. On nigdy się tak nie zachowywał. Jesteśmy ze sobą od lat. Dokładnie od czterech.

To dwa razy dłużej niż moje dotychczasowe rekordy pozostawania w związkach. Jake jest Tym Jedynym. Wybrankiem mojego serca.

Myślałam, że tak samo myśli o mnie.

Jake i ja jesteśmy właścicielami całkiem ładnego domu z tarasem w St Albans, przyjemnego, tonącego w zieleni miasteczka na obrzeżach Londynu. Chociaż nie sformalizowaliśmy naszego związku, często dyskutowaliśmy o małżeństwie. Muszę przyznać, że zwykle po kilku butelkach białego wina. Staramy się o dziecko. Nie porzuca się kogoś w piątek o ósmej rano, przed wyjściem do pracy, prawda? Czeka się do piątkowego wieczoru albo weekendu, albo Gwiazdki, albo urodzin - katastroficznej daty, która zostanie zapamiętana na zawsze. Piątek rano to nie moment, żeby zrobić coś tak doniosłego. Jake jest już prawie przy drzwiach. Rzucam niespokojne spojrzenie na gotującą się wodę.

- Twoje jajka. Wygotują się.

Patrzy na mnie, jakby chciał coś powiedzieć, a potem zmienia zdanie.

- I tak już będą za twarde. Jak moje komórki jajowe.

- Co ja zrobię?

- Poradzisz sobie - odpowiada i wygląda na to, że zdołał już przekonać w tej kwestii samego siebie. Tylko że ja wcale nie jestem tego taka pewna.

Mój kochanek, moje życie, ojciec mojego nieistniejącego płodu właśnie odchodzi, lekkim krokiem opuszcza moje życie. Bierze torbę

stojącą przy drzwiach, tę, w której trzyma sprzęt do squasha. Tak przynajmniej myślałam. Obdarza mnie niewyraźnym uśmiechem, który w najmniejszym stopniu nie odzwierciedla tego, co właśnie mi zrobił. I zamyka za sobą drzwi.

Rozdział drugi

Nie mogę iść do pracy. Muszę iść do pracy. Mam szczęście posiadać wspaniałe koleżanki, które będą pełne współczucia i obrzucą Jake'a wszelkiego rodzaju obelgami z „pieprzonym kretynem” włącznie. Poczuję się dzięki temu o niebo lepiej. Nie będą miały mi za złe, że potwornie się spóźnię i spędzę cały dzień, szlochając nad kolejnymi kubkami podłej kawy z automatu.

Gotowane jajka i paluszki z chleba jada się podobno na pocieszenie, ale w moim przypadku to jakoś nie działa. Walę w czubki porzuconych przez Jake'a jajek wypukłą stroną łyżeczki, używając więcej energii niż to konieczne, i gapię się na ich gumowate białe skórki i wysuszone żółtka. Mój żołądek zdecydował, że nie ma w planie jedzenia. Grzanka zmiękła, zresztą nie byłaby w stanie przebić się przez białko - skojarzenia proszę załatwić we własnym zakresie.

Jake pracuje w reklamie. Tak naprawdę nie wiem, czym się zajmuje, prócz noszenia eleganckich garniturów i wymyślania haseł reklamowych. Jego najnowszy projekt polega na przekonaniu sceptycznie nastawionej opinii publicznej, że jajka są zdrowe. Muszę stwierdzić, że Edwina Currie* miała na pewne sprawy dziwaczne poglądy, jednak całkowitą rację w kwestii jajek. Teraz jednak kontakt z

nimi nie grozi już zarażeniem salmonellą i znowu stanowią pełnowartościowe jedzenie - tak twierdzi Jake. Jednym z niewielu plusów tej kampanii reklamowej jest to, że dostajemy jajka. Niestety, tego typu komórki jajowe na nic mi się nie przydają. Pracuję jako zastępca redaktora w Globalnych Wydawnictwach Czasopism - nazwa niezbyt trafiona, ponieważ żadne z naszych pism nie ukazuje się poza Wyspami Brytyjskimi. Brzmi to bardzo

*** Edwina Currie - członkini brytyjskiego parlamentu, minister zdrowia, została zmuszona do rezygnacji po tym, jak ogłosiła, że brytyjskie jajka są skażone salmonellą, (wszystkie przypisy pochodzą od redakcji)**

szkownie, ale muszę wyjaśnić, że nasze sztandarowe czasopisma noszą tytuły „Moje Dziecko” i „Mój Rozwód”. Nie potrafię stwierdzić, czy są to tytuły nieciekawe, czy też marketingowe dzieła sztuki. W każdym razie nakład stale rośnie - cóż, przynajmniej „Mojego Rozwodu”.

Po spokojnym zakończeniu edukacji poważnie zastanawiałam się nad zostaniem nauczycielką, wyobrażałam sobie pilnych uczniów rozkwitających pod moją czułą opieką w stylu panny Jean Brodie, jednak po przerażającym doświadczeniu z pracą w podstawówce w północnym Londynie uznałam, że to zajęcie stanowczo rozpaczliwie nisko płatne. I nawet znakomita panna Brodie załamałaby się pod ciężarem wysiłków opanowania sali pełnej ogolonych na zero, obwieszonych kolczykami dwunastolatków. W tej sytuacji weszłam w

świat wydawniczy, w którym, kilka lat później, wciąż trwam. Jest mniej okropnie, ale pensje pozostają rozpaczliwie niskie. Oczywiście wszyscy ogoleni na zero i obwieszani kolczykami ludzie są tu po trzydziestce.

Moja praca polega głównie na kompilowaniu strony listów w „Moim Dziecku”, co oznacza, że nieustannie tonę w łzawych epistołach słodko gruchających matek, albo tyradach bezdziejnych harpii, podobnych do mnie, które uważają, że świat potraktował je po macoszemu.

Zamawiam również i redaguję artykuły, którym Monica, redaktorka, nadaje porywające tytuły w rodzaju: *Zaprzyjajnij się ze swoimi jajowodami, Najlepszy przewodnik po świecie dziecięcej kupki, Z wysiłkiem - wszystko co musisz wiedzieć o zatwardzeniu i ciąży.*

Stanowczo zbyt często pojawia się tytuł *Wielkie nadzieje*. Od czasu do czasu, kiedy nikogo innego nie ma pod ręką, a moje biurko nie tonie w listach, wolno mi wyskoczyć poza biuro z moim wiernym dyktafonem, by przeprowadzić wywiad z gwiazdami klasy C, które opowiadają o swoich radosnych, choć często wręcz przeciwnie, wrażeniach z porodu lub długich i bolesnych zmaganiach z syndromem policystycznych jajników.

*** Jean Brodie - bohaterka powieści Muriel Spark *Pełnia życia panny Brodie*; stara panna i idealistka.**

Jake kilka razy dał wyraz przekonaniu, że moja praca niespecjalnie sprzyja stłumieniu „obsesji” na temat dzieci. Moim zdaniem, kiedy nadejdzie właściwy moment, będę po prostu doskonale wyposażona,

bo dostajemy mnóstwo darmowych gadżetów, i pewna, że mam ogromną wiedzę na temat cudownej przygody, jaką jest ciąża.

Owszem, przyznaję, że od czasu do czasu drę albo wyrzucam list jakiejś jęczącej niewyspanej matki, która pisze, że jest nieustannie zmęczona z powodu zarwanych nocy. Niektóre kobiety nie potrafią docenić tego, jakie mają szczęście. To ja jestem nieustannie zmęczona z powodu nocy spędzonych na próbach cholernego poczęcia!

Wymierzam jajkom ostatni pożegnalny cios na szczęście i rzucam łyżkę na stół. Biorąc pod uwagę, że mój ukochany odszedł, wychodzi na to, że ten konkretny cholerny problem przestanie zaprzętać moje myśli.

Rozdział trzeci

Monica i Charlotte palą. Widzę je, gdy ciężkim krokiem wychodzę z metra z szalikiem owiniętym wokół szyi w nadziei, że będzie mi ciepło. Jest dopiero listopad, a temperatury są już takie, że prawie się zamarza, ale to ich nie powstrzymuje przed oddawaniem się występki. Przyłączam się do dwójki drżącej przed głównym wejściem do naszych biur.

- Ładne popołudnie - zagaja Monica. Nie ma jeszcze jedenastej.

Czasami żałuję, że nie palę, bo mogłabym przyłączyć się do tej grupy pariasów, którzy co godzina wychodzą, by zaszkodzić swoim płucom, mimo nieprzychylności żywiołów. Czasami z nimi wychodzę, bo jestem pewna, że kiedy są same, obgadują całą resztę. Oczywiście wszyscy wiemy, że papierosy obniżają wagę

urodzeniową niemowląt, więc oparłam się pokusie. Jeszcze chwila, a ktoś nam powie, że próby poczęcia drogą uprawiania seksu są szkodliwe dla nienarodzonych i wtedy dopiero będziemy mieli się z pyszna.

- Miło, że przyszedłeś - dodaje Monica, ale nie jestem pewna, czy mówi to szczerze. Przeprowadziła się z Liverpoolu, a z moich doświadczeń wynika, że tam w chwilach irytacji ludzie robią się agresywni.

Teoretycznie Monica jest szefową, ale bardzo rzadko wykorzystuje swoją pozycję i tak naprawdę jest po prostu jedną z dziewczyn - chociaż dość wybuchową.

- Okropnie wyglądasz - stwierdza Charlotte, nabierając powietrza w pełne smoły płuca. - Wszystko w porządku?

Odsuwam się, by nie doznać szkody jako bierny palacz. Kręcę głową.

- Jake odszedł.

- Odszedł! - powtarzają chórem. - Jake?!

- Ostatnie in vitro skończyło się w kiblu - wyjaśniam, czując, że drżą mi wargi. - Chyba nie mógł tego znieść. Przez kilka dni zostanie u Pipa.

- Nie miałabym nic przeciwko paru dniom u Pipa - wyznaje Charlotte.

- Ustaw się w kolejce. - Nie rozumiem, co kobiety w nim widzą, ale z pewnością widzi to wiele z nich. - Nie wiem, co robić.

- Chodź. - Moje przyjaciółki łapczywie zaciągają się papierosami, a potem rzucają niedopałki na chodnik, beztrąsko ryzykując pięćdziesiąt funtów kary. Charlotte bierze mnie pod rękę. - Nalejemy ci trochę tej paskudnej brei, którą nazywają kawą, i możesz nam wszystko

opowiedzieć.

Biura „Mojego Dziecka” i „Mojego Rozvodu” są cudowne. Mieszczą się na jedenastym piętrze wielkiego monolitu z chromu i szkła na południowym brzegu, z widokiem na mroczne wody Tamizy. Mimo niezbyt eksponowanego stanowiska udało mi się zaklepać biurko tuż przy ogromnym oknie i mogę spędzać godziny na przyglądaniu się falującej wodzie. Za nic na świecie nie zrezygnowałabym z tego budzącego pożądanie miejsca. Latem czuję się jak w piecu, ale mamy tak niewiele gorących dni, że co z tego? Dziś nisko zawieszona, niechętnie zimowe słońce bawi się w chowanego za żelaznym białym szkieletem London Eye, przez co woda wydaje się szara i ponura. Chciałabym myśleć, że to z powodu współczucia dla mnie.

- A więc. - Monica energicznie stawia przede mną plastikowy kubek.

Obie z Charlotte siadają przy moim biurku. - Mów od początku.

Opowiadam im swoją historię, od czasu do czasu rzucając pełne zadumy spojrzenia na nabrzeże. Jednak nawet wtedy, gdy przytaczam wszystkie krwiste szczegóły i z upodobaniem obrzucam błotem mojego życiowego partnera, w głębi serca wiem, że kiedy wieczorem wrócę do domu, Jake tam będzie. Do tego czasu zda sobie sprawę, że popełnił okropny błąd i skruszony będzie na mnie czekał. Mam nadzieję, że ściskając w ręku drogi bukiet kwiatów i z wyrazem przerażenia na twarzy. Z całą pewnością otrzeźwieje w chwili, gdy zda sobie sprawę, co mógł stracić.

- Cóż. - Monica drapie się w brodę. Wymieniają z Charlotte

zaniepokojone spojrzenia. - Nie jest dobrze, prawda?

- Wróci - stwierdzam z całą stanowczością, na jaką udaje mi się

zdobyć. - Na pewno. Wiecie, jacy są faceci.

- Masz troszkę obsesyjne podejście do kwestii dzieci - sugeruje

Monica.

Nie jestem pewna, czy podoba mi się częstotliwość, z jaką słowo

„obsesja” i „dziecko” pojawiają się obok siebie w rozmowach na mój

temat.

- Nie mam obsesji - upieram się. - Jestem po prostu skoncentrowana. -

Moim zdaniem to różnica. - Jestem w programie in vitro. To kosztuje

masę pieniędzy. I zajmuje cholernie dużo czasu.

Charlotte kładzie rękę na moim ramieniu, ale ponad moją głowę

spogląda na Monicę, która wykrzywia się w odpowiedzi. Charlotte

mnie poklepuje.

- Nic dziwnego, że w waszym związku panuje napięcie.

Monica wzdycha.

- Może Jake naprawdę miał tego dość?

- Pragnie dziecka tak samo, jak ja. - Upijam łyk kawy i odsuwam

kubek. Może dlatego nie jestem w ciąży - przypomina to picie koktajlu

z toksycznych chemikaliów. Plastikowy kubek z pewnością właśnie się

topi. - W każdym razie tak było aż do dzisiejszego ranka.

Charlotte i Monica wymieniają nerwowe spojrzenia. Monica lekko

kiwa głową, a Charlotte przed otwarciem ust nabiera powietrza.

- Za często mówisz o dzieciach, Lyssso.

- Pracuję w cholernym czasopiśmie poświęconym dzieciom! Cały dzień mówię, piszę i myślę o dzieciach!

- Uważasz, że to zdrowa sytuacja, biorąc pod uwagę realia? -włącza się Monica.

- Nie mogę zająć w ciążę - płaczę. - Nie mam psychozy. -Chociaż w tej chwili rzeczywiście mogę sprawiać wrażenie osoby na skraju załamania nerwowego.

- Dla Jake'a to musi być bardzo trudne.

Zamykam oczy, wyrzucam z pamięci widok rzeki, wyrzucam z pamięci przyjaciółki i wspomnienie Jake'a zamykającego drzwi.

- To trudne dla nas obojga.

- Na biurowej imprezie sprawiał wrażenie nieco wytrąconego z równowagi, kiedy przy świątecznym puddingu opowiadałaś o jego niemrawych plemnikach.

Aby uniknąć gwiazdkowego stresu nasza firma postanowiła zadziałać nowatorsko i urządzić doroczną balangę w czerwcu. Wystaw pan sobie, hę?

Charlotte przygryza wargi.

- Wyciągnął cię zza stołu, żebyście zatańczyli do *Merry Christmas everyone* Shakin Stevensa. To zawsze świadczy o tym, iż ktoś jest w depresji.

- Jeżeli ktoś tu może być zdesperowany, to ja - zauważam.

- Dlaczego nie odłożysz na jakiś czas całej tej dziecięcej kwestii? - To

znowu Monica.

- Och, doskonały pomysł. Po prostu o tym zapomnę, dokładnie w tej chwili.

Nic nie poradzę na ten sarkazm. Nikt przy zdrowych zmysłach nie poddawałby się wyczerpującemu procesowi sztucznego zapłodnienia, gdyby mógł tego uniknąć. Przyjmowałam już hormony w tylu cholernych formach - łykałam je, wciągałam przez nos i wsadzałam sobie w pupę, że jestem żywym połączeniem okresu dojrzewania, zespołu napięcia przedmiesiączkowego i menopauzy. Zasięgałam porad w sprawie mojej „niewyjaśnionej bezpłodności”, aż robiło mi się czarno przed oczami i pękało serce. Zaliczyłam porcję wyczekiwania w posępnych poczekalniach klinik pełnych płaczliwych kobiet unikających kontaktu wzrokowego, gdyż rozmowa mogłaby oznaczać poruszanie kwestii najgorszych lęków. Niedobrze mi się robi od czytania w codziennej prasie, że mimo emocjonalnej i fizycznej traumy, jaką kobiety takie jak ja znoszą, by zaspokoić swoje pragnienie macierzyństwa, większość prób in vitro po prostu się nie udaje. Nie mogę znieść myśli, że jestem jednym ze statystycznych przypadków w rubryce „nieudane”. Kto by się narażał na takie tortury, gdyby substytutem mógł być ulubiony pudel?

Jak mogę wyjaśnić, że cały ten koktajl hormonalny sprawia, że czuję się, jakby mieszkała we mnie wariatka? Mój progesteron toczy śmiertelną walkę z estrogenem. Ciało krzyczy: „Zajdź w ciążę”! Mam zwyczaj zaglądania do wózków. Kusi mnie, żeby wyjąć z nich dziecko

i przytulić. Mogłabym przysiąc, że w niektóre dni moje piersi produkują mleko, ale to raczej pobożne życzenie. Jeżeli szybko nie dorobię się brzucha, zacznę się zachowywać jak smutna stara suka, która kryje się po kątach z urojoną ciążą.

- Musisz wyjaśnić sprawy między tobą a Jakiem.

- Uważacie, że to wszystko moja wina, prawda?

Znowu wymieniają spojrzenia pod tytułem: „jak mamy powiedzieć tej wariatce prawdę?” Charlotte odchrząkuje i robi minę, która ma wyrażać zrozumienie.

- Może Jake myśli, że posiadanie dziecka jest dla ciebie ważniejsze niż on?

Nie wiem, co o tym sądzić. Czy tak myśli? I czy jest ważniejszy? A gdybym mogła mieć dziecko, ale nie Jake'a, albo Jake'a, ale nie dziecko? Co bym wybrała?

Monica traci zainteresowanie rozmową. Spogląda na zegar. Zbliża się moment wyprawy po kanapki i jej burczący z głodu brzuch zaczyna wygrywać z moim rozpadającym się życiem.

- Może po prostu powinniście od siebie odpocząć. Spojrzeć na to z perspektywy.

- Tak - mówię.

Czy Jake też tak uważa? Czy dlatego wyprowadził się do Pipa?

- Masz rację. Może powinnam tak zrobić.

Może powinnam baraszkować z Jakiem w sypialni, prezentując bez troskę i nie sprawdzając na wykresach, czy będzie to strata czasu.

Może powinnam spróbować przestać patrzeć na miesiączkę jako objaw śmiertelnej choroby. Może powinnam myśleć bardziej pozytywnie.

Ale jak mam to zrobić, skoro wszyscy na świecie oprócz mnie są w ciąży?!

Rozdział czwarty

Jake był w sali konferencyjnej zarządu i przygotowywał prezentację.

Była to prawdopodobnie ostatnia rzecz na świecie, na którą miał ochotę. W ogóle nie interesowało go portretowanie Pana Jajka - Dobrego Jajka - w najbardziej kreatywnej kampanii reklamowej wszech czasów. Miał powyżej uszu jajek - kurzych, ludzkich i każdego innego rodzaju. Prezentacja zaczynała się za pół godziny. Kampania miała kosztować miliony funtów, ale z jakiegoś powodu ciągle o tym zapominał.

W tym momencie Power Point odmówił współpracy. Jake wcisnął kilka klawiszy na laptopie. Rozległ się robiący wrażenie hałas, ale na ekranie projektora nic się nie pojawiło. Jake czuł, że zaraz wybuchnie.

- Kurwa mać.

Jego przyjaciel i współpracownik u Dunstona i Bradleya, Pip Henshall, skrzyżował nogi leżące na wypolerowanym na wysoki połysk cisowym stole konferencyjnym.

- Zrób sobie pięciominutową przerwę - poradził.

Jake rzucił laserowy wskaźnik i klapnął na krzesło obok Pipa. Powoli wypuścił powietrze z płuc.

- Aż tak źle? - zapytał Pip.

- Gorzej - mruknął Jake. Zażenowany spojrzał na przyjaciela. -

Powiedziałem Lyssie, że zatrzymam się u ciebie.

- O, dzięki. Zawsze wplątuj mnie w swoje podłe machlojki,

- To nie jest podłe.

- Biurowe romanse zawsze są podłe.

- To nie romans. Nie dla mnie.

- A co sądzi o tym Lyssa?

- Nie wie - wyznał Jake.

Pip skrzyżował ręce na piersi.

- Cudownie.

- Przecież nie mogłem jej powiedzieć, że wprowadzam się do Neve. -

Jake przeczesał palcami włosy. - Odejście w chwili, gdy Lyssa jest w trakcie kolejnej rundy walki o dziecko jest wystarczająco trudne. Nie

mogę

jej

powiedzieć,

że

zamieszkam

z

atrakcyjną

dwudziestopięciolatką z nogami jak Lara Croft, po której na pierwszy

rzut oka widać, że chętnie wykona ruchy związane

z prokreacją. To by ją załamało.

- Nie wiedziałem, że jesteś taki wrażliwy.

- A co ty byś zrobił na moim miejscu?

- Lubię sobie wyobrazać, że mam więcej rozumu i że nie wpakowałbym się w taką sytuację.

- Okropnie się czuję, zostawiając Lysę. Okropnie.

- Ale nie na tyle okropnie, żeby zostać?

- Przestałem być facetem i zostałem maszyną do produkcji dzieci.

Zajmowaliśmy się tym co noc od miesiący.

- Myślałem, że dokładnie to samo spodziewasz się robić z Neve.

- Tak, ale cel jest zupełnie inny. Z Neve to czysty erotyzm i obopólna przyjemność. Z Lyssą chodzi o lata nieprzespanych nocy, rodzinny samochód i potworne wydatki.

- Czyżbym wyczuł, że ojcostwo straciło dla ciebie urok? Jake potarł twarz.

- Nie sądziłem, że to będzie takie trudne.

- Czy to nie ta faza miała być zabawna?

- Pewnie tak, gdy Matka Natura raczy pójść planowaną drogą. Kiedy trzeba w to włączyć bandę lekarzy, atmosfera trochę się psuje. - Jake czuje narastający ból głowy, a jak na ironię to właśnie ból głowy próbował symulować przez kilka ostatnich tygodni. - To takie okropnie mechaniczne. Wszystkie te zastrzyki, hormony i opakowania leków. Gdybym wiedział, że to będzie tak wyglądało, nigdy bym się nie zgodził. To podważa wszystko, co sądzisz na temat męskości.

- Chodzi o kłopoty z... - Pip urwał.

- Z czym?

Pip rozejrzał się ostrożnie po sali, po czym dokończył:

- Ze wzwozem.

- Dobry Boże, nie. Myślisz, że z Nimfa Neve poświęciłaby mi chociaż pięć minut, gdyby na tym polegał problem?

Dziwnie było używać uwłaczającej biurowej ksywki teraz, gdy odnosiła się do jego dziewczyny, a nie po prostu do koleżanki z pracy.

W dodatku nie był pewny, czy czuje się z tym swobodnie, chociaż nigdy wcześniej nie przejmował się biurowym seksizmem.

Pip wzruszył ramionami.

- Raczej nie.

- Nie w tym problem, stary. Postronny obserwator uznałby, że wszystko funkcjonuje idealnie. Dopiero kiedy zagłębisz się w sprawę, zaczynają się trudności.

- Wciąż masz niemrawe plemniki?

- Niemrawe plemniki. - Jake westchnął. - I co to o mnie mówi?

- Jakim sposobem stają się niemrawe? Przecież nie mogą być takie od początku.

- Nie wiem. W collegeu jadałem mnóstwo curry - wyznał Jake. -

Może to je zdeprymowało. Wiesz, mam taką wizję: siedzą sobie w wygodnych fotelach z nogami na stole, rozwiązując krzyżówkę w „Daily Telegraph”, kiedy powinny startować po złoty medal. Z drugiej strony trudno je winić. Za każdym razem, gdy w zeszłym roku się pojawiły, ich osiągnięcia były krytykowane przez jakiegoś ważniaka w rogowych okularach. Mam po prostu wrażenie, że straciły motywację.

- Brzmi to jak opis jednego z naszych spotkań kreatywnych.

- No tak.

Pip i Jake pracowali razem u Dunstona i Bradleya od pięciu lat. W teorii Pip zajmował wyższe stanowisko, ale Jake nie zamierzał zbyt długo tolerować takiego stanu rzeczy. Z nich dwóch to Jake był

twardszy

i

bardziej

zeterminowany.

Pip robił wrażenie

wyluzowanego, ale za fasadą aksamitnych garniturów w prążki i fioletowych koszul krył się rozkosznie dekadenski i ostry jak brzytwa intelekt, mózg zdolny do pokręconego, niekonwencjonalnego rozumowania, co przynosiło owoce w postaci błyskotliwych kampanii reklamowych. Zakładano, że czerpie inspiracje z kokainy, ale jego słabości ograniczały się do okazjonalnego sześciopak piwa John Smith i zlizywania brązowej masy z twigletsów.

- Jakby na to nie patrzeć, sprawa jest skomplikowana - stwierdził Jake z pretensją w głosie.

Pip mądrze pokiwał głową.

- A skomplikuje się jeszcze bardziej.

To była najbardziej irytująca cecha Pipa: zwykle miał rację. Jake nie był pewny, jak zaczęła się cała ta afera z Neve - prawdę

powiedziawszy, było to stuprocentowe kłamstwo, to na pewno. Prawda

była taka, że cała męska część biura uważała ją za napaloną i Jake czuł się absurdalnie uhonorowany, że to właśnie jemu okazała względy. A zrobiła to w nocnym klubie Snappers w Soho, na imprezie, na której świętowali nowe zlecenie. Przyłożyła palec do jego ust i milcząc, poprowadziła w stronę damskich toalet, gdzie już nie tak cicho uprawiała z nim seks na stojąco w ciasnej kabinie. Na samą myśl o tym mu stawał. Od tamtej pory ich niebezpieczny związek jeszcze się zacieśnił. Niebezpieczny, ponieważ gdyby Lyssa albo szefostwo się o nim dowiedzieli, zarówno Jake, jak i Neve poszliby w odstawkę. W dodatku w wersji Lyssy byłoby to bardzo bolesne i uczyniło kwestię ojcostwa w przyszłości jeszcze trudniejszą. Tylko czy lęk przed odkryciem nie dodaje wszystkiemu atrakcyjności? Dobry Boże, Jake był ostatnią osobą, która chciałaby analizować przyczyny - w tej chwili całe jego życie z różnych powodów koncentrowało się na dolnych partiach ciała. Ale teraz przynajmniej nie pilnuje go banda lekarzy, mówiących, że nie jest dość dobry. Neve najwyraźniej uważa, że jest odpowiedni.

Kwestia pracy była jednak niepokojąca. Jake kochał swoją robotę i był w niej cholernie dobry, ale przyjacielskie stosunki między kolegami, wykraczające poza wypicie wódki Absolut, uważano za powód do zwolnienia. Jego umowa zawierała określenie „rażące naruszenie”, a rzeczy, które robili z Neve, z pewnością do tej kategorii należały.

Jedynym pocieszeniem był fakt, że w obecnych czasach do-

mniemanej równości prawdopodobnie to Neve zostałaby obwiniona.

Jest młodszym pracownikiem, kobietą, i co za tym idzie, mimo prawa pracy to jej pozbyto by się lekką ręką. Prawda jest taka, że zawsze można spodziewać się kolejki wysokich i pięknych absolwentek wyższych uczelni z długimi nogami, gotowych zająć jej miejsce.

Pip zsunął swoje długie ciało z krzesła Philippea Starcka i się przeciągnął.

- No dobra, panie Swift, czas zakończyć debatę nad pańskim zrujnowanym życiem uczuciowym i zwrócić się ku nieskończonej bardziej pilnej kwestii pracy. Czas, żebyś włożył korporacyjne gatki i zmienił się w pracownika reklamy o nadludzkiej sile. Jake wstał niechętnie.

- Jakoś nie umiem się zapalić do tego tematu. W tej chwili jajka są dla mnie tematem nieco odstręczającym. Potrzebuję czegoś bardziej mięsistego, żebym miał w co wbić zęby.

- Niedługo bierzemy się do reklamy nowozelandzkiej jagnięciny - powiedział z uśmiechem Pip.

- Wiesz, o co mi chodzi. Potrzebuję czegoś seksownego, czegoś efektownego. Testosteron mi się gotuje, muszę go jakoś ukierunkować.

Co się stało z tym kontraktem na wodę po goleniu Podmucha?

Dostaliśmy go?

- Tak - wymamrotał Pip.

I gdyby Jake nie był tak zajęty własnymi problemami, zauważyłby, że jego przyjaciel nagle zaczął unikać jego wzroku.

Rozdział piąty

Trudno uwierzyć, jak okropnie włókł się czas do siedemnastej.

Świadomie nie dzwoniłam do Jake'a przez cały dzień, ale potwornie dużo mnie to kosztowało. Tylko wiedza, że nienawidzi w pracy prywatnych rozmów pozwoliła mi trzymać rękę z dala od telefonu.

Kiedy wracam, dom tonie w ciemnościach. Nie znoszę tej pory roku - noce są długie, a poranki czarne jak smoła. Nienawidzę wychodzić do pracy i wracać z pracy po ciemku. W dodatku jestem pewna, że

dopadła mnie jesienna depresja. Chociaż w tym momencie przeważa nad nią BR, Bezdenna Rozpacz. Zamierzam przygotować dla Jake'a fantastyczną kolację. Po południu, zamiast pracować, zajęłam się wydłubywaniem okruszków z klawiatury i dobrze przemyślałam to, co powiedziały dziewczyny. Muszę

przyznać, że trochę wstrząsnął mną fakt, iż sympatyzują raczej z Jakiem, a nie ze mną. Po namyśle doszłam do wniosku, że mogą mieć rację. Chyba rzeczywiście zaniedbywałam nasze relacje jako pary i zamiast tego skupiałam się na pytaniu, dlaczego nie jest nas troje. Ale to się zmieni. Dziś wieczorem oczaruję go moimi zdolnościami kulinarnymi i nie będę opowiadała o jajnikach.

Rzucam torbę na stół i zdejmuję płaszcz, po czym wstawiam butelkę szampana do lodówki i ruszam na górę. Potrzebuję długiej gorącej kąpieli, żeby znowu poczuć się człowiekiem. Mieszkamy w tym domu nieco ponad trzy lata. Jake i ja przeszliśmy ekspresowe zaloty - jeśli można użyć tak staroświeckiego słowa. Kupiliśmy ten dom i

wprowadziliśmy się do niego pół roku od chwili, kiedy się poznaliśmy, choć w dzisiejszych czasach te sprawy wyglądają zwykle trochę inaczej. Ludzie sprawiają wrażenie tak zdeterminowanych, by zachować niezależność, że mamy przyjaciół, którzy po ślubie wciąż mieszkają osobno. Czy to nie dziwaczne? Po początkowym gwałtownym przyspieszeniu nasze uczucia łagodnie zwolniły. Jake nadal uważa, że małżeństwo to bardzo poważne zobowiązanie. Nie jestem pewna, jak chce to pogodzić z chęcią posiadania dzieci. Moja matka jest przerażona całą sytuacją. Należy do pokolenia kobiet, które nie mogą zrozumieć, dlaczego miałabym „ryzykować” zajście w ciążę z mężczyzną, który mnie nie poślubi.

Poznałam Jake'a w lokalnym klubie. Miał być elegancki i pełen życia, ale na moje oko roiło się tam od czterdziestopięciolatków po rozwodzie, szukających półnagich dziewiętnastek. Szczerze mówiąc, przez wszystkie spędzone tam sobotnie wieczory nie spotkałam nikogo oprócz Jake'a, kto potrafiłby skleić zdanie podrzędnie złożone. Nie bez znaczenia był też jego wysoki wzrost, niebieskie oczy i blond włosy. Nigdy wcześniej nie interesowali mnie niebieskoocy blondyni, ale Pan Idealny nigdy nie zjawia się w postaci, jaką sobie wymarzyłyśmy. Zwykle wybieram mężczyzn o ciemnej karnacji, ale gdy Jake zaprosił mnie na randkę, od razu się zgodziłam, nie zastanawiając się nad tym, co lubię. Jestem z tego powodu bardzo zadowolona. Chciałabym powiedzieć, że Jake mnie dopełnia, ale tak nie jest. Nie do końca.

Łazienka znajduje się koło schodów, po drodze do sypialni, więc wchodzę tam i odkręcam krany, a potem zaczynam się rozbierać, idąc korytarzem. Spędziłam w tym niedużym wiktoriańskim domu długie godziny, zdzierając kolejne warstwy farby, by odsłonić oryginalne sosnowe drzwi i listwy. Prawie nie używałam chemikaliów. Nasz dom stoi w pobliżu starej gazowni i nikt nie chciał kupować posiadłości przy tej ulicy. Teraz gazownia zniknęła i nawet najbardziej zapyziałe rejony St Albans zostały odnowione. Domy oczywiście zyskały na wartości, bo stoją niedaleko stacji kolejowej, a miasto mieści się dokładnie w środku podmiejskiej strefy pozwalającej na wygodny dojazd do pracy. Możecie mi wierzyć, że nawet J.K. Rowling z całą jej kasą doznałaby wstrząsu, patrząc na ceny tutaj.

Nasz dom jest bardzo przytulny i to nie tylko dzięki dobrym proporcjom. Urządziłam go w odcieniach kremu, złota i ciemnej czerwieni, wszystko w nim emanuje ciepłym blaskiem. Mimo to Jake raczej za nim nie przepadał. Należy do tych minimalistów, którzy marzą o modnych przerobionych poddaszach z widokiem na doki St Katherine czy inne podobne miejsce, ze stalowymi schodami, podłogą wykładaną kamieniem, wymyślnym oświetleniem i systemem nagłośnienia. Różnimy się też w innych kwestiach. Ja lubię obrazy, na których są normalne rzeczy: zachody słońca, pejzaże, zwierzęta. Jake woli czerwone plamy na białym płótnie, najlepiej wielkości trzech metrów kwadratowych. Może gdy będziemy mieli dziecko, trochę złagodnieje. Może wtedy przyzna, że stalowe schody i niemowlęta to

nie najlepsze połączenie. Zresztą nie stać nas na stalowe schody.

Jesteśmy w tej chwili bez grosza z powodu ceny in vitro i myślę, że także tę sprawę powinnam z Jakiem poruszyć. Najwyższy czas, żeby nasze nadwątlone finanse wykorzystać na coś bardziej hedonistycznego. Zaproponuję, żebyśmy pojechali na miłe romantyczne wakacje gdzieś, gdzie jest gorąco i elegancko - przychodzą mi na myśl Karaiby - zanim znowu pograżymy się w hormonalnej gorączce. To może być nasza ostatnia szansa, żeby pojechać dokądś tylko we dwoje.

Ludzie często mówią, że jeśli kobieta się zrelaksuje i przestanie myśleć o posiadaniu dzieci, od razu zachodzi w ciążę - prawdę mówiąc, opowiadają mi o tym zdecydowanie za często. Mogłabym przytoczyć ze dwadzieścia różnych historii o kobietach, które były o włos od adopcji chińskiej sierotki albo zakupu border colie, by przekonać się, że w cudowny i niewymagający chirurgicznej interwencji sposób zaszły w ciążę. Czy nie byłoby cudownie wrócić z Bahamów z naturalnie poczętym dzieckiem oraz opalenizną?

Nasza sypialnia jest bardzo „koronkowa”. Staralam się zachować tradycyjny styl, z łóżkiem z kutego żelaza i narzutą z haftem richelieu - prawdziwe cholerstwo przy prasowaniu - oraz tradycyjną wiktoriańską umywalką, kupioną za wygórowaną cenę w jednym z trzech tysięcy antykwariatów w St Albans. Trzymam na niej zdjęcie Jake'a i swoje w starej intarsjowanej ramce. Biorę ją do ręki, uśmiecham się lekko, jak Jake na fotografii, i przesuwam palcem po jego potarganych włosach.

Nawet po czterech latach, kiedy pożądanie nieco osłabło, kocham go bezgranicznie. Jest przystojny i generalnie rzecz biorąc, można na nim polegać. Bardzo ciężko pracuje w agencji i któregoś dnia daleko zajdzie. Moja matka by mu nie zaufała. Twierdzi, że ma niebezpieczne oczy. Rozumiem, o co jej chodzi, o tę mroczną iskrę, która zdradza: „jestem mężczyzną mającym swoje sekrety”. Ale nie sądzę, by tak było. Nie na serio.

Odstawiając fotografię na miejsce, zdejmuję resztę ubrania, i biorąc telefon na wypadek, gdyby Jake zadzwonił, wędruję boso do łazienki, rozkoszując się dotykiem twardej sizalowej wykładziny drażniącej zmęczone stopy.

Uwielbiam naszą łazienkę. Bardzo się starałam, żeby była ładna. Są w niej podstawki w kształcie muszli pełne małych mydełek, grube świece w białych porcelanowych świecznikach i dobrane kolorem ręczniki.

Mogłabym spędzić tu całe życie. W wannie jest za dużo wody i jest za gorąca. Bardzo uważam z temperaturą wody. Nie zamierzam mieć przed czterdziestką popękanych żyłek, w ięc nie moczę się we wrzątku, w każdym razie niezbyt często. Od czasu do czasu wyparzenie pupy działa terapeutycznie, ale nie dziś. Wyciągam korek, żeby wypuścić trochę wody, a potem dolać zimnej. Wlewam olejek do kąpieli, lawendę i coś tam jeszcze, co ukoi moje zmęczone ciało.

Nie cierpię, kiedy się z Jakiem kłócimy. Nie zdarza się to zbyt często, nie częściej niż w przypadku innych par, ale i tak jestem zde-nerwowana. Widzę swoje odbicie w lustrze i poddaję ciało krytycznej

ocenie. Mam dobrą figurę - szczupłą, giętą, prawie atletyczną

- co najpewniej zawdzięczam genom, a nie ciężkiej pracy w siłowni,

bo nie oszukujmy się, nie ćwiczę tyle, ile trzeba. Przesuwam dłońmi po

płaskim brzuchu. Można mi go pozazdrościć. Czasami wydaje mi się

szaleństwem, że nie mogę się doczekać, kiedy stanie się rozdęty dzięki

naszemu dziecku. Wypinam brzuch, ale choćbym nie wiem jak się

starala, nie wyglądam jak kobieta w ciąży.

Może kiedy zajdę w ciążę, zostawimy za sobą wszystkie te przykrości

i małostkowe sprzeczki i znów będziemy parą. Jestem pewna, że gdy

uporamy się ze wszystkimi kwestiami technicznymi, Jake będzie

zachwycony rolą ojca. Klepię się po brzuchu. Już niedługo, mam

nadzieję.

Zanurzam się w parujących, pachnących bąbelkach i jak zwykle

zdumiewa mnie cudowna uzdrawiająca moc pocziwej wody. Mamy

jedną z tych długich wanien na nogach-szponach, o kształcie idealnym

do wylegiwania się. Czuję, jak wypływa ze mnie stres i zanurzam się

najgłębiej, jak się da. Zamykam oczy.

W tym momencie dzwoni telefon i biorę do ręki słuchawkę.

- Cześć. - To Jake z komórki. Twarz mi się rozluźnia i uśmiecham się

do telefonu.

- Cześć. - Wynurzam się z wody, żeby nie zamoczyć telefonu.

- Dobrze się już czujesz?

Jake nie odpowiada.

- Słuchaj, przykro mi z powodu tego, co się stało rano - ciągnę. - To

trudne. Trudne dla nas obojga. Musimy trochę odpocząć. Mam w lodówce szampana. Przygotuję dobrą kolację. Możemy się poprzytulać i pooglądać jakieś badziewie w telewizji.

Jake wzdycha. Najwyraźniej nadal jest wkurzony.

- Gdzie jesteś? - Zdaję sobie sprawę, że nie słyszę w tle pociągu, więc jeszcze nie wyruszył w drogę do domu. Od wielu tygodni w piątki pracuje do późna i miałam nadzieję, że dziś będzie inaczej. - Kiedy wrócisz do domu?

- Lysso... - głos Jake'a jest taki daleki - nie wracam do domu.

Mówiłem ci.

Nagle woda wydaje się zimniejsza.

- Wiem... ale myślałam, myślałam, że może zmienisz zdanie.

- Dlaczego? Dlaczego tak pomyślałaś?

- No... sytuacja się zmieniła. Rozumiem, co czujesz. Chcę ci to odpuścić. Rozumiem. I możemy zrobić przerwę z in vitro. Pół roku.

Więcej, jeśli chcesz.

- Lysso, nie uważasz, że trochę już na to za późno?

- Nie. - Bo nie uważam. - Powiedziałaś mi, co czujesz, dopiero dzisiaj rano. Daj mi przynajmniej szansę, żeby to obgadać.

- A co tu jeszcze jest do powiedzenia? Ściskam telefon tak mocno, że bieleją mi kostki.

- Nie możemy tego tak zakończyć.

- Może tak będzie najlepiej.

- Dla kogo? Bo nie dla mnie.

- Poradzisz sobie, Lysso.

- Nie poradzę. Czuję się okropnie. Chcę, żebyś wrócił do domu.

Gdzie jesteś?

Wyczuwam wahanie.

- U Pipa. Mówiłem ci.

- Powiedziałeś, że potrzebujesz kilku dni. - W mój głos wkrada się natarczywa nuta hysterii i usiłuję ją powstrzymać. Jeżeli chcę, żeby Jake wrócił, muszę być spokojna, muszę się pozbierać. - Zostań do niedzieli. Zadzwoń do ciebie.

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł, a ty?

- To dobry pomysł - mówię. - Przecież inaczej bym tego nie proponowała.

- Muszę kończyć - stanowczo stwierdza Jake.

- Dlaczego? Dlaczego? Co innego masz do roboty?

- Żadnemu z nas nie wychodzi to na dobre, Lysso.

- Więc dlaczego to robisz?

- Bo muszę - ucina Jake i odkłada słuchawkę. Tak po prostu. Rozłącza się. Wykreśla mnie ze swojego życia. Raniąc mi serce.

Odkładam słuchawkę, a potem wrzucam ją do wanny. Woda jest teraz chłodna, kojące ciepło się ulotniło i powinnam wyjść z wanny, ale z jakiegoś powodu nie mogę się ruszyć. Jake naprawdę odszedł.

- Jake odszedł. - Nawet wypowiedzenie tego na głos nie pomaga mi zrozumieć, co się stało. Wiem, że teoretycznie odszedł dziś rano, ale w głębi duszy myślałam, że tak naprawdę wcale nie o to mu chodziło.

Myślałam, że spędzi ten dzień, dając się w pracy, że Pip przemówi mu do rozumu i po kilku krzepiących piwach w pubie wróci do domu z podkulonym ogonem, i na tym się skończy. Ale nie, Jake odszedł naprawdę.

Sięgam do kurka z gorącą wodą. Lubię, żeby z kranu leciał wrzątek i bojler pracuje bez przerwy. Wkładam rękę pod strumień wody, ale nie czuję, żeby mnie parzył. Wanna znowu jest wypełniona prawie po brzegi. Nigdy wcześniej nie nalałam do niej tak dużo wody. Odkręcam także kran z zimną wodą. Warstwa białej piany z olejku kąpielowego jest już wyżej niż brzeg. Wygląda jak chmury zawieszane w przestrzeni. Bąbelki łaskoczą mnie w podbródek, tak jak babcie łaskoczą niemowlaki. Wolno, boleśnie wolno woda przelewa się przez zaokrąglone brzegi. Spływa po ścianie wanny i na podłogę. Jeżeli zaraz nie zakręcę kranów, zaleje podłogę i kuchenny sufit, i co wtedy zrobię? Może gdy Jake się dowie, że mamy w domu awarię, wróci. Znam go. Nie zostawi mnie, żebym sama sobie z tym radziła. Nie poradzę sobie. Jake wróci i wszystko załatwi. Jest dobry w sytuacjach awaryjnych. Wszystko załatwi. A potem będzie w porządku. Między nami wszystko będzie w porządku. Wszystko znów będzie dobrze. Leżę w wannie i patrzę w sufit, słuchając plusku wody.

Rozdział szósty

Rozgość się - powiedziała Neve, zdejmując płaszcz. - Dzięki.

Z jakiegoś powodu Jake czuje się nieswojo. Podczas kilku ostatnich miesięcy ich romansu bywał w mieszkaniu Neve wiele razy, ale składał

tylko krótkie wizyty - kilka wykradzonych godzin, bez perspektywy zostania stałym lokatorem. Teraz czuł się inaczej i bardzo, bardzo dziwnie.

- Drinka? - Tak.

Postawił torbę na podłodze przy drzwiach.

Neve zaniósła chińskie jedzenie na wynos do kuchni.

- Przepraszam za to jedzenie na wynos - rzuciła przez ramię. - Nie trzymam tu nic do jedzenia.

Pomyślał o lodówce w kuchni przy Roland Street zawsze wypchanej jego ulubionymi przysmakami. Niektóre rzeczy będą teraz wyglądały inaczej. Neve jest zupełnie inną kobietą niż Lyssa. Ale to dobrze.

Odmienność jest dobra. Może żyć z odmiennością. Tego właśnie chciał.

- Ale mam mnóstwo tego! - Pokiwała przed nim butelką szampana i wydeła usta. - Bąbelki?

- Dlaczego nie?

Jake zdjął kurtkę, a potem nie bardzo wiedział, co z nią zrobić.

Wszystko było tu tak pięknie ustawione, że nie chciał niczego zepsuć i nie wiedział, co Neve zrobiła ze swoim okryciem. Tymczasowo najbardziej estetycznie, jak potrafił, ułożył ją na jednym z białych skórzanych foteli. Wyobrażał sobie, że w takim właśnie miejscu będzie mieszkał za jakieś dziesięć lat, kiedy będzie miał wystarczająco dużą pensję. A teraz jest tutaj. W najbliższej przyszłości to będzie jego dom.

- Tu jest naprawdę fantastyczne - powiedział do Neve, która nalewała

szampana.

- Aha - zgodziła się. - Tata jest architektem. Kupił to w ramach drobnego projektu.

Opowiadała mu o tym wcześniej. „Drobny projekt” tatusia dotyczył czteropiętrowego pubu tuż przy Fullham Road. Nie szczędząc wydatków, przerobił ruinę na trzy obszerne, zbudowane w otwartym planie, bardzo gustowne i bardzo drogie apartamenty. Wszystkie miały dębowe podłogi, elementy z niecynkowanej cegły i rury biegnące na wierzchu w osłonach z niecynkowanej stali. Sufity znajdowały się na wysokości mniej więcej dwudziestu stóp, a cała tylna ściana została wyburzona i zastąpiona taflami szkła, otwierając widok na surowy ogród w japońskim stylu. Kwintesencja modnej przeróbki. Neve, będąc ukochaną córeczką tatusia, dostała jedno z tych mieszkań jako prezent na dwudzieste pierwsze urodziny. Jake miał wrażenie, że on dostał od swoich rodziców aparat. W pewnym sensie bardzo użyteczny, ale nie tak pamiętny.

- Przynieś jedzenie, kochanie - powiedziała Neve. - Zjemy na dole.

Jake posłusznie wziął tacę zastawioną pojemnikami z folii, talerzami i pałeczkami. Na dół schodziło się otwartą klatką schodową z dębu.

Znajdował się tam stół jadalny, przy którym można by pewnie posadzić z tuzin osób. Po prawej stronie wielkiej przestrzeni znajdował się przytulny, bardziej intymny kącik z żeliwnym piecykiem na drewno, przed którym stały dwa klasyczne skórzane fotele ozdobione orientalnymi, naszywanymi paciorkami poduszkami.

Neve wzięła od Jake'a tacę i postawiła ją na stole. Pstryknęła zapalniczką Zippo, zapalając przyjemną dla oka kompozycję świec w gotyckich kandelabrach, po czym wręczyła mu talerz i usiadła naprzeciwko siebie.

- Zdrowie. - Neve uniosła kieliszek, żeby stuknąć się z Jakiem.

- Zdrowie. - Pozwolili, by ich palce zetknęły się w lekkiej pieszczocie. - Pasuje ci to? - zapytał Jake.

- Jestem zachwycona.

- Ja też.

Prawdę mówiąc, był zachwycony tak bardzo, że ledwo mógł uwierzyć w swoje szczęście. Ze wszystkich facetów w biurze -a kilku chętnie zajęłoby jego miejsce - Neve Chandler wybrała jego. I była fantastyczna. Nie drobna i chudziutka jak Lyssa, ale posągowa, wysoka i imponująca. Ramiona i nogi miała długie i szczupłe i lubiła je pokazywać. Nawet w biurze spódniczki ledwo przykrywały jej uda.

Miała w sobie coś kociego, co podkreślały zielone, lekko skośne oczy.

Włosy czarne jak krucze pióra i, nie żeby specjalnie znał się na fryzurach, obcięte jakby brzytwą, w stylu ulubionym przez modnych prezenterów Radia One. Zwykli śmiertelnicy wyglądali w takim uczesaniu, jakby właśnie wstali z łóżka. Neve wyglądała idealnie. Była też obłądnie bogata i ustosunkowana, co - jeśli Jake chciał wobec siebie być uczciwy -także go pociągało. Zastanawiał się, czy tatuś wie, że jego jedyna córeczka lubi lubieżny i dość ryzykowny seks.

- Jedzenie wystygnie. - Neve nakładała smażony ryż z jednego z

metalowych pojemników.

Zadzwoniła komórka Jake'a i wyciągnął ją z kieszeni.

- Cholera. - Zerknął niespokojnie na wyświetlacz. - To Lyssa.

- Zignoruj ją - poleciła Neve.

- Jasne - odparł, ale przyszło mu to trudniej, niż się spodziewał. Być może z powodu poczucia winy wywołanego luksusowym otoczeniem i faktem, że siedzi tu z piękną kobietą, o której Lyssa nic nie wie, wznosząc toast za swoje dość pospieszne odejście niezłym rocznikiem szampana. Telefon dzwonił, dopóki nie włączyła się poczta głosowa.

Neve jeszcze raz stuknęła kieliszkiem o jego kieliszek. Patrzyła mu prosto w oczy.

- Teraz jesteś ze mną, kochanie.

Uśmiechnął się, ale czuł przykre napięcie w kącikach ust. Przy-stosowanie się do zmiany będzie trudniejsze, niż sądził.

Rozdział siódmy

To był kurewsko głupi pomysł. Naprawdę kurewsko głupi. Przyglądam się nasiąkniętej wodą kuchennej podłodze. To stanowczo zadanie dla ubezpieczyciela. Woda kapie z lampy na suficie i boję się włączyć prąd, bo mogłabym wysadzić w powietrze cały cholerny dom.

Zasłaniam oczy i staram się zapomnieć o szkodach. Rany Julek, o czym ja myślałam? O Jake'u. No właśnie. W zimnym świetle dnia wydaje się to wyjątkowo głupim pomysłem.

W samym środku powodzi z wodospadem w kuchni próbowałam kilkanaście razy dodzwonić się na jego komórkę, ale od razu włączała

się poczta głosowa. Pewnie to dobrze. Mógłby uznać mnie za wariatkę, a nie za bezsilną ofiarę okoliczności. Kiedy wreszcie udało mi się zmusić mózg do zakręcenia kurków w łazience, o mało nie wsiadałam do samochodu i nie pojechałam do Pipa, ale to by było zbyt desperackie posunięcie, mimo że byłam zdesperowana. Zamiast tego zostawiłam cały ten kapiący bałagan, wczołgałam się do łóżka i płakałam.

Znów wybieram numer Jake'a, ale najwyraźniej postanowił zostać poza zasięgiem. Mam ochotę walnąć komórką o ścianę, ale zdaje się, że dość już narobiłam szkód, jak na jeden dzień. Przeglądam więc książkę telefoniczną, wybieram kilka numerów i wreszcie znajduję elektryka, który zgadza się przyjść w sobotę rano. Potem idę na górę do suszarni i wyciągam jak najwięcej starych ręczników, żeby zabrać się do prostackiej czynności wycierania. Nie mogę nawet zrobić sobie herbaty, żeby przygotować się do tego zajęcia.

Elektryk w końcu się zjawia i strasznie jojczy. Na roboczym kombinezonie, na dość brudnej kieszonce na piersi, ma napis „Błysk”. Mnie nie wydaje się specjalnie błyskotliwy. Nie jest też tym fantastycznym umięśnionym elektrykiem z moich snów, którego spojrzenie zaprasza do łóżka. To stary, zrzędlawy, łysy dziad, któremu z uszu wychodzą skręcone jak wełna włosy. U Monici drewniane podłogi układał facet, który mógł być reinkarnacją Adonisa, a Charlotte twierdzi, że mechanik naprawiający jej pralkę wygląda jak Heath Ledger. Mechanicy, z których usług ja korzystam, nie mają

szans startować w tej konkurencji.

- Gdzie ma pani bezpieczniki?

- Eee... - Do tej pory wymiana bezpieczników należała do Jake'a. Czy nie tak jest w większości domów?

Pan Błysk wznosi oczy do nieba i powstrzymuję się przed zadaniem

mu pytania, czyjego żona wie, gdzie u nich jest skrzynka z

bezpiecznikami - ale potem myślę z nadzieją, że miała dość rozumu, by porzucić go lata temu i nie jest już obarczona tak żalosnym mężem.

Elektryk wychodzi z kuchni, a ja idę za nim, aż wreszcie znajduję tę

tajemniczą skrzynkę w szafce pod schodami. Kto by pomyślał. Mój

gburowaty wybawca wyłącza prąd. Następnie joyczy jeszcze bardziej

nad kuchenną lampą, a potem ją zdejmuje, sapiąc i chrząkając.

- Mokra - stwierdza odkrywczo.

- Doprawdy?

Wydaje mi się, że przedstawiłam mu tę fachową diagnozę przez telefon.

- Musi wyschnąć.

- Tak sędzę.

- To może potrwać kilka dni.

- Kilka dni?

Elektryk wzrusza ramionami.

- Może pani wejść na krzesło z suszarką.

Brzmi to bardzo niebezpiecznie. Przy moim szczęściu pewnie podpaliłabym dom.

- Chyba nie zaryzykuję. Znowu wzrusza ramionami.

- Proszę spróbować jutro. Może już będzie suche. Najwyżej wywali pani korki.

- Jasne.

Patrzy na mnie z niedowierzaniem.

- Wie pani, jak wymienić korek?

- Eee...

Wracamy do skrzynki i Pan Błysk urządza wielkie przedstawienie, pokazując mi, jak wyjąć jeden drobiazg i włożyć w jego miejsce następny. Co to za filozofia? Gdybym wiedziała, że to takie łatwe, lata temu zajęłabym się wymianą korków.

Łatwe czy nie, Pan Błysk kasuje mnie na sto pięćdziesiąt funtów i jestem zbyt zaskoczona, żeby się kłócić, więc po prostu płacę mu w osłupiałym milczeniu. To kosztowna lekcja, jak nie być żalosną kretynką. Mam przynajmniej tyle rozumu, żeby dać mu czek, a nie gotówkę, więc będzie musiał wszystko zaksięgować, zamiast oszukać urząd skarbowy. Ha! Nie jestem taka głupia, na jaką wyglądam.

Prawie.

Zirytowany Pan Błysk wręcza mi pokwitowanie.

- Proszę zadzwonić, jeśli będą jakieś problemy - rzuca na odchodnym.

- Poradzę sobie - zapewniam. I poradzę. Wygląda na to, że od tej chwili będę musiała.

Rozdział ósmy

Neve usiadła okrakiem na Jake'u, który leżał na łóżku. Nie było

jeszcze siódmej i Jake z trudem próbował otworzyć oczy w świetle

wlewającym się do sypialni. Neve pochyliła się i pocałowała go w usta.

- Do zobaczenia później - powiedziała. Jake nagle oprzytomniał.

- Później?

- Idę na siłownię, kotku.

- Siłownia? - To coś nowego. - Musisz?

- Trenuję przed trekkingiem do bazy pod Everestem. Nie mogę sobie pozwolić na opuszczanie treningów.

- O. - To też nowość. - A kiedy to wszystko ma się odbyć?

- Niedługo - odparła Neve i pochyliła się, by znów go pocałować. - Po siłowni idę z dziewczynami na lunch.

- Lunch?

Neve zerwała się na równe nogi. Była już ubrana w jeden, z tych modnych dresów w owocowych kolorach, tak lubianych przez Madonnę i Britney Spears.

- Masz jakieś plany na dziś?

- Plany? - Kręciło mu się w głowie i najwyraźniej nie potrafił sklecić sensownego zdania. - Eee... Nie.

- Wieczorem też mnie nie ma. Clubbing.

Mimo że zaspany, Jake zdał sobie sprawę, iż poczuł się odstawiony na boczny tor.

- Clubbing? Lubię clubbing. - W gruncie rzeczy pamiętał tylko jedną wizytę w klubie, która dała początek temu wszystkiemu. Nie był specjalnie zachwycony myślą, że Neve pójdzie do klubu sama, nie

teraz, kiedy wie, do czego jest zdolna. - Ja nie mogę pójść?

- To babski wieczór. - Neve się nachmurzyła. - Zawsze chodzimy do Black Out.

Jake usiadł na łóżku.

- Nie tak wyobrażałem sobie nasz pierwszy weekend. - Wziął ją za rękę i usiłował pociągnąć w swoją stronę. - Myślałem, że zjemy romantyczną kolację we dwoje. - Obdarzył ją najbardziej zachęcającym uśmiechem. - W jakimś wyjątkowym miejscu.

Neve wyslizgnęła się z jego objęć.

- Więc powinieneś był wcześniej mnie uprzedzić. Już wszystko zaplanowałam.

Posłała mu całusa przez pokój.

- To co mam robić?

- Nie wiem. - Neve uśmiechnęła się szeroko. - Zadzwoń do Pipa. Nie mogę ci organizować życia. Jesteś dużym chłopcem.

- Dzięki pochlebstwom daleko zajdziesz.

- Spóźnię się - rzuciła i wyszła.

Jake patrzył za nią, czując pustkę. Usłyszał znajomy pomruk silnika jej BMW i pisk opon, gdy wystrzeliła na ulicę. Położył się, ale był już rozbudzony i nie było mowy, żeby zasnął bez seksualnego odprężenia.

A nie zamierzał zajmować się tym samotnie - za dużo gorzkich wspomnień.

- Jasna cholera, nawet nie dostałem kubka kawy.

Zmusił się, żeby wstać, i owinał w pasie ręcznikiem. Co może zrobić,

nie mając żadnych swoich rzeczy? Nie wziął nawet szlafroka, nie wspominając o rakiemie do squasha. W którymś momencie, już niedługo, będzie musiał wrócić i stawić czoło Lyssie, żeby zabrać kilka niezbędnych drobiazgów.

Boso przeszedł z sypialni do kuchni. Szafki były z matowej stali i brak odcisków palców sugerował, że Neve musi mieć sprzątaczkę, by utrzymać wszystko w takim stanie, bo zdecydowanie nie jest dobrą gospodynią. Jake otworzył wszystkie szafki, zanim znalazł pojemnik z napisem „kawa”. W zlewie stał brudny kubek, który wypłukał, zanim napełnił czajnik i go włączył. Zaryzykował rzut oka do lodówki, ale nie było mleka, najwyraźniej także masła i nic przypominającego dżem.

Kolejne przeszukanie szafek nie zaowocowało niczym jadalnym - żadnych płatków, żadnego chleba, żadnych świeżo upieczonych bułeczek z czekoladą czy rogalików. Będzie musiał pójść na śniadanie do jednej z tych eleganckich kawiarenek w pobliżu. Bardzo miło. To nie problem. Starał się nie myśleć o Lyssie przynoszącej mu w każdy weekendowy poranek kawę i gazetę do łóżka. Spełniającej każdą jego zachciankę. Jakoś nie mógł przestać rozmyślać o tym, co ona teraz robi. Było to bardzo dziwne uczucie, bo zamiast martwić się, że ma dwie kobiety, najwyraźniej w tym momencie nie ma żadnej.

Nowoczesny czajnik pisnął na znak, że woda się zagotowała. Cóż, może się przynajmniej napić czarnej kawy. Znalazł łyżeczkę i otworzył pojemnik, ale tak jak szafki, on też był pusty. Siłownia najwyraźniej wygrała także z zakupami.

Poczuł się bardzo mały w przepastnej pustce tego mieszkania.

Wykluczone, nie będzie snuł się tu samotnie przez cały dzień. Musi zadzwonić do Pipa i sprawdzić, co zaplanował na dziś stary kumpel.

Mógł mieć tylko nadzieję, że to coś, do czego będzie mógł się podłączyć. W tej chwili pierwszy dzień Jake'a jako wolnego mężczyzny nie zapowiadał się najlepiej.

Po raz kolejny zadzwoniła komórka. Lyssa. Zdecydowanie nie może odebrać. Co jej powie? Pokusa, żeby tam pojechać była niewiarygodnie silna. Miał nadzieję, że sama sobie poradzi. Jakby w odpowiedzi na jego niezdecydowanie telefon umilkł. To trochę kłopotliwe, że Lyssa najwyraźniej bardzo go potrzebuje, gdy tymczasem Neve najwyraźniej nie.

Jake nalał sobie szklankę wody i usiadł przy barze - czując lekki chłód, bo miał na sobie tylko ręcznik - i żałośnie wpatrzył się w przestrzeń. Ponieważ nie został oprowadzony po mieszkaniu, nie miał pojęcia, gdzie mogą się znajdować włączniki centralnego ogrzewania - wyglądało na to, że nie ma tu nawet grzejników - a była to ogromna, zimna przestrzeń do ogrzania. Żałował, że nie ma tu Neve, nie tylko dlatego, że podkręciłaby termostat, ale też dlatego, że tak naprawdę nie chciał być zostawiony sam sobie. Najwyraźniej nie rozumiała, że dla niego to dość poważna zmiana. Kłopot z niezależnymi, przebojowymi kobietami polega na tym, że mają tendencję do zachowań niezależnych i przebojowych, uznał.

Rozdział dziewiąty

Nie wiem, kiedy warunki atmosferyczne w wielkiej Brytanii się zmieniły, ale jestem pewna, że nigdy wcześniej nie miewaliśmy takich okropnych porywistych wiatrów jak teraz. Potwornie wieje, niebo jest czarne i groźne - szkoda, bo nie mogę jeszcze włączyć prądu na dole, a konieczność robienia wszystkiego w zapadającym zmierzchu jest bardziej niż przygnębiająca.

Na dworze, w naszym maleńkim ogródku, wiatr rozrzuca gliniane doniczki. Nad płotem przelatują liście i plastikowe torby. Wchodzę na górę i włączam przenośny telewizorek w sypialni -przynajmniej tu jest prąd. Nastawiam wiadomości BBC i głębiej pograżam się w depresji. Wielką Brytanię chłoszczą sztormy, nie jeżdżą pociągi, zamknięto wszystkie lotniska. Zapowiadają wiatry wiejące z prędkością pięćdziesięciu mil na godzinę. Nie należy wychodzić z domu, jeśli nie ma się do załatwienia czegoś naprawdę ważnego. Doskonale. Być może ten dzień okaże się najdłuższym dniem mojego życia.

Przerzucam kanały, mając nadzieję znaleźć coś weselszego, ale nic nie ma. Nie jestem fanką telewizji, a w sobotnie poranki najwyraźniej program przeznaczony jest dla widzów do lat dwunastu. Wylałam już całą wodę w kuchni i chociaż wszystko pachnie wilgocią, jestem pewna, że za dzień czy dwa będzie w porządku. Na suficie pojawiają się bąble i pewnie trzeba go będzie pomalować. Zastanawiam się, co powie Jake, gdy wróci do domu, ale po chwili przychodzi mi do głowy, że może nigdy nie wróci. Nigdy. Zastanawiam się, co będzie z domem. Zastanawiam się, co będzie ze mną.

Nie mogę tak dłużej leżeć, czuję, że przestaję funkcjonować.

Psychicznie i fizycznie. Wyłączam telewizor i trwam w czymś w rodzaju duchowego zawieszenia. Dziwne, ale nie umiem sobie znaleźć żadnego zajęcia. Minał dokładnie jeden dzień, odkąd Jake oznajmił, że odchodzi, a ja już nie mogę znieść samotności. Do tej pory cieszyłam się perspektywą dnia dla siebie, bez Jake'a kręcącego się po domu.

Wypełniłabym ten czas zakupami i damskimi sprawami. Teraz, kiedy mam przed sobą perspektywę niezliczonych samotnych dni, nie wiem, czym je wypełnić. Na pewno sprawę pogarsza fakt, że dzisiaj jestem uwięziona, nie mogę wyjść i nie mam światła. Jest tak źle, że rozważam nawet wzięcie się do jakiejś pracy, ale odsuwam ten pomysł jako pierwszą oznakę szaleństwa. Jedyne, na co mam ochotę, to

jedzenie. Wiatr wyje, a dom wydaje

złowieszcze diabelskie odgłosy. Ze strychu dochodzi głucho dudnienie, chociaż nie mogę sobie wyobrazić, co tam dudni, a klapka skrzynki na listy uderza o drzwi. Mogę zrobić tylko jedno.

Stanie na krześle i wymachiwanie suszarką przed dziurą w suficie nie należy do moich ulubionych sposobów spędzania czasu, ale jak trzeba, to trzeba. Czuję się bardzo niepewnie i już mnie bolą ramiona, postanawiam więc popracować nad bicepsami, kiedy następnym razem zdecyduję się zaszczyścić swoją obecnością siłownię. Zapaliłam na dole kilka świeczek, ale chociaż ich światło jest wspaniałe, jeśli chodzi o stworzenie nastroju, niespecjalnie sprawdza się jako oświetlenie. Tak bardzo przywykliśmy do wygod współczesnego życia. Należę do tych

osób, które gdy trzeba znaleźć świecę podczas tak rzadkich wyłączeń prądu, natychmiast sięgają do włącznika światła.

Na dworze rozlega się straszliwy trzask i w ogrodzie na tyłach pergola pada na klomb jak pijak. Będzie musiała tam zostać. Nie znam dobrze żadnego z sąsiadów, więc nie mogę pójść i poprosić o pomoc w jej podniesieniu. Zresztą wygląda na to, że zaraz znów by się przewróciła. Przyglądam się, jak ostatnie suche, złote, jesienne liście spadają z drzew i poryw wiatru ciska je do ogrodu. Mam dość tej suszarki, zaraz odpadną mi ręce. Kable na pewno są już suche, prawda? Schodzę z krzesła i czuję, że zbiera mi się na płacz. Chcę, żeby był tu Jake. Potrzebuję go. Pośmialibyśmy się z tego wszystkiego.

Zaszylibyśmy się w bezpiecznym miejscu i przytulali. Może w ogóle nie wyszlibyśmy z łóżka. Mogłabym go zabić za to, że porzucił mnie w najzimniejszy, najbardziej wietrzny dzień w roku.

Krzywiąc się, zapalam światło i po krótkim mrugnięciu rozlega się głośny trzask i wszystkie światła gasną. Mogłabym po prostu położyć się na mokrej kuchennej podłodze i umrzeć. Naprawdę. Ten dzień nie może być już gorszy. Oczywiście, że może. Dzięki Panu Błyskowi, najżałośniejszemu elektrykowi świata, wiem, gdzie jest skrzynka z bezpiecznikami, ale nie wiem, czy mamy jakieś zapasowe ani gdzie je trzymamy. Kiedy tak rozmyślałam nad tym nowym elementem równania, rozlega się głośny zgrzytliwy dźwięk, którego nie potrafię rozpoznać. Stoję jak skamieniała, trzymając suszarkę Vidal Sasoon jak Magnum .45. Hałas jest taki,

jakby dach odrywał się i odlatywał. Potem słyszę trzask i głośne łupnięcie za drzwiami. Pędzę do okna i wyglądam. Kolekcja dachówek zmieniła miejsce pobytu i leży rozrzucona jak konfetti na skrawku zieleni, który prześmiewczo nazywamy ogrodem od frontu. Co gorsza, jedna z dachówek zaklinowała się ostrym końcem pośrodku maski mojego uroczego i dotychczas bez skazy forda fiesty, który niczym sobie na tę hańbę nie zasłużył.

To ostatnia kropla. To więcej, niż mogę znieść. Potrzebuję herbaty, współczucia i dużego kawałka czekoladowego ciasta, a żadnej z tych rzeczy nie dostanę, trzęsąc się w domu, samotna w ciemności. Jest tylko jedno miejsce, w którym mogę się schronić. Jedno miejsce, gdzie zostanę powitana z otwartymi ramionami. Przyjaciele mogą cię zawieść. Faceci mogą cię opuścić, ale siostra jest siostrą do końca życia.

Rozdział dziesiąty

Cóż mogę powiedzieć o mojej jedynej młodszej siostrze Edie? Podobieństwa: mamy tę samą matkę. Czasami nas to cieszy. Także ten sam kolor włosów: blond. Obie strzyżemy się na klasycznego pazia. Ja co cztery tygodnie odwiedzam znakomitą fryzjerkę i płacę osiemdziesiąt cztery funty, Edie chodzi do fryzjerki na końcu ulicy raz w roku, jeśli znajdzie na to czas, i pozwala, by kobieta, Marjorie, której włosom kolor nadaje niebieska płukanka, obrzępoliła ją za pięć funtów elektrycznymi nożycami do przycinania żywoplotów. Ja spędzam całe godziny, susząc i prostując włosy - oczywiście kiedy nie suszę

urządzeń domowych. Co do Edie, nie jestem nawet pewna, czy ma suszarkę.

Lubię się uważać za osobę wyjątkowo zadbaną. Maluję paznokcie u nóg, odkąd skończyłam piętnaście lat. Codziennie robię sobie makijaż, nawet w niedzielę, nawet, jeżeli wychodzę tylko, żeby umyć samochód. Edie zrezygnowała z kosmetyków lata temu. Moja siostra malowała się ostatnio, kiedy podkraśla mi błyszczak numer siedemnaście z okazji szkolnej dyskoteki. Nie, nieprawda. Była umalowana na swoim ślubie, ale tylko dlatego, że ją zmusiłam, mówiąc, iż w przeciwnym razie nie zostanę jej druhną. Nie sądzę, by kiedykolwiek miała do czynienia z czymś tak eleganckim jak lakier do paznokci.

W przypadku Edie najgorsze jest to, że wygląda wspaniale, w ogóle się o to nie starając. I bardzo dobrze, bo nawet nie próbuje się starać. Istnieją jednak ważne powody, dla których w wieku dwudziestu dziewięciu lat Edie nie ma czasu na cielesne przyjemności. Sześć powodów. Tak, w czasach spadającego wskaźnika urodzeń i rosnącej niepłodności, moja siostra i jej mąż zdołali jakoś przeciwstawić się trendowi i spłodzić szóstkę dzieci. W rodzinie nazywamy Eddith Króliczkiem.

Parkuję moją zmaltretowaną fiestę przed jej domem i ściskając torbę podróżną, walczę z coraz silniejszymi podmuchami wiatru, by dotrzeć do frontowych drzwi. Edie mieszka dokładnie po drugiej stronie miasta, w domu, który jest o wiele za mały dla ośmiu osób. Mimo to i

tak znajdują dla mnie miejsce - nawet gdybym musiała spać na stole w jadalni. Nie zadzwoniłam, żeby uprzedzić ją o przyjeździe, ale to bez znaczenia, bo Edie nigdy nie wychodzi. Kiedy naciskam dzwonek, słyszę krzyki. Edie otwiera. Jak zwykle bez makijażu i potargana.

Wzdycha ciężko i całuje mnie w policzek.

- Witaj w domu wariatów.

Wchodzę za nią do środka i widzę zapłakaną siostrzenicę, Kelly, czternastolatkę. Kelly najwyraźniej ma jedno z tych urządzeń, które skręcają włosy w ciasne pęczki, bo właśnie taką ma fryzurę. Jest bardzo czerwona na twarzy.

- Nienawidzę cię! - wrzeszczy do Edie, po czym zwraca się do mnie i mówi spokojnie:

- Cześć, ciociu.

- Cześć.

- Nienawidzę was wszystkich! Nienawidzę życia w tym domu!

- ciągnie. - Wyprowadzę się, kiedy tylko będę mogła!

- Świetnie - stwierdza Edie. - Wygląda na to, że ciocia Lyssa chętnie skorzysta z twojej sypialni. - Rzuca okiem na moją torbę.

Kelly z łomotem wchodzi na górę. Idę za Edie do kuchni.

- Gdzie reszta?

- Archie śpi, a pozostałych udało nam się wcisnąć na popołudnie bardziej łatwowiernym rodzicom. Niedługo wrócą. Rzuca okiem na górę ziemniaków w garnku na kuchence i stertę kawałków kurczaka zamarynowanych w sosie o dziwnym kolorze. Na każdy posiłek Edie

musi przygotować tyle jedzenia, by nakarmić batalion. Jej kuchnia jest prowadzona równie skutecznie, jak wojskowe manewry. Moja siostra nie miałaby pojęcia, jak gotować dla dwóch osób. W tym domu nie ma filetów z łososia ani szparagów. Jedzenie to paliwo i każdy posiłek jest pomyślany tak, by napęlić jedzącego aż po dziurki w nosie najszybciej i najbardziej ekonomicznie, jak to możliwe.

- Wykorzystajmy ten rzadki moment spokoju, dobrze? Herbata czy wino? - pyta.

- Wino.

Opadam na krzesło.

- Buntuje się - informuje mnie Edie, podchodząc do gargantuicznej, amerykańskich rozmiarów lodówki, niemal w całości pokrytej żółtymi karteczkami samoprzylepnymi, na których na-bazgrano listy zakupów, terminy wizyt u dentysty i lekcji tańca oraz inne przypomnienia mające przeprowadzić ją przez życie.

- Powiedziałam jej, że nie może wytatuować sobie lamparta na biuście. - Moja siostra grzebie w czeluściach lodówki. - Jeszcze do niej nie dotarło, że gdyby naprawdę się zbuntowała, w ogóle by mnie o to nie pytała.

- O Boże.

- Podziękuj mi, kiedy będzie miała sześćdziesiąt lat i cycki do kolan.

Edie wyjmuje z lodówki butelkę i znajduje jakieś kubki do kompletu.

- I, jak przypuszczam, wspomniałaś jej o tym?

- Oczywiście. Jestem matką.

Kuchnię mojej siostry można opisać tylko jako będącą „w trakcie remontu”. Podobnie resztę domu. Nie sądzę, żeby choć jeden pokój był do końca wytapetowany. Zawsze gdzieś leży góra drewnianych elementów, z których coś ma być zbudowane. Czytałam gdzieś, że dzieci podczas pierwszych pięciu lat życia powodują w domu zniszczenia wartości tysiąca pięciuset funtów. Jeśli pomnoży się to przez sześć, nic dziwnego, że Edie stale żyje na placu budowy. W dodatku jej mąż zdradza niezdrowe upodobanie do majsterkowania. Moim zdaniem po prostu lubi walić w coś młotkiem. Moją siostrę guzik to wszystko obchodzi. Potrafi radośnie leżeć na sofie, jedząc czekoladki i oglądając telewizję, niewzruszona faktem, że od dwóch lat wszystkie gzymsy są pokryte wyłącznie niemarkowym podkładem.

- Tanie gówno - stwierdza Edie, stawiając przede mną kubek z czymś białym. - Przepraszam, ale przynajmniej jest zimne.

- Gdybyś nie miała nic innego, pewnie wypiłabym wybielacz.

- Tak źle? Kiwam głową.

- Jake odszedł - stwierdza beznamiętnie. Jestem wstrząśnięta.

- Skąd wiesz?

- A z jakiego innego powodu zjawiałabyś się tu w sobotnie popołudnie, wyglądając, jakby świat ci się zawalił, z wypakowaną torbą podróżną?

Wypijam łyk wina. Ma rację. Tak wino, jak i moje życie są do niczego. Jediną zaletą tej siary jest jej arktyczna temperatura, a mnie zdecydowanie przyda się nieco przemrozić emocje. Wstrząsa mną dreszcz, gdy winny kwas poraża moje kubki

smakowe i dociera do żołądka, ale wtedy zdają sobie sprawę, że w tej chwili wszystko jest dla mnie zaprawione goryczą.

- Odszedł wczoraj. Jeden dzień w samotności i już sobie nie radzę.

- Ma kogoś?

- Nie. - Krzywię się. - Potrzebuje przestrzeni. Miał dość programu in vitro. Miał dość mnie.

- Naprawdę wierzysz, że nie poznał jakiejś kobitki?

- Tak.

- Mężczyźni zwykle nie rezygnują z wygodnych związków, o ile nie znajdą kogoś, kto nosi absurdalnie krótką spódnicę i pończochy.

- Daj spokój, Edie, Jake nie ma na to czasu. Każdą minutę spędza w biurze. A kiedy nie jest w biurze, odbija jakąś piłkę albo napełnia pojemniki w klinice leczenia bezpłodności. Jake nie ma czasu dla innej kobiety. - Piję wino szybko, żeby lepiej smakowało. Edie uprzejmie mi dolewa.

- To tylko na parę dni. Musi pomyśleć. Powiedział, że wróci. Może jutro.

Edie prycha z niedowierzaniem i muszę przyznać, że ja też nie do końca wierzę w to, co mówię.

- Nie wygadaj się mamie - błagam.

- Za kogo ty mnie masz? Za wariatkę? - obrusza się Edie.

Edie i ja spędzamy mnóstwo czasu, nie mówiąc mamie różnych rzeczy. Miała bardzo ciężkie życie i staramy się oszczędzić jej przykrości. Głównie dlatego, że jak nikt inny potrafi wygłaszać tyrady.

Mój ojciec, kiedy jeszcze kręcił się w pobliżu, był seryjnym bałamutem - to określenie mamy, nie moje. Przez czas trwania ich małżeństwa zaliczył szereg sąsiadek, aż wreszcie znalazł jedną na tyle młodą i uległą, że zgodziła się z nim uciec. Moja mama, Cecilia, nigdy nie doszła po tym do siebie. Musiała wychowywać nas sama.

Najczęściej łądowała w łóżku z atakiem waporów albo migreną i zostawiła mnie, znużoną życiem dziewięciolatkę, bym zajmowała się Edie, piękną zagubioną czterolatką z upodobaniem do włożenia na drzewa i spadania z nich. Podczas ćwierćwiecza, które minęło od tamtego czasu, mama stała się jeszcze bardziej zgorzkniała i pokręcona. Mamy setki tematów tabu: dzieci, pieniądze, pracownicy, rozwodnicy, nowożeńcy i każdy, kto w zbyt oczywisty sposób okazuje radość. Mama nie znosi Posh i Beckhama tylko dlatego, że są niesamowicie bogaci i wyglądają, jakby się nawzajem ubóstwiali. Mimo że rodzice bez najmniejszego trudu się nami podzielili, nawet teraz obie z Edie cierpimy, kiedy na święta pokazują w telewizji *Kramer kontra Kramer*. Wystarczy najmniejszy drobiazg, żeby nakręcić mamę, a Jake, wyrażający swoje niezadowolenie, wyprowadzając się na kilka dni, podziałałby na nią jak kable do ładowania podłączone do od dawna wyczerpanego akumulatora.

Do tej pory zasadniczo nie dawałam mamie powodów do zmartwień. Byłam idealną córką. No, nie licząc mojej niezdolności do wyprodukowania dla niej wnuków. Z drugiej strony, biorąc pod uwagę

potomstwo mojej siostry, ma ich aż za dużo. Tylko dlatego, że wszystkie dzieci mojej siostry są niewiarygodnie rozkoszne -z wyjątkiem, być może, ataku nastoletniej hysterii od czasu do czasu - mama wybaczyła Edie, że nie jest idealną córką.

Wszystkie badania dotyczące rodziny z upodobaniem podkreślają, że dzieci wychowane przez samotnych rodziców zaczną za wcześnie uprawiać seks, wchodzą w niewłaściwe relacje, mają mniejsze osiągnięcia w szkole i zostaną młodocianymi przestępcami. W czasach naszego dzieciństwa nie istniały jeszcze setki oskarżycielskich statystyk, ale niestety siostra i ja nie okazałyśmy się wyjątkami i Edie wpisała się w schemat, zachodząc w ciążę w wieku lat piętnastu oraz rezygnując ze szkoły przed końcowymi egzaminami. Kradła też słodycze w sklepie na rogu, ale do dzisiaj udało nam się utrzymać to przed mamą w tajemnicy. Ciąża Edie była jednak trudniejsza do ukrycia.

Nie zrozumcie mnie źle, Edie nie chodziła do łóżka ze wszystkimi, po prostu stworzyła „właściwą relację”. Edie jest z tym samym facetem, odkąd skończyła czternaście lat, i z tego, co wiem, jest jedynym mężczyzną, z którym spała.

Jak na zawołanie, uroczy Lee wchodzi do kuchni. Zawsze jest w trakcie jakiegoś przedsięwzięcia i w związku z tym jego ubranie jest poplamione farbą.

Całuje mnie w policzek.

- Cześć, siostro.

Lee

jest

najcudowniejszym,

najbardziej

odpowiedzialnym

mężczyzną na świecie i tylko wkurza mnie fakt, że moja siostra dorwała go pierwsza.

- Jake ją zostawił.

- O rany. - Lee przesuwa mnie biodrem i siada obok.

- Ma dość - wyjaśniam. - Oboje mamy. Ostatnie in vitro się nie powiodło.

Nachyla się i pocieszająco trąca mnie łokciem.

- Na litość boską, Lee - jęczy moja siostra - nie możesz po prostu zabrać jej na górę i zapłodnić?

- Nie ma sprawy. - Lee wzrusza ramionami. - To nie potrwa długo.

- Ma rację - mówi Edie. - Pięć minut i po wszystkim. Lee uśmiecha się szeroko.

- Muszę się spieszyć, zanim zaśniesz - odpięra zarzut, który wywołuje ściągnięcie brwi oznaczające, że może być w tym odrobina prawdy.

Mój szwagier wierci się, próbując zmieścić swój tyłek obok mojego, i obdarza mnie przyjacielskim uśmiechem.

- Jestem za, jeżeli ci to odpowiada.

- Bardzo kuszące.

Miewałam już gorsze oferty i z pewnością wypadłoby to znacznie

taniej niż in vitro.

- W niektórych religiach można, zdaje się, poślubić siostrę żony? -

dodaje Lee.

Opieram się o niego.

- Nie wiem, ale może pomogłoby mi to rozwiązać pewne problemy.

- Pójdę umyć pędzle - oznajmia. - Potem będę gotowy. - Odpycha się od stołu i ściska moje ramię. - Kocham cię.

- Tak. - Czuję ucisk w gardle. - Ja też cię kocham.

Lee całuje Edie w nos i spokojnym krokiem oddala się w stronę ogrodowej szopy, w której, jak większość mężczyzn, ma azyl.

Wzdycham.

^ Macie szczęście, że po tylu latach wciąż jesteście w sobie zakochani.

- Nie jesteśmy zakochani - niecierpliwie prostuje Edie. - Jesteśmy po prostu zbyt wyczerpani, żeby od siebie odejść.

Kelly z ponurą miną marszowym krokiem wchodzi do kuchni i szarpnięciem otwiera megalodówkę wypełnioną serem, jogurtami, owocami i wszelkiego typu smakołykami oraz kuszącymi przekąskami.

- W tym domu nigdy nie ma nic do jedzenia - stwierdza, zatrzaskując drzwi.

- Daj mi jedno ze swoich dzieci - proponuję. - Tobie wychodzą uszami. Założę się, że nawet nie zauważyłabyś, że jednego brakuje.

- Z przyjemnością. Możesz wziąć tę - mówi obojętnie Edie i odwraca

się do Kelly. - Masz coś przeciwko temu, żeby ciocia Lyssa cię adoptowała?

- Byłoby lepiej niż mieszkać tutaj - rzuca zjadliwie moja siostrzenica i znika.

- Mówiłam - prycha Edie.

- Nie chcę dużego i marudnego. Chcę małe, słodkie, miłe, do przytulania i różowe.

- Na początku wszystkie są słodkie i różowe, a potem robią się duże i marudne.

- Postaraj się o jeszcze jedno dziecko - błagam - i oddaj mnie. Mam wrażenie, że przemawia przeze mnie wino.

- Nie. Masz bardzo nierealistyczną wizję życia matki - informuje mnie siostra. - Czarne kaszmiry i dzieciak, któremu się ulewa, nie idą w parze. Nienawidziłabyś tego.

- Pewnie myślisz, że jestem bardzo płytką.

- Raczej bardzo idealistyczna. I z lekką obsesją na punkcie idei posiadania dziecka. Rzeczywistość jest w tym przypadku bardzo lepka i kosztowna.

Edie widzi, że mnie nie przekonała.

- Jeżeli naprawdę uważasz, że chcesz mieć dzieci, weź je wszystkie na dwadzieścia cztery godziny. I męża. Wyświadczysz mi wielką przysługę. Przyprorowadzisz ich potem, błagając o litość, i popędzisz prosto na podwiązanie jajowodów.

- Wcale nie!

- W porównaniu z moim masz fantastyczne życie. Dlaczego miałabyś je sobie rujnować?

- Nie narażałabym się na całą tę emocjonalną traumę, gdybym nie myślała o tym naprawdę poważnie. - Słyszę oburzenie we własnym głosie.

- Masz idealne życie i figurę - upiera się Edie. - Masz wspaniałe wakacje. W liczbie mnogiej. Chodzisz do kina, teatru, wychodzisz na kolacje. Wiesz, na czym polegają koktajle. I jesteś szykowna i wspaniała. Każdy włoszek masz na swoim miejscu. - Edie pociąga za kosmyk swoich krnąbrnych włosów. - A jednak chcesz być mną.

Wychudzoną i znękaną. - Sprawia wrażenie stosownie zdumionej. - To bardzo przereklamowane, Lysso. Wychowywanie dzieci jest rozdzierająco nudne. Możesz mi wierzyć.

- Tak, ale nadal to robisz. Straszna z ciebie szczęściara, masz szóstkę, a ja nie mogę mieć nawet skromnego jedynaka. Matko jedyna, musicie się chyba zachowywać jak króliki. Nie możecie oglądać więcej telewizji?

- Nie ma czego oglądać - stwierdza Edie. - I nie mam pieniędzy, żeby dokądś wyjść. A trzeba coś robić w długie zimowe wieczory.

- Więc to BBC ponosi odpowiedzialność za twój wkład w eksplozję demograficzną w tej części miasta?

- Tak. - Edie jest nieugięta. - I za fakt, że mam pochwę o rozmiarze i wrażliwości ocynkowanego wiadra.

Obie wybuchamy śmiechem.

- Sto funtów za abonament telewizyjny okazało się być chybioną inwestycją. - Edie ruchem ręki wskazuje kuchnię. - Naprawdę tego byś chciała?

- Nie. - Wino sprawia, że zaczynam chichotać i czuję, jak supły napięcia na moim karku się rozluźniają. - Chcę mieć tylko jedno dziecko. Albo może dwoje. Najwyżej. Parka byłaby miła.

Niepotrzebna mi cała banda. Jesteś wybrykiem natury, Edie. W dzisiejszych czasach nikt nie ma sześciorga dzieci, chyba że to ciąża mnoga po in vitro.

- W każdym razie z tym już koniec - zapewnia mnie. - Uporządkowaliśmy kwestię antykoncepcji.

Uwierzę, gdy zobaczę. Nie jestem pewna, czy moja siostra jest bardzo głupia, czy ma pecha. Pewnie raz jedno, raz drugie. Uprawiała seks bez zabezpieczenia jako czternastolatka, prosząc się o kłopoty, więc się odczekała. Wielkich kłopotów, kiedy dowiedziała się o tym nasza mama. Jakby tego było mało, kolejna antykoncepcyjna katastrofa przydarzyła jej się w wieku lat osiemnastu. Można powiedzieć, że spieprzyli sprawę. Edie nie wiedziała, że tabletki nie działały, gdy ma się kłopoty żołądkowe. Wspomniane kłopoty zaowocowały Anną, która ma teraz jedenaście lat. Pęknięta prezerwatywa koło dwudziestki - podczas miesiąca miodowego - skończyła się Markiem, lat dziewięć. Uznając, że trójka to dość, by w najbliższej przyszłości zapewnić im niedostatek, wybulili na wazektomię, która spektakularnie zawiodła, i tak pojawił się Liam. Nadmiar alkoholu na imprezie z okazji

dwudziestych piątych urodzin Edie objawił się w postaci Daisy, obecnie czterolatki, ale było to wspaniałe przyjęcie. Moja siostra postanowiła w końcu wziąć byka za rogi i umówiła się na sterylizację, żeby zakończyć tym samym swój okres płodności, ale dzień przed terminem operacji dowiedziała się, że jest w ciąży z Archiem, obecnie osiemnastomiesięcznym uśmiechniętym pieszczołkiem.

Patrzę na siostrę z niedowierzaniem.

- Naprawdę - upiera się. - Biorę tabletki, mam diafragmę wielkości półmiska, a Lee zakłada dwie prezerwatywy.

Obie chichoczymy nad kubkami z winem.

- Założę się, że jeden z tych małych drani się przedostanie -mamrocze

Edie. - Za każdym razem, kiedy Lee kichnie, zachodzę w ciążę.

- Muszę kiedyś z tobą poważnie porozmawiać - stwierdzam.

- Nie sądzę, żeby tak się to odbywało.

Siostra bierze mnie za rękę i ściska.

- Poradzisz sobie - mówi. Łzy zaczynają wypełniać mi oczy.

- U niektórych dzieciaki wyskakują jak groszki ze strączka u innych.

.. Cóż, wymaga to trochę większego wysiłku.

- Wszystko się popsuło, odkąd Jake dowiedział się, że ma niemrawe plemniki. - Pociągam nosem.

Edie się śmieje.

- To nie jest zabawne.

- Wtedy nie było, ale teraz jest. Ten arogancki drań myślał pewnie, że należy mu się olimpijskie złoto za pływanie stylem zmiennym.

I mimo że jestem nieszczęśliwa, także się śmieję. Zastanawiam się, gdzie teraz jest Jake i mam nadzieję, że jest tak samo rozpaczliwie nieszczęśliwy jak ja.

Rozdział jedenasty

Rany! - Pip rozgląda się z podziwem. - Niezła chata. Zdjął kask motocyklowy i zamarł niezgrabnie, nie wiedząc, co z nim zrobić. W końcu wręczył go Jake'owi, który też nie był pewny, gdzie go położyć.

- Aha - potwierdził Jake. - I wszystko zafundował tatuś.

- Rany. Czy Neve ma siostrę?

- Nie. Jedyńca.

- Rozpuszczona - dodał Pip i obaj pokiwali głowami. - W każdym razie przynajmniej na tym korzystasz - stwierdził, pozbywając się reszty motocyklowego odzienia. Z jej pozycją w firmie nie mogłaby sobie na to pozwolić.

Wypowiedź sugerowała, że sam Jake jest w podobnej sytuacji.

- Choć wątpię, by urocza, przedsiębiorcza panna Chandler długo zajmowała obecne stanowisko.

Dziwnie słuchało mu się Pipa mówiącego w ten sposób o Neve.

Teraz, kiedy oficjalnie byli parą. W biurze nadal musieli się ukrywać, ale kilka wybranych osób zostało poinformowanych o sytuacji. Lyssa niestety do nich nie należała.

- Więc dokąd poszła Neve? - zapytał Pip.

- Nie wiem, stary - przyznał Jake, próbując nie mówić grobowym głosem. - Do jakiegoś klubu. Odjechała taksówką z bandą

chichoczących dziewczyn i powiedziała mi, żebym na nią nie czekał.

- Hm - mruknął Pip. - I nie było jej też przez cały dzień?

- Owszem. - Jake wzruszył ramionami. - Miała już plany. I niedługo wyrusza na trekking pod Everest, więc mnóstwo czasu spędza w siłowni.

- Mówiła o tym chłopakom w biurze parę tygodni temu. Jake poczuł się urażony i zastanawiał się, dlaczego jemu o tym nie wspomniała, skoro najwyraźniej o wyprawie wiedzą wszyscy.

- Mnie byś tam siłą nie zaciągnął. W bazie musi być pioruńsko zimno.

- Pip udął, że wstrząsa nim dreszcz. - Zresztą po co?

- Pewnie chodzi o wyzwanie. - Chociaż Jake nie widział w tym niczego atrakcyjnego, czuł się odsunięty na drugi plan, bo nie poprosiła, żeby z nią pojechał.

- Brzmi idiotycznie.

- Takie są dzisiejsze kobiety - stwierdził Jake tonem doświadczonego starca.

- Ale nie tak wyobrażałeś sobie romantyczny początek?

- Nie. Raczej nie.

- Ale przecież nie chciałeś, żeby ktoś się do ciebie kleił, chciałeś być niezależny.

- Nie narzekam - odrzekł Jake bez przekonania. W głębi duszy zastanawiał się poważnie, ile samotnych treningów trzeba odbyć przed taką wyprawą. - Po prostu trochę to potrwa, zanim się przyzwyczaję. Lyssa i ja byliśmy zawsze bardzo... domowi.

- I co takiego „domowego” robilibyście dziś wieczorem? Jake się zamyślił.

- Siedzielibyśmy z pizzą przed telewizorem.

- To zniosę. Możesz pobawić się w dom z wujkiem Pipem.

- Pip rozsiadł się na sofie. - Dla mnie hawajską z dodatkowym serem.

- Już zamówiona. - Jake usiadł obok niego. Uważał, że jest żaloszny, bo nie potrafi spędzić samotnie nawet jednego wieczoru.

- Dzięki, że wpadłeś, stary.

- Nie ma sprawy. Jesteś smutny i samotny, bo nowa dziewczyna wystawiła cię już w pierwszy wspólny weekend. Cieszę się, że mogę to dla ciebie zrobić. Poza tym, nie miałem nic do roboty.

- Rozumiem, że nie widzisz już seksownej Stéphanie w kabaretkach?

- Nie. O nie, rzuciła mnie, okrutna kobieta. Stwierdziła, że jej nie słucham. - Pip puścił oko. - Przynajmniej wydaje mi się, że to powiedziała.

- Nie myślałeś nigdy, żeby się ustatkować?

- Ja? Kto by mnie zechciał? Mam mnóstwo obrzydliwych nawyków i mnóstwo komórek w mózgu, które krzyczą „wolności!”.

- Ale żonaci mężczyźni to nowy symbol seksu - zauważył Jake. -

Wystarczy zajrzeć do tabloidów - David Beckham, Brad Pitt, Sting.

Wszyscy żonaci i przez to bardziej seksowni. Nawet w dzisiejszych czasach kobiety to kręci. Dom, dzieci...

- Jasne - mruknął Pip. - Spójrz tylko, dokąd to zaprowadziło Lysę.

Jake zaczął się nerwowo wiercić.

- Myślałem tylko, że to byłoby niezłe podejście do tej nowej kampanii reklamowej płynu po goleniu.

- Nie zajmuj sobie tym teraz swojej ślicznej główki. Masz pełne ręce roboty. - Pip nie mógł sobie znaleźć miejsca na twardej skórzanej kanapie. - Dziwnie się czuję, siedząc tutaj, a nie w twoim dawnym domu.

Jake miał podobne wrażenie. Wyszedł zrobić podstawowe zakupy, a potem cały dzień krążył bez celu, oglądając sport na Sky i ogólnie rzecz biorąc, walcząc z uczuciem, że tu nie pasuje. Mieszkanie Neve jest fantastyczne, prawdziwy dom jego marzeń, ale teraz, kiedy się tu znalazł, wszystko wydawało się strasznie nadęte i przekombinowane. Dawny dom był domowy i przytulny. Co prawda ostatnio zaczął się w nim dusić, ale przynajmniej mógł swobodnie usiąść na sofie na przykład po turecku. Może kiedy pomieszka tu trochę dłużej, zdomowi się i przestanie się czuć, jakby przypadkiem trafił na sesję zdjęciową *Mieszkalne poddasza*.

W akcie rozpaczki zadzwonił do Pipa i na szczęście, mimo ostrzeżeń przed trudnymi warunkami pogodowymi i wbrew radom, by nie ruszać się z domu, kumpel zgodził się wpaść. Pip mieszkał w Islington, dzieląc mieszkanie z fryzjerem Simonem. Jake zawsze uważał, że to trochę podejrzane. Pip zawsze był bardzo oryginalny, ale z pewnością nie jest gejem - zbyt dużo kobiet przewija się regularnie przez jego życie, żeby mieć wątpliwości co do jego orientacji. Simon jednak był

zdecydowanie przegięty. Apartament Neve znajdował się na drugim końcu miasta, ale Pip został ostatnio nawróconym motocyklistą i nie trzeba go było długo namawiać, żeby wskoczył na swoją yamahę.

- Myślisz, że uda ci się z Neve?

- Jasne. - Jake powiedział to z większą pewnością, niż faktycznie czuł.

- Jasne, jasne...

- Masa facetów czeka, żeby zająć twoje miejsce.

- Niech spróbują. Mam wrażenie, że Neve jest zadowolona ze stałego związku.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz, stary. Sporo poświęciłeś, żeby tu trafić, bo Lyssa to fantastyczna kobieta.

Była fantastyczną kobietą, pomyślał Jake. Zanim zaczęła umieszczać w każdym zdaniu słowo „dziecko”. Pip się rozejrzył.

- Co ja mówię? Powiodło ci się! Rzuciłeś Lyssę i wylądowałeś na cztery łapy. Jak kot, który żyje dziewięć razy. - Pokręcił głową. - Neve też jest niesamowita. Mózg jak brzytwa, atrakcyjna i nadziana. Nawet jeżeli cię wydyma, póki co będziesz się dobrze bawił.

- Nie wydyma. - Jake usłyszał napięcie w swoim głosie.

- Więc jaki jest haczyk?

- Nie ma żadnego haczyka.

- Stary. - Pip poklepał Jake'a po ramieniu. - Z kimś tak odlotowym jak Neve zawsze musi być haczyk.

Rozdział dwunasty

Budzą mnie lepkie, pachnące mlekiem paluszki, które na siłę

podnoszą mi powieki, i ciężar mojej czteroletniej siostrzenicy Daisy, siedzącej mi na piersi.

- Cześć, ciociu Lytho.

Daisy ma blond loki, chabrowe oczy i sepleni. Opryskuje mi twarz śliną przy wszystkich „s”.

- Nie śpisz? - Dźga moją gałkę oczną, więc gwałtownie odwracam głowę.

- Teraz już nie.

Wchodzi Edie, niosąc jakże mi potrzebny kubek kawy.

- Ciocia Lyssa zjada małe dzieci na śniadanie - oznajmia. Chwytam siostrzenicę i łaskoczę ją pod pachami, rycząc przy tym groźnie. Osiągam pożądany efekt i mała ucieka z histerycznym wrzaskiem.

- Naprawdę jest już tak późno? - pytam, zerkając na zegar

nie-wydłubanym okiem. Mała wskazówka nie dotarła jeszcze do dziewiątej, a w niedzielę bardzo rzadko widuję taką godzinę. Zwykle przeznaczamy ten dzień na odpoczynek. To przerwa w dojazdach do pracy i domowych obowiązkach. Dogadzamy sobie z Jakiem, urządzając długie, późne, leniwe śniadania w łóżku z gazetami, mimo że tusz rozmazuje się na białej kapie. Potem godzinami się kochamy...

- Mama jest na dole - uprzedza mnie Edie, krzywiąc się. Powyższe stwierdzenie od razu przerywa moją zadumę. Kulę się pod kołdrą.

- Nie mów jej, że tu jestem - błagam.

- Twój samochód stoi przed domem, tępaku. Zobaczyła go rano o jakiejś nieludzkiej porze, kiedy szła do kościoła.

Obie z siostrą wznosimy oczy do nieba.

Mama jest najmniej religijną osobą, jaką znam. Nie chodzi do kościoła dlatego, że wierzy w Boga, ale dlatego, że inni uważają ją za dobrą, świętobliwą kobietę, a ona lubi zachowywać pozory. Mama chodzi do kościoła na plotki, darmową herbatę i ciasteczka, a także dlatego, że to samo robią sąsiedzi i nie chce, żeby mieli coś przeciwko niej. Lubi też chodzić w kapeluszu i nieczęsto ma po temu okazję. W rzeczywistości uważa wikarego za molestującego dzieci pedała i liberała, ponieważ udziela ślubów rozwodnikom, co mama bardzo głośno powtarza przy każdej możliwej okazji.

- Wpadła, żeby sprawdzić, co tu robisz.

- Nie powiedziałaś jej? Siostra przygryza usta.

- Mogłam niechcący wspomnieć, że Jake cię rzucił.

- Dzięki. Super siostra z ciebie.

- Daj spokój. Musisz zejść. Nie wróci do domu, dopóki się z tobą nie zobaczy.

- Ciągle mam czerwone i zapuchnięte oczy? Edie energicznie kręci głową.

- Cóż... tak... Owszem.

- Nie wpuszczaj jej tutaj - proszę. - Pozwól mi przynajmniej trochę się umalować.

- W takim razie zacznij się zbierać, albo będę musiała kazać dzieciom

przywiązać ją do krzesła.

Edie wychodzi, a ja z ulgą upijam łyk kawy. Moja siostra parzy tak mocną kawę, że można w niej postawić łyżkę. Już od samego zapachu wirują mi gałki oczne. Czuję, jak pobudza moją krew do życia, przenikając do organizmu. Jestem taka obolała, jakby rozkładała mnie grypa. Najbardziej jednak boli mnie serce. W ogóle nie spałam, nie licząc tej godziny, po której siostrzeniczka uprzejmie mnie obudziła. Leżałam tylko, przewracając się z boku na bok, rozmyślając, jak mogłam tak wszystko spać. To dziwne uczucie, spać w jednoosobowym łóżku po tak długim czasie spania w dwuosobowym. Nie wiedziałam, co zrobić z nogami i przez całą noc przekładałam je z miejsca na miejsce, jakbym jechała na rowerze. Ciągłe narzekania Jake'a, że zajmuję całe łóżko, mogły jednak nie być bezpodstawne. I przychodzi mi na myśl, że wszystkie te pomniejsze żale mogły od pewnego czasu narastać. W pierwszym odruchu chcę do niego zadzwonić. Może też spędził okropną noc i potraktuje mnie bardziej życzliwie? A jeśli nie, mogłabym znów się rozplakać i nie zdołałabym stawić czoła mamie z obawy, że się rozkleję.

Z ciężkim westchnieniem zwlekam się z łóżka, żałując z całego serca, że w tym domu nie mam szans na rytualne niedzielne moczenie się w wannie. Tu nie ma szans nawet na pięć minut samotności w toalecie.

Moja siostra opanowała do perfekcji sztukę brania prysznicą w sześć sekund. Wskakuje i wyskakuje w takim tempie, że nie rozumiem, jak udaje jej się zamoczyć.

Dochodzę do wniosku, że nie mam energii na żadne ablucje z wyjątkiem szybkiego przejechania szczotką po zębach, i wybieram „francuski prysznic”, czyli psiknięcie należącymi do Daisy perfumami Kwiatowa Wróżka pod każdą pachę. Szybko wcieram w twarz trochę podkładu, wkładam wczorajsze wygniecione ciuchy i niechętnie schodzę na dół, by wysłuchać werdyktu mamy.

Babcia Cecilia siedzi na kuchennym krześle, a Daisy, niech ją Bóg błogosławi, klęczy na kuchennym stole, rozmieszczając w jej włosach różowe kolczaste wałki. Za plecami mamy Edie anielsko wznosi oczy do nieba. Mama przybrała tolerancyjny wyraz twarzy, a Daisy energicznie korzysta z grzebienia Glitter Girls.

Gdyby w telewizji nadawano program *Fryzjerki z piekła rodem* moja siostrzenica z pewnością by w nim wystąpiła. Więc w taki sposób Edie zdołała okiełznać mamę. Nie mogę powstrzymać uśmiechu.

- Moim zdaniem raczej nie masz powodów do śmiechu - stwierdza ukochana mama, co od razu ściera uśmiech z mojej twarzy. - Jake ma kogoś innego. Oni zawsze mają.

Ponieważ mówi to na podstawie całych lat gorzkich doświadczeń z moim ojcem, powstrzymuję gwałtowną potrzebę powiedzenia jej, że nie wszystkich mężczyzn należy oskarżać o te same grzechy.

- Nigdy go nie lubiłam - ciągnie mama. - Ma za blisko osadzone oczy.

Nie, żebym go broniła, ale gwoli ścisłości, oczy Jake'a są rozstawione idealnie.

- Potrzebuje paru dni, żeby wszystko przemyśleć.

- Mężczyźni nie myślą. Są genetycznie niezdolni do logicznego rozumowania.

Czy można się dziwić, że nie wyszła po raz drugi za mąż? Mama jest wysoka, a jednak udało jej się urodzić dwie nieduże córki. Upiera się, że musimy stanowić genetyczne atawizmy, a wszystkie nasze najgorsze cechy pochodzą ze strony ojca. Mama jest szczupła i wciąż przystojna. Dziś ma na sobie jasnozieloną, dopasowaną, kaszmirową sukienkę pod kolor oczu i mogę się założyć, że musiała w kościele przykuć uwagę paru osób. I nie tylko dlatego, że przez całe nabożeństwo mamrotała pod nosem. Powodem, dla którego postanowiła nie wstępować nigdy więcej w związek małżeński jest głęboka podejrzliwość, którą żywi do wszystkiego, co jest rodzaju męskiego. To właściwie nienawiść.

- Chodź tu do mamusi - mówi do mnie, jakbym była młodsza od Daisy. Bierze mnie za rękę i poklepuje.

Szczerze mówiąc, nie potrafię wymyślić niczego gorszego.

- Nic mi nie jest - upieram się, mimo że jestem wyjątkowo rozdrażniona. - Po prostu nie chciałam wczoraj siedzieć sama w pustym domu.

Nie dodaję, że dom ów został także zalany i nie ma w nim prądu, bo musiałabym znieść dalsze przesłuchanie.

- Będziesz się musiała do tego przyzwyczaić. - Kręci głową. - Ja przywykłam. Samotne życie to żadna przyjemność, możesz mi wierzyć.

Gdybym mieszkała z mamą, byłoby jeszcze gorzej. Wyprowadziłam się z domu dziesięć lat temu. Gdybym kiedykolwiek postanowiła wprowadzić się z powrotem, pozabijałybyśmy się w ciągu kilku dni i nie zaryzykowałabym nawet pięciu funtów, żeby obstawić, kto zada pierwszy cios.

Mama przygląda mi się krytycznie.

- Jesteś chuda.

- Jake odszedł wczoraj wieczorem, mamó. Nie ma to znaczącego wpływu na moją wagę.

- Będzie miało - stwierdza głosem proroka zagłady.

- Skończyłam, babciu - oznajmia Daisy. - Teraz musisz usiąść pod suszarką. - To wiele mówi o standardzie fryzjerskich przybytków, które moja siostra odwiedza z córką.

- Dziękuję, kochanie - mówi babcia. Całe szczęście, że w pobliżu nie ma żadnego lustra.

- Pani pozwoli za mną - mówi Daisy swoim najgrzeczniejszym tonem. Mam nadzieję, że „siedzenie pod suszarką” oznacza włożenie babcinej głowy do piekarnika. Najlepiej na dłuższy czas. Ale nie, Daisy po prostu sadza moją mamę na innym krześle i wydaje przypominający suszarkę dźwięk, który wiąże się z obfitym spryskiwaniem śliną. Mama znosi to w milczeniu, a nie jest to jej normalny *modus operandi*.

- Zostań na lunch, mamó - proponuje moja nienormalna siostra.

Obdarzam ją najbardziej demonicznym z repertuaru moich spojrzeń.

Edie wzrusza ramionami, jakby chciała powiedzieć: „A co innego mam zrobić?”.

- Nie mogę, kochanie. - Obie oddychamy z ulgą. Nasza nieznośna rodzicielka potrząsa wałkami. - Idę zobaczyć się z Mildred. Ma kłopoty z Olivierem. Zaczyna popuszczać.

Nie, nie mówimy o jakimś starym śliniącym się psie. Chodzi o biednego męża jakiejś kobiety. Nie umiem sobie wyobrazić, w jaki sposób może tu pomóc zaproszenie mojej matki na lunch.

- Lepiej zacznij rozczesywać mi włosy - mówi do Daisy.

- Ale nie jesteś jeszcze wysuszona, babciu - jęczy moja siostrzenica.

- Muszę iść, kochanie.

- Nie chcę, żebyś szła. - Daisy wybucha płaczem.

Mama ma oddanych fanów. Daisy jest niepocieszona i wymaga utulenia na kolanach Edie, co obarcza mnie koniecznością odwinięcia różowych wałków. Daisy zawinęła każdy włos w inną stronę i mama syczy z bólu. Moja ofiara - przepraszam, klientka - ocha i ach, gdy robię, co mogę, by przedrzeć się przez ten kołtun.

- Chcę, żebyś była szczęśliwa - rzuca przez zaciśnięte zęby. Ponieważ wymagałoby to odzyskania Jake'a i posiadania dziecka, nie jestem pewna, czy będzie to możliwe.

- To chwilowe - zapewniam ją, ciągnąc trochę mocniej. - Poradzimy sobie.

- Nie byłabym tego taka pewna. - Mama gwałtownie nabiera powietrza, oczy ma pełne łez.

Szczerze jej nienawidzę, gdy wiem, że ma rację.

Rozdział trzynasty

Nie poprawia jej się z wiekiem, co? - mówi moja siostra.

- Dopiero teraz to zauważyłaś?

Gdy mama wyszła, by wtrącać się w małżeńskie i urologiczne problemy przyjaciółki, Edie przygotowała wspaniały lunch z pieczonym kurczakiem i taką ilością marchewek, że uszczęśliwiłaby rodzinę królików na rok. Siedzimy w salonie, pozwalając, by powoli przybywało nam cali w taliach.

Po wczorajszych huraganowych wiatrach pada szary bezlitosny deszcz, co oznacza, że dzieci nie mogą wyjść na dwór - nie żeby w dzisiejszych czasach dzieci specjalnie często to robiły. Chcą tylko oglądać telewizję i bawić się na komputerze w zabijanie ludzi. Edie podejmuje symboliczny wysiłek, starając się ograniczyć liczbę osób, którą mogą zarznąć jej chłopcy, więc na mojej szyi wisi dwóch kłócących się siostrzeńców, a na kolanach mam śpiące niemowlę.

Daisy na podłodze używa zabawkowego żelazka do prasowania ubranek swojej lalki i nie mogę pojąć, że siostra nie wykorzystwała tego talentu, by nauczyć małą korzystania z prawdziwego żelazka i prawdziwych ciuchów. Daisy słucha Boba Budowniczego z kompaktu, a Anna, leżąc na dywanie, ogląda w telewizji *Hollyoakes*. Poziom głośności sugeruje, że chyba źle słyszy.

Mam wrażenie, jakbyśmy próbowały rozmawiać z Edie podczas meczu piłki nożnej pierwszej ligi. I wiem oczywiście, że nie należy

prowadzić rozmów o sprawach dorosłych w obecności dzieci, ale ta

banda nigdy nie słucha niczego, co mówimy. Naprawdę.

- Przerazające jest to - ciągnie moja siostra - że z każdym rokiem

robimy się coraz bardziej do niej podobne.

- Mów za siebie.

- Wspomnisz moje słowa, ale pewnego dnia będziesz gotowa do

wyjścia, przekonana, że wyglądasz super, a z lustra spojrzysz na siebie

Cecilia. - Edie kręci winem w kieliszku. - Skrócona wersja Cecylii.

- Myślisz, że przyszłość nie szykuje dla mnie żadnych innych

niespodzianek?

Gdybym nie wpadła w depresję już wcześniej, wpadłabym teraz.

- A potem złapiesz się na tym, że mówisz to samo co ona.

- Nigdy.

- Zaczekaj, aż będziesz miała własne dzieci... Do oczu napływają mi

łzy.

- O cholera! Nie chciałam. Ależ głupio mi się wyrwało.

- Jesteś moją siostrą - zauważam. - Niczego innego się nie

spodziewałam.

Znajduję w kieszeni zmiętą chusteczkę i wydmuchuję w nią nos.

Potem pytam cicho, co jest bezcelowe, ponieważ Edie mnie nie słyszy.

- Uważasz, że ma rację co do Jake'a?

- Co? Ścisz to!

Nikt niczego nie ścisza. To ja podnoszę głos.

- Uważasz, że ma rację co do Jake'a?!

- Nie! Ma idealnie rozmieszczone oczy.

- Nie o to mi chodzi. Myślisz, że kogoś ma? -Tak.

- Mogłabyś się nad tym zastanowić choć przez ułamek sekundy.

- Mężczyźni nie odchodzą, jeżeli nie znajdą kogoś nowego, do kogo mogliby odejść.

- Nie poprawia mi to nastroju.

- Spójrz prawdzie w oczy, Lysso. To nie leży w ich naturze.

- Teraz mówisz jak mama.

- Wolisz, żebym cię okłamywała?

Siostrzeńcy schodzą ze mnie i wszczynają bójkę za sofą. Przysięgam sobie, że jeśli kiedykolwiek będę miała dzieci, będą lepiej wychowane niż banda Edie. Będą czytały encyklopedię i słuchały muzyki klasycznej, grały na instrumentach na poziomie koncertowym, i będą uzdolnione artystycznie. Myślę, że siostra straciła nad tym kontrolę po numerze czwartym.

Opadając z powrotem na kanapę, wzdycham.

- Nie. - Wydaje mi się, że mózg mam dwukrotnie większy niż czaszkę i w dodatku pulsuje przy każdym uderzeniu serca.

- Co ja mam robić?

- Dlaczego po prostu nie odpuścisz sobie sprawy dziecka na jakiś czas?

- Dlaczego wszyscy mi to powtarzają? - Walę pięścią w poduszkę i wszystkie dzieciaki aż podskakują.

- Zdaje się, że skoncentrowałaś się głównie na tym - sugeruje moja

siostra najbardziej uprzejmym głosem, na jaki potrafi się zdobyć, co wyraźnie ma oznaczać, że jestem skupiona na sobie i mam obsesję. -

Nie dziwię się, że Jake miał dosyć.

Myślę sobie, że spakowanie torby i odejście oznacza coś więcej niż to, że ktoś „miał dość”, ale milczę.

- Mężczyźni nie lubią konkurencji. - Edie uznała moje milczenie za zgodę na dalszą anihilację mojego życia. - Szczególnie ze strony małych różowych ludzików.

- Jak możesz tak mówić? Masz sześcioro dzieci. Lee nie uważa ich za konkurencję.

- A gdzie teraz jest?

Prawdę powiedziawszy, w szopie. Jak zawsze.

- Byłabyś zaskoczona. Z początku jednak uważał. W pierwszych latach często się kłóciliśmy. Teraz się zmęczył - pogodnie stwierdza moja siostra. -1 nie ma dokąd zwać. - Jej chichot brzmi nieco szalenie. - Jaka kobieta przy zdrowych zmysłach weźmie sobie faceta, który ciągnie za sobą szóstkę bachorów? Jest na nas skazany.

-1 uwielbiam was wszystkich - oznajmia Lee, z idealnym wyczuciem wtykając głowę przez drzwi.

- To także trzeba wziąć pod uwagę - przyznaje Edie.

- Gdzie chcesz mieć tę półkę?

- Wszystko mi jedno.

- Tylko później nie narzekaj, że jest w niewłaściwym miejscu. - Lee znika za drzwiami.

- Cholera! I umie też mocować półki? To takie niesprawiedliwe.

Doskonała sperma i w dodatku radzi sobie z młotkiem.

- Słuchaj, Lyso - mówi moja siostra tonem, który sugeruje, że
powinnam potraktować ją poważnie - przez ostatnie kilka miesięcy
byłaś dość surowa dla Jake'a.

Otwieram usta, żeby zaprzeczyć, ale jej spojrzenie sprawia, że tego
nie robię.

- Mężczyźni nie lubią, gdy kwestionuje się ich męskość, a założę się,
że nawet twoja fryzjerka zna liczbę plemników w jego nasieniu.

- Eee... - Przykro mi to przyznać, ale rzeczywiście zna. Ale tylko
dlatego, że zapytała.

- Pozwól mu odpocząć, Lyso. Jeżeli naprawdę chcesz, żeby wrócił,
bądź dla niego miła. Z pewnością czuje wielką presję.

A ja to nie?

- Może odrobina swobody to dobry pomysł.

- Byłam okropna, prawda?

- Nie okropna. - Siostra siada obok i mnie przytula. - Tylko trochę
zdesperowana.

Kołysze mnie jak Archiego. Dzięki temu wiem, że sprawy wyglądają
źle. To nietypowa sytuacja, bo przez całe życie byłam dla niej raczej
jak matka niż siostra. Dzieli nas różnica zaledwie kilku lat, ale czasem
czuję, jakby to było ćwierć wieku. Macierzyństwo to jedyna rzecz, w
której moja siostra jest niedościgniona.

Edie odgarnia mi włosy z czoła.

- Dobrze się już czujesz?

Kiwam głową. Nie do końca, ale nie chcę rozdmuchiwać problemu.

Edie wysuwa się z moich objęć.

- Lepiej pójdę zobaczyć, gdzie mój kochany mąż przybija tę półkę.

Niechętnie podnoszę z kolan śpiącego Archiego, całując miękko, ciepłą, chłopięcą główkę, i umieszczam go w ramionach siostry.

Mogłabym być w tym dobra, naprawdę, ale nie będę teraz drażyła tej kwestii.

- Chyba powinnam wracać do domu.

- Zostań - prosi Edie. - Nie chcę, żebyś była sama.

- Może Jake wrócił. - Bo może wrócił. I chcę tam być na wypadek, gdyby tak się stało. - Będę zmykała. Muszę sprawdzić, czy instalacja wyschła.

- A jeżeli go nie ma?

- Nie wiem - wzdycham z ciężkim sercem. - Może pojedę do Pipa i spróbuję z nim porozmawiać.

- Jesteś pewna, że to dobre posunięcie?

- Nie - przyznaję. Ale i tak zamierzam to zrobić.

Rozdział czternasty

Wciskając włącznik, nastawiani się na najgorsze. I proszę, zamiast okropnego dźwięku eksplozji światło pojawia się tam, gdzie być powinno. Czuję ulgę - przynajmniej jeden z moich problemów został załatwiony. Elektryczność na żądanie to jedna z tych rzeczy, które bierzemy za pewnik - jak nasze związki. Byłoby miło, gdybym

mogła pstryknąć kolejnym włącznikiem i w cudowny sposób sprowadzić Jake'a do domu, przepełnionego miłością do mnie.

Niestety, nie ma takiego włącznika, a Jake nie wrócił.

Dom wydaje się bez niego taki pusty, szczególnie po powrocie z pogrążonego w chaosie domostwa Edie. Rzucam byle gdzie torbę i znów próbuję dodzwonić się na jego komórkę, ale najwyraźniej Jake postanowił nie odbierać moich telefonów, bo od razu włącza się poczta głosowa. Tym razem nawet nie zostawiam wiadomości. Co mam więc robić? Mogłabym tu siedzieć, użalając się nad sobą, i oglądając gówniany niedzielny program w telewizji - zawsze pokazują jakiś łązawy dramat o kobiecie w ciąży - i zastanawiać się, co naprawdę myśli Jake. Albo ruszyć się, znaleźć go i spróbować wszystko wyjaśnić. Jeśli mam go błagać, wolę to zrobić twarzą w twarz.

Poprawiam urodę, nakładając kolejną warstwę podkładu, żeby ukryć nienaturalną bladość, wkładam mniej wygniecione ciuchy. Nie chcę się stroić, ponieważ słowo „zdesperowana” pojawiło się w zbyt wielu rozmowach, które przeprowadziłam w ciągu ostatnich dwóch dni, ale nie chcę też wyglądać, jakby przejechała mnie ciężarówka. Wybieram dzinsy i jedwabny sweter, wskakuję do powgniatanego samochodu i ruszam do północnego Londynu, gdzie mieszka Pip. Jadąc, mam dużo czasu na myślenie, ale nie mogę włączyć radia, bo każda cholerna stacja puszcza coś o nieszczęśliwej miłości, a wszystkie kompakty w schowku nadają się wyłącznie dla porzuconych kobiet. Jest mi trudno i bez tego, nie chcę

dotrzeć na miejsce jako zapłakana kupka nieszczęścia. Koncentruję się na stukaniu wycieraczek i próbuję nie wpaść w trans.

Całe wieki nie byłam u Pipa. Jakiś rok temu dość często wychodziliśmy razem, ale nasza przyjaźń się rozmyła, bo Jake i ja od wielu miesięcy nie widzieliśmy się z nim na gruncie towarzyskim. Chyba głównie dlatego, że Pip nie potrafi być zbyt długo z tą samą dziewczyną. Doszłam do tego, że przestałam nawet próbować zapamiętywać ich imiona. Mam wrażenie, że Pip również.

Krążę wokół domu, ale co charakterystyczne dla tej części północnego Londynu, nie mam szans na znalezienie w pobliżu miejsca do parkowania. Nie zniósłabym płacenia wysokiego czynszu za mieszkanie, jeśli za każdym razem musiałabym wlec się pół mili do samochodu. Wreszcie udaje mi się gdzieś wcisnąć moją fiestę i wygląda na to, że wciąż jeszcze jestem na południu Anglii. Parasolkę mam czarną z wielkim pomarańczowo-żółto prążkowanym Tygrysiem z boku. Jake kupił mi ją na urodziny. Ciągłe gubię rękawiczki, parasolki i okulary przeciwsłoneczne. Kiedy na chwilę odwrócę wzrok, w tajemniczy sposób znikają. Sama jedna mogłabym utrzymać większość producentów dodatków. Kulę się pod parasolką, zamykając samochód, a potem odważnie ruszam w deszcz, gnając chodnikiem i starając się omijać kałuże.

Pip zajmuje parter starej georgiańskiej kamienicy - brzmi to jednak trochę lepiej, niż wygląda. W rzeczywistości przydałoby się pomalować frontowe drzwi, a na ulicy zawsze piętrzą się stosy

czarnych worków na śmieci. Część domów została odnowiona i zasiedlona przez prawników oraz dziennikarzy BBC. Inne sprawiają wrażenie zamieszkanym przez studentów albo kloszardów, bo w oknach widać brudne dziurawe firanki. Pukam do drzwi, drżąc z zimna. Bez względu na to, co włożę, jakoś nigdy nie mogę się rozgrzać. Być może, żeby czuć się komfortowo, powinnam była urodzić się w południowej Kalifornii albo Włoszech. Nikt nie otwiera. Nie wygląda to dobrze. Ani przez największe okno, ani przez matowe szkło frontowych drzwi nie widzę światła, mimo że prawie dotykam ich nosem. Nie wiem, co robić. Gdyby udało mi się zaparkować tuż przed wejściem, mogłabym siedzieć w samochodzie i czekać, ale fiesta jest za daleko i nie zobaczę Jake'a, kiedy wróci. Mogłabym po prostu wrócić do domu i uznać, że nie miałam szczęścia, ale chcę wiedzieć, gdzie jest, chcę z nim porozmawiać i za długo jechałam, żeby teraz zakończyć poszukiwania. Nie mogę podjąć decyzji. Dlaczego ta niespodziewana samotność sprawiła, że nawet najbardziej podstawowe procesy myślowe stały się dla mnie herkulesowym wysiłkiem? Niebo jest prawie czarne i najwyraźniej wciąż dysponuje dużym zapasem deszczu, który wyrzuca na nas, biednych nieszczęśników w dole. Kucam na progu, żeby pomyśleć. W rogu jest suche miejsce, które omija zacinający deszcz. Chowam się pod parasolką z tygrysiem, kulę i próbuję udawać, że dzięki temu nie zamrznę na śmierć.

Światła oświetlają dom leniwym łukiem jak szperacze. Motocykl

powoli wtacza się na chodnik i zatrzymuje przy parkanie z kutego żelaza. Motocyklista zsiada i łańcuchem przyczepia motor do prętów.

Zakładam, że to Pip, bo słyszałam od Jake'a, że zmienił środek transportu. Zdejmuje kask i zmierza w moją stronę.

- Cześć - rzucam i Pip aż podskakuje.

- Matko jedyna! Lyssa! Co ty tu robisz? Przemokłaś. Długo czekasz?

Tak naprawdę nie wiem, jak długo tu siedzę. Wystarczająco długo, by zdrętwiały mi nogi, a deszcz przemoczył płaszcz na wylot. Dlaczego nie zauważyłam tego wcześniej?

- Chodź - mówi Pip. - Wejdźmy.

- Będziesz musiał pomóc mi wstać. - Pip ujmuję moją dłoń ręką w wielkiej, motocyklowej, skórzanej rękawicy i ciągnie mnie do góry.

Strzyka mi w kolanach.

- Przeziębisz się na śmierć - jójczy Pip.

Nie mogę się nie uśmiechnąć, bo mówi zupełnie, jakby był moją matką.

Grzebie kluczem w zamku, a potem gestem zaprasza mnie do środka.

Wchodzę za nim do kuchni i rzuca mi ręczniczek do rąk, zaczynając zdejmować kolejne części motocyklowego stroju. Wycieram włosy przyklepione do głowy, mimo wysiłków Tygryśka.

Mieszkanie Pipa jest o wiele bardziej eleganckie niż okolica. We wszystkich pokojach położono czarną łupkową podłogę i ustawiono skórzane meble w cukierkowych kolorach i opływowych kształtach.

Na ścianach wiszą oryginalne filmowe plakaty - *Casablanca*,

Spotkanie, Stąd do wieczności. Wszystkie łzawe. Kuchnia jest cała w stali, bardzo kawalerska.

Pip zdejmuje buty i skarpetki i krąży bosy, udając, że coś robi. W końcu patrzy na mnie.

- Lepiej?

- Tak. - Ocieram twarz ręcznikiem.

Przygląda się stercie swoich mokrych ciuchów, wokół której gromadzi się ciemna kałuża.

- To nie pogoda na motor - zauważam.

- Ani na wysiadywanie na czyimś progu.

- Czekałam na Jake'a - mówię i trudno uwierzyć, jak mało przekonująco to brzmi.

- Na Jake'a? - Zaskoczony Pip unosi brwi. Opadam na jedno z kuchennych krzeseł.

- Wiesz, kiedy wróci?

- Eee...

- Próbowałam się do niego dodzwonić, ale nie odbiera. -Mój głos jest zmęczony, stary i znękany. - Wiesz, dokąd poszedł?

Przestaję się wycierać i patrzę na Pipa. Zdjął mokrą kurtkę i wygląda na dziwnie poruszonego.

- Eee... - powtarza.

I wtedy to do mnie dociera.

- Nie ma go tutaj, prawda?

Pip udaje, że coś go swędzi, drapie się.

- Nie w tej chwili - dodaję. - W ogóle go tu nie ma. Powiedział mi, że się do ciebie wprowadził. Ale się nie wprowadził.

Pip wzdycha ciężko.

- Nie.

- Więc gdzie, do cholery, jest?

- Zaparzę nam pyszną kawę - oznajmia Pip. - Postawi nas na nogi. Pip jest właścicielem jednego z tych niesamowitych ekspresów

do kawy z nierdzewnej stali, które kupuje się z instrukcją obsługi grubości książki telefonicznej i które potrafią spienić mleko. Ma dzięki temu dobrą wymówkę, żeby przekładać rzeczy z miejsca na miejsce, nie patrząc na mnie.

- Gdzie on jest?

- To dla mnie bardzo trudne Lysso.

- Dla mnie też.

- Jestem jego przyjacielem.

- I to bardzo dobrym, skoro zgadzasz się dla niego kłamać.

-Myślałam, że jesteś także moim przyjacielem.

- Jestem - zapewnia Pip, wsypując ziarna kawy do młynka. - Tylko z tobą nie muszę pracować.

Młynek grzechocze i wibruje, aż podrygują mi wszystkie plomby.

- Jest jakaś kobieta, prawda?

Pip wsypuje zmieloną kawę do filtra i wsuwa go do maszyny. Ciężki bogaty zapach przyprawia mnie o mdłości.

- To musi być ktoś z pracy. Jake nigdzie nie chodzi i nikogo nie

spotyka.

Chyba że romansuje z którąś z pielęgniarek z kliniki leczenia niepłodności, ale to by już była przesada. Pip umieszcza dwa oszlamiające kubeczki z nierdzewnej stali w specjalnych uchwytach.

- No mów coś - proszę.

Pstryka włącznikiem i maszyna ożywa. Furczy i gulgocze jak mały robot.

- Nie rób mi tego - jęczy Pip.

- Muszę wiedzieć.

- Więc porozmawiaj z Jakiem.

- Porozmawiałabym, gdybym wiedziała, gdzie jest!

Pip siada obok mnie. Bierze mnie za rękę tak delikatnie, że uznaję to za zły znak. Palce ma miękkie i ciepłe jak świeżo upieczony chleb.

Moje są zimne i twarde jak kostki lodu. Widzę, jak przez głowę przemykają mu kolejne słowa i odsiewa je, by ułożyć zdanie.

- Masz rację - odzywa się w końcu. - Spotyka się z kimś z pracy. Jest u niej.

- Gdzie? Powiedz mi, gdzie. Pip mocniej ściska moją dłoń.

- To nie potrwa długo, Lysso. To tylko romans. Ona się nim znudzi. -

Nie umyka mojej uwagi, że nie mówi, że to mój chłopak znudzi się nią.

- Ona jest młoda. Nie chce się wiązać. W każdym razie byłbym bardzo zaskoczony, gdyby chciała. Mogę się założyć.

- Więc dlaczego Jake postanowił rzucić dla niej wszystko?

- Jest fantastyczna - wyjaśnia bez emocji Pip. Zaczyna mi się

wydawać, że uzyskałam zbyt wiele informacji. - Wszyscy faceci w pracy za nią szaleją. - Teraz już jestem tego pewna. - Uganiała się za Jakiem od miesięcy. Pochlebia mu to.

- I uważasz, że teraz, gdy go zdobyła, jego urok zblednie?

- Hej, jestem ostatnią osobą na świecie, którą powinnaś pytać o związki. Doszedłem do punktu, w którym „poważny związek” oznacza widywanie tej samej kobiety przez dwa tygodnie z rzędu. Na moje oko za kilka miesięcy będzie po wszystkim.

- I wróci do domu z podkulonym ogonem?

- Jake jest głupi, ale chyba nie aż tak, żeby wszystko zmarnować.

- Może już się to stało.

- Chyba nie siedziałabyś godzinami na deszczu, gdybyś spisała go na straty.

Pip znowu koncentruje się na ekspresie do kawy. Niechętnie puszcza moje dłonie. Nalewa kawę, przyciska jakąś dźwignię i do dzbanuszka spływa idealna biała piana. Pip dodaje ją do kawy, posypując odrobiną kakao.

- Właściwie to jesteś całkiem udomowiony - stwierdzam z uśmiechem, kiedy stawia przede mną filiżankę.

- Gdybym tylko zdołał znaleźć kobietę bez zobowiązań, z twoją klasą, która doceniłaby mój subtelny urok... - wzdycha.

- Może ja będę od tej pory bez zobowiązań - mówię z uśmiechem, lecz po chwili uśmiech blednie. - Co zrobiłam źle?

- A dlaczego uważasz, że to twoja wina?

- Niska samoocena, brak pewności siebie.

- Wrażliwość - dodaje miękko Pip. - Oboje byliście pod sporą presją.

Jake z dwóch stron, w pracy i w domu... - urywa.

- Dzięki.

- Cholera. Nie to miałem na myśli.

- Nie. Masz rację. I nie ty pierwszy mi to mówisz. - Próbuję kawę. Jest

gładka, aksamitno-czarna i kojąca. - Mam wrażenie, że go

odepchnęłam.

- Nie bądź dla siebie taka surowa. To dorosły facet. I jeśli mnie

pytasz, cholerny idiota. - Pip nabiera na palec piankę i wkłada go do

ust. - To on postanowił pójść w przeciwnym kierunku.

-1 twoim zdaniem wystarczy, jeśli usiądę i zaczekam, aż wróci?

- To zależy, czy uważasz, że jest tego wart.

Gdyby nie ostatnie odkrycie, odpowiedziałabym twierdząco, ale teraz

nie jestem już taka pewna. Wpatruję się w filiżankę i zastanawiam, czy

przyszłość można odczytać z fusów po kawie tak jak z herbacianych

listków.

- Z pewnością możesz się zająć masą rzeczy - mówi Pip. ~ Mogę? Nie

jestem pewna.

I w tym właśnie momencie muszę sama przed sobą przyznać, że przez

ostatni rok całkowicie skoncentrowałam się na posiadaniu dziecka. Nie

wiem, gdzie się podział cały ten czas, ale nie potrafię sobie

przypomnieć, żebym zrobiła cokolwiek, co miałoby jakieś znaczenie.

Nie potrafiłabym wypełnić zajęciami nawet jednego dnia. I co ja

zrobię, jeżeli miną miesiące, zanim Jake pójdzie po rozum do głowy

albo dostanie kosza?

Pip wypija kawę, a potem powoli wyjada łyżeczką resztki pianki.

- Co robią kobiety, czekając na powrót swoich ukochanych?

- pyta- W przypadku Jake'a powinnam chyba ostrzyć noże.

- A może raczej siedzieć w fotelu na biegunach i robić na drutach?

- Nie mam fotela na biegunach i nie umiem robić na drutach.

- Musi być jakiś współczesny ekwiwalent.

- Chodzą na siłownię, uczą się nurkowania...

- Znajdują sobie kochankę - podsuwa Pip. Rozśmiesza mnie.

- Zgłaszasz się na ochotnika?

- Zdecydowanie. Wkurzylibyśmy parę osób.

Być może zwiększyłoby to także moje szanse na zajście w ciążę, myślę, zanim ogarnia mnie przerażenie, że w ogóle przeszło mi to przez głowę.

- Prześlę się z tobą, jeżeli mi powiesz, gdzie jest Jake i z kim.

- Gdybym uznał to za poważną propozycję, kusiłoby mnie.

- Ale w obecnej sytuacji niczego mi nie powiesz.

- Nie. - Pip jest bardzo stanowczy. - I byłbym wdzięczny, gdybyś nie

mówiła Jake'owi, że tu byłaś. Muszę z nim pracować, Lysso. Ten...

ten... romans już i tak przysporzył mi kłopotów.

- Mnie też.

- Jeżeli mogę coś zrobić... Cokolwiek...

Trzepoczę rzęsami, chociaż mam wrażenie, że ktoś włożył mi pod

powieki papier ścierny.

- Lepiej już pójde. Strasznie głupio się czuję. - Wstając, opieram się o stół i nagle ogarnia mnie znużenie. - Bardzo go kocham.

Pip podchodzi i całuje mnie w policzek.

- W takim razie to Jake jest bardzo głupi. - Przytula mnie po przyjacielsku, a ja załamuję się i zaczynam szlochać.

Rozdział piętnasty

No tak. Jeżeli nie zamierzam pograć Pipa w brązowej i cuchnącej substancji, pozostaje mi tylko jedno: muszę przyłapać Jake'a na gorącym uczynku. Nie za bardzo gorącym. Nie chcę oglądać unoszących się i opadających pośladków.

Ponieważ podczas kilku ostatnich dni cierpię na bezsenność, mam mnóstwo czasu, żeby leżeć, knując i spiskując. Pierwotny plan obejmował zaczekanie rano na Jake'a przed biurem, żeby zobaczyć, z kim przyszedł. Sprawa załatwiona. Tak się jednak złożyło, że wyleczyłam się z bezsenności koło siódmej rano i pogryżłam w najgłębszym, najzdrowszym śnie życia, który trwał jeszcze długo po tym, jak wybrzmiał budzik, a potem musiałam zebrać się i pędzić do biura. W którym siedzę w tej chwili, udając, że zależy mi na pracy.

- Muszę z tobą o tym porozmawiać - mówi Monica, kładąc na moim biurku jakieś papiery.

Zbliża się pora lunchu.

- Muszę iść - odpowiadam.

- Dopiero przysłaś.

- To ważne.
- A zarabianie na życie nie?
- Przyłapanie Jake'a z nową dziewczyną jest bardzo ważne, wierz mi.
- Ooo. - Monica szeroko otwiera oczy i usta. - Tej wersji jeszcze nie przerabialiśmy.
- Dlatego cierpiałam na bezsenność.
- Powiedziałaś, że zasnęłaś.
- To było po bezsenności.

Monica bardzo autorytatywnym gestem opiera ręce na biodrach.

- Kupię pączki do popołudniowej herbaty - obiecuję tonem lizusa. - Będziesz mnie kryła, prawda?
- Jestem twoją szefową - przypomina Monica. - To nie ja powinnam cię przyłapać na tym, że urywasz się z pracy.
- Nie dręcz mnie, Mon - proszę. - Jeszcze jedno gorzkie słowo i się rozplaczę.

- To idź - wzdycha Monica. - *Pieluszka i wszystko jasne* będzie musiała zaczekać.

Biorę torebkę.

- Dziękuję. Dziękuję. Kocham cię. Jesteś dla mnie jak... przyjaciółka.
- Jak długo to potrwa?
- Tak długo, jak będzie trzeba! - wołam przez ramię i w głębi duszy mam nadzieję, że niezbyt długo.

Dzień jest piękny. Deszcz dał w końcu za wygraną. Niebo jest szyderczo niebieskie i pokropkowane bałwaniastymi białymi

chmurami, które rosną, rozciągają się i płyną jak bąbelki w lampie lawa. Powietrze jest zimne i, jak na Londyn, dość czyste. Jadę taksówką pod biuro Jake'a i proszę, by kierowca wysadził mnie tuż za rogiem przeszklonej siedziby Dunstona i Bradleya, żebym nie widziana przez nikogo mogła zająć szpiegowską pozycję. Jedynym plusem niezliczonych programów detektywistycznych pokazywanych w telewizji jest to, że można się z nich dowiedzieć, jak przygotować tajną operację. Nigdy wcześniej nie uważałam tego za plus. Zabawne, jak zmienia się perspektywa, kiedy dowiesz się, że jesteś kobietą zdradzaną.

Jake codziennie jada lunch. Bardzo tego przestrzega. Twierdzi, że koło piętnastej robi mu się słabo, jeżeli nie wyjdzie trochę odetchnąć i zjeść kanapki. Wiem, który kanapkowy bar odwiedza, mieści się zaledwie kilkaset jardów od biura. Naprzeciwko siedziby firmy znajduje się nieduży ogród, zbyt mały, by uznać go za park. Jest otoczony niskim ceglany murkiem, chroniącym kilka stoickich poskręcanych wiśni - o tej porze roku nagich - oraz parę stylowych metalowych ławek, które wyglądają jak wygięty nożyk z maszyny do golenia. Zajmuję pozycję na jednej z nich, osłoniętej

kilkoma odpornymi na mróz krzakami i kawałkiem murku. Rozsiadam się wygodnie, i wbijam wzrok w obrotowe drzwi biura. Żałuję, że nie mam lornetki. Zawsze miałam nie najlepszy wzrok, ale nie noszę okularów, bo wyglądam w nich dokładnie jak moja mama.

Kiedy po mniej więcej trzydziestu sekundach zaczynam się nudzić,

siada obok mnie jakiś włóczęga. Ma na sobie kilka płaszczy przewiązanych sznurkiem, do tego filcowy kapelusz bez denka i plastikowe worki zamotane wokół butów. Mam wrażenie, że jest najbardziej cuchnącym człowiekiem na świecie.

- Masz jakieś drobne na filiżankę herbaty, kochana?

Nie cierpię, kiedy zaczepiają mnie włóczędzy, a już szczególnie, gdy proszą na herbatę. Gdyby naprawdę chcieli herbaty, nie miałabym oporów, żeby wyłożyć parę groszy, ale nieodmiennie rodzi się we mnie podejrzenie, że chcieliby wydać pieniądze na amfę, crack czy coś podobnego i nie mam ochoty finansować ich nałogów.

- Masz drobne na filiżankę herbaty, kochana? - powtarza. Odwracam się, by siedzieć nieco z wiatrem.

- Nie, przepraszam.

Mam masę drobnych i czuję się z tego powodu okropnie. Włóczęga otwiera siatkę i wyciąga puszkę piwa. Odsuwam się trochę.

- Chcesz się napić, kochana?

I jak teraz się mam czuć? Nie miałam dość przyzwoitości, żeby dać mu pięćdziesiąt pensów, a on i tak jest skłonny podzielić się ze mną ostatnim piwem.

- Nie, dzięki.

- Czekasz na chłopaka?

- Tak. - W pewnym sensie.

Jeżeli nie zamilknie, będę musiała się przesiąść, a to najlepsze miejsce. Dlaczego nic w moim życiu nie może pójść zgodnie z

planem?

Nagle na ulicy robi się tłoczno. Obrótowe drzwi okręcają się wokół osi i na chodnik wpada grupa szczęśliwych roześmianych ludzi. I oto ona, dokładnie w środku. Nazwijcie to kobietą intuicją, nazwijcie to przeczuciem albo szaleństwem, ale wszędzie bym ją rozpoznała. Mimo że Pip podał mi zaledwie kilka szczegółów, po prostu wiem - to ona sypia z moim chłopakiem.

Pip miał rację: jest piękna, ale nie w takim stylu, jakiego się spodziewałam. Myślałam, że będzie niska, dziewczęca, młodziutka i naiwna. Ale nie jest. O nie. Ta kobieta nie jest naiwna. Ani niska. Ani dziewczęca. Jest wysoka i to niespotykane. Chcąc wyrazić się uprzejmie, można by użyć słowa „posągowa”, ale nie mam nastroju na uprzejmość, więc moim zdaniem wygląda jak gracz w rugby. Jak Action Man z cyckami. Ma krótkie czarne włosy, postrzępione, ubrana jest w dopasowany, niesamowicie szykowny czarny kostium, a spódniczka doskonale wyglądałaby na prostytutce. I to żaden brak uprzejmości z mojej strony, tylko szczerą prawdą. Ta kobieta jest doskonale wyposażona w broń męskiej zagłady.

Otoczają ją tylko faceci, którzy spijają z jej ust każde słowo.

Najwyraźniej jest mistrzynią we wszystkim, do czego się weźmie.

Mężczyźni stopniowo odrywają się od niej, rozpraszając się w niedużych grupkach, aż wreszcie zostaje sama. Nie. Nie całkiem. Zza jej pleców wyłania się Jake. Ukradkiem przysuwa się do niej i oboje obrzucają ulicę badawczymi spojrzeniami, po czym ukradkiem zerkają

na budynek, z którego wyszli. Ukrywają się, by mieć pewność, iż żaden z kolegów nie zauważy ich bliskości, ale nie przychodzi im do głowy, że była dziewczyna Jake'a może obserwować ich z drugiej strony ulicy. Jake dotyka jej włosów, a potem delikatnie całuje w usta. Ja też dotykam włosów. Czy Jake kiedykolwiek zachowywał się tak wobec mnie? Czy kiedykolwiek oczarowały go moje włosy? Nie pamiętam. Czuję się, jakby ktoś wyrwał mi serce. Odsuwają się od siebie i jestem zaskoczona, gdy się rozstają. Przez chwilę nie wiem, za kim iść. Czy powinnam popędzić za Jakiem i stawić mu czoło? A może najpierw powinnam uzbroić się jeszcze w kilka faktów? Jestem w takiej rozterce, że mam ochotę zapytać włóczęgę o radę, a potem, gdy kobieta oddala się wielkimi krokami, rezygnuję z kryjówki i postanawiam iść

za nią. Ma na sobie niebotyczne szpilki, a ja ciężkie praktyczne buty - kupiłam je, wyobrażając sobie, że o tej porze roku będę w zaawansowanej ciąży. Pędzę na drugą stronę ulicy, unikając samochodów, i bez trudu udaje mi się ją dogonić. Pip powiedział, że jest młoda, ale nie wygląda młodo. Jest tak pewna siebie, że sprawia wrażenie znacznie starszej ode mnie, jeśli nie pod względem biologicznym, to na pewno duchowym. Zostawił mnie dla kogoś, kto ma pupę większą niż moja. I nie jestem pewna, czy czuję się przez to lepiej, czy gorzej.

Wkracza do Ugryź mnie!, ulubionego baru kanapkowego Jake-a, i staje w kolejce. Idę za nią i dyskretnie ustawiam się za jej plecami.

Posuwamy się naprzód, krok za krokiem. I widzę, jak przygląda się tablicy z menu wiszącej na ścianie. Jestem tak blisko, że chłonę jej włosy, oczy, kształt nosa, kostium, obcasy, rozmiar atrakcyjnego tyłka, drogi zegarek, a ona nie ma o tym pojęcia. Nie ma pojęcia, że rozbieram ją na części, kawałek po kawałku. Nie ma pojęcia, że ją obserwuję. Że jest ze mną związana. Stanowi część mojego życia.

- Wezmę brie z żurawiną i sałatą na pełnoziarnistym chlebie - mówi.

Wygląda mi na taki typ. Głos ma chłodny i pewny siebie. I zauważam, że nie powiedziała „proszę”. Pewnie przywykła, że to inni proszą ją.

- Co dla ciebie, kochanie?

Mrugam, powracając do realnego świata, kiedy dociera do mnie, że kobieta w białej siatce na włosach za ladą zwraca się do mnie.

- Co podać?

- Eee...

Nie miałam czasu przyjrzeć się menu. Stąd niedokładnie widzę.

- Eee... - Muszę się pospieszyć.

- Mamy dzisiaj dobrego łososia gotowanego.

- Szynka - mówię. - Wezmę z szynką.

- Pomidor? Pikle? Sałata? -Tak.

- Wszystko?

- Pomidor. - Co za wspaniała łatwość podejmowania decyzji. -1

sałata. Proszę.

Kochanka mojego kochanka odbiera swoją kanapkę, płaci, uśmiechając się szeroko i nieszczerze, i odwraca się.

- Spieszę się - rzucam pani kanapkowej.

Obdarza mnie spojrzeniem, które mówi, że w takim razie powinnam się była szybciej zdecydować, ale milczy i energicznie łączy kawałki starannie ukrojonej szynki z kilkoma cienkimi plasterkami pomidora.

Z wdzięcznością chwytam torbę z kanapką, płacę i pędzę do drzwi.

Widzę, że przy końcu ulicy skręca, więc gnam, by ją dogonić. Wygląda tak imponująco, że wyróżnia się w tłumie i nietrudno jest mi ją śledzić.

Na końcu ulicy otwiera drzwi i wchodzi do sklepu. Kontynuuję pościg i zauważam, że weszła do niezwykle eleganckiego salonu fryzjerskiego.

Idę dalej, a potem opieram się o ścianę tuż przy drzwiach, wciąż ściskając torbę z kanapką, starając się złapać oddech. Do licha, nie jestem w tym tak dobra, jak myślałam. Telewizyjni detektywi nigdy nie są tak zasapani.

Gdy krew przestaje mi wreszcie dudnić w uszach odważam się zajrzeć do salonu. Niezwykle szykowny i prawdopodobnie z równie szykownymi cenami. Nie mam pojęcia, co robię, działam jak na autopilocie. Popycham drzwi i wchodzę. Moje przybycie anonsuje głośne „brzdęk!”. Rywalka siedzi na jednym z foteli, gawędząc z niewiarygodnie atrakcyjną stylistką. Teraz fryzjerka prowadzi ją na tył salonu, by umyć jej włosy. Zastanawiam się, po co tu przyszła, bo szczerze mówiąc, nigdy nie widziałam równie nieskazitelnej fryzury.

A myślałam, że to ja wydziwiam.

- Czym mogę służyć? - pyta mnie drobna dziewczyna ubrana na

czarno. - Czy ma pani umówioną wizytę?

- Nie. Czy mogę poczekać na przyjaciółkę? Rozgląda się po salonie.

- A gdzie jest ta przyjaciółka?

- Tam - wskazuję. - Myje włosy.

- Och, Neve! Neve.

- Jest wspaniała, prawda? - Dziewczyna wzdycha z podziwem. Wiem, że niektórzy by się z nią zgodzili.

- Tak. - Jestem zdumiona, że lubią ją także kobiety, i zaczynam się zastanawiać, czy kiedykolwiek słyszałam, żeby ktoś wyrażał się o mnie z podziwem.

- Długo się panie znacie?

- Raczej nie.

- Posiedzi tu jakieś pół godziny - wyjaśnia łątwowierna dziewczyna. -

Czy chce pani tu usiąść? - Wskazuje mi twardą, czarną, skórzaną sofę.

- W porządku.

- Herbaty? Kawy? Może podać gazetę?

- Nie, nie. Dziękuję.

- Jak pani na imię?

- Lyssa. Odwraca się.

- Powiem jej, że pani tu czeka.

- Nie, proszę tego nie robić, proszę jej nie przeszkadzać. Po prostu poczekam.

- W porządku.

Stylistka prowadzi Neve do stanowiska strzyżenia i posągowa

piękność siada. Wciąż wygląda imponująco, mimo ręcznika owiniętego wokół głowy. Krowa. Przyglądam jej się z zaciśniętymi zębami. Niewygodnie mi na tej sofie, jakbym siedziała na betonie. Oparcie jest za nisko, co zmusza mnie do siedzenia prosto jak na gwoździu. I co teraz robię? Wiem, kim ona jest. Wiem, jak wygląda. Znam jej imię. Wiem, że odebrała mi chłopaka.

Stylistka zaczęła strzyżenie. Delikatnie skubie idealne włosy tamtej.

Neve sprawia wrażenie kobiety nieprzejmującej się problemami innych. Przychodzi mi na myśl, że świat byłby miłszym miejscem, gdybyśmy my, ludzie, nie byli tacy okrutni

i tak obojętni wobec siebie nawzajem. Stylistka uśmiecha się i gawędzą. Zastanawiam się, o czym. Czy Neve zwierza jej się, że nowy chłopak właśnie się wprowadził? Zdradza, że miał dziewczynę, która jest teraz rozpaczliwie nieszczęśliwa? Wyjawia, że pokonała kogoś, by go zdobyć? W trakcie rozmowy Neve często porusza głową, więc fryzjerka ma pewnie ochotę dźgnąć ją nożyczkami. A może to tylko ja mam na to chęć?

Nie mogę dłużej tego znieść, więc niezauważona opuszczam kanapę i wychodzę. Powietrze jest zimne po gorącym zaduchu, lakierze i płynie do trwałej. A ja czuję zawrót głowy z ulgi, że stamtąd wyszłam.

Idąc w kierunku biur Dunstona i Bradleya zastanawiam się, jaki powinien być mój kolejny ruch. Mogłabym poczekać na Jake-a i stawić mu czoło, ale nie została mi ani odrobina siły. Jestem wykończona, jakbym zaliczyła cios w żołądek. Żebra mam równie obolałe jak ego.

Torba z kanapką wilgotnieje w moim uścisku, a palce łapie skurcz, tak mocno ją trzymam. Nie ma mowy, żebyś zdołała zjeść to, co zawiera.

Mijam bar kanapkowy i postanawiam wejść. Nie ma już kolejki, bo szczęśliwie skończył się pośpiech związany z krótką przerwą na lunch.

- Herbatę poproszę. - Czekam spokojnie, wybierając torebki cukru i miniaturowe kartony pełnotłustego mleka, oraz plastikowe mieszadełka, żeby się czymś zająć.

Płacę i zabieram kubek ze sobą. Po przeciwnej stronie ulicy stary włóczęga skulił się na parkowej ławce. Mam wrażenie, że już stąd czuję jego smród, ale być może to dlatego, że wszystkie moje zmysły są postawione w stan pogotowia. Samochody zatrzymały się przy przejściu, więc szybko przecinam ulicę.

Gdy podchodzę, oczy włóczęgi rozszerzają się, być może ze strachu.

Gwałtownie siada.

- Proszę - mówię, podając mu herbatę i kanapkę. - Mam nadzieję, że lubi pan szynkę.

I zanim zacznę płakać z poniżenia, odchodzę.

Rozdział szesnasty

Jake siedział przy biurku, zamartwiając się jajkami gotowanymi, smażonymi, w koszulkach, jajkami jodłującymi, jajkami z nóżkami.

Jajkami wszelkiego rodzaju. Jajeczna kampania nie wyglądała dobrze.

Jajeczna rada marketingowa była zde gustowana ostatnią prezentacją, która, musiał przyznać, nawet jego nie kręciła, a w dodatku nie potrafił sprzedać jej z przekonaniem.

Był tak zdesperowany, że tego ranka zwrócił się nawet z prośbą o pomoc do Pipa, postępując zdecydowanie wbrew sobie, ale czuł, że potrzebuje dodatkowej pary oczu, by zyskać świeżość spojrzenia.

Zwykle można było polegać na Pipie, że coś wymyśli, chociaż niekiedy było to dość szalone. Tym razem był niezwykle oschły i niechętny do pomocy, po prostu zbył Jake'a. Jake czuł się potem niepewnie i był przekonany, że Pip unikał go do końca dnia.

Neve wróciła do biura.

- Hej - rzucił. - Ładna fryzura. Obróciła się.

- Dzięki.

Lyssa zawsze narzekała, że nie zauważał, kiedy wracała od fryzjera, a tym razem chciał, żeby było inaczej. Musiał jednak przyznać, że nie najlepiej zaczęli. Pierwszy wspólny weekend Neve spędziła ze wszystkimi oprócz niego. W przykrej powtórce z soboty i większości niedzieli była na treningu i spotkaniach z przyjaciółmi, podczas gdy on pałętał się po mieszkaniu, zastanawiając się, co robić. Bardzo się starał nie pokazać po sobie, jaki jest spięty.

Neve przysiadła na jego biurku.

- Przykro mi, że nie mieliśmy dla siebie zbyt dużo czasu w weekend - powiedziała, wykazując się niezwykłą, zdaniem Jake'a, intuicją. - Ale to nie potrwa długo. Treningi będą znacznie rzadsze, kiedy zaliczę tę wyprawę pod Everest, i postaram się uwzględnić cię w moich planach.

Uwzględnić go w planach? Postara się uwzględnić go w swoich planach? Coś w sposobie, w jaki to powiedziała, sprawił, że poczuł

skurcz w żołądku. Czy nie powinna starać się uwzględnić w ich

wspólnych planach wszystkiego?

- Myślałem o tym. - Spójrzmy prawdzie w oczy, w ciągu kilku ostatnich dni miał mnóstwo czasu na rozmyślania. Zniżył głos. -Może wybrałbym się pod Everest z tobą?

Neve odchyliła głowę i wybuchnęła śmiechem.

Jake mimowolnie ściągnął brwi.

-Co?

- Żartujesz?

- Myślałem, że mogłoby być zabawnie.

- Zabawnie? - Neve znowu się roześmiała. Tak głośno, że głowy całego działu zaczęły odwracać się w ich stronę. - Chodziłeś kiedyś po górach?

- Nie takich. - Jako dziecko wjechał kolejką na Snowdon, podczas rodzinnych wakacji w Walii. - Ale jestem dość sprawny. Nie wspinasz się na szczyt Everestu, tylko idziesz do bazy. Czy to nie jest u podnóża góry? Cóż to może być za trudność?

- A dlaczego, twoim zdaniem, spędzam całe godziny w siłowni?

- Ponieważ jesteś masochistką, która chce dobrze wyglądać w stroju do wspinaczki? - Jake rzucił jej lubieżne spojrzenie.

- Jesteś śmieszny - ucięła Neve. - Mieliśmy trzymać to w tajemnicy.

Przecież wszyscy się domyślą, gdy razem wyjedziemy.

- Będziemy dyskretni. Przecież do tej pory byliśmy.

- Nie - ucięła Neve. - Nie pozwolę na to. -Co?

- Nie pozwolę. Nie pozwolę, żebyś wpakował się w moje plany.

Zawsze chodzę z tą samą grupą, zmieniłbyś całą dynamikę.

Miał nadzieje, że jej zdaniem byłaby to zmiana na lepsze, ale

wyraźnie nie to miała na myśli.

- Jesteś pewna, że nie wpycham się na siłę w twoje życie?

- Nie bądź śmieszny - prychnęła Neve, krzywiąc się. - Nienawidzę

niepewnych siebie facetów. Oszczędź mi tego.

- A chcesz mnie widzieć przy sobie?

- Oczywiście, że tak! - Głos Neve złagodniał. - Oczywiście, że tak.

Jake sprawdził, czy ktoś jest w pobliżu.

- Przez cały weekend pierdziałem w stołek w domu, nie wiedziałem,

co ze sobą zrobić.

- To twój problem, Jake. Wyprowadziłeś się, nie biorąc żadnych

rzeczy.

- Wiem - poddał się. Nie miał szans wygrać w dyskusji z Neve. Kilka

spotkań roboczych zdążyło mu to już uświadomić. - Zadzwońię do

Lyssy sprawdzić, czy mogę podjechać tam dziś wieczorem i zabrać

trochę rzeczy.

- Dobrze. Spróbuję zrobić ci trochę miejsca w szafach. Powstrzymał

się od ironicznego komentarza.

Neve pochyliła się w jego stronę.

- Słuchaj, nie jestem zbyt dobra w związkach - ostrzegła. - Za dużo

czasu spędzam sama. Jak Frank Sinatra muszę wszystko robić po

swojemu.

Jake się uśmiechnął.

- Zaczynam to rozumieć.

- Wszystko się ułoży - zapewniła Neve.

- Tak. - Miał ochotę ją uściskać i zaczął się zastanawiać, jak długo uda im się zachować ten związek w tajemnicy przed kolegami z pracy, a co ważniejsze, przed szefostwem. - Znasz się na jajkach?

- Mogę się poznać. - Neve się uśmiechnęła.

- W takim razie mi pomóż. Tonę. Przysunęła sobie krzesło.

- Jasne.

Pip przeszedł obok nich ze spuszczoną głową, wpatrując się w zamkniętą teczkę z dokumentami.

- Hej, Pip - odezwała się Neve - chcesz przyjrzeć się z nami tej kampanii?

- Jestem zajęty. Może później.

Przyspieszył kroku.

- Co go gryzie? - zapytała.

- Nie wiem. - Jake się zamyślił. - Już go prosiłem o pomoc, ale mnie spławił.

- Więc jestem w zastępstwie? - Neve wyglądała na niemile zaskoczoną. Teraz wie, jak się czuł.

- Może jest zazdrosny - stwierdził Jake. - Teraz, kiedy oficjalnie jesteśmy razem.

- Pip nie ma z tym problemu.

Czy rzeczywiście? - zastanowił się Jake. Powiódł wzrokiem za

przyjacielem wychodzącym z biura i zaczął się zastanawiać, czy Pip jest zazdrosny, czy coś go gryzie.

Rozdział siedemnasty

Jestem spokojna, unosi się we mnie wielki balon spokoju. Jestem tak spokojna, że sama siebie zaskakuję. Jake zadzwonił dziś po południu, kiedy byłam w pracy, z pytaniem, czy może wpaść wieczorem. Usiłuję się na niego wkurzyć, ale jestem tylko rozczarowana i zawiedziona.

Spodziewałam się złości i bólu, a czuję tylko martwość i zrezygnowaną akceptację, a także wyglądającą gdzieś spod spodu ulgę, że to nie wyłącznie moja wina.

Przez pół godziny rozmawiałam przez telefon z Edie i to ona pomogła mi się pozbierać i osiągnąć stan zawieszenia, spokoju. Zwykle wygląda to inaczej. Zwykle moja siostra jest w chwilach kryzysu zupełnie bezradna i zwykle to ja porządkuję sprawy, które wymagają uporządkowania. Ale, mój Boże, stanęła na wysokości zadania.

Nalałam sobie kieliszek białego wina i sączę je względnie spokojna - o ile zignoruję łaskotanie w żołądku, obecne, odkąd Jake odszedł - gdy rozlega się pukanie do drzwi. Wycieram dłonie w spodnie i spoglądam w lustro, żeby sprawdzić, jak wyglądam, a potem otwieram i wpuszczam Jake'a.

- Cześć - rzuca i patrzy na mnie zażenowany. I bardzo dobrze.

- Nie musiałeś pukać - mówię. - To wciąż twój dom.

- Mam wrażenie, że to nie w porządku.

- Nic tu nie jest w porządku. - Wskazuję butelkę wina. - Chcesz się

napić?

- Nie. Nie mogę długo zostać.
- Myślałam, że przegadamy sytuację.
- Przyszedłem tylko po trochę rzeczy, a potem znikam.
- Nie chcę, żebyś znikł. Chcę wyjaśnić, co robimy i dlaczego to robimy.

Jake opada na krzesło z miną naburmuszonego pięciolatka i nagle spokój mnie opuszcza, czuję taką irytację, że mogłabym go uderzyć, choć przysięgam, że nigdy, przenigdy wcześniej nie miałam ochoty go bić.

Biorę kieliszek, ale drży mi ręka.

- Jak ci się mieszka u Pipa? - pytam.
- W porządku. Śpię na futonie w wolnym pokoju. Myślę, że „futon” znaczy po japońsku „mała niewygodna mata na podłodze”. - Próbuję się roześmiać, ale brzmi to sztucznie.
- Och, biedaku. - Współczująco wydymam wargi.
- Radzę sobie - zapewnia ze stoickim spokojem.
- Simon wciąż tam mieszka?
- Tak. Nie ma nic przeciwko temu.
- A gdzie jest ten wolny pokój? Myślałam, że w mieszkaniu Pipa są tylko dwie sypialnie.
- Eee... Owszem. Futon leży w salonie.
- Więc nie śpisz w wolnym pokoju? Śpisz w salonie? Jake się jeży.
- Tylko tymczasowo. Tracę cierpliwość.

- Czy jest coś, o czym chciałbyś mi powiedzieć? Jake nadal wygląda jak naburmuszony pięciolatek.

- Słuchaj, lepiej już pójdę. Wstaje z krzesła.

- Ja wiem, Jake - mówię, a głos mam tak spokojny, że ledwo mogę uwierzyć, iż należy do mnie. - Wiem, kim ona jest. Wiem, że z nią pracujesz. Wiem, że nie mieszkasz u Pipa. Wiem, że nie sypiasz w jego salonie na futonie ani na niczym innym.

Jake siada.

- Blefujesz.

Na myśl o kłamstwach, które wkradły się w nasze życie, czuję wszechogarniający smutek.

- To raczej ty blefujesz, Jake.

- Jednak napiję się wina - mówi mój były chłopak kłamca.

Konieczność wstania, by nalać wina, daje rni możliwość zrobienia czegoś. Czegoś, co mnie powstrzyma, zanim skręcę mu kark. Wręczam

Jake owi kieliszek. Wypija wino.

- Kocham ją.

- Najwyraźniej, skoro zostawiłeś wszystko, na co pracowaliśmy.

- Nie mogłem już tego znieść. Wszystkich tych zabiegów z powodu dziecka. Po prostu miałem dosyć.

- Dlaczego nic nie powiedziałeś?

- Mówiłem. Ale nigdy nie słuchałaś. Trąbiłaś tylko na prawo i lewo o moich niemrawych plemnikach.

- To dla mnie ważne.

- Ważniejsze ode mnie - stwierdza cicho Jake. Mój spokój się ulatnia.

- Nie mogę w to uwierzyć. Przez całe miesiące ciągnęliśmy to potworne leczenie, a ty cały czas pragnęłaś być z kimś innym. Byłaś z kimś innym! A potem wciskasz mi kit, że chcesz spędzić trochę czasu beze mnie, żeby móc grzebać w cudzych gaciach!

Jake milczy, ale twarz mu poszarzała.

- Nic dziwnego, że masz niemrawe plemniki - dodaję ze złością. - To pewnie z poczucia winy. Z nią też są niemrawe?

- To był cios poniżej pasa. - Po chwili zdaje sobie sprawę, co powiedział. - Miałem tego dosyć - powtarza i nagle także on wygląda na smutnego i zmęczonego. - Z nami koniec.

- Sama do tego doszłam.

- Zrobiłem wszystko, co mogłem, Lysso - mówi obronnym tonem.

- Pozwolę sobie być innego zdania.

- Nie zaplanowałem tego. Nie podjąłem świadomej decyzji, że będę miał romans. Takie rzeczy się zdarzają.

- Doprawdy? - Nie jestem tego taka pewna. - Tak po prostu przechodziła któregoś dnia obok ciebie i nagle zorientowałaś się, że pieprzysz ją na biurku?

Przerażenie malujące się na twarzy Jake'a zdradziło, że jestem bliska prawdy. Matko jedyna.

- Przestaliśmy po prostu nadawać na tej samej fali. - Jake jest zirytowany.

- A z nią?

- Ona jest inna. Nie jest taka jak ty. Chce tego, co ja. Waham się przez

chwilę, czy dociekać, że może tu chodzić

o porządnego kopniaka w tyłek.

- Jej zainteresowania wybiegają poza sklep Mothercare -stwierdza

Jake, obracając nóż w ranie. - Jest zdeterminowana, ma jaja.

- Wygląda, jakby mogła rzucić oszczepem dalej niż Steve Buckley.

- Widziałaś ją?

- Oczywiście, że tak. Widziałam was razem.

- Więc rozumiesz, co mnie w niej pociąga. Teraz moja kolej, by

milczeć.

- Nasze życie zostało zredukowane do zera - tłumaczy Jake. -

Straciłaś apetyt na życie. Myślisz tylko o tym, żeby zająć w ciążę.

Mężczyzn nie obchodzi posiadanie dzieci. Możemy udawać, że jest

inaczej, nawet może nas to przez jakiś czas bawić, ale tak naprawdę nic

nas to nie obchodzi. Nie tak, jak kobiety.

- A ona chce mieć dzieci?

Jake się śmieje.

- Nie. Neve chce się wspinać i surfować na wielkich falach. Ma

bardzo szerokie horyzonty.

I równie szerokie biodra, ale dochodzę do wniosku, że w tej sytuacji

lepiej o tym nie wspominać.

- Niedługo wybiera się na Everest. Tej kobiecie nie brakuje odwagi.

Moim zdaniem potrzeba dużo odwagi, żeby pozwolić swojemu

chłopakowi wstrzyknąć sobie w pupę koktajl hormonalny, ale o tym

też nie wspominam.

- Więc to byłoby na tyle - wzdycham. - Nie potrzebowałeś czasu do namysłu. Wygląda mi na to, że już wcześniej dogłębnie przemyślałeś sprawę.

- Owszem - przyznaje Jake.

- Pójdę do Edie, kiedy będziesz zbierał swoje rzeczy. Nie mogę patrzeć, jak znowu odchodzisz.

- Przykro mi, Lysso. Kochałem cię. Gdyby sytuacja wyglądała inaczej...

- Gdybym nie chciała dziecka?

- Może.

- Moim zdaniem to jest w tym wszystkim najsmutniejsze.

Prawdopodobnie mogłabym wybaczyć ci kłamstwa i oszustwa, ale tu chodzi o to, że tyle czasu, energii i pieniędzy poświęciliśmy na próbę realizacji marzenia, które było tylko moim marzeniem. Kiedy zamierzałeś mi o tym powiedzieć?

- Próbowałem, ale ty nie chciałaś słuchać.

- Włożę płaszcz. Zostanę u Edie przez parę godzin. Powinieneś mieć wystarczająco dużo czasu, żeby się ostatecznie wyprowadzić.

Wstaję i idę do szafki pod schodami, gdzie trzymamy płaszcze, po czym wyciągam ten najcieplejszy, bo jestem wyziębiona do szpiku kości.

Także Jake wstaje. Wydaje mi się mniejszy, niż zapamiętałam. Jakby w ciągu ostatnich kilku dni się skurczył. Wydaje mi się, że ja również

kurczę się w środku.

- Ty też nie byłaś ze mną całkiem szczerą - oznajmia Jake. Mrugam, żeby powstrzymać łzy.

- Nie możesz wszystkiego zwać na mnie, Lyso. - Głos mu drży. - O niemożność posiadania dzieci posądzasz moje niemrawe plemniki, ale to nie jest cała prawda, zgadza się?

Czuję się, jakby ktoś przyłożył mi pięścią i pozbawił tchu.

- Cały ten czas, kiedy mówiłaś mi, że z tobą wszystko jest w porządku, że wszystko jest dobrze i działa jak należy, to nie była do końca prawda, tak?

Jestem tak wstrząśnięta, że nie mogę wydusić słowa.

- Czytałem raport po konsultacji, Lyso. Ten, który przede mną ukryłaś. Zawsze czułem, że mnie obwiniałaś, ale sama nie byłaś w porządku. Uważam, że należy mi się wyjaśnienie.

- Moim zdaniem nic ci się nie należy - mówię cicho i wychodzę.

Rozdział osiemnasty

Edie posłała Lee do sklepu po wino dokładnie w chwili, gdy zjawiłam się u nich w domu, wstrząśnięta i szlochająca. Okazujemy mu naszą wdzięczność, pijąc wino z dużym entuzjazmem. Lee, wykazując się wycuciem, zniknął gdzieś, żeby zająć się jakąś tapetą. Jeszcze dwa kieliszki i rozszarpiemy na strzępy istoty rodzaju męskiego. Lee został także obarczony odpowiedzialnością za dzieci, żebyśmy mogły dokonać rozbioru mojego związku na czynniki pierwsze we względnym spokoju.

- Jake twierdzi, że straciłam apetyt na życie - mówię siostrze, a mój głos brzmi jak głos osoby, która straciła raczej chęć do życia.

- Co ten Jake wie - pociesza mnie Edie.

- Mówi, że tamta kobieta ma jaja.

- Ty też bywasz wojowniczką.

Głębiej wciskam się w sofę.

- Ona zamierza wspiąć się na Everest.

- Cóż, mam nadzieję, że zeżre ją wielki yeti z owłosioną dupą. Nie

przyznałabym się do tego głośno na imprezie - ani przed

siostrą - ale nie jestem tak do końca pewna, gdzie jest Everest. Wiem,

że to najwyższa góra na świecie, aż taka głupia nie jestem. Bo to jest

najwyższa góra, prawda? Z całą pewnością. Tylko miałabym poważny

problem z dokładnym wskazaniem jej na mapie. W każdym razie

wiem, że żyje tam yeti. Mam nadzieję, że ją zeżre. Powoli. Po kawałku.

Z tą idealną fryzurą na deser.

- Wygląda jak Action Woman - jęczę. - Założę się, że w wolnym czasie boksuje i siłuje się na rękę. Ma pupę znacznie większą niż moja.

- No cóż, tyłki to nowe cycki - stwierdza Edie.

- Naprawdę? A ty skąd to wiesz?

- Moja czternastoletnia córka opowiada mi wszystko, co powinnam

wiedzieć o świecie zewnętrznym. W pewnym sensie żyję poprzez nią. -

Edie z zadumą wpatruje się w przestrzeń, zastanawiając się nad swoim

losem. - Masz jakieś pojęcie, jak długo to trwa?

- Nie pytałam o szczegóły, ale moim zdaniem już od jakiegoś czasu. Z

całą pewnością romansował podczas naszych dwóch ostatnich prób in vitro. To wtedy zaczął pracować do późna i co piątek wychodzić na drinka z „kolegami”. - Najczęściej używał sformułowania „wpadnę tylko na jednego i wracam prosto do domu”. Ten „jeden” zwykle zajmował mu ze cztery godziny. Chociaż z drugiej strony, nigdy nie sprecyzował, co to właściwie oznacza. Zakładałam, że chodzi o butelkę piwa po zawyżonej cenie. Gdybym zdawała sobie sprawę, że o ukradkowe mizianie z nową dziewczyną, nie zerkałabym tak niecierpliwie na zegar, czekając na jego powrót.

- Co za dupek - prycha Edie. - I pomyśleć, że zawsze lubiałam Jake'a. Mimo opinii mamy.

- Ja też go lubiałam - mówię z ciężkim westchnieniem. - Nie mogę uwierzyć, że kiedy ja, niczym wielkanocny króliczek, skrzętnie gromadziłam cenne jajeczka, on szastał spermą na prawo i lewo.

- Nic dziwnego, że miał mało plemników, skoro dzielił je między dwie kobiety.

Krzywię się.

- Och, przepraszam. - Edie dolewa mi wina i obejmuje. - Napij się jeszcze. To ci pomoże zapomnieć.

Sytuacja jest okropna i nie mogę powiedzieć siostrze, że wina nie leży wyłącznie po stronie Jake'a. Ja też muszę wziąć na siebie jej część.

Głębiej zapadam się w poduszki i zamykam oczy. Chciałabym, żeby sofa mnie połknęła, żebym nigdy więcej nie musiała cierpieć. Niestety,

mogę tak po prostu chcieć, sofa nic sobie z tego nie robi.

Próbuję wrócić myślami do dni, kiedy nie miałam poczucia winy. To było dawno temu. Od tamtej pory musiałam mierzyć się z tym codziennie. Czasami problem znika tak daleko za horyzontem, że wcale nie boli. Kiedy indziej mam go dokładnie przed oczami, obija się o moją czaszkę jak obłąkana kukułka, która usiłuje wyrwać się z zegara. Nie potrafię się z tym uporać. Minęło za dużo czasu. Jake dotknął mojego najmroczniejszego sekretu. Rozgrzebał coś, czego nigdy nie uda mi się przyklepać. Wszyscy mają mroczne sekrety. Pokażcie mi kogoś, kto twierdzi, że nie ma niczego do ukrycia, a ja wam pokażę naturalną blondynkę po trzydziestce.

Jake ma rację. Okłamywałam go. Ale przede wszystkim okłamywałam samą siebie. Gdy rozpoczęliśmy nasz maraton in vitro, zapłaciłam za konsultację, o której nie wspomniałam Jake'owi. Specjalista potwierdził skalę moich wewnętrznych obrażeń. Mam zbliznowaciałe jajowody. Potwornie zbliznowaciałe. I wiem, skąd się te blizny wzięły. Nie powiedziałam Jake'owi. Nie chciałam, żeby wiedział. Nie chciałam, by ktokolwiek wiedział. Nadal nie chcę.

- Mama się o ciebie martwi - mówi Edie.

Jestem pewna, że mama się martwi, ale tylko trochę. Moja matka najbardziej martwi się o siebie. Zawsze bardziej troszczyła się o siebie i własne życie niż o mnie czy siostrę. Kiedy Edie zaszła w ciążę po raz pierwszy, matka całymi dniami leżała w łóżku, szlochając i jęcząc, co pomyślą sąsiedzi, i jakie z nas okropne córki. Obie byłyśmy

nastolatkami, przerażonymi nastolatkami. Edie zaszła w ciążę i nie miała pojęcia, co robić, a ja wiedziałam, że jak zwykle na mnie spada odpowiedzialność za siostrę. Kiedy potrzebowałyśmy matki, nie było jej. Ma stalowe włosy i stalowe oczy, ale nerwy z zupełnie innej substancji. Do tego głos, który doprowadza do łez panie w banku i recepcji, ale załamuje się w chwili, gdy w jej świecie pojawia się choćby zapowiedź kryzysu. Nie możemy polegać na naszej matce, to ona polega na nas.

Patrzę na zabawki rozrzucone na podłodze salonu Edie, stos kaset wideo z filmami dla dzieci koło telewizora i zastanawiam się, jak wyglądałby mój dom, gdybym miała dziecko. A najgorsze, że miałam szansę i ją zmarnowałam. W najgłupszy możliwy sposób. Nikt o tym nie wie. Ani Edie, ani matka, ani Jake.

Ledwo wszyscy doszliśmy do siebie po wstrząsie, jakim była pierwsza ciąża mojej siostry, ona znowu spodziewała się dziecka. Miała osiemnaście lat, ja byłam na ostatnim roku na uniwersytecie. Matka dostała szału, położyła się do łóżka z kolejnym atakiem waporów i nalegała, żeby tym razem Edie i Lee „zrobili, co trzeba” i się pobrali. Tuż przed końcowymi egzaminami wróciłam do domu, poskładałam do kupy matkę, poskładałam do kupy Edie, urządziłam ślub i kiedy było po wszystkim, wróciłam na uniwersytet i zabrałam się do siebie. Gdyby matka wiedziała, dostałaby co najmniej załamania nerwowego. W całej tej panice i zamieszaniu nikt nie zauważył, że co rano wymiotowałam. Nikt nie zapytał, dlaczego widok i zapach

jedzenia sprawiały, że biegłam do łazienki. Cała uwaga skupiała się na Edie i zbliżającej się wielkiej chwili - nikomu nie przyszło do głowy, że i ja mogłam zaliczyć wpadkę.

Przeżyłam trzymiesięczny romans z zamożnym studentem prawa imieniem Eamon. Nie mogę powiedzieć, żeby ziemia zadrżała, ale przez pewien czas odczuwałam niewielkie wstrząsy i zastanawiałam się, czy to może Ten Jedyń. Kiedy mu powiedziałam, że jestem w ciąży, wsiadł na skuter i zniknął w chmurze pyłu. Nigdy więcej go nie widziałam. Nie było go, kiedy dzwoniłam na stację, nie odpowiadał na moje listy. Któregoś dnia wsunął mi pod drzwi kopertę zawierającą pięćset funtów z liścikiem, że jego rodzina byłaby wstrząśnięta. Napisał, żebym usunęła ciążę. Tak też zrobiłam. Nie zastanawiając się, czy tego chcę. Wydawało się to najrozsądniejszym wyjściem, a ja zawsze byłam rozsądna.

- Wina? - pyta Edie.

Kiwam głową. Miło byłoby upić się teraz do nieprzytomności.

- O czym myślisz?

- O niczym. - Uśmiecham się, by jej pokazać, że sobie radzę. Nawet teraz nie potrafię powiedzieć prawdy. To musi pozostać sekretem. Edie byłaby przerażona i obwiniałaby siebie. Potem powiedziałyby matce, która pewnie dostałaby zawału - albo przynajmniej udała, że go dostaje - po czym zaczęłyby obwiniać wszystkich oprócz siebie. - Próbuję przemyśleć różne sprawy.

Aborcja okazała się katastrofą, najgorszą rzeczą, jaką w życiu

zrobiłam. Wypruła ze mnie nie tylko dziecko, ale i serce. Miałam wtedy dwadzieścia dwa lata. Myślałam, że skrzywdziłabym zbyt wiele osób. Nigdy się nie zastanawiałam, jaką krzywdę wyrządzam samej sobie.

Moje dziecko miałoby teraz dwanaście lat - nie wiem nawet, czy to był chłopiec, czy dziewczynka. Chciałam odczekać parę lat, dojrzeć, a potem zapełnić pustkę, która powstała w moim życiu. Kiedy jesteś młoda, myślisz, że kwestie płodności masz pod kontrolą.

Sądysz, że najpierw zrobisz wielką karierę, potem znajdziesz miłego faceta, ustatkujesz się. I kiedy nadejdzie właściwy moment, założysz rodzinę. Tylko że matka natura jest złośliwa i okrutna. Wspaniała kariera tak cię wyczerpuje, że nie masz czasu na znalezienie miłego faceta. Miły facet może nigdy się nie pojawić albo okazać się nie tak miłym i zwać nie w porę z koleżanką z pracy. Albo może nosić za ciasne gatki i mieć niemrawe plemniki. Kiedy uważasz, że nadszedł właściwy moment, matka natura zdążyła już pomajstrować przy twoich jajnikach i hormonach i zajście w ciążę staje się walką nauki oraz technologii z twoim własnym ciałem.

Po aborcji zostały mi zbliźnowaciale jajowody - tak stwierdził specjalista - ale także inne, znacznie gorsze blizny. I za karę nie mogę teraz mieć tej jedynej rzeczy, której pragnę najbardziej, a z której zrezygnowałam niemal bez namysłu.

Edie dolewa mi wina.

- Zanocujesz dziś u nas?

- Tak. - Mama ma rację. Samotność nie jest łatwa. Nie potrafię wrócić

i stawić czoła widokowi pustej szafy, z której zniknęły ubrania Jake'a.

- Poradzisz sobie - łagodnie odzywa się Edie.

- Tak. - Kiwam głową.

- Zawsze sobie radzisz, Lysso. - Trochę płacze jej się język. - Jesteś

silna. Należysz do tych, którzy przetrwają.

Kiedy ktoś mi mówi, że jestem niezniszczalna, mam ochotę położyć

się i rozplakać.

- Przez jakiś czas powinnaś być dla siebie wyrozumiała - tłumaczy

Edie. - Przynajmniej obiecaj, że na razie odpuścisz sobie tę dziecięcą

krucjatę.

- Nie mam wyboru, prawda? Od tej chwili druga strona mojego

uroczego podwójnego łóżka będzie pusta.

Czuję ukłucie złości i dojmującą samotność, gdy myślę o moim życiu

bez Jake'a, o tym, że jest związany z kimś innym. Z kimś z większym

tyłkiem i bardziej umięśnionymi ramionami.

Pamiętam, że Monica opowiadała mi kiedyś o pingwinach: uprawiają

seks raz w roku. Wygląda na to, że do nich dołączę.

Rozdział dziewiętnasty

Musiałam wstać bladym świtem, pojechać do domu, przebrać się, a

potem powlec do pracy. Im dłużej dojeżdżam, tym trudniej mi to

znieść.

Siedzę, piastując kartonowy kubek kawy ze Starbucksa, podziwiam

cudowny widok i próbuję się zmusić do zredagowania artykułu o dzienniku ciężarnej matki - *To życie mamy!* Każdy zapisany przeze mnie tytuł ma na końcu wykrzyknik. Jeśli próbuję przeciwstawić się wykrzyknikowemu trendowi, Monica mnie koryguje, jakbym o czymś zapomniała, a nie próbowała przeprowadzić cichą rewolucję.

Teraz przeciska się w stronę mojego biurka. Na czole ma bardzo poważną zmarszczkę. Za późno, by udawać, że pracuję, więc tylko upijam kolejny łyk kawy.

Moja przyjaciółka i szefowa przysuwa sobie krzesło i siada obok mnie. To bardzo zły znak, bo zwykle krzyczy na mnie, stojąc przed biurkiem, albo przysiada na rogu, zależnie od rodzaju wieści, które ma mi do przekazania.

- Jak idzie? - pyta.

- Średnio - odpowiadam. - Raczej średnio.

- Jake się odzywał?

- Tak. - Mocno zaciskam usta, co nieodmiennie pomaga mi stłumić parszywe emocje, gdy się ze mnie wylewają. - Wczoraj wieczorem zabrał wszystkie swoje rzeczy. Zamieszkał na stałe z panną Żelazną Dupą.

- Cholera - klnie Monica.

Teraz, kiedy wiedzą o dwulicowości Jake'a, nie winią mnie aż tak bardzo o rozpad naszego związku. Gdybym miała dość energii, mogłabym to wykorzystać.

Zdobywam się na zmęczony uśmiech.

- Od teraz może już być tylko lepiej.

Monica kręci się na krześle.

- Właśnie o tym chciałam z tobą pomówić. - Wyraz jej twarzy zdradza, że wolałaby ze mną nie rozmawiać. - Chcę, żebyś widziała w tym pozytywną zmianę.

W takim razie gwarantowane, że niczego pozytywnego nie zobaczę.

- Mów - proszę ze znużoną rezygnacją.

- Uznaliśmy, że korzystnym ruchem może być przeniesienie cię na jakiś czas do „Mojego Rozvodu”.

- Jacy my?

- Musisz się wyrwać z tego dziecięcego bagna.

-1 dla odmiany pławić w rozwodach? - Wybucham śmiechem. Często się zastanawiałam, czy ludzie wchodzą do sklepu i kupują „Mój Rozwód” bez mrugnięcia okiem. A może ukradkiem kładą go na ladzie, gestem, który sugeruje, że zwykle kupują rzeczy z najwyższej półki?

- Myślimy o tobie - zapewnia Monica i ściska moje ramię.

-Przechodzisz trudny okres. Zmiana scenerii może ci pomóc.

- Nie zrezygnuję ze swojego wspaniałego widoku. Gotowa jestem walczyć na śmierć i życie, żeby zatrzymać to biurko.

- Miałam na myśli scenerię metaforyczną.

- Więc mogę tu zostać? - Kto sprawdzi, ile razy przepływają pod oknami łódzie policji rzecznej i na wpół puste łódzie turystyczne, jeżeli mnie tu nie będzie?

- Możemy o tym porozmawiać - mówi Monica, co oznacza, że jakaś zawistna suka ma na oku mój teren.

- Czy to awans?

- Niezupełnie.

- A wiąże się z podwyżką? -Nie.

- Założę się, że oznacza więcej obowiązków.

- „Mój Rozwód” pracuje w trochę szybszym tempie niż my. Hmm...

więc mam w tym widzieć zmianę na lepsze. Nie jest

to awans. Nie dostanę podwyżki, ale przybędzie mi obowiązków.

Innymi słowy, robią przesunięcie, żeby nie oglądać mojej płaczliwej miny, a w dodatku będę musiała zrezygnować ze wspianiałego biurka.

- Nie chcę.

- Cóż... - Monica przestaje patrzeć mi w oczy - w pewnym sensie to już zostało uzgodnione.

- Z kim?

- Z zarządem.

W takich momentach żałuję, że związki zawodowe straciły silną pozycję. Nikt z nas tutaj nie należy do związku, chociaż wszyscy powinniśmy. Gdybyśmy należeli, pomaszerowałabym do jakiejś energicznej przewodniczącej, zionąc urazą, i wystawiła ją, żeby walczyła w moim imieniu. W obecnej sytuacji mówię tylko „dobra”.

- Spodoba ci się.

- Nie sędzę. Dlaczego mi to robisz?

- Uważamy, że tak będzie najlepiej, Lysso. Wyglądasz na trochę...

zrozpaczoną.

- Zrozpaczoną?

Nie było tak, że obudziłam się któregoś ranka i postanowiłam poddać się rozpaczy. Zanosilo się na to od dawna. Myślę, że z każdym mijającym rokiem zdawałam sobie sprawę, że mam coraz mniej czasu.

Wiem oczywiście, że w gazetach wciąż piszą o kobietach po menopauzie, które zaszły w ciążę dzięki cudom medycyny. Tylko czy można się cieszyć macierzyństwem, zostając członkiem grupy „Babcia czy Mama?”. Nie jestem pewna, czy chcę pchać wózek jako siwa, stojąca nad grobem staruszka, która żyje z emerytury. A jeśli zachoruję na alzheimera? Mogłabym nawet zapomnieć, że urodziłam dziecko!

- I kiedy wykonamy ten cudowny pozytywny ruch?

- W przyszłym tygodniu.

Gdybym chciała zmienić pracę, starałabym się o posadę w jednym z kolorowych czasopism, gdzie rozdają darmowe buty od Jimmiego Choo, kosmetyki Space NK i biżuterię od Tiffany ego. A na co mogę liczyć w „Moim Rozwodzie”?

Mam powyżej uszu tego, że jestem od wszystkich zależna - od Jake'a, zarządu, matki natury. Z zadumą spoglądam przez okno.

- Mojego biurka nikt nie dostanie - oznajmiam najgroźniejszym tonem, na jaki mnie stać.

Rozdział dwudziesty

Jake nie odezwał się przez cały tydzień. Co wieczór samotnie krążę po domu. Rozważam też rozstawienie zasieków z drutu kolczastego

wokół biurka. Jednak, wracając do domu pociągami w poniedziałek wieczorem, zdołałam podjąć nie jedną, ale dwie doniosłe decyzje. W następstwie pierwszej mam na sobie strój z lycry. Na pierwszy rzut oka bieżnia nie sprawia być może wrażenia przedmiotu, który pozwala zmienić życie, ale to początek.

Nie jestem szczęśliwa. Nie mam chłopaka. Nie mam dziecka. Praca nie daje mi satysfakcji. Myślałam, że wszystko, co wymieniłam, mnie uszczęśliwi, ale skoro w najbliższej przyszłości się na to nie zanoszą, zamierzam znaleźć inną drogę do szczęścia. Odnawiam karnet do siłowni i znajduję w sobie determinację, by z niego skorzystać.

Smutne, ale spodziewałam się, że Jake zadzwoni. Myślałam, że odezwie się, chcąc sprawdzić, czy nie popełniłam z jego powodu samobójstwa. Czy to nie dziwne, że któregoś dnia można opuścić kogoś, kto przez tak długi czas stanowił ważną część życia i więcej o tej osobie nie pomyśleć, nawet nie sprawdzić, czy żyje? O wiele za długo obgryzałam paznokcie i wydeptywałam w dywanie ścieżkę, czekając na jego telefon.

Dlatego teraz jestem w siłowni. To wydarzenie niemal równie doniosłe, jak druga podjęta przeze mnie decyzja. Przez ostatnie dwa albo nawet trzy lata płaciłam prawie sto funtów miesięcznie za członkostwo w fitness klubie i chyba spokojnie mogę stwierdzić, że ta inwestycja mi się nie zwróciła. Ale to się zmieni. Jeżeli Neve może wyglądać, jakby była w stanie wziąć udział w trzech triathlonach przed śniadaniem, ja też mogę. Będę sprawna

fizycznie, choćby miało mnie to zabić. A jest to bardzo prawdopodobne. Jeśli nie, zmienię się w szczupłą, wredną i atletyczną maszynę. Nie zagłębiałam do klubu tak długo, że znowu kazali mi wypełnić jeden z tych męczących kwestionariuszy, pomyślanych specjalnie, by człowiek czuł się jak Pani Obwisły Tyłek. I z całą pewnością obsługa jest jeszcze młodsza i piękniejsza niż kiedyś. W każdym razie ogólnie wiadomo, że bezmyślny wysiłek to najlepsze lekarstwo na depresję. Więc do dzieła!

Zamierzam także zaprzestać wysiłków, by zostać matką ziemią. W ostatnich tygodniach nasłuchiwałam się dość, by dotarło do mnie, że muszę odłożyć sprawę na jakiś czas. Mój chłopak, rodzina, przyjaciółki, a nawet zarząd mają moich zmagani powyżej uszu, więc to oczywiste, że na razie muszę o tym problemie zapomnieć.

Zamierzam nabrać filozoficznego dystansu do mojej smutnej sytuacji. Jeśli ma się coś zdarzyć, zdarzy się. Nie będę się bawiła w Boga z wykresami temperatury i zastrzykami. Muszę wziąć pod uwagę statystyki. In vitro nie działa w przerażających dziewięćdziesięciu pięciu procentach przypadków i jest potwornie, wręcz potwornie drogie. Zaledwie sto lat temu naukowcy nie wiedzieli nawet, jak wygląda zapłodnienie! Oczywiście elementy zewnętrzne były nieźle rozpracowane, ale nie mieli pojęcia, co się dzieje w następnej fazie. I proszę, do czego doszliśmy. Bez chwili zastanowienia wyjmują i wkładają embriony, robią z nimi, co chcą. Czy to jest postęp?

Przypomina mi się stary dowcip: jaka jest różnica między Bogiem a

lekarzem? Bóg nie uważa się za lekarza. Ha, ha. A może to już nie jest śmieszne. Pozwalam tym mężczyznom, bo niezmiennie są to mężczyźni, manipulować wszystkim, co mam w środku, żeby wyprodukowali dla mnie dziecko. Naukowcy potrafią teraz stworzyć dziecko z embrionu, który nie powstał samodzielnie, i w ten sposób zbliżamy się niebezpiecznie do terytorium doktora Frankensteina. Związane z tą błazenadą komplikacje etyczne zaczynają mnie przerażać.

Posiadanie dziecka nie będzie końcem i początkiem mojej egzystencji. Nie jestem pewna, co się stanie, ale zamierzam rozpocząć podróż, która pomoże mi to odkryć. Muszę zaakceptować prawdę, że wszyscy mamy swoje demony i każdy sam decyduje, czy ma je pod kontrolą, czy pozwala, by rządziły jego życiem. Moje zostaną wepchnięte tam, skąd wyszły.

W siłowni widzę całą masę przerażających kobiet. Kobiet, które wyglądają jak Neve. Kobiety o pulsujących bicepsach. Kobiety zdeterminowane, których ramiona poruszają się jak tłoki. Kobiety sprawiające wrażenia specjalnie przejętych swoimi starzejącymi się jajnikami. Zastanawiam się, czy za kilka lat będą takie, jak ja. Zmiękną z wiekiem i będą musiały znowu zdefiniować swoją rolę w życiu, kiedy przekonają się, że ta najbardziej upragniona nagle okazuje się dla nich nieosiągalna. W każdym razie nie zamierzam myśleć o dzieciach. Zamierzam dać tej bieźni niezły wycisk i wypracować uda, którymi zmiażdżę orzechy.

Oddycham głęboko i wchodzę na bieżnię, wciskając wielki czerwony guzik START. W filmach z Jamesem Bondem taki przycisk uruchamia bombę. Bieżnia rusza i na próbę zaczynam po niej maszerować.

Nabiera prędkości nieco szybciej niż ja. Czy naprawdę nie mam odrobiny kondycji? Ooo. Cholera. Nie mogę iść tak szybko!

Być może nie jest to szczególnie efektowny początek nowego ulepszonego życia, ale przynajmniej coś robię. Zamierzam wykorzystać lata, które pozostały mi na tej planecie. Nie postanowiłam jeszcze, w jaki sposób, ale na pewno coś zrobię. Coś innego niż bujany fotel i dzierganie na drutach. Coś niezwykłego. Taką podjęłam decyzję.

Nie posiadam żadnych szczególnych umiejętności. Nie miałam żadnych zdumiewających doświadczeń. Moje życie do tej pory było pozbawione wielkich uniesień. Wszystko to się zmieni. Zamierzam spojrzeć na odejście Jake'a jak na niespodziewane wyzwolenie z katorgi. Poważnie. Wciągam gorące powietrze w pracujące z wysiłkiem płuca. Być może w tej chwili powinnam skoncentrować się na dotrzymaniu kroku tej cholernej maszynie.

Jake i Neve ćwiczyli zawzięcie, wiosłowali ramię przy ramieniu, i Jake zdał sobie sprawę, że w swojej wizji wspólnego spędzania czasu musi dokonać pewnych poprawek. Zorientował się już, że z Neve nie da się wygrać, i jeżeli chce z nią być, musi się do niej dostosować. Z Lyssą zawsze czuł się winny, że tyle czasu poświęca na uprawianie sportu. Teraz sytuacja się odwróciła i Neve najwyraźniej nie ma

wyrzutów sumienia. Jest zdeterminowana, by osiągnąć cel, i nikt, a już na pewno nie przerażony chłopak, nie może jej zawrócić z obranej drogi.

Teraz, ciężko dysząca, lecz nadal atrakcyjna, pocila się, plamiąc szary designerski sportowy podkoszulek.

Jest zdumiewająca.

I zdumiewająco ambitna. Jake miał wrażenie, że zaraz odpadną mu ramiona, w piersi czuł ogień i ucisk, ale Neve nie zamierzała zwolnić. Wykluczone, żeby dał się pokonać dziewczynie. Zacisnął zęby i przyspieszył.

- Musimy jutro zakończyć jajeczną kampanię! - krzyknął, bardziej po to, żeby zakłócić jej koncentrację, niż z chęci przedyskutowania spraw zawodowych.

- Skończyłam wszystko dziś po południu. - Neve nawet nie podniosła wzroku.

- O - mruknął Jake. Widział ją zajęętą czymś przy biurku, ale nie przyszło mu do głowy, żeby zapytać, co to takiego. - Dobra, rano wszystko razem przejrzymy, a potem pokażemy Alekowi, niech rzuci okiem.

Alec był dyrektorem kreatywnym, szefem Pipa i twardym draniem.

W dodatku jedyną osobą, która bez wysiłku mogła wprawić Jake'a w zakłopotanie. Być może dlatego, że Jake zawsze miał przy nim uczucie, jakby na siłę starał się zrobić wrażenie.

- Widziałam się z nim po południu - rzuciła Neve.

Jake przestał wiosłować - po części dlatego, że był bliski śmierci z wyczerpania, po części z powodu szoku.

Neve też znieruchomiała. Wzięła ręcznik i przejechała nim po szyi i twarzy. Nagle zauważyła zdumiony wzrok Jake'a.

-Co?

- Chyba nie pokazałaś mu prezentacji? - wyjąkał.

- Owszem. Masz z tym problem? Miał.

- To moja kampania.

- Pracowaliśmy przy niej razem. Po południu dodałam parę rzeczy ekstra. Myślałam, że byłeś zajęty, nie chciałam ci zawracać głowy.

- Powinniśmy byli przedstawić ją razem. - Pomyślał, że to on powinien zaprezentować kampanię. To jego projekt. Czuł się jak dziecko, zazdrosne, bo ktoś inny bawił się jego piłką. Ugryzł się w język, żeby powstrzymać dalsze komentarze.

- Nic się nie stało - pocieszyła go Neve. - Alekowi się podobała.

Uważa, że jest inspirująca.

Jake się rozpogodził.

- Naprawdę? - Żałował, że nie było go, gdy Alec ocenił kampanię jako inspirującą. Generalnie nie szafował pochwałami.

- Tak - ciągnęła - powiedział, że jest pod wrażeniem naszej pracy

zespołowej.

- Poważnie? - Jake uśmiechnął się do siebie. W rzeczywistości szef nie miał pojęcia o zakresie ich zespołowych działań. Podejrzewał, że któreś z nich lub nawet oboje wylecieliby z hukiem, gdyby zaczął coś podejrzewać. - Mówił coś jeszcze?

Neve wzruszyła ramionami.

- Nie. - Wyciągnęła ręce nad głowę. - Skończyłeś?

- Tak. Skoczmy coś zjeść w drodze do domu.

Był pewny, że lodówka jest pusta. W ten weekend zamierzał zrobić duże zakupy w supermarkecie. Nie mogą przez całe życie bazować tylko na wódce Blue Sapphire i szampanie.

- Mam parę rzeczy do załatwienia - powiedziała Neve. - Zobaczymy się później.

Jake zerknął na duży zegar z nierdzewnej stali wiszący na ścianie siłowni. Prawie dwudziesta pierwsza.

- Teraz?

Neve wydeła usta.

- Teraz.

Nie zamierzał się podkładać, pytając, co takiego musi załatwić o tej godzinie.

- Myślałem, że moglibyśmy poprzytulać się na kanapie.

- Później - odrzuciła propozycję Neve.

Jake próbował ukryć, że mu przykro. Mimo wyprawy do domu w St Albans i przeniesienia wszystkich rzeczy do apartamentu - I

związanych z tym przykrości - wciąż nie czuł się zadomowiony.

Gdyby był szczeniakiem, Neve zostałaby już ukarana przez Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami za jego zaniedbywanie.

Podeszła i pocałowała go powoli, gryząc lekko, gdy chciał się odsunąć. Wciąż trudno mu było myśleć o niej jak o swojej dziewczynie. Czy Neve kiedykolwiek naprawdę będzie „jego dziewczyną”?

- To nie potrwa długo - dodała.

Odeszła, zanim zdołał zaprotestować, ciągnąc za sobą ręcznik. Jake ściągnął brwi. Jedzenie na wynos dla jednej osoby z każdą chwilą traciło na atrakcyjności. Alec mógłby nie zaakceptować wymiaru ich zespołowych działań, ale z punktu widzenia Jake-'a było ich o wiele za mało.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Everest wygląda na bardzo wysoki i na moje oko jest cholernie daleko. Wygląda też na to, że jeśli człowiek chce się tam wspiąć, musi mieć bardzo zły gust. Na zdjęciu wszyscy mają na sobie praktyczne czerwone kurtki z kapturami i wesołe czapki z pomponami. Być może zechcę zrobić w życiu coś ekscytującego, coś, co sprawi, że przyszli faceci - jeśli tacy będą - będą mówili o mnie z dumą. Znowu przeglądam broszurę na temat ekspedycji. Zaczynam odczuwać niepokój. W chwili czystego szaleństwa zadzwoniłam do firmy organizującej ryzykowne wyprawy i poprosiłam o przesłanie informacji. Chciałam tylko mieć jakieś pojęcie o miejscu, które zamierza odwiedzić Neve. Naprawdę. Być może nie powinnam ulegać

takim impulsem. Czy ludzie naprawdę spędzają w ten sposób dwutygodniowe urlopy? Co się stało z tradycją radosnego smażenia się na plaży, gdzie jedynym zajęciem pozwalającym rozruszać mózg jest czytanie babskiej literatury? Dlaczego ludzie mają potrzebę wypełniania życia egzotyką, wyzwaniem i tym, co niebezpieczne? I, bardziej w temacie, dlaczego ja sama czuję potrzebę, żeby to zrobić? Odpowiedź brzmi: chcę zrobić coś, na co ludzie powiedzą „o rany!”. Chcę, żeby pytali: „Znasz tę Lysę? W życiu nie zgadniesz, co zrobiła, kiedy chłopak ją rzucił”. Chcę zrobić coś godnego podziwu, żeby wszystkim opadły szczęki. Tylko niekoniecznie mając na sobie kurtkę z kapturem. Do plusów całej sprawy należy zaliczyć fakt, że broszura pokazuje masę facetów i niezbyt wiele kobiet. Pewnie dlatego, że większość kobiet ma więcej rozsądku i lepszy gust, jeśli chodzi o ciuchy. No i jeśli facet ma dość energii, żeby wybrać się na tego rodzaju wyprawę, może mieć ruchliwe plemniki. A przecież jeśli już przyjdzie co do czego, w łóżku wszyscy zdejmują czapki z pomponem. W każdym razie w moim łóżku.

Mam wrażenie, że życie nabrało tempa. To mój ostatni dzień w „Moim Dziecku”. W następny poniedziałek zostanę pracownicą „Mojego Rozvodu” i przekłety temat porzucenia ukochanego biurka nie został jeszcze poruszony.

Monica i Charlotte zabierają mnie na lunch, żeby życzyć mi szczęścia, i myślę, że będę go potrzebowała bardziej, niż myślą.

Widzę, jak w drugim końcu biura zgarniają swoje drobiazgi i idą w

moją stronę. Wpycham broszurę z wielkimi wysokimi górami na okładce do szuflady biurka i kiedy do mnie podchodzą, udaję niewiniątko.

- Gotowa? - pyta Monica.

Jestem gotowa.

Chwiejnym krokiem idziemy nabrzeżem, obejmując się, z głowami opuszczonymi dla ochrony przez wiatrem. Liliowo-szare chmury wyglądają, jakby brały udział w podniebnym wyścigu Formuły 1.

Przyglądam się, jak gwałtowny wiatr usiłuje ubić Tamizę na piankę, a potem chronimy się w jednej z bocznych uliczek, w naszej ulubionej restauracyjce, gdzie lubimy świętować. Wystarczy byle pretekst i już tam pędzimy - urodziny, rocznice, przenosiny do nieodpowiedniej pracy, oświadczenia, które zmieniają życie. Pueblo to hiszpańska restauracja serwująca wspaniałe tapas i cudowną kremową zupę z czosnku i chleba. Mnóstwo razy próbowałam ugotować ją w domu, ale nie smakuje równie dobrze, a chleb rozmięka.

W restauracji jest tylko sześć stolików, więc nie mam pojęcia, jakim cudem utrzymuje się w tej części Londynu. Wciskamy się w nasz ulubiony kąt, tuż przy oknie. Kiedy myślę o śmierci, wiem, że najbardziej będzie mi brakowało widoków z okien. Czy to znaczy, że spędzam życie, przyglądając się, jak mija? Monica dostaje przyspieszenia i potrzasa listą tapas, żeby nas skusić, a ja siadam i przyglądam się szarym ludziom w szarych płaszczach, którzy chowają głowy niczym żółwie, gdy tak prą naprzód, zgarbieni, chroniąc się

przed żywiołami. W ciepłych krajach ludzie chodzą inaczej, prawda?

Pewnym krokiem, z podniesionymi głowami, z wyprostowanymi plecami, chłonąc słońce. Przemykają na rolkach, rowerach i deskach, sprawiając wrażenie, że doskonale się bawią. Dzisiaj wiatr jest tak silny, że może wyrwać człowiekowi gałki oczne na drugą stronę.

Pedro, uroczy hiszpański kelner, który wygląda jak Antonio Banderas - szczególnie po drinku lub dwóch - przynosi nam butelkę wina, co oznacza, że po południu nikt nie popracuje. Ale czy mnie to obchodzi?

Nie.

- Myślisz o przyszłym tygodniu z przyjemnością? - Charlotte odważa się zadać pytanie.

- Tak. - Potrafię stwierdzić to z całą pewnością.

- Nie chcę, żebyś odchodziła z „Mojego Dziecka” - wyznaje, gdy tymczasem Monica nalewa wino - ale myślę, że zmiana dobrze ci zrobi.

- Ja też. - Upijam łyk.

Pojawia się Pedro, balansuje tacą pełną glinianych talerzyków, z nad których unoszą się fale niebiańskich zapachów. Chyba po raz pierwszy, odkąd Jake odszedł, wraca mi apetyt i uśmiecham się od ucha do ucha.

- Co się tak cieszysz? - Monica sięgnęła po jeden z talerzyków, zanim biedny Pedro zdążył podejść do stołu.

Czuję podniecające drżenie. Od lat mi się to nie zdarzyło. Odkąd zaczęliśmy się umawiać z Jakiem i nie mogliśmy się doczekać, żeby

wyjść z restauracji, pognać do domu i wskoczyć do łóżka. W tamtych czasach było mnóstwo niedokończonych posiłków. Smutno mi, że gdzieś po drodze zagubiliśmy zwykłą przyjemność bycia razem. Ale dziś nawet te myśli nie stłamszą mojego ducha.

- Powinnyśmy wznieść toast - oznajmia Monica.

- Zgadzam się! - Charlotte unosi kieliszek. Dolewam sobie wina.

- Za Lysę - mówi Monica. - Bez ciebie strona „Dziecięce Smuteczki” nie będzie już taka sama.

- Za Lysę - powtarza Charlotte. - Wspaniałą przyjaciółkę. Doskonałą redaktorę.

- Będziemy za tobą tęskniły - kończy Monica.

Ja też będę za nimi tęskniła. To wielka zmiana. Czuję ukłucie niepokoju. Po raz pierwszy zamierzam głośno mówić o swoich planach.

- Za „Mój Rozwód”. - Monica wypija wino.

- Za „Mój Rozwód”. - Charlotte robi to samo. Ja też piję kolejny kieliszek, w końcu dlaczego nie? Przez cały czas, kiedy próbowałam zająć w ciąży, nie wypiałam ani kropli i powinnam chyba nadrobić stracony czas.

- Spodoba ci się - zapewnia Monica. - To dobry zespół. Oczywiście nie tak dobry jak my, ale i tak dobry.

- I wciąż możemy jadać razem lunchy - zaznacza Charlotte.

- Chcą jednak przenieść cię do innego biurka - uprzedza Monica.

Jakby mogło mnie to zaskoczyć. Zawsze wiedziałam, że ten temat

wróci. Zbyt dużo osób ma oko na moje miejsce. Założę się, że Monica

znajduje się na czele listy. Lekko pochyla głowę. - Martwisz się tym?

- Nie. - I naprawdę się nie martwię. W ogóle. Widać, że odczuwa ulgę.

- Tak się cieszę - wzdycha. - Prawdę mówiąc, mam je na oku.

- Jakoś się domyśliłam.

- Nie przestaniesz mnie kochać, jeśli przejmę twój wspaniały widok?

- Może. - Chcę, żeby wiedziała, że nie dam z siebie zrobić popychadła.

- No cóż... - Monica zaciera ręce i łakomie wpatruje się w talerzyki z tapas. - Zaczynamy, zanim wystygną?

Obie wybierają po smakowitym kawałku.

- Pyszne, prawda? - mamrocze Charlotte. Powoli piję wino.

- Nie zamierzam pracować w „Moim Rozwodzie”. Jedzenie zatrzymuje się w połowie drogi do ust. Monica nie wygląda na rozbawioną.

-Co?

Charlotte opada szczęką.

- Nie zamierzam pracować w „Moim Rozwodzie”. - Bez względu na to, co książki mówią o poczuciu siły, nic tak człowieka nie podkreca.

Krew dosłownie musuje mi w żyłach. Mam wrażenie, że mogłabym spędzić całe popołudnie, powtarzając to zdanie. To jak mantra.

Naprawdę nie potrafiłam sobie wyobrazić, że spędzam całe dni na redagowaniu artykułów w rodzaju *Jak*

urządzić udaną imprezę rozwodową albo Siła intercyzy. W mojej sytuacji praca nad tekstami o rozbitych związkach nie byłaby krokiem do przodu.

- Co to znaczy? - pyta Monica, z trudem wymawiając słowa. Dobrze się bawię. Nabieram powietrza, bo chcę sprawiać wrażenie pewnej siebie, kiedy to powiem.

- Odchodzę.

Także Monice opada szczęka.

Z uśmiechem piję wino, które jest rozkosznie owocowe i działa dokładnie tak, jak powinno.

- Od-Chodzisz? - Monica się jąka. - Nie możesz!

- Chyba jednak mogę.

- Ale dokąd? - pyta z niedowierzaniem moja przyjaciółka. - Chodziłaś w tajemnicy na spotkania w sprawie pracy i nic nam nie powiedziałaś, ty krowo?

- Założę się, że załatwiłaś sobie jakąś super robotę - odzywa się Charlotte - i zzieleniejemy z zazdrości. Jeżeli będziesz dostawała darmowe markowe ciuchy, zatłukę cię na śmierć tą butelką wina.

- Nie mam nowej pracy - wyjaśniam. - Po prostu odchodzę.

- I co będziesz robiła? - Monica prawie krzyczy. - Zacznieś szukać innej pracy?!

- Odchodzę dzisiaj, Monico.

- Nie możesz! - Wygląda, jakby zaraz miała dostać wylewu. Czasami zapominam, że bywa bardziej zarządem niż koleżanką. - Masz

trzymiesięczny okres wypowiedzenia.

- I co mi mogą zrobić, Mon? Wstrzymać pensję? Pozwać mnie? -

Wzruszam ramionami, jakby nic mnie to nie obchodziło.

- Dlaczego? Dlaczego to robisz?

- Nie chcę pisać o rozwodach. To by było zbyt depresyjne.

- A jeżeli poproszę, żeby zostawili cię w „Moim Dziecku”?

- Nie chcę też pisać o dzieciach.

- Co!? - krzyczą jednocześnie.

- Wszyscy mają rację. Zbyt długo koncentrowałam się na zajściu w ciążę. Niczego w życiu nie osiągnęłam, rozmyślałam tylko o tym, co sprzedają w Baby Gapie. Chcę zrobić coś pozytywnego, tylko dla siebie. Chcę przeżyć przygodę.

- Przygodę?

- Przygodę - powtarzam. I mam nadzieję, że tak właśnie będzie.

Rozdział dwudziesty drugi

Rozlega się dzwonek i wlokę się schodami na dół. Kiedy otwieram drzwi, widzę moją siostrę. Mija mnie szybkim krokiem.

- Lee powiedział, że zostawiłaś wiadomość, że chcesz ze mną porozmawiać. - Edie rzuca torbę na sofę. - Stwierdziłam, że oderwę się od zlewu i zobaczę, czy świat wciąż istnieje poza drzwiami mojego domu, bo może wszystko zmieniło się w wypalone pustkowie. -

Zatrzymuje się gwałtownie. - Wychodzisz?

- Nie.

- Więc po co ci plecak?

Mam na sobie szorty i podkoszulek oraz pocę się jak świnia, ale Edie chyba tego nie zauważyła.

- Dlaczego masz na sobie szorty i podkoszulek i pocisz się jak świnia?

Nie mogę powstrzymać chichotu.

- Trenuję.

- Ja też. Chcę zostać alkoholiczką. Wyciągaj wódencję, siostra, cokolwiek. Nieważne, w jakim kolorze.

- Nie zapytasz mnie, dlaczego trenuję? Edie mości się w najwygodniejszym fotelu.

- Dlaczego trenujesz? Przybieram teatralną pozę.

- Jadę do Nepalu!

Siostra nie wygląda na poruszoną.

- Gdzie to jest?

Próbuję jeszcze raz. Przybieram kolejną teatralną pozę.

- Wybieram się na trekking w Himalaje!

- To góry, prawda?

- Dobrze powiedziane! Edie zrywa się z fotela.

- Oszalałaś?

- Być może. - Gdyby wiedziała, że mam w plecaku sześć puszek zupy

Heinza i przez ostatnią godzinę maszerowałam w górę i w dół po schodach, próbując zmienić swoje uda w stalowe sztaby, uznałaby, że oszalałam. Śpiewałam też na głos *Eye Of The Tiger*. Czy tak postępuje racjonalnie myśląca kobieta?

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Wszyscy mędzili, żebym przestała myśleć o dzieciach. Jake z tego

powodu

spieprzył.

Nie

mam

zobowiązań.

Na

koncie

oszczędnościowym zostało mi trochę pieniędzy, które chciałam

wykorzystać na kolejną próbę in vitro, a teraz mogę je wydać.

Siostra przygląda mi się z niedowierzaniem szeroko otwartymi

oczami.

- Co? - pytam. - Dlaczego nie?

- To dość nagła decyzja.

- Myślałam, że będziesz zadowolona. - Jeżeli wszyscy będą reagowali

w ten sposób, moja wiara w siebie może się nieco zachwiać.

- Ależ jestem. - Edie opada na krzesło. - Chyba. - Głośno wypuszcza

powietrze, wyraźnie próbując doszukać się w tym jakiegoś sensu.

Przeczesa palcami włosy. - Himalaje... - mówi z namysłem - są

takie... górzyste.

- Tak to już bywa z górami - przyznaję. - Stwierdziłam, że to będzie

wyzwanie.

- Rany Julek. Z całą pewnością. Czy jesteś w wystarczająco dobrej

formie?

Zsuwam plecak z ramion. Nie mam zamiaru pokazywać jej puszek z zupą. Nigdy w życiu nie nosiłam niczego ciężkiego na plecach, więc postanowiłam trochę potrenować.

- Dlatego właśnie staram się nabrać formy.

- Zaraz, zaraz! - Edie ściąga brwi. Mierzy mnie oceniającym spojrzeniem. - To chyba nie z powodu tej amazonki, która świsnęła ci chłopaka? - Oczy o mało nie wychodzą jej z orbit. - Zapisłaś się na tę samą wyprawę? Chcesz ją śledzić w górach?

- Aż tak mi nie odbiło - sapię. Chociaż przyznam, że się nad tym zastanawiałam. Przeglądałam wszystkie te broszury z myślą, że cokolwiek ona potrafi, ja potrafię lepiej. Potem uznałam, że pewnie nie, jeśli chodzi o wspinaczkę, ale wtedy dałam się już opanować wizji, że zrobię coś niezwykłego. Tak strasznie tęsknię za Jakiem, że nie dam rady tylko siedzieć i czekać, aż wróci. Oczywiście mogłam wybrać kilka tygodni w pięciogwiazdkowym spa w Tajlandii, ale teraz już trochę za późno na tego rodzaju wątpliwości. Siadam na krześle obok Edie. - Uważasz, że skazałabym się na takie umartwienia, żeby coś sobie udowodnić?

- Jakie umartwienia?

- No wiesz, wszędzie będę musiała dojść pieszo. Edie jakoś nie okazuje mi współczucia.

- To chyba normalne podczas trekkingu.

- I będę mieszkała w namiocie.

- W namiocie? Muszę się napić czegoś mocniejszego. Nigdy w życiu

nie spałaś w namiocie.

- Spałam!

- Raz, Lysso - przypomina mi siostra. - Przez jedną noc. Tak długo urabiałyśmy mamę i jęczałyśmy, aż pozwoliła nam pożyczyć namiot od sąsiadów i spać w ogrodzie przez jedną parszywą noc. I to nawet niecałą. Przekonywałyśmy ją przez całe tygodnie, a ty, ty, stchórzyłaś o wpół do jedenastej, bo uznałaś, że może po nas przyjść straszidło.

- Miałam dwanaście lat, a ty osiem. Opowiadałaś mi historie o duchach, a ja byłam nieprzytomna ze strachu. Teraz jestem starsza i mądrzejsza i wiem, że straszidła nie istnieją. Najgorsze straszidła, na które można się natknąć, to na ogół te, z którymi mieszkasz.

- A gdzie podłączysz suszarkę?

- Ooo. O tym nie pomyślałam. Siostra patrzy na mnie znacząco.

- Himalaje to nie miejsce na używanie prostownicy do włosów - oznajmia groźnie.

Przełykam ślinę.

- Ile godzin dziennie będziesz wędrowała?

Możecie mi wierzyć, że przeglądałam broszurę tak długo, aż znalazłam wycieczkę z napisem „łatwa" wypisanym wielkimi literami.

Mimo

wszystko,

w

porównaniu

Z

moim

zwykłym

dwudziestominutowym spacerem na dworzec, nadal zapowiada się mnóstwo chodzenia.

- Będziesz mieszkała w jednym namiocie z jakąś dziwaczką?

- Ha! - Przynajmniej ten problem rozwiązałam. - Zarezerwowałam cały namiot tylko dla siebie.

- Co za luksus. - Edie nie udaje się ukryć sarkazmu.

- I nie trzeba samemu tego namiotu rozstawiać.

- Brzmi kusząco. Dlaczego nie możesz sobie udowodniać różnych rzeczy w pięciogwiazdkowym spa w Tajlandii?

Siostra zna mnie zbyt dobrze. Nie ma mowy, nie przyznam się, że też się nad tym zastanawiałam, choć z pewnym opóźnieniem.

- Tego już próbowałam - mówię odważnie. - Nie ma w tym żadnego wyzwania.

- Mogłabym pojechać z tobą - proponuje Edie. - Całe dwa tygodnie bez dzieci. - Zamyka oczy.

- Ja... - zaczynam.

- Nic nie mów. Chcę przez chwilę zachować ten obraz. Dwa tygodnie bez dzieci...

- Ciesz się razem ze mną - błagam.

Otwiera oczy i widzę, że wciąż jeszcze nie odzyskała równowagi.

- Przyniosę wino.

Idę do kuchni. Nie czuję nóg, a wędrowałam po schodach z zupą tylko przez jeden wieczór. Edie idzie za mną.

- Cieszę się razem z tobą - zapewnia. - Naprawdę.

- Potrzebuję odmiany - tłumaczę jej. - Muszę się od tego wszystkiego oderwać. Od Jake'a, zastrzyków hormonalnych, sprayu do nosa podnoszącego płodność, od pracy. Chcieli mnie przesunąć do „Mojego Rozvodu”. - Mam nadzieję, że moje pełne rozpaczy spojrzenie dokładnie wyraża, co sędzę na ten temat. - Mam wszystkiego dość. -

Teraz odnajduję właściwy rytm. - Potrzebuję całkowitej odmiany.

- Na to z pewnością możesz liczyć - zgadza się Edie. Znajduje w szafce kieliszki i stawia je przede mną. Odczuwana przez nią potrzeba spożycia pokrzepiającego płynu najwyraźniej osiągnęła punkt krytyczny. - Kiedy jedziesz?

- Eee... - Miałam nadzieję, że nie zapyta. Rzuca mi swoje najgroźniejsze spojrzenie, zwykle zarezerwowane dla dzieci. Poddaję się i wyznaję: - W przyszłym tygodniu.

- Do licha. Niedługo. W życiu nie zdążysz nabrać formy, Lys-so.

Będziesz musiała przekupić jednego z tych Szerpów, żeby cię nieśli.

Coś mi mówi, że Edie może mieć rację. W pierwszej, jeśli nie w drugiej sprawie.

- I w firmie bez protestów dali ci urlop?

- Eee... - Miałam nadzieję, że o to też nie zapyta. - Złożyłam wypowiedzenie - przyznaję. - Dzisiaj. A potem po prostu wyszłam.

Edie mruga szybko, ale nic nie mówi. Pospiesznie wyjaśniam:

- A potem zadzwonili, kiedy wróciłam do domu, i stwierdzili, że mogę wziąć urlop naukowy, pełnopłatny, bo oczywiście musiałam żyć w wielkim stresie. Myślę, że to Monica im nagadała, że chcę pozwać firmę z powodu nieuwzględnionych w umowie zmian warunków pracy albo dyskryminacji ze względu na płeć czy czegoś. Nie miałam takiego zamiaru, ale to oznacza, że praca będzie na mnie czekać. I mogę wybrać, w którym czasopiśmie. - Uważam, że osiągnęłam całkiem sporo.

- Czy to naprawdę mówi moja idealna rozsądna siostra? - Edie jest wstrząśnięta. - Rzucasz pracę, żeby łązić po górach z ciężarem? Wzruszam ramionami.

- Być może czasy rozsądku mam już za sobą. - A może Jake znów mnie pokocha, gdy zostanę Action Woman, której już nie obchodzą dzieci.

Siostra drapie się w głowę.

- Na jak długo wyjeżdżasz?

- Na miesiąc. Tylko na miesiąc.

- Miesiąc. - Z całą pewnością widzę strach malujący się na twarzy

Edie. - W namiocie? Jasna cholera. Dobrze, że to nie na mnie padło.

Opieram się o blat. Drżą mi kolana, a ramiona trochę bolą od plecaka.

- Naprawdę uważasz, że zwariowałam?

- Jasne. - Moja siostra podchodzi i mnie obejmuje. - Ale za to cię

kocham. I za to, że próbujesz. Nie jestem pewna, czy bym się

odważyła.

- Nie jestem pewna, czyja się odważę.

- Przynajmniej będziesz próbowała. Poradzisz sobie. Tylko nie rozmawiaj z żadnymi obcymi jakami.

Wybuchamy śmiechem, ale w moim pobrzmiewa nutka zderzenia nerwowania.

Edie macha do mnie pustym kieliszkiem.

- Powinnyśmy otworzyć szampana. Wznieść toast za twoje nowe wariactwo, przepraszam, niezależność.

- Mamy zmrożoną butelkę. - Przy „my” wymieniamy z Edie spojrzenia. Włożyłam ją do lodówki tego dnia, kiedy Jake odszedł. Co za ironia.

- No, otwieraj - popędza mnie Edie. Wlewając kremowe bąbelki do kieliszków, mówię:

- To przyjemne. Czuję, że świętujemy.

- A ja czuję, że parę osób wkurzy się jak diabli. Nie jestem pewna, komu bardziej bym się bała powiedzieć, Jake'owi czy mamie.

I nagle okazuje się, że jest coś, co budzi we mnie niepokój większy niż podbój Himalajów.

Rozdział dwudziesty trzeci

Jak się przekonałam, tydzień to niezbyt dużo na przygotowania do tak ważnej podróży. Na wakacje plażowe wystarczy kilka kompletów bikini i sarong, no, może jeszcze eleganckie klapki. Wypad do Nepalu to inna liga. Pod względem sprzętu Himalaje są dość wymagające. W poniedziałek zdałam się na łaskę wyjątkowo uroczego młodego

człowieka w pobliskim sklepie sportowym. Po kilku godzinach przymierzania górskich butów, ocieplanych kurtek i dyskusji o rozmaitych zaletach całorocznych śpiworów wyszłam ze sklepu o kilkaset funtów lżejsza i kilka siatek cięższa.

Po powrocie do domu jeszcze raz wypróbowałam nowy sprzęt.

Okazało się to naprawdę niepokojące. Obawiam się, że mogę przypominać którąś z tych postaci w kurtce z kapturem i czapce z pomponem z broszurki bardziej, niż mam odwagę sobie wyobrazić. W dodatku ledwo się w tym wszystkim ruszam, nie wspominając o marszu pod górę.

W każdym razie teraz już się zdecydowałam - a przynajmniej powinnam być zdecydowana - i dla uczczenia tego doniosłego wydarzenia urządzam pożegnalne przyjęcie. Zaprosiłam kilka wybranych osób. Siostrę z mężem i dziećmi, kochającą babcię, która nie została jeszcze poinformowana, z jakiej okazji jest impreza, oraz Pipa. I tyle. Nie jestem pewna, dlaczego go zaprosiłam. Może dlatego, że jest dla mnie miły i dzwonił parę razy, by sprawdzić, czy wszystko w porządku - czego nie mogę powiedzieć o Jake'u.

Edie i jej świta już przybyli. Mama lubi przychodzić później, żeby zrobić wielkie wejście. Dzieciaki Edie rozłożyły całą moją garderobę na podłodze salonu i wszystko przymierzają. Sprawia im to dużą radość, ale nie na taką reakcję miałam nadzieję. Liam założył moje nowe górskie okulary przeciwsłoneczne. Krąży po pokoju, potykając się i trzymając mebli. Nic dziwnego, bo szkła są tak ciemne, że prawie

nie przez nie nie widać. Będę potrzebowała psa przewodnika, żeby nie runąć w przepaść, kiedy założę je na nos. A nie byłby to dobry początek podróży. Kolejna rzecz, którą mogę się martwić! Lee, pozbawiony możliwości majsterkowania, odizolował się od nas, czytając drobne ogłoszenia w darmowej lokalnej gazetce.

- Chciałam przygotować jakieś nepalskie potrawy - mówię do Edie - ale Sainsbury nie sprostął zadaniu.

- Tam jedzą tylko jaki - odpowiada Edie. Archie siedzi na jej biodrze.

- Mięso jaków, mleko jaków, masło z mleka jaków, jakowy jogurt. Po powrocie sama będziesz wyglądać jak jak.

- Skąd ty to wiesz, o skarbnico wiedzy wszelakiej?

- Widziałam kiedyś w telewizji.

Zjawia się Pip. Uważam, że wykazał się wyjątkową odwagą, zgadzając się dzielić jedno pomieszczenie z moją rodziną. Czasem nawet ja robię to niechętnie. Całuje mnie, wchodząc, i obdarza nieśmiałym uściskiem. Biorę od niego kask motocyklowy i ważącą tonę kurtkę. Niemożność uniesienia nawet średniej wagi przedmiotu zaczyna mnie martwić.

- A niech mnie. - Mój przyjaciel przebija się przez stosy sprzętu i dzieci na podłodze. - To wygląda poważnie.

- Wiem. Nie mam pojęcia, do czego służy połowa tych gratów.

- Też bym nie miał.

Oprócz całych ton sprzętu i ubrań zabieram też masę książek na wypadek, gdyby nikt ze mną nie rozmawiał. Pip bierze jedną do ręki i

przeгляda.

- Ciekawy wybór - stwierdza. - Być może nie najlepszy dla kogoś, kto spędzi miesiąc w namiocie.

Oprócz obowiązkowego przewodnika, postanowiłam zabrać tylko książki w miękkich okładkach opisujące morderstwa, horrory i seryjnych zabójców.

- Ale nie ma w nich nic o dzieciach, anielskich niemowlętach, romantycznych bohaterach ani szczęśliwych rodzinach, szczególnie po atakach seryjnego zabójcy, i zdecydowanie żadnych happy endów.

Pip się śmieje.

- W takim razie są jak najbardziej odpowiednie. - Pociera w zamysleniu podbródek. - A gdzie dokładnie zamierzasz je włożyć?

- Bóg jeden wie. - Jeszcze nie rozważyłam tej kwestii. Mam nadzieję, że mój plecak zadziała jak Tardis i w cudowny sposób pomieści wszystko, co do niego wepchnę.

- Słuchaj, teraz możesz jeszcze zwać, zanim moi krewni zatopią w tobie kły i szpony. Byłoby to rozsądne posunięcie.

- Bzdura. Chciałem przyjść i życzyć ci *bon voyage*.

- W takim razie chodź, poznasz moją siostrę. - Edie wygląda, jakby oczy miały jej wyjść z orbit. - Edie, poznaj Pipa. Pip, Edie.

- Miło cię poznać. - Pip wygląda, jakby chciał wymienić z nią uścisk dłoni, ale moja siostra w jednej trzyma kieliszek z winem, a w drugiej niemowlę.

- Ciebie też. I co o tym sądzisz?

Wskazuje Archiem górę moich ciuchów. Pip odwraca się, by jeszcze raz obejrzeć mój sprzęt trekkingowy w pełnej kolorowej krasie, jakby nie mógł uwierzyć, że może być tak niemodny. Warto zaznaczyć, że ma na sobie koszulę, która wygląda jak fioletowe opakowanie czekolady. Moja mama uzna to za wyjątkowo podejrzane. Zwykle nie miewa do czynienia z mężczyznami w fioletowych metalizowanych koszulach.

Edie bezgłośnie szepcze „jest niesamowity!” dokładnie w chwili, gdy Pip się do nas odwraca. Ma dość przyzwoitości, by sprawiać wrażenie zakłopotanego, gdy tymczasem twarz mojej siostry zdradza skrajne przerażenie i Edie próbuje wtopić się w ścianę. Czuję, że się rumienię.

- Daisy! - krzyczy Edie. - Przestań wpychać sobie but na głowę. -

Patrzy na nas przepraszająco. - Wybaczcie. - I znika, żeby stłuc lub upomnieć dzieci.

- Przepraszam. W dodatku jest najmniej kłopotliwa ze wszystkich.

- W porządku - śmieje się Pip. - Kobiety codziennie mdleją na mój widok.

- Jasne!

- Jest urocza. - Podąża wzrokiem za Edie. - Zupełnie jak ty. - Po chwili jego uwagę przykuwa kłęb górskiej odzieży leżący na podłodze.

- Odważna z ciebie dziewczyna. - Gładko zmienia temat. Kciukiem wskazuje górę ciuchów.

- Cóż, zachęcałeś mnie, żebym zrobiła coś ze swoim życiem, więc po części jesteś za to odpowiedzialny.

Pip zniża głos:

- Proponowałem, żebyś znalazła sobie kochanka, a nie rzucała pracę i znikła za horyzontem.

- Mam wrażenie, że dobrze robię. - Nie znajduję innego wyjaśnienia.

- W takim razie nie wahaj się. - Obejmuje mnie. Z drugiego końca pokoju siostra puszcza do mnie oko. - Ja tam cię podziwiam.

- Być może ty i nikt więcej - wzdycham, ale podoba mi się myśl, że ktoś mnie podziwia. Czy nie tego chciałam?

- O, do licha! - Z pewnością nie zasługuję na podziw jako dobra gospodyni. - Nie zaproponowałam ci nic do picia.

- Najwyraźniej pochłaniają cię bardziej wzniosłe kwestie.

- Wina?

- Nie. Jestem motorem. Napiję się soku pomarańczowego czy czegoś takiego.

- Chodź spojrzeć, co mamy. - Ruszam w stronę kuchni, żeby znaleźć coś bezalkoholowego dla mojego wstrzemięzliwego gościa. Pip idzie za mną.

Kiedy nalewam mu szklanę soku, bardzo estetycznie upozowuje się przy mojej lodówce.

- Skoro już jesteśmy sami, jak się miewasz?

- Och, w porządku.

Podaję mu szklanę, a wtedy dotyka moich palców i zmusza, żebym spojrzała mu w oczy.

- Ale naprawdę?

- Eee... naprawdę to tęsknię za Jakiem tak bardzo, że aż mnie boli.

Jestem potwornie przerażona podróżą, a w dodatku boję się, że moja siostra może mieć rację i będę zmuszona przez miesiąc jeść przetwory z jaka.

- Poradzisz sobie. - Pip uśmiecha się łagodnie. - To będzie szkoła charakteru.

- Tego boję się najbardziej. - Zajmuję się sięganiem po wino i dolewaniem soku, a kiedy nie mogę już dłużej wytrzymać, wyrywa mi się pytanie: - Jak tam młody kochanek?

- Jake? - Pip pociera podbródek. - Przekonuje się, że w miłości i na wojnie wszystko jest dozwolone.

- Tak?

- Pozostaję przy swojej pierwotnej ocenie. Gdybym był hazardzistą, postawiłbym piątką, że rozstaną się przed świętami.

Mamy teraz początek listopada, co oznacza, że gdy wrócę z wyprawy, będę musiała odczekać tylko kilka tygodni, zanim Jake pojawi się na moim progu. Serce podskakuje mi z radości.

Nie udaje nam się przedyskutować tej kwestii dokładniej, bo zjawia się moja mama i od razu wkracza do kuchni. Patrzy na Pipa nieco lekceważąco i trzeba przyznać, że Pip dzielnie udaje, że tego nie widzi.

Mama rzuca torebkę i zaczyna zdejmować rękawiczki w sposób, który można określić wyłącznie jako „celowy”.

- Edie właśnie mi powiedziała o tych bzdurach. - Dzięki, Edie. - Cóż ty sobie, do cholery, wyobrażasz?

- Pomyślałam, że to będzie jakaś odmiana. Coś, co można umieścić w CV, opowiedzieć wnukom.

- Zanim będzie się miało wnuki, trzeba mieć dzieci - zauważa mama i jeszcze raz mierzy Pipa od stóp do głów, by sprawdzić, czy nadawałby się na ojca.

- Myślałam, że będziesz zadowolona. - Nie, niczego takiego nie oczekiwałam.

- Oczywiście, że tak, kochanie. - Kładzie mi dłoń na ramieniu. -

Wiesz, że we wszystkim cię popieram. - Udaje mi się powstrzymać

komentarz: „A to nowość”. Mama zaczyna nagle wyglądać trochę

niewyraźnie. - I co mamusia bez ciebie robi, kochanie?

To już brzmi bardziej normalnie.

- Na pewno sobie poradzisz - zapewniam ją beztrąsko. - Wrócę, zanim się zorientujesz.

- Mam taką nadzieję - odpowiada zagadkowo moja udręczona rodzicielka.

Chcąc odwrócić myśli od swojej trudnej sytuacji, przesuwa palcem po kuchennych blatach, które często nie trzymają norm czystości.

- Tylko czy nie postępujesz z niestosownym pośpiechem?

- To się nazywa spontaniczność - wyjaśniam. - Coś, czego od dawna brakowało w moim życiu. Uznałam, że to mi pozwoli zapomnieć.

Mama nie wygląda na przekonaną. W tym momencie w drzwiach staje Daisy. Ma na sobie moją kurtkę sięgającą podłogi i czapkę z pomponem naciągniętą na oczy.

- Jestem yeti, babciu - oznajmia moja siostrzenica i ryczy groźnie, by to udowodnić.

- O tak - potwierdza babcia. - Za parę tygodni ciocia Lyssa będzie w tej kwestii specjalistką.

Ponad jej ramieniem podchwytuję spojrzenie Pipa. Patrzy na mnie z aprobatą.

- Myślałam, że to będzie dobra zabawa - mówię bez przekonania.

Mogę tylko mieć nadzieję, że się nie mylę.

Oprócz mojej siostry wszyscy już poszli. Edie zdołała jakoś przekonać męża, żeby zabrał dzieci do domu - pod pretekstem, że zostanie, by pomóc mi posprzątać. Jej dzieci zdemolowały cały dom, więc sprzątanie zasadniczo polega na dopijaniu resztek wina z szeregu butelek, które otworzyliśmy.

Myję kilka półmisek zbyt dużych, żeby wstawić je do zmywarki.

Edie kładzie nogi na kuchennym stole, a kieliszek wina stawia sobie na piersi.

- Dzięki Bogu, że już poszli - wzdycha. - Kocham moje dzieci, ale szkoda, że raz na jakiś czas nie można z nich wyjąć baterii.

Wykańczają mnie.

- Nie masz pojęcia, jaka z ciebie szczęściara.

- Tylko nie zaczynaj - ostrzega. - Sama nie masz na co narzekać.

Tobie też przyfarcilo.

Patrzę na nią, nic nie rozumiejąc.

- Pip - wyjaśnia. - Pamiętam, że o nim opowiadałaś, ale nie mówiłaś,

że na jego widok omdlewa się z zachwytu.

- Jest w porządku.

- W porządku! Twój system wykrywania prawdziwych facetów najwyraźniej jeszcze się nie zresetował.

- Jesteś mężatką i rzadko wychodzisz z domu. Łatwo zrobić na tobie wrażenie.

- Nie zaprzeczam. - Wygląda na rozmarzoną. - Myślisz, że na ciebie leci?

- Nie. To po prostu kumpel. - Daj mojej siostrze palec, a złapie całą rękę, zupełnie jak matka.

- A może mógłby być kimś więcej? - Zerka na mnie znacząco.

- Nie. Poprosiłam, żeby się ze mną przespał, ale nie był zainteresowany.

- Co? - Edie prawie krztusi się winem.

- Tak właśnie postępujemy w dzisiejszych czasach my, młode i niemające partnera kobiety - rzucam przez ramię. Nie wspominam, że pytanie padło w żartach.

- Tajemnicza z ciebie osoba. Nie rozumiem, co wstąpiło w moją starszą siostrę.

- Łagodny bunt, który zrodził się z konieczności - odpowiadam znużona.

- Ja tam bym mu nie odmówiła. - Moja siostra patrzy w kieliszek.

- Stwierdził, że jesteś urocza. Edie siada.

- Naprawdę? Uśmiecham się.

- Widziałam, jak się na ciebie gapił.
- Naprawdę? - Edie w zamyśleniu sączy wino. - Tak mi się wydawało, że mi się przyglądał.
- No widzisz?
- Jeżeli cię nie interesuje - ożywia się - sugeruję, żebyś się przesunęła i zrobiła miejsce komuś innemu.
- Ty jesteś mężatką, a ja nie jestem zainteresowana. Ale masz rację, Pip jest uroczy. Tylko że to nie Jake.
- Mam nadzieję, że nie zamierzasz siedzieć i czekać, aż ten drań wróci.
- Jadę do Nepalu. Wydaje mi się, że nie można tego zaklasyfikować jako siedzenia i czekania. - Prawdę mówiąc, zaczynam się martwić, że nie posiedzę, ile trzeba. Odkładam ścierkę i pomagam siostrze dopić resztki wina. - Pip uważa, że tamten związek nie przetrwa.
- Może mieć rację - zgadza się Edie. - Ale nie wolno ci bez końca pauzować, czekając na Jake'a. - Siostra dziwnie mi się przygląda. - Mam nadzieję, że poznasz jakiegoś wielkiego pasterza jaków z owłosionym tyłkiem, który porządnie cię wybyzka.
- Znając moje szczęście, tak się właśnie stanie.

Rozdział dwudziesty czwarty

Jake siedział, wpatrując się bezmyślnie w ekran komputera, kiedy do biura wszedł Pip.

- Hej! - wykrzyknął Jake.

Pip stanął i po dłuższej chwili namysłu podszedł bliżej. Jake

zastanowił się, czy przyjaciel szedł prosto do biurka, zamiast jak zwykle uciąć sobie z nim pogawędkę.

- Cześć.

- Udany weekend? - spytał Jake.

- Owszem. Niezły. A twój? Jake się rozejrzył.

- Niespecjalny. - Neve nie było przy biurku. Przyjechali razem, ale w chwili, gdy weszli, zniknęła i do tej pory nie wróciła.

- Znow sam w domu?

- Tak. - Jake przygryzł koniec pióra. - Czy to moja wina, stary? Jestem zbyt wymagający?

- To ci powiedziała?

- Niedokładnie w taki sposób, ale chyba do tego piła. - Jake wydał policzki. - Nienawidzę kobiet. Są po prostu zbyt... zbyt... odmienne.

- Byłoby gorzej, gdyby niczym się od nas nie różniły, stary.

- Owszem. - Być może po części na tym polega jego problem. Neve jest dokładnie jak facet. Oczywiście nie w kwestii urody, ale

zachowuje się jak facet. Chce spędzać weekendy na siłowni i ze swoimi znajomymi. Nie ma pojęcia o zakupach, chyba że w

designerskich butikach, i prawdopodobnie nigdy w życiu nie wzięła do ręki odkurzacza. W jej mieszkaniu nie znalazł ani jednej szmatki. Nie

w tym rzecz, że panował tam bałagan, wręcz przeciwnie, ale

sprzątaczką musi najwyraźniej przynosić wszystko ze sobą. Kobiety nie powinny takie być. Lyssa nigdy taka nie była. Z radością

zajmowała się domowymi pracami. Był tego pewny.

Jake otworzył papierową torebkę, którą Pip położył na jego biurku, i zbadał zawartość.

- Mniam. - Poczęstował się czekoladowym rogalikiem, gdy tymczasem Pip obserwował go z odrazą.

- W pałacu Neve lodówka wciąż pusta?

- Pęka w szwach. - Naprawdę zjadł śniadanie, ale tylko dlatego, że znaczną część wolnego czasu poświęcił na wędrowkę z koszykiem po supermarkecie w towarzystwie innych niechętnie udomowionych frajerów. Wgryzł się w pieczywo. Było bardzo smaczne.

- Robię to w ramach przysługi, nie stracisz linii.

- Uroczy jesteś - mruknął Pip. - I co robiłeś?

- Powlokłem się za Neve do siłowni, ale chyba nie była zachwycona.

Nie da się flirtować z seksownymi instruktorami, kiedy ciągniesz za sobą swojego starego. - Jake filozoficznie wzruszył ramionami.

Wyobrażał sobie, że robią razem z Neve różne rzeczy - romantyczne spacery po Hyde Parku, miłe lunche w szykownych bistrach, przytulanie wieczorami na sofie. To, co robili z Lyssą, zanim „dziecko” stało się najczęściej używanym słowem w jej słowniku.

Kobiety na ogół chcą mieć faceta pod ręką, tymczasem Neve jest obsesyjnie niezależna. Przeważnie czuje się, jakby jej przeszkadzał. A jeżeli tak, to dlaczego poprosiła, żeby się do niej wprowadził? A może on to zasugerował? Uczciwie trzeba przyznać, że Neve nie wspomniała o żadnych innych trwałych związkach w swoim życiu - ale z drugiej strony, w ogóle niewiele mówi, bo rzadko kiedy są razem. Być może

wszystko to jest dla niej nowością.

- W sobotę wieczorem wyszła dokądś ze znajomymi, a ja oglądałem sportowy przegląd tygodnia z torebką śmietanowo-cebulowych chipsów i dwoma puszkami miller lite.

- Hmm...

- Rzeczywiście „hmm” - prychnął Jake. - Ale nie powinienem narzekać. - Właściwie nie był pewny, dlaczego nie. - A ty?

Pip zmienił pozycję.

- Niewiele się działo.

- Nie mogło być gorzej niż u mnie, stary. - Jake westchnął. A potem uśmiechnął się szeroko. - A może jesteś taki tajemniczy, bo w sprawę zamieszana jest jakaś urocza dama?

- Owszem.

Jake wyprostował się na krześle. -O?

Pip w zamyśleniu przygryzł wargę i namyślał się przez chwilę, zanim odpowiedział.

- Byłem wczoraj u Lyssy.

Jake wyprostował się jeszcze bardziej.

- Mojej Lyssy?

- Twojej byłej Lyssy.

Jake poczuł się lekko wyprowadzony z równowagi.

- A co tam robiłeś?

- Gdybyś chociaż raz do niej zadzwonił, pewnie byś się dowiedział.

- Byłem zajęty. - Nawet on usłyszał, że mówi obronnym tonem. Pip

spojrzał, jakby chciał powiedzieć: „Właśnie mi powiedziałeś, że cały weekend się opieprzałeś”.

- Nie chciałem jej denerwować - pospiesznie sprostował Jake. -

Wszystko u niej w porządku? - Próbował wyglądać na stosownie skruszonego. - Nie zniósłbym myśli, że z mojego powodu snuje się bez celu.

- Nie. Nie można powiedzieć, żeby snuła się bez celu. Jake zmusił się do uśmiechu.

- Nie myślisz chyba... - Pip uniósł pytająco brwi. - No wiesz, nie myślisz chyba... że ty i Lyssa?

Pip odczekał chwilę.

- Może... A co, to byłby jakiś problem?

- Dla mnie? A dlaczego miałbym mieć z tym problem?

- No właśnie. Oszczedłeś do większych i lepiej umięśnionych zadań, nie pamiętasz?

- Jasne. Jasne, chyba tak. - Jednak poczuł, że wywraca mu się żołądek. To z pewnością za sprawą wszystkich tych fast foodów, które skonsumował w ostatnich tygodniach.

- Może ją zapytam, czy pójdzie ze mną na randkę. - Pip patrzył prosto przed siebie - Kiedy wróci.

- Wróci? Skąd wróci?

- Z Nepalu. Dokładnie z Himalajów. Jake poczuł, że blednie.

- Po co ona tam jedzie, do cholery? - wykrztusił.

- A dlaczego nie? - Pip wzruszył ramionami. - To chyba dosyć

popularne. - Jake nie mógł nie usłyszeć lekkiego rozdrażnienia w jego głosie.

- Tak, ale nie Lyssa! Ona... to nie w jej stylu! Pip chyba próbował ukryć uśmiech.

- A jeśli postanowiła zmienić styl?

- Nie może. - Jake czuł, że wzbiera w nim fala paniki. - Ona maluje paznokcie. I robi sobie makijaż. Codziennie.

Jake zauważył, że Pip nie wygląda na specjalnie przejętego, ale Pip nie jest jej chłopakiem. Jeszcze. Z drugiej strony, on też nie, już nie.

- Z kim jedzie?

- Z nikim. Jedzie sama. Jake prawie się zakrztusił.

- Myślisz, że jej odbiło? Pip się roześmiał.

- Nie. - Po czym nagle spowaźniał. - Chyba nigdy nie widziałem jej równie skoncentrowanej.

Jake pokręcił głową.

- Muszę z nią porozmawiać. Nie może tego zrobić.

- Oj, chyba się przekonasz, że może. Rzuciła pracę i jedzie. Jake poczuł, że serce zaczyna mu walić jak młotem. Zastanowił się, czy to może być atak paniki. Tylko raz w życiu czuł się równie źle

- kiedy usiłował dotrzymać kroku Neve na siłowni.

- Rzuciła pracę! - Złapał się za głowę. - Oszalała.

- Dlaczego twoim zdaniem coś jest fajne, kiedy robi to Neve, a w przypadku Lyssy widzisz w tym katastrofę?

- To bardzo różne kobiety. Lyssa sama sobie nie poradzi. Neve

nikogo nie potrzebuje. - Ta myśl wwierciła się boleśnie w jego

podświadomość. Rzucił Pipowi oskarżycielskie spojrzenie. - Nie mogę

uwierzyć, że wcześniej o tym nie wspomniałeś.

- Nie sądziłem, że jeszcze cię to interesuje.

- Nie może tego zrobić. Jest bezbronna. Muszę ją przekonać, żeby

tego nie robiła. Pojadę do niej dziś wieczorem.

- Spóźnisz się.

Jake jęknął przerażony. Co to ma znaczyć? Pip niespiesznie zerknął

na zegarek, o wiele za wolno, jak na potrzeby Jake'a.

- Za parę godzin będzie już w drodze na lotnisko. Jake wstał.

- W takim razie jadę od razu.

Tym razem Pip wyglądał na zaskoczonego.

- A co z prezentacją dla rady marketingowej tych od jaj? Jake ściągnął

brwi.

- Jak to co?

- Przychodzą lada chwila. Mocniejsze ściągnięcie brwi.

- Kto tak twierdzi?

- Neve. - Teraz także Pip ściągnął brwi. - Ustaliła wszystko z

Alekiem, nie powiedziała ci?

- Nie. - Jake nie potrafił nazwać emocji, które wywołała ta in-

formacja. - Nawet nie wspomniała. - Mimo że razem przyjechali do

pracy. Co to za rozgrywka?

- Spadam - rzucił Jake.

- Zadzwoń do niej.

- Nie będzie chciała ze mną rozmawiać. Wiem, jaka jest. -A

przynajmniej tak mu się wydawało.

- Nie zdążysz na spotkanie - ostrzegł Pip.

- Chyba i tak nie byłem zaproszony. - Jake wkładał płaszcz. - Wiesz

co, Pip? Nagle nie wydaje mi się to takie ważne. Spróbuję złapać

Lysę. Chcę ją powstrzymać przed popełnieniem życiowej pomyłki.

Jake nie był pewny, czy właśnie sam takiej nie popełnia.

Rozdział dwudziesty piąty

Otwieram drzwi, a w progu stoi Jake. Zadyszany i czerwony. Włosy

w nieładzie, wygląda okropnie. Ma podkrążone oczy, co pewnie jest

efektem ubocznym uprawiania gdzie popadnie seksu z dorodną Neve.

Wygląda na skonanego. Chciałabym czuć z tego powodu satysfakcję,

ale nie czuję.

- Czego chcesz?

Jake wpycha się do salonu.

- Pip mi powiedział o twoim durnym planie - dyszy.

Staje jak wryty na widok mojej nowiutkiej torby z ekwipunkiem,

plecaka i kurtki z kapturem w dość rzucających się w oczy kolorach.

- Dobry Boże - jęczy.

- Nie mam czasu na pogaduszki - mówię najuprzejmiej jak potrafię. -

Jadę na lotnisko.

- Nie możesz. - W oczach Jake'a widzę przerażenie.

- Dlaczego? - pytam. - I nie mów nic o jakach i yeti. Już to słyszałam.

Dziwnie jest widzieć go tutaj. Nie czuję się przy nim swobodnie,

zupełnie, jakbyśmy nie spędzili razem ostatnich czterech lat. Tamto to

było moje stare życie, a to jestem nowa, biologicznie doskonalsza ja.

- Naprawdę wszystko przemyślałaś?

- Co tam będziesz robiła?

- Trekking. Nie tak trudny jak Neve. - Nic na to nie poradzę, że mówię ostrym tonem. - Ale dla mnie w sam raz.

- Nawet na spacer dookoła parkowego stawu wychodzisz po godzinnych protestach.

- O rany, jak to człowiek się zmienia! - Mam nadzieję, że Jake nie zauważył mojego pomponiastego nakrycia głowy.

- Ale ty nie lubisz aktywności fizycznej.

Powstrzymuję się od komentarza i zabieram do zawieszek bagażowych i plecaka.

- Gdzie będziesz podłączała suszarkę?

- Dlaczego wszyscy tak mnie widzą? - Choć muszę przyznać, że to martwi mnie najbardziej. No i konieczność chodzenia za krzaczek.

Brak cywilizowanych urządzeń sanitarnych zawsze stanowił jeden z głównych powodów, dla których unikałam zajęć na świeżym powietrzu.

Jake zgarbiony opada na krzesło.

- Nie rób tego. Proszę, nie rób tego.

Przez chwilę prawie zapominam, że mam go nie kochać. Nie mogę znieść próżni między nami. Patrzę na jego twarz ściągniętą troską. I co dziwne, myślę, że troską o mnie. Oto mężczyzna, który sypiał,

obejmując mnie - czy zwykle po tym się poznaje, że ktoś ma

kochankę?

- Czuję, że to wszystko moja wina - wyznaje Jake. I ja czuję, że to wszystko jego wina.

- Umyłeś ręce, Jake. Odszedłeś, kiedy najbardziej cię potrzebowałam

- mówię spokojnie. Zwiesza głowę.

- Potrzebowałeś odmiany i zaspokoiliś tę potrzebę bez zastanowienia.

- Naprawdę jestem wstrząśnięta, ale niepokój Jake'a w jakiś sposób umacnia moje postanowienie pozytywnego myślenia. - Teraz pora na mnie. Całkowita odmiana.

Jake nic nie mówi. Patrzy przed siebie, a potem odwraca się i gapi przez okno.

- Mam różne rzeczy do zrobienia.

Siedzi pochylony i mam wrażenie, że sińce pod jego oczami stały się ciemniejsze.

- Pozwól, że odwiozę cię na lotnisko.

- Nie. Nie ma mowy. - Kręcę głową. - Nie pozwoliłam nawet Edie i mamie. Zaliczyłam ostatnio za dużo trudnych emocjonalnie rozstań.

Jake wstaje i rusza do drzwi. Z trudem powstrzymuję łzy. Mój niewiarygodnie wspaniały były kochanek sięga do klamki.

- Lysso, gdybyś mogła cofnąć czas, zrobiłabyś to?

- Do którego punktu? - pytam beztrąsko. - O tydzień? Do czasów

przed próbami in vitro? Kiedy wciąż jeszcze mnie kochałeś? Zanim cię poznałam?

- Mam nadzieję, że wszystko ci się uda - mówi ze smutkiem. Milczę.

Otwarcie ust jest zbyt ryzykowne.

- Nadał mi na tobie zależy - dodaje.

- Idź. - To najkrótsze zdanie w języku angielskim, ale też najsmutniejsze.

Jake wychodzi.

Wzdycham ciężko i powstrzymuję łzy. Pakuję kilka ostatnich drobiazgów do plecaka, który niebezpiecznie trzeszczy w szwach. Nie ma mowy, nie mogę zabrać wszystkich tych górien. Nigdy nie umiałam podróżować z małym bagażem i wciąż odczuwam niepokój na myśl, że będę wszystko nosiła na własnych plecach. Mimo że zrezygnowałam z akcesoriów w rodzaju tabletek kwasu foliowego, zastrzyków hormonalnych, leków wziewnych, testów ciążowych, wciąż mam nadmiar niepotrzebnych drobiazgów. Oprócz przewodnika, zrezygnowałam ze wszystkiego do czytania. Żadnych radosnych historii o seryjnych zbrojcach, które zabawiłyby mnie w środku nocy na wysokości trzech tysięcy metrów. To wymusi na mnie zachowania społeczne. Nawet po wyjęciu książek nie jest dobrze. Muszę zostawić coś jeszcze. Wyciągam suszarkę i z szacunkiem kładę ją na środku pokoju. Jeżeli muszę się bez czegoś obejść, niech to będzie coś o symbolicznym znaczeniu.

Rozdział dwudziesty szósty

Mam trzydzieści cztery lata i chociaż leciałam samolotem z miliard razy, to nigdy tak naprawdę sama. Czy to nie dziwne w wieku

domniemanej emancypacji? W dodatku dość trudne. Zwykle to Jake zajmował się kwestią pieniędzy, biletów i paszportów, sprawdzaniem, do którego wejścia musimy trafić. Moje obowiązki ograniczały się zawsze do plądrowania sklepu wolnołowego w poszukiwaniu perfum i alkoholu po okazyjnych cenach. Tak się denerwuję, że zaczynam odczuwać patologiczny lęk, że zgubię kartę pokładową, i dopóki nie wystartujemy, a pilot nie oznajmi, że naprawdę zmierzamy do Katmandu, jestem przekonana, że wszystko pokręciłam, siedzę w niewłaściwym samolocie i w mojej odpowiedniej na arktyczne mrozy kurtce znajdę się w łagodnym klimacie Benidormu.

Podczas całego lotu nie oglądam Scooby Doo czy innych filmów, nie odsypiam, nie czytam przewodnika Lonely Planet, by sprawdzić, w co dokładnie się pakuję, ale próbuję zgadnąć, kto będzie moim towarzyszem podróży. Podejrzani są wszyscy o bladych ziemistych twarzach i w krzykliwych kurtkach. Dopiero, gdy docieramy do Katmandu i na horyzoncie pojawiają się majestatyczne Himalaje o wierzchołkach przyprószonych śniegiem, mój niepokój zmienia się w podniecenie. To ekscytujące czuć lęk i mimo tego coś robić. W gwałtownym ataku zuchwałości wiem, że dam radę. Potrafię.

Na lotnisku w Katmandu identyfikuję towarzyszy podróży w grupie idących noga za nogą Brytyjczyków. Wyglądają na równie spiętych jak ja i to pomaga mi się odprężyć. Nie ja jedna czuję lęk. Ta zbieranina to ludzie, z którymi spędzę cały miesiąc, i wcale nie wyglądają przerażająco. Nikt nie robi wrażenia szczególnie sprawnego fizycznie.

Hurra! Następuje wymiana przelotnych skinięć głową, niepewnych „cześć” i trochę narzekania na jedzenie w samolocie, po czym przez rozpadający się terminal krajowy zostajemy poprowadzeni do najmniejszego samolotu, jaki w życiu widziałam. Nasz uśmiechnięty przewodnik jest wzrostu mojego dziewięcioletniego siostrzeńca. Samolot wygląda, jakby trzymał go w kupie sznurek. Tani. I pewnie niedostatecznie długi. Wszystkie bagaże zostają wepchnięte do środka razem z nami i startujemy. Siedząc między plecakami i torbami podróżnymi, podskakujemy na pasie startowym. Pół godziny później lądujemy - tym razem na lotnisku w Pokharze, które wygląda jak sala urzędu gminy. Kiedy wysiadamy z samolotu, trzęsą mi się nogi i staram się nie myśleć, że jestem w podróży od tylu godzin i że za chwilę zacznę mieć halucynacje. Obecność w sali przylotów wielkiej śpiącej krowy bynajmniej nie pomaga. Omijamy ją i ładujemy bagaże do kolorowego autobusu.

Nasz środek transportu został pomalowany na jaskrawy błękit i róż, a chromowane części są tak wypolerowane, że można się w nich przejrzeć. Nie wyglądam szczególnie porywająco. Gdy rój uśmiechniętych Nepalczyków odbiera od nas bagaże i ładuje je na dach, zauważam, że znacznie mniej uwagi poświęcono hamulcom. Przed stoczeniem się z najbliższego wzgórza i zniknięciem z powierzchni ziemi powstrzymują nas zaledwie dwa kawałki drewna wepchnięte pod koła. Myśl, że niedługo wyruszymy tym pojazdem na

kręte górskie drogi, nie jest krzepiąca.

Machapuchare, inaczej Rybi Ogon pokryty jest śniegiem i ostry jak brzytwa. Wznosi się nad jeziorem Phewa, i wbijając się w bezchmurne błękitne niebo, majestatycznie góruje nad miasteczkiem turystycznym.

To dla mnie pierwsza okazja, by spojrzeć na Himalaje z poziomu ziemi i czuję, że wreszcie dotarłam do celu. Mam jednak nadzieję, że nie będziemy próbowali wejść na coś równie wysokiego.

- Hej! - Zbliża się do nas uosobienie męskiego uroku i macha przyjaźnie. Wiem już, że teraz mam halucynacje. Być może także tamta krowa była wytworem mojej wyobraźni. Z całą pewnością nie jest to spracowany stary pasterz jaków z marzeń Edie.

- Jestem Dean - oznajmia z szerokim uśmiechem i zaskakuje nas amerykańskim akcentem. - Podczas tej wycieczki będę państwa przewodnikiem.

Jedną z moich głównych obaw było, czy polubię pozostałych uczestników wyprawy - nie spodziewałam się, że mogę polubić któregoś trochę za bardzo. Myślałam, że nasz przewodnik okaże się Starcem z Gór, bratem pasterza jaków. Nie przyszło mi do głowy, że może być słodki.

Dean przechodzi od osoby do osoby, odhacza nazwiska, wymienia uściski dłoni. Zbliża się do mnie.

- Lyssa Alen - informuję. Mam sucho w ustach. Zawsze strasznie się odwadniam w samolocie. To jedyny powód. Możecie mi wierzyć.

Dean uśmiecha się szerzej. O do licha. W kraju, w którym do tej pory

wszyscy są raczej bezzębni, to wyjątkowo ładny uśmiech.

- Cześć. Miło cię poznać.

Wymieniamy powitalny uścisk ręki. Palce ma twarde i pokryte odciskami.

Może kiedy nie jest przewodnikiem grup Brytyjczyków bez kondycji, pracuje w polu czy coś w tym rodzaju. Włosy ma czarne i potargane, wyglądają, jakby poszarpał je dziki niedźwiedź albo obciął ślepy fryzjer. Do tego łagodne brązowe oczy koloru świeżo rozkopanej ziemi. Kiedy się nie uśmiecha - czyli rzadko - widać rozchodzące się z kącików jego oczu jasne delikatne zmarszczki w miejscach, do których nie dotarło słońce. Ma godną pozazdrosczenia zdrową opaleniznę, która prawdopodobnie postarza go o parę lat i znaczy twarz zmarszczkami. Ani śladu psychodelicznego sportowego stroju. Dean ma na sobie bojówki, czarny podkoszulek, czarne buty i nieśmiertelnik. Wygląda wyjątkowo słodko. Mam wrażenie, że widziałam go w reklamie jakiegoś modnego płynu po goleniu, ale nie wydaje mi się, żeby świadomie się stylizował. Sprawia wrażenie człowieka, który wciągnął na grzbiet ciuchy leżące pod ręką na podłodze sypialni.

Staram się na niego nie gapić.

- To twoja pierwsza taka wyprawa? - pyta Dean.

- To widać? Wzrusza ramionami.

- Wyglądasz na trochę zdenerwowaną. Krzyżuję ręce na piersi.

- Bo jestem.

- Nie ma potrzeby. Będę się o ciebie troszczył na każdym kroku. -

Pewnie z winy nowej kurtki nagle robi mi się bardzo ciepło.

- Poradzisz sobie. - Odhacza mnie na liście i znów się uśmiecha.

- Będziemy się dobrze bawili.

Naprawdę? O do licha, i nie tylko.

Rozdział dwudziesty siódmy

Zamierzasz się dąsać przez całą noc? - zapytała Neve. - To bardzo prawdopodobne - odparł Jake i zmienił pozycję. Neve siedziała na krześle, gdy tymczasem on starał się zająć jak najwięcej miejsca na sofie.

- Rozmawialiśmy już o tym tysiąc razy. - Z chwili na chwilę stawała się coraz bardziej rozdrażniona, a Jake miał wrażenie, że nie ma powodu. Głos Neve, który odbijał się od ścian gigantycznego salonu, brzmiał głucho i twardo. Zupełnie jakby mieszkali w recepcji biura architektonicznego. Jake nie zdawał sobie sprawy, jak wiele ciepłych uczuć żywił do dywanu, dopóki nie został go pozbawiony. - Myślałam, że projekt dotyczący jajek przestał cię interesować.

Wyłączyła pilotem telewizor.

- A ja myślałem, że pracujemy nad nim razem. Więc oboje byliśmy w błędzie.

Neve milczała.

- Nie powiedziałaś mi nawet o spotkaniu, które ustaliłaś z Alekiem.

Jak, twoim zdaniem, się czuję?

- Zamierzałam ci powiedzieć... - Najwyraźniej Neve nie miała złudzeń, że zabrzmiało to przekonująco.

- Kiedy dokładnie?

- Kiedy stanęłam przy twoim biurku i Pip mi powiedział, że właśnie wyszedłeś gonić Lyszę.

- A zatem parę minut przed rozpoczęciem spotkania? Dlaczego nie powiedziałaś mi parę dni wcześniej albo poprzedniego wieczoru, albo kiedy jechaliśmy metrem do pracy?

- Uciekło mi z pamięci.

- Nie, Neve. Nic tak ważnego nie ucieka ci z pamięci. Gdyby taki numer wyciął któryś z chłopaków, Jake najpierw by go znokautował, a dopiero potem zadawał pytania.

- A dlaczego nie powiedziałaś mi, że pędzisz potrzymać za rękę byłą dziewczynę?

- Dowiedziałem się o wszystkim od Pipa. Pojechała na jakiś absurdalny trekking w Himalaje. - Rzucił Neve oskarżycielskie spojrzenie. - To oczywiste, że nie przemyślała tej decyzji.

- Taką podjęła. Twierdziłeś, że nigdy nie zrobiła niczego interesującego. Może będzie zachwycona. Teraz nie musi się z nikim liczyć.

Neve odpowiedziała Jake'owi równie oskarżycielskim spojrzeniem.

- Próbowałem ją powstrzymać przed popełnieniem wielkiego błędu - tłumaczył - Chciałem jej pomóc, a nie zrobić z niej idiotkę.

- Uważasz, że tak właśnie postąpiłam z tobą?

- A jest jakieś inne wyjaśnienie?

Neve odrzuciła włosy do tyłu i spojrzała gniewnie na ścianę. Jake

wrócił po rozmowie z Lyssą zdołowany i z uczuciem, że jest niepotrzebny, po czym stwierdził, że spotkanie się zakończyło.

Prezentacja, ta sama, nad którą pracował całe miesiące, została mu elegancko sprzątnięta sprzed nosa. Przez miłość jego życia. Gotował się przez całe popołudnie, czując w ustach smak żółci i zastanawiając się, kiedy dokładnie pobłądził.

- Nie powinnam tego z tobą omawiać - stwierdziła Neve.

- To mój projekt, cholera!

- To sprawa poufna. - Zignorowała jego protest. - Alec się o ciebie martwi.

Jake uniósł się na łokciu.

- O mnie?

Neve spuściła wzrok.

- Uważa, że nie poświęcałeś się pracy ze stuprocentowym oddaniem.

- Miałem na głowie mnóstwo spraw - przypomniał Jake. -

O czym doskonale wiesz.

- I chyba dowiedział się o nas - dodała. - W biurze krążą plotki.

Myślę, że niektórzy już wiedzą.

Jake opadł na kanapę. To okropna wiadomość. Alec nigdy go nie lubił i najwyraźniej czekał na okazję, żeby mu dokopać, a romans z Neve mógł posłużyć jako upragniony pretekst. Z drugiej strony czuł perwersyjną satysfakcję, nie ma nic przeciwko temu, że dla chłopaków z biura fakt, że zamieszkał z Neve przestał być tajemnicą. Owszem, zgrabnie sprzątnęła mu projekt sprzed nosa, ale niezła z niej laska.

Może się spodziewać, że parę osób u Dunstone'a i Bradlaya zzielenieje z zazdrości.

- Zrobiłam to, bo nie chciałam, żebyś popełnił przy nim jakieś głupie błędy - tłumaczyła Neve. Brzmiało to dość szczerze. - Ostatnia prezentacja była do dupy, Jake. Wiesz o tym.

Neve mówiła prawdę. Miał szczęście, że Alec nie odebrał mu wtedy projektu. Jeśli nie chce zostać splawiony, musi odzyskać pozycję w firmie. Przez cały dzień z przerwami myślał o Lyssie i zastanawiał się, co robi. Powinna już dotrzeć na miejsce, gotowa rozpocząć bez niego przygodę życia. Miał nadzieję, że sobie poradzi.

Neve wstała, prostując długie nogi. Tego wieczoru nie wspomniała o wyjściu na siłownię.

- Zrobię nam cappuccino - powiedziała. Jake nie potrafił wykrzesać cienia entuzjazmu. - A może napijemy się szampana?

- Ja dziękuję - odparł.

Neve usiadła mu na kolanach i wsunęła palce we włosy. Pocałowała miejsce, w którym szyja łączy się ze szczęką, poczuł jej gorący oddech muskający ucho.

- A może dziś wcześniej pójdziemy do łóżka?

Nie miał ochoty na cappuccino. Nie miał ochoty na szampana. Nie miał ochoty się kochać. Nie miał ochoty siedzieć na dizajnerskiej sofie, która jest równie wygodna jak kawał betonu. I nie chciał, by Neve trwała w przekonaniu, że bez trudu może owinąć go sobie wokół palca. Nie potrafił pozbyć się podejrzenia, że świadomie, jak facet,

zrobiła go w jajo.

Nie doczekawszy się reakcji z jego strony, Neve poszła do kuchni.

Jake rozejrzał się po mieszkaniu. Wygląda fantastycznie, ale brakuje mu ciepła. Kilka tygodni temu myślał, że dokładnie tego chce. Teraz nie był już tego taki pewny. Tylko że jeśli nie chce tego, to czego chce?

Rozdział dwudziesty ósmy

Na dachu autobusu sadowi się kilkunastu nepalskich tragarzy.

Mieszczą się między bagażami, koszem ze zdenerwowanymi kurczakami i trzema dyniami. Reszta wciska się do środka. Ktoś wyjmuję spod kół kawałki drewna i ruszamy.

Znajduję miejsce z tyłu i jakoś się wciskam - nepalskie nogi są zdecydowanie krótsze niż europejskie. Trasa naszej podróży wiedzie przez pyliste nieutwardzone drogi, którym przydałaby się warstwa asfaltu. Towarzyszą nam dźwięki z pirackiej kasety George'a Michaela puszczonej z niewłaściwą prędkością. Wnętrze autobusu zostało obficie udekorowane - wygląda jak komunalny budynek podczas świąt. Frędzle i wstęgi we wszystkich możliwych krzykliwych kolorach kołyszą się zgodnie z ruchem autobusu, a nasi tragarze klaszczą w rytm śpiewu George'a, który czka na każdym wyboju i dziurze. Jestem zbyt oszołomiona, by mówić. Dla bezpieczeństwa trzymam się plecaka i w panującej duchocie powoli gotuję się we własnym sosie. Odmówiono nam dobrodziejstwa klimatyzacji.

Przepychamy się przez przedmieścia Pokhary, z szaleńczą prędkością

jadąc drogami zatłoczonymi przez obdartych ludzi, którzy zarabiają na codzienny chleb przed niechlujnymi sklepami. Zderzenie z jedną ze świętych krów wędrujących środkiem ulicy oznacza wyjątkowo złą karmę, ale najwyraźniej nikt nie powiedział o tym naszemu kierowcy i jestem pewna, że udaje mu się wyminąć krowy oraz tłum ludzi wyłącznie dzięki szczęściu.

Wkrótce zostawiamy za sobą samochodowe klaksony i wspinamy się wyżej, a droga coraz bardziej się zwęża. Sklepy i stojące ściana w ścianę domy z bloków gazobetonu ustępują miejsca polom i glinianym chatom stłoczonym w wioseczki. Przechylamy się i stajemy na skraju jednej z nich dokładnie w chwili, gdy kończy się moja podróżnicza odporność. Za kilka chwil zaczęłabym mieć mdłości.

Dean wstaje.

- Jesteśmy na miejscu! - Klaszcze. - To początek naszej wędrówki.

Musicie wziąć ze sobą tylko małe plecaki, tragarze zajmą się resztą bagażu i spotkamy się z nimi na miejscu wieczornego obozowiska.

Ooo. To rzeczywiście to.

Mam wrażenie, że powinny uczyć ten moment fanfary albo bębny czy coś innego, a tu nic. Z trudem wstaję i posłusznie opuszczamy autobus, by zgromadzić się wokół Deana, niektórzy bardziej, inni mniej radośnie. Członkowie grupy są w większości starsi ode mnie, co przyjmuję z pewną ulgą. Jeżeli będę wyglądała żałośnie, może się nade mną zlitują i nie będą maszerowali zbyt szybko. Nienawidzę starszych ludzi, który mają odjazd na punkcie sprawności fizycznej. To

postawienie sprawy na głowie, prawda? Wszyscy poza mną mają parę,

niekoniecznie w romantycznym znaczeniu, ale są przynajmniej

związani z inną ludzką istotą, więc

robi mi się smutno. Tragarze stworzyli żywy łańcuch i z rąk do rąk

przekazują sobie nasze zdjęte z dachu bagaże. Grupka wioskowych

dzieci nadbiegła z pola i stoją obok, nieśmiało nas obserwując.

- *Namaste* - mówi Dean i składa dłonie jak do modlitwy.

- *Namaste* - odpowiada dziecięcy chór.

- To jedyne słowo, które powinniście znać - wyjaśnia Dean. -

Dosłownie znaczy „szanuję boga w tobie”, ale używa się go w każdej

sytuacji i znaczy wszystko, od „dzień dobry” po „mam nadzieję, że

osioł oszcza twoją babkę”.

- *Namaste*. - Odważam się powiedzieć głośno i wszystkie dzieciaki

krzyczą radośnie i ściskają się rozradowane. Stanowczo muszę

popracować nad nepalskim akcentem.

Bierzemy plecaki i kijki trekkingowe. Nigdy wcześniej nie używałam

takich kijków - w Londynie nie jest to sprzęt o kluczowym znaczeniu -

ale chłopak w sklepie sportowym stwierdził, że muszę je mieć. Więc

mam. W tamtym momencie zarówno moja karta kredytowa, jak ja

straciłyśmy wolę oporu. Nie jestem jeszcze pewna, do czego będę ich

używała, ale może przydadzą się do odganiania rozbrykanych jaków.

- To Szerpa Sandziw! - krzyczy Dean. - Nasz sirdar albo kapitan na

czas wędrówki. Poprowadzi na dzisiejszym odcinku. Zaczniemy

łagodnie. - Z całą pewnością, mówiąc to, patrzy na mnie.

- Kilka godzin do lunchu, a potem trzy godziny po południu.

- W czasach, kiedy chodziłam do szkoły, oznaczało to jakieś pięć godzin maszerowania, co na moje ucho wcale nie brzmi „łagodnie”.

Nie wiem, czy Dean widzi moje przerażone spojrzenie, ale szybko dodaje: - I głównie po płaskim.

Jak bardzo „głównie”? Chciałabym to wiedzieć.

- No dobra! W drogę!

Najwyraźniej sprawdzę wszystko na własnej skórze.

Tragarze są już gotowi. Wszyscy bez wyjątku to niscy żyłaści mężczyźni w klapkach i kolekcji podkoszulków reklamujących napoje alkoholowe z całego świata - budweisera, castlemaine XXX, Stella artois i boddingtons. Oprócz bagaży niosą także nasze

namioty, żywność i sprzęt do gotowania, w tym kuchenny zlew i duży metalowy piecyk, który wygląda, jakby przetrwał już niejedną

wycieczkę. Większość dźwiga na plecach wielkie wiklinowe kosze, których ciężar przenoszą na głowę dzięki szerokim pasom. Śpiewają,

żartują i śmieją się, czego nie mogę pojąć, bo dźwigają gigantyczne ciężary. Zmagam się z wagą plecaka i dociera do mnie, że powinnam

była trenować z czymś więcej niż sześcioma puszkami zupy.

Szerpa Sandziw wyrusza jako pierwszy, a my za nim niczym

nerwowe owce. Idę w szeregu, a miejscowe dzieci za mną, chichocząc jak szalone. Wszystkie mają brudne buzie i najwyraźniej żadnego

kontakty ze szczotką, co potwierdzają ich czarne splątane włosy,

przypominające ptasie gniazda, ale promienieją pięknymi uśmiechami

i mają największe, najszczęśliwsze oczy, jakie widziałam. Małeńka dziewczynka wsuwa lepką rączkę w moją dłoń i opuszczamy wioskę.

- Jak ci na imię? - pyta nieskazitelnym angielskim.

- Lyssa. A tobie?

- Sajani - odpowiada i ciągnie mnie za sobą. - Mam sześć lat.

- A ja trzydzieści cztery. Sajani chichocze.

- Jesteś strasznie stara.

Bywają dni, gdy dokładnie tak się czuję.

Na polach pracują kobiety, nożami ścinając jasnożółtą kukurydzę.

Machają do nas, śmieją się i wołają *Namaste!*, gdy je mijamy. Idziemy

skrajem uprawnych tarasów, balansując na wąskich ścieżkach, gdzie

jest miejsce tylko na jedną osobę. Słońce stoi wysoko i mocno świeci,

niebo jest czyste i bezchmurne, powietrze niewiarygodnie czyste. Nad

nami w słonecznym blasku leniwie krążą czarne sylwetki: orły i

myszolowy. Nie jestem pewna, może w latających nad nami

myszolowach

powinnam

widzieć

komentarz

do

moich

wspinaczkowych możliwości. Jakieś dwadzieścia stóp poniżej tarasu

płynie rzeka Seti. Nie przypomina jednolitej, płaskiej i szarej Tamizy -

towarzyszy nam wstęgą błękitnej

wody w zmiennym kolorze skrzących się opali. Jej szum to jedyny hałas, jaki słyszymy. Słońce grzeje mi szyję, rozgrzewa kości i z westchnieniem ocieram czoło chusteczką. Jest tu piękniej, niż potrafiłam sobie wyobrazić. Moja sprawność fizyczna pozostawia wiele do życzenia, ale to nie znaczy, że nie doceniam piękna.

Dean idzie za mną i kiedy podchodzi bliżej, słyszę, że cicho gwizdże. Odwracam się i uśmiecham szeroko. Puszczą do mnie oko.

- Znacznie lepiej - mówi. - Po raz pierwszy się uśmiechasz. Mam nadzieję, że będziesz robiła to częściej.

- Tak sądzę - odpowiadam i czuję, jak kamień spada mi z serca. Obok podskakuje moja mała przyjaciółka, jej rączka jest tak ufna w mojej, gdy mnie prowadzi, i nagle uświadamiam sobie, że spłynął ze mnie cały stres. Idę pewnie i swobodnie. Dean odpowiada mi uśmiechem.

Od bardzo dawna nie czułam się tak lekko i beztrąsko. Istnieje poważne niebezpieczeństwo, że mogę się tu dobrze bawić.

Dean zarzuca sobie Sajani na silne ramiona i teraz oboje gadają po nepalsku.

- Co ona mówi ? - pytam, kiedy Dean wybucha śmiechem.

- Sajani uważa, że jesteś bardzo piękną kobietą - odpowiada. A potem patrzy mi w oczy. - Powiedziałem jej, że podzielam tę opinię.

Jestem tak wstrząśnięta, że prawie spadam ze ścieżki na połą. Dean i Sajani znów chichoczą, kiedy on wyciąga rękę i pomaga mi wstać.

- Hej, lepiej zachowam komplementy dla siebie, skoro tak działają - mówi. - Nie potrzebujemy pierwszego dnia żadnych wypadków.

Jeszcze musiałbym nieść także ciebie.

- Nic mi nie jest - zapewniam, kaszląc nerwowo i poprawiając czapkę z daszkiem. - Zupełnie nic.

Zastanawiam się, co pomyślałaby moja siostra, gdyby mogła mnie teraz zobaczyć.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Zorganizowaliśmy to spotkanie, żebyś mi opowiedział, dlaczego chodzisz taki skrzywiony. - Pip skrzyżował nogi i upił łyk piwa Peroni.

Jake wyjrzał przez okno pubu Świnia w Błocie na ulicę zatłoczoną taksówkami we wszystkich kolorach oprócz tradycyjnej czerni. Było to modne miejsce, gdzie podczas nędznych piętnastu minut uchodzących za przerwę na lunch ludzie z reklamy i mediów mieszają się z

chłopcami z City. Zdarzało się, że cały ten czas spędzali, czekając na kelnera. Dzisiaj im się poszczęściło. Dwa piwa i dwie nieciekawie wyglądające kanapki z kielbasą zapewniły należyte pożywienie. Jake ugryzł kanapkę, po czym rzekł z namysłem:

- Ciężko mi na sercu.

- O rany - sapnął Pip. - To nie brzmi dobrze. Jake odwrócił się od okna.

- Wiesz, że Neve gwizdnęła mi sprzed nosa ten jajeczny projekt?

- Obawiam się, że o tym wiedziałem - przyznał Pip. Jake westchnął ciężko.

- Na twoim miejscu zachowałbym ostrożność - ostrzegł Pip. - Skradła ci serce, a teraz najwyraźniej robi to samo z klientami z twojego

portfolio.

- Nie ufasz jej, prawda?

- Za grosz. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, powiem, że to była zmyślna robota.

- Otóż mam - warknął Jake. - Na tym polega problem. Czy wszyscy wiedzą?

Pip odchylił się na oparcie krzesła i założył ręce za głowę.

- Zależy, kogo masz na myśli.

- Większość ludzi w biurze.

- Całe biuro.

- Cholera. - Jake nie wyglądał na zadowolonego. - Pewnie uważają mnie za idiotę.

- Uznaj, że to przejaw zazdrości. Moim zdaniem większość oszalałaby ze szczęścia, mogąc zbliżyć się do Neve na tyle, by dać jej okazję do gwizdnięcia im projektu.

- Nie mam niczego w zanadrzu - jęknął Jake. - Uważasz, że Alec mnie odsuwa?

- Musisz porozmawiać o tym z Alekiem, nie ze mną. Jake usiadł prosto.

- To znaczy, że wiesz więcej, niż mi mówisz.

- Wiem, że ten związek nie wychodzi ci na dobre.

- To co mam zrobić? - Jake pokręcił głową, jakby chciał w ten sposób odpędzić cuchnące wyziewy, które w ostatnich tygodniach zatruwały mu mózg.

- Jestem ostatnią osobą, którą powinieneś pytać o radę, jak

postępować z kobietami.

- Jesteś starszy i mądrzejszy ode mnie... Cóż, przynajmniej starszy.

- Moim zdaniem „mądrzejszy” to właściwsze określenie. Nie ja

bzykam koleżankę z pracy - przypomniał Pip.

- W tamtym momencie wydawało się to niezłym pomysłem.

- Większość tego, co się później pieprzy, z początku dobrze wygląda.

- Pip napił się piwa. - I bez skojarzeń, proszę.

Jake zwiesił głowę.

Pip, jakby wyczuwając jego desperację, zlitował się i zmienił temat:

- Udało ci się zobaczyć z Lyssą, zanim wyjechała?

- Tak. Wyglądała na taką... na szczęśliwą.

- To dobrze.

Dobrze? Chyba? To on powinien być być przyczyną zamieszania. To

on posunął się dalej. A teraz, proszę, pograżał się w cuchnącym

emocjonalnym błocku, gdy tymczasem Lyssa najwyraźniej cholernie

szybko się pozbierała. Trochę za szybko, jak na jego gust. Czy

zakończenie związku nie ma być druzgoczące? Czy nie

powinien nastąpić po nim okres żałoby lub coś w tym rodzaju? Czy

była dziewczyna naprawdę powinna wskakiwać w najbliższy samolot,

żeby przeżywać jakąś nędzną przygodę, mimo że nigdy wcześniej nie

była czymś takim nawet przelotnie zainteresowana? Wygląda na to, że

Lyssa doszła do siebie po zerwaniu piorunująco szybko. Tego

naprawdę się nie spodziewał.

Rozdział trzydziesty

Trudno uwierzyć, jak wielką czuję ulgę, kiedy dostrzegam na horyzoncie krótką linię niebieskich namiotów. Z pewnością mówi to coś o stanie mojego umysłu, bo zwykle, jestem tego pewna, nie czekałabym z utęsknieniem na noc w namiocie. Ależ zmieniły się moje oczekiwania. I pomyśleć, że przeżyłam załamanie, bo przez dwa dni nie miałam prądu!

Nasze przyjazne schronienie na tę noc - i najbliższe cztery tygodnie - znajduje się na brzegu rzeki. Namioty z daleka wyglądają jak barwne motyle siedzące na łące. Gdy zbliżamy się powoli, schodząc zboczem przy akompaniamencie niemal słyszalnych protestów kolan, widzę drepczących tu i tam tragarzy, w obozie wrze jak w ulu. Pali się zachęcający ogień, z całej baterii wielkich metalowych rondli unosi się para. Mój żołądek burczy w oczekiwaniu.

Dean znów się ze mną zrównuje.

- Niedługo dojdziemy na miejsce - mówi. - Dobrze się czujesz?

Kiwam głową. Nie licząc zarumienionej twarzy i przyjemnego zmęczenia we wszystkich częściach ciała, czuję się znakomicie.

- Doskonale sobie poradziłaś.

Moim zdaniem to nieco zbyt optymistyczna ocena, ja powiedziałabym raczej, że udało mi się przeżyć pierwszy dzień.

Moja mała przyjaciółka Sajani porzuciła nas na skraju wioski, ale przy wejściu do obozu czeka na nas następna grupka dzieci. Są uzbrojone w miski pełne zimnej wody z rzeki, w której unoszą się

butelki schłodzonej coca-coli i, choć to jeszcze bardziej absurdalne, hiszpańskiego piwa San Miguel warzonego w Nepalu. Otaczają nas niczym rój przyjaznych pszczoł i kiedy Sandziw wyjaśnia, że aby przynieść nam na powitanie te napoje przyszedli z najbliższej, oddalonej o pięć mil wioski, i tylko człowiek o sercu z kamienia mógłby pożałować kilku centów na butelkę coli. Mimo że data gwarancji upłynęła dwa lata temu, a kapsle są zardzewiałe.

Kupuję colę także dla Deana i mu ją podaję. Siadamy na głazie. Dean otwiera butelki, podkoszulkiem usuwając ślady rdzy z szyjek, zanim z przyjemnością upijamy pierwszy łyk.

- W większości wiosek nie ma czystej wody pitnej - mówi ze smutkiem, ocierając usta wierzchem dłoni - a ten międzynarodowy napój zawsze jest na wyciągnięcie ręki. - Przygląda się etykietce na butelce, jakby zadziwiony obyczajami ludzkości.

Siadam wygodnie i rozkoszuję ostatnimi promieniami słońca na twarzy.

- Długo tu mieszkasz?

Dean patrzy na drugi brzeg rzeki, gdzie w nadchodzącym zmroku żołą o niebieskich podgardlach i pleszki białołowe ganiają się nad powierzchnią wody.

- Dziesięć lat - odpowiada. Wygląda na zaskoczonego. - Przyjechałem tu po college'u jako wolontariusz w związku z projektem ochrony dziedzictwa i nigdy nie wróciłem.

Czeka na moją reakcję.

- To bardzo szlachetne.

- Wszyscy w domu uważają, że raczej bardzo głupie.

- A gdzie jest twój dom?

- Dobre pytanie. - Uśmiecha się lekko. - Zasadniczo w Kalifornii.

Teraz pewnie tutaj.

- Nie mówisz jak Kalifornijczyk.

- Wszyscy twierdzą, że mam dziwny akcent. - Śmieję się i nie

zaprzeczam. Rzeczywiście ma dziwny akcent, amerykański, ale nieco

pokancerowany. - Teraz mówię głównie po nepalsku. Większość

rozmów po angielsku odbywam w sezonie wycieczkowym z

brytyjskimi i australijskimi turystami.

Mam wrażenie, że smak zimnej coli na języku działa na mnie

rozluźniająco i robię się rozmowna.

- Tęsknisz czasem za Ameryką? Dean kręci głową.

- Myśl o powrocie do świata cywilizowanych kłótni śmiertelnie mnie

przeraża. Tu nie mamy stresów, musimy tylko postarać się o jedzenie i

schronienie. Prostota życia jest bardzo kusząca. - Obserwujemy słońce,

które chowa się za szczytem Machapuchare, połyskując złotawo na

zbliżających się do szczytu góry chmurkach. - Wstaję ze słońcem,

pracuję w polu, pomagam przygotować wieczorny posiłek, spotykam

się ze starszymi wioski, śpiewam trochę tradycyjnych pieśni, trochę

tańczę, trochę więcej piję i o zachodzie słońca kładę się spać. - Nieco

zakłopotany wzrusza ramionami, jakby nie miał nic więcej do dodania.

Mogę spokojnie stwierdzić, że nigdy w życiu nie widziałam nikogo o

mniej napiętych ramionach. Ani równie szerokich, jeśli się nad tym zastanowić. - Praca od dziewiątej do siedemnastej w City Banku nie wydaje mi się teraz kusząca.

Nad obozowiskiem zapada zmrok. Dzieci przestały grać w nogę, do czego używały piłki splecionej ciasno z długich traw. Nie ma tu żadnych skateboardów, żadnych odlotowych aluminiowych skuterów czy Playstation - tylko upleciona z trawy piłka. Gdy światło znika, dzieci zabierają miski i żegnają się z nami radośnie, wyruszając w mrok samotnie i bez latarki, która oświetliłaby im drogę. Uderza mnie, że choć to ciężkie życie, przynajmniej mogą ganiać wszędzie bez opieki, gdy tymczasem w Europie ludzie są przerażeni, gdy mają spuścić dzieciaka z oka. Tu obcy są witani przez dzieci jako przyjemna nowość, a nie zagrożenie.

Szerpowie krzątają się wokół namiotów i śpiewają. Dean uśmiecha się do mnie. Pustą butelką po coli wskazuje namiot, który najwyraźniej jest mój.

- Pokój z łazienką gotowy - oznajmia. Sandziw stawia na ziemi przed namiotem metalowy rondel z wrzącą wodą i przywołuje mnie ruchem ręki. Czeka już na mnie moja torba.

- Lepiej idź, zanim wystygnie.

Wstaję z głazu. Wszystkie stawy mam zesztynniałe i myślę, że rondel z wodą mógłby mi się przydać tylko pod warunkiem, że miałby dwie stopy głębokości i sześć długości, a ja mogłabym się w nim położyć na godzinę z rozluźniającym mięśnie płynem do kąpieli i kieliszkiem

dobrego białego wina.

- Ooo - jęczę, gdy kolana protestują. Dean się uśmiecha.

- Poradzisz sobie - mówi. - Wierz mi.

Zastanawiam się, czy wyczuł, że przyjechałam tu z ciężkim sercem.

Kołyszę się z boku na bok jak kaczką, ale staram się nie wyglądać na

dziewięćdziesięciodwuletnią staruszkę. Dean z szerokim uśmiechem

bierze mój plecak.

- Rozluźnisz się.

Nie jestem pewna, czy ma na myśli moje ciało, czy może mnie w

ogóle. Idziemy wolno - no dobrze, to on zwalnia - w stronę namiotów.

- Pozwoliłem sobie poprosić Sandziwa o postawienie mojego

namiotu obok twojego. - Nagle Dean wydaje się zawstydzony. - Chcę

cię mieć na oku.

Wzdycham ciężko, czując coś w rodzaju ulgi, i mówię:

- Dzięki.

Powinam dodać, że to, co powiedział Dean, zabrzmiało obiecująco.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Edie spojrzała na zegar i skubnęła dolną wargę. Zastanawiam się, czy

u Lyssy wszystko w porządku.

Lee na chwilę przestał się koncentrować na jedzonych właśnie

spiralnych frytkach i starym odcinku *Star Trek - następne pokolenie*,

który pokazywano w telewizji.

- Poradzi sobie. Twoja siostra to zdolna kobieta.

- W tej chwili nie jest sobą. Martwię się. Chciałabym do niej

zadzwoń.

- Dobrze jej zrobi, jeśli się stąd wyrwie.

Wybrane egzemplarze dzieci leżały rządkiem na podłodze, również zajęte oglądaniem wygłupów Jeana-Luca Picarda i jego intergalaktycznych intryg. Kelly siedziała na górze, a rytm z jej kompaktu Daniela Bedingfielda sprawiał, że wibrowała lampa. Lee jadł odgrzaną kolację z tacy, którą ryzykownie balansował na kolanach. Archie siedział upchnięty między rodzicami, ssąc nos jednej z porzuconych przez Daisy lalek. Edie zawsze uważała, że powinni częściej jadać razem, całą rodziną, ale w tym domu idealizm i realizm rzadko się spotykały, a Lee tak często wracał późno z pracy, że dzieci, czekając na niego, poobgryzałyby nogi mebli. Lee robił coś w komputerach - Edie jakoś nigdy nie wiedziała co. Była zadowolona, że dobrze mu za to płacą, bo przy tej bandzie, która rośnie w alarmującym tempie, pieniądze odpływały jak woda. Była pewna, że ona i Lyssa nigdy nie rosły z taką prędkością - być może należy to złożyć na karb diety, składającej się z raczej eklektycznego i ograniczonego wyboru dań wyprodukowanych przez poważną starszą siostrę. Przez ładnych kilka lat mocną pozycję w menu zajmowała grzanka.

Edie poczuła, że serce podskakuje jej na myśl o Lyssie, samotnej i oddalonej od domu o tysiące mil. Mimo że wszystkie jej dzieci śpiewająco radziły sobie z komputerami - z wyjątkiem Archiego, który z czasem z pewnością do nich dołączy - ona sama nigdy nie znalazła chwili, by opanować choćby podstawy wysyłania

e-maili. Może mogłaby zaszantażować któreś z dzieci, by wysłało wiadomość w jej imieniu, żeby się upewnić, czy Lyssa sobie radzi.

Chociaż Bóg jeden wie, co mogłaby zrobić, gdyby siostra sobie nie radziła - prawdopodobnie tylko martwić się jeszcze bardziej.

- Lee... -Hm?

- Uważasz, że byłoby lepiej, gdybyśmy nigdy nie mieli... tych tam? -

Mąż spojrzał na nią znad frytki. - No wiesz, gdybyśmy nie mieli dzieci i zupełnie inaczej ułożyli sobie życie.

- Słyszałam to, mamó - oznajmiła Daisy.

- Bądź cicho i oglądaj telewizję. Rozmawiam z tatą.

- A co jeszcze chciałabyś robić? Edie włożyła do ust kosmyk włosów.

- Nie wiem.

Lee wyglądał na wstrząśniętego.

- Chyba już trochę za późno na takie wątpliwości.

- Wiem. Bawiłam się tylko w „co by było, gdyby”.

- Ja o tym nie myślę - uciął Lee.

- Ja właściwie też nie - mruknęła Edie. Najczęściej rozmyśla o tym, co

podać na najbliższą kolację. - Po prostu odkąd Lyssa wyjechała, zaczęłam się zastanawiać. Żałujesz, że nie podróżowaliśmy więcej, zanim się ustawkowaliśmy?

- Niespecjalnie. Lubię Devon.

I bardzo dobrze, bo właśnie tam co roku spędzają dwutygodniowe wakacje.

- Ja też lubię Devon. - W tej czy innej ankiecie zawsze wybierano

Devon ulubionym brytyjskim hrabstwem, więc było w tym coś

krzepiącego. - Ale to nie Nepal, prawda? Czy Cancun? Albo Peru?

- Przed wyjazdem do Devonu nie trzeba się szczepić.

- No nie. - Jakoś nie mogła sobie wyobrazić, że dzieci byłyby zachwycone godzinami siedzenia w zatłoczonym samolocie, by obejrzeć niewyobrażalne skarby Inków. Miała wrażenie, że niespecjalnie by je to pociągało. Do szczęścia wystarczy im trochę piasku, wiaderko i łopatką, kilka godzin bez deszczu i stałe dostawy śmieciowego jedzenia. Tylko czy także jej wystarczy to do szczęścia?

- Jak myślisz, co zrobimy, kiedy dzieci opuszczą dom?

- Wywiesimy flagi, urządzimy wielką imprezę i uczymy w ten sposób szczęście, które nas spotkało.

- Słyszałam to, tato - mruknęła Daisy, nie oglądając się. Edie próbowała utrzymać Archiego na rękach.

- Ale myślisz, że nadal będziemy jeździli do Devonu? Lee odłożył nóż i widelec.

- O co ci chodzi?

- Właściwie o nic.

Przyglądali się, jak Jean-Luc Picard w imię pokoju zabija kolejnych Obcych.

- Już ze sobą nie rozmawiamy - odezwała się po chwili Edie.

- Teraz rozmawiamy.

- Chodzi mi o to, że tak naprawdę, na poważnie.

- Matko jedyna - jęknął Lee. - Mam nadzieję, że kapitan Picard się

pospieszy. Muszę niedługo iść do szopy, żeby nałożyć na te półki

ostatnią warstwę lakieru.

- Czy do tego sprowadza się nasze życie? Cholerne *Star Treka* i lakierowania półek?

- Tak. - Lee pocałował Edie w nos. - Pyszna kolacja. Dzięki. - Wstał i wyszedł z pokoju.

- Ozesz w dupę - wymamrotała Edie, kiedy zniknął za drzwiami.

- Słyszałam to, mamó - powiedziała Daisy.

Rozdział trzydziesty drugi

Rozwijam śpiwór i kładę się na nim w namiocie. Przyglądam się pajęczkowi, który zdążył już zamieszkać na dachu. Mam dość miejsca dla siebie, swoich rzeczy, wyjątkowo wonnych butów trekkingowych i wiernych kijków. Swojego domu w Anglii nigdy nie opisałabym jako pałacowego wnętrza, ale to jest redukcja ekstremalna. Nie jestem pewna, jak miałabym zmieścić ewentualną współlokatorkę. Byłoby nam wyjątkowo przytulnie. Jest przytulnie, kiedy zajmuję namiot sama.

Sapiąc, prychając, wykonując skomplikowane manewry, zdołałam porządnie się umyć w misce przyjemnie ciepłej wody. Powietrze owiewa moją nagą skórę, chłodząc krople wody, które na niej zostały. Na dworze wraz ze znikającym słońcem temperatura gwałtownie spada. Kolorowa kurtka z kapturem bardzo się przyda. Szybko robi mi się ciepło. Tęsknię za Jakiem. Wycierał mi plecy, leżąc obok na łóżku, pieszcząc mnie delikatnie ręcznikiem, całując osuszone miejsca. Czy

robił to także z Neve? Odsuwam tę myśl i aplikuję sobie bardzo terapeutyczne i bardzo nieromantyczne energiczne wycieranie specjalnie zaprojektowanym ręcznikiem z mikrofibry, który ma jakieś sześć cali kwadratowych, ale w razie potrzeby wchłonie wiadro wody czy coś w tym rodzaju. Nie mogę sobie pozwolić na luksus zamiany ubrania, więc wciągam zakurzone spodnie dokładnie w chwili, gdy ktoś uderza łyżką o patelnię, by oznajmić, że podano kolację.

Niebo jest bardziej czarne niż kiedykolwiek widziałam, poznaczone mlecznymi wstęgami gwiazd. Teraz rozumiem, dlaczego partia zielonych narzeka na świetlne zanieczyszczenie Wielkiej Brytanii. Z drugiej strony bardzo się cieszę, że młody człowiek ze sklepu sportowego wyposażył mnie w niewymagającą użycia rąk latarkę, którą zamocowuję na głowie, w przeciwnym razie nie widziałabym niczego, co znajduje się dalej niż czubek mojego nosa - a że mam raczej mały nos, byłaby to bardzo nieduża odległość.

Może i wyglądam jak górnik, ale przynajmniej nie wpadnę w żadną dziurę. Ten człowiek pomyślał o każdej mojej potrzebie - niektórych nie byłam nawet świadoma. Myślę, że kiedy tylko znajdę się w domu, poproszę, żeby się ze mną ożenił. Zakładając oczywiście, że po kolejnych czterech tygodniach wrócę do domu żywa, a nie w formie zapakowanych do trumny szczątków.

Podążam za niepewnym promieniem światła latarki i przy stole zastawionym dla naszej dwunastki zajmuję miejsce na składanym stołku. Dwóch tragarzy siedzi w pobliżu namiotu, jeden delikatnie

uderza w bęben, a drugi śpiewa. Drewno w ogniu syczy i wypluwa grad jasnych pomarańczowych iskier, które strzelają w niebo niczym fajerwerki.

Z ciemności wylania się Dean i przyłącza do nas. Czy to moja wyobraźnia, czy nawiguje tak, żeby usiąść obok mnie? Wszyscy jesteśmy jeszcze onieśmieleni i nie stworzyliśmy grupy, którą z pewnością staniemy się podczas następnych tygodni.

W jasnozielonym namiocie, który pełni podwójną funkcję -jadalni i sypialni radosnej grupy tragarzy oraz pomocy kuchennych - palą się dwie lampy naftowe. Większość grupy już się zebrała i pałaszują całe talerze popcornu, który wydaje się tu, na pustkowiu, zupełnie nie na miejscu. Moje jedyne doświadczenia z popcornem miały miejsce w ogromnych multipleksach, ale okazuje się, że to lokalny przysmak.

Naszym kucharzem jest pan Bom. To najbardziej nieskazitelnie ubrany człowiek, jakiego w życiu widziałam, szczególnie, jeśli weźmie się pod uwagę fakt, że przyszedł tu pieszo jak cała reszta. Pan Bom stanowi uosobienie elegancji. Nosi spodnie, które moja matka określiłaby mianem „eleganckich”, koszulę w kratę i krawat, z którego byłby dumny każdy urzędnik państwowy. Ma lśniące włosy i lśniącą twarz, którą rozjaśnia szeroki uśmiech, gdy przynosi jedną z ogromnych dyń wypełnioną domową zupą i zamasyście stawia ją na stole. Unosi się boski zapach i dociera do mnie, jaka jestem głodna. To się nazywa górskie powietrze.

Szerpowie zręcznie nalewają zupę, gdy tymczasem my nieśmiało

zaczynamy przedstawiać się towarzyszom wędrówki. Niesłusznie
założyłam, że wszyscy są w parach. Mamy tylko dwie odważne pary i
sześcioro kłopotliwych singli. Przy bliższej inspekcji kilkoro z grupy
niezameżnych i nieżonatych wygląda, jakby zawsze byli samotni i
mieli pozostać takimi na zawsze. Zastanawiam się, czy tego rodzaju
wakacje, jeśli można to nazwać wakacjami, przyciągają romantycznie
upośledzonych?

Najpierw David Smythe, na oko około pięćdziesiątki. Z prawdziwą
przyjemnością oświadcza, że pracuje w rozwijającej się dziedzinie
gospodarki, a mianowicie jest prawnikiem rozwodowym. Wzbudza
ogólną wesołość. Mam wrażenie, że na tym etapie wszyscy staramy się
zachowywać uprzejmie. Ciekawe, czy ma w poczekalni egzemplarze
„Mojego Rozvodu”. Niepozorny, z resztką siwych włosów, ma na
sobie mocno zużyty strój turystyczny. A jednak mimo podniszczonych
butów Berghausa jest pewnie właścicielem dworu w Surrey. Namiot z
Dave'em - szczęściarz - dzieli Jim Darker. Z ogoloną głową,
kolczykiem i potężnymi bicepsami wygląda na super przestępcę, ale w
rzeczywistości pracuje dla policji jako tajny agent. Gdybym była
zbrodniarzem, nie chciałabym go spotkać w ciemnej uliczce. Założę
się, że miałby do opowiedzenia niejedną mrozącą krew w żyłach
historyjkę.

Okropnie trudno skoncentrować mi się na tym wszystkim -nie
dlatego, że mnie to nie interesuje, bynajmniej, ale dlatego, że czuję udo
Deana przyciśnięte do mojego. Umieśćmy to we właściwym

kontekście: namiot nie jest specjalnie duży i upchnęło się w nim sporo osób. Nie sądzę, żeby było to celowe z jego strony, udo ma jednak bardzo gorące. Dużo się śmieje i za każdym razem jego stołek się trzęsie, a w efekcie jego noga ociera się o moją. Bardzo mnie to rozprasza.

Pozostali dwaj faceci, którzy dzielą namiot, to Graham i Ian. Graham pracuje jako maszynista pociągu z Essex. Twierdzi, że zwykle nigdy nie mówi ludziom, że jest maszynistą, bo każdy, kto kiedykolwiek dojeżdżał, napada na niego i obwinia o wszystkie potworne doświadczenia kolejowe. Jego zdaniem to gorsze niż być lekarzem. Kiepska sprawa, bo Ian, z którym mieszka, jest lekarzem - moim zdaniem to bardzo pożyteczny zawód, Ian uśmiecha się i sprawia wrażenie przystępnego. Natychmiast zaczynamy narzekać na pęcherze, nagniotki i ugryzienia. Twierdzi, że właśnie dlatego zawsze podaje się za maszynistę pociągu, Ian jest uprzejmy, nie grymasi i z przyjemnością zostałabym jego pacjentką. Patrząc na niego, widzę, że wykazałby większe zrozumienie dla moich problemów z zajściem w ciążę niż ten gnojek, mój obecny lekarz z trójką dzieci, których najwyraźniej serdecznie nienawidzi.

Jedyna samotna kobieta to Saffron. Pewnie nie muszę mówić nic więcej. Za jakiś czas stanę się taka jak ona. Saffron jest natarczywa, trochę szalona i nie ma dzieci. Zdążyła już nam powiedzieć, że ma pełną gamę lekarstw homeopatycznych - pytanie, czy także pełną gamę komórek mózgowych? Nie jestem do końca przekonana. Przyszła na

kolację w powłóczystym barwnym kaftanie, trochę nie na miejscu w górach. Saffron pracuje jako terapeutka dla par i zamierzam unikać rozmów z nią jak zarazy. Spodziewam się, że okaże się wegetarianką.

Myślałam, że uciekłam od wszystkiego, ale być może właśnie doświadczam wizji siebie w przyszłości, jeśli nie zmienię sposobu postępowania. Saffron jest moim duchem Boba Marleya. Czy może Jakuba Marleya"? Cieszę się, że także ona wybrała jednoosobowy namiot, bo w przeciwnym razie musiałabym z nią mieszkać.

Z dwóch par gorsi są Tony i Tania, ale mają poważną konkurencję.

Oboje najwyraźniej po czterdziestce, zachowują się jak nastolatkwie i są w sobie tak absurdalnie zakochani, że robi się niedobrze.

Zastanawiam się, czy ktokolwiek patrzył kiedyś na mnie i Jake'a i myślał podobnie. Tony, chirurg okulista, nosi okulary ze szklami grubości denek od butelek. Tania pracuje w Knightsbridge jako testerka czekolady dla domu towarowego

*** Jakub Marley - postać z *Opowieści Wigilijnej* Karola Dickensa;**

Skąpiec, bezlitosny w interesach, po śmierci nawiedzał głównego bohatera (Ebenezera Scroocea) jako duch.

o nazwie znanej wszystkim Amerykanom. Czy to nie znakomita praca? Mimo swojej profesji ma figurę jak ptaszek - i myślę tu o maleńkim wróbelku, a nie grubaśnym sępie. Najwyraźniej piją sobie z dzióbków, on zjada wszystkie warzywa, a ona to, co tuczące. Kobieta - metaboliczne dziwadło. Cały czas trzymają się za ręce i chichoczą, jakby opowiadali sobie na ucho żarciki. Czuję się w ich towarzystwie

bardzo wykluczona, ale oczywiście oni w ogóle nie zdają sobie z tego sprawy. Cieszę się, że mój namiot nie został rozstawiony obok ich namiotu, bo pewnie będą przez całą noc uprawiali seks.

Przypuszczam, że podczas wszystkich grupowych wypraw trafia się na ludzi, których nie chce się nigdy więcej spotkać. Należą do nich Felicity i Felix. Mieszkają w Hampstead - dzielnicy dla sław. Felicity jest specjalistą od artykulacji i wymawia każde słowo przesadnie wyraźnie oraz tak głośno, jakby zwracała się do ludzi siedzących w tylnych rzędach. Twierdzi, że zaliczyła wszystkie największe gwiazdy - w przenośni - ale nie może podać nazwisk ze względu na konieczność zachowania tajemnicy klienta. Stara historia. Wspomina jednak „walijską piękność” i „hollywoodzką legendę z dołeczkami” zbyt wiele razy, żebym uznała ją za dyskretną. Zachowuje się teatralnie, już ją widzę, jak z Saffron dzieli się homeopatycznymi eliksirami. Żadne z nich nie jest tak młode, jak sądzi. Mąż Felicity, Felix, to artysta konceptualny, i czuję się wyjątkowo przez niego zagrożona, bo ani trochę nie rozumiem sztuki konceptualnej. Należę do tych barbarzyńców, którzy uważają, że to wszystko bzdury, ale nie potrafię obronić swojego stanowiska opartego, muszę przyznać, głównie na ignorancji. Byłam zdania, że okropna wielobarwna instalacja na suficie, która parę lat temu wygrała Nagrodę Turnera, wyglądała jak dekoracja z męskiego klubu z lat sześćdziesiątych, ale akceptuję fakt, że najpewniej nie rozumiem sztuki. Oboje wyglądają na zbyt awangardowych, żeby zawracać sobie głowę staroświecką instytucją

małżeństwa czy kłopotliwymi wakacjami pod namiotem. Dziwne. Ale

kiedy Szerpowie wynoszą pyszną zupę i stawiają na stole pikantne

danie z kurczaka, nepalską specjalność, Saffron

zabiera się do niej ze smakiem, co tylko potwierdza, że nie należy

sądzić książki po okładce.

Więc mamy tu cały przekrój. Na koniec zostawiłam biedną starą

Lysę Allen, nieszczęśliwą w pracy, nieszczęśliwą w miłości, z

depresją, złamanym sercem, samotną i bezdzietną. Chociaż jestem

sama, w jakiś sposób czuję się dziwnie komfortowo, podróżując z tą

ludzką zbieraniną.

Wykańczamy kurczaka. Talerze są tak czyste, że Szerpowie nie będą

musieli ich myć. A potem pan Bom wnosi metalowy półmisek z sałatką

owocową z puszki - tą z jaskrawoczerwony-mi wisienkami

koktajlowymi, którą serwowały wszystkie nasze babcie. I zjadamy ją

ze smakiem, bo w Himalajach służących za tło smakuje o wiele lepiej,

a także dlatego, że jakiś biedak wtargał ją na plecach aż tutaj.

Szerpowie dobijają nas kubkami czarnej, gorącej, nepalskiej herbaty

o cudownym smaku, dymnym i odświeżającym. Teraz, kiedy wszyscy

jesteśmy zbyt najedzeni, żeby się ruszać, kołysząc się na boki,

wychodzimy na dwór i siadamy przy ognisku, żeby tragarze mogli

zająć jadalnię i rozłożyć się w niej na noc.

Tony i Tania udają się prosto do namiotu, bo najwyraźniej nie mogą

się doczekać, kiedy zabiorą się do rzeczy, ale reszta siada wokół ognia,

garnąc się do ciepła. Na ziemi leżą maty chroniące przed chłodem i z

przyjemnością widzę, że nasz uroczy przewodnik znówu zajmuje miejsce obok mnie. Nie mam złudzeń, przebywanie w moim towarzystwie jest dla niego atrakcyjne, bo ma do czynienia z kobietą wolną, stosunkowo młodą i niespecjalnie stukniętą. Naturalnie nie narzekam.

Podnóże gór, które nas otaczają, tworzy przepiękną dekorację dla obozu. Noc jest zimna i niezwykle spokojna. Przyłącza się do nas kilku tragarzy, którzy cicho nucą pieśni, jedna przechodzi w drugą przedzielona zaledwie krótką dyskusją „co zaśpiewamy teraz”. Czy to nie smutne, że my, Brytyjczycy, niewiele mamy wspólnego z tradycją? Oczywiście jeśli pominąć Morris Dancers - a im mniej powiem o dorosłych facetach, którzy biją się sztucznymi świńskimi pęcherzami, podskakując z dzwonkami u nóg, tym lepiej. Większość z nas z trudem przypomniaby sobie słowa hymnu. No i trudno uznać jego melodię za porywającą, prawda? Nastanie ery telewizji obwiniam o to, że nie zbieramy się już wokół pianina, żeby śpiewać *Roli Out the Barrel*. I dużo przez to straciliśmy.

W nepalskich wioskach nie ma nie tylko bieżącej wody, ale także elektryczności, a w konsekwencji telewizji, telefonów, Internetu. Odkąd tu przyjechałam, nie słyszałam dzwonka ani jednej komórki. To coś w rodzaju deprivacji sensorycznej i wymaga trochę czasu, żeby przywyknąć. Nie ma także ulicznego ruchu, bo nie ma dróg. Jedyne hałas to szum płynącej rzeki, od czasu do czasu szczekanie psa i szmer rozmów moich towarzyszy. Nie mam pojęcia, o czym piszą plotkarskie

czasopisma w Anglii i wcale tego nie żałuję. Nie wiem, czy Ulrika Jonsson nadal jest mężatką, czy już nie. Nie wiem, czy Madonna kupiła kolejny dom. I jestem zaskoczona, jak łatwo przyszło mi zrezygnować z cotygodniowej dawki "24 godzin". Jack Bauer ocali świat - to oczywista konkluzja. Czy naprawdę wykończą Kiefera Sutherlanda, kiedy taki przystojny, ogarnięty gniewem brodzi po kolana w terrorystach? Nie sądzę.

Nie mam też pojęcia, co robi Jake. To przedziwne uczucie. W każdym razie, czymkolwiek się zajmuje, z pewnością doskonale się beze mnie bawi.

Rozdział trzydziesty trzeci

Jake wsunął głowę przez drzwi biura Aleka. - Chciałeś mnie widzieć?

Alec wyglądał przez narożne okno, podziwiając wspaniały widok na Londyn. Odwrócił się i wyszczerzył do Jake'a zęby, co w innych okolicznościach można by uznać za uśmiech.

*** Ulrika Jonsson - znana prezenterka telewizyjna.**

- Jake - powiedział zapraszającym tonem. - Chodź, siadaj. Jake usiadł.

Alec wrócił za biurko, opadł na dyrektorski skórzany fotel i rozłożył ręce.

- Jak tam sprawy?

Lekki błysk w jego oku Jake uznał za oznakę przyjaznego nastawienia. Przyjaźnie nastawiony Alec był najbardziej przerażający.

Jake zdecydowanie pokiwał głową.

- W porządku.

Alec kiwał głową w tym samym tempie.

- W porządku - powtórzył Jake. Alec zatarł ręce.

- Mały ptaszek powiedział mi, że niespecjalnie w porządku, zgadza się?

Jake zastanowił się, który mały ptaszek mógł to zrobić.

- Miałem problemy osobiste - przyznał niechętnie. - Ale to załatwione. Radzę sobie z nimi.

- To ma wpływ na twoją pracę - stwierdził Alec, pełnym troski ściągnięciem brwi podkreślając powagę swoich słów. - Martwię się.

Ależ z ciebie czysta dobroć, miał ochotę powiedzieć Jake, ale milczał.

- Ten projekt z jajkami to był istny koszmar - wyznał. - Jakoś nie mogłem się zmusić, żeby odnaleźć w jajkach cokolwiek seksownego. - Szczerze, co odkrył z pewnym opóźnieniem, może być równie dobrą polityką jak każda inna. - Nie podnosiły mi ciśnienia.

Alec patrzył na niego spokojnie.

- Niektórym podniosły. Znow Neve.

- Poprosiłem Neve o pomoc. Świeże spojrzenie. Wyrwała z projektem do przodu. Więc szczerze jej gratuluję. - Nie była to do końca prawda, ale nie chciał, żeby Alec znał szczegóły jego domowych kłopotów.

Gdyby nie sypiał z Neve, prawdopodobnie napiętnowałby ją jako sukę i manipulatorkę.

- Uratowała sytuację, Jake - wytknął mu Alec. - Wyciągnęła cię z szamba.

Wyglądało na to, że nie całkiem.

- Potrzebny mi inny projekt - tłumaczył Jake. - Coś seksownego. Coś wymagającego inteligencji. Mam trochę pomysłów do kampanii tego nowego płynu po goleniu. Wiem, że dostaliśmy ten kontrakt. - A był to duży kontrakt, obiekt pożądania całej firmy.

Alec zacisnął usta i powoli skinął głową.

Jake pochylił się na krześle. Pozytywna mowa ciała.

- Chcę wrócić na ring.

Alec pokiwał głową jeszcze parę razy.

- Ten projekt został już przydzielony.

Jake miał wrażenie, że ktoś go uderzył. To ci nowina.

- Przydzielony? Kiedy? Komu? - A potem nagle nie musiał już pytać.

- Neve.

- Tak - przyznał jego szef. - Neve

Jake siedział i się gotował, próbując zachować obojętny wyraz twarzy.

- Jest dobra - dodał Alec - bardzo dobra. Potrzebujemy więcej takich ludzi. Ludzi, którzy nie boją się próbować zdobyć tego, czego pragną. - Rzucił Jake'owi tajemnicze spojrzenie, a ten usiłował zrewanżować się uśmiechem.

Alec wstał i podszedł do okna.

- Musisz przemyśleć swoją sytuację tutaj, Jake - oznajmił, stojąc plecami do niego. - Dunstone i Bradley chcą mieć w drużynie tylko ostrych graczy.

Jest graczem. Zawsze nim był. Oprócz Aleka zaliczał się do

najbardziej ambitnych facetów w biurze. Oczywiście jest też Neve.

Jake zamierzał trzymać się poły szefowskiego płaszcza i nie dać się spławić. Chciał stać się dla Aleka niezastąpiony i nie mógł uwierzyć, że wszystko tak źle poszło.

- Pomyśl, czego naprawdę chcesz - poradził Alec.

Jakby Jake się nad tym nie zastanawiał codziennie i każdej nocy.

- Może straciłeś pazur - ciągnął szef. - Może potrzebujesz odpoczynku.

Nie brzmiało to dobrze. Proszono go, żeby skoczył, zanim zostanie wypchnięty. Alec chce się go pozbyć. I w dodatku wygląda, że chce się go pozbyć raczej wcześniej niż później.

Jake wstał. Nagle zakręciło mu się w głowie, a wzrok stracił ostrość, co zwykle zdarza się wyłącznie po kilku piwach. Pip będzie wiedział, co robić. Musi porozmawiać z Pipem. Nie mogą tak po prostu się go pozbyć, prawda? Nic złego nie zrobił. Wszyscy go lubią. Jest lubianym członkiem zespołu. Nikt nie zadałby mu ciosu w plecy. Gdy dotarł do drzwi gabinetu Aleka, poczuł nagły chłód. U Dunstonea i Bradleya tylko jedno uwiera go jak kolec i to za sprawą kobiety, którą aż do tej chwili uważał za miłość swojego życia.

Rozdział trzydziesty czwarty

Inni są głęboko pogrążeni w rozmowie, ale ja się nie włączam. Dean zmienia pozycję i leży na brzuchu twarzą do mnie, grzejąc stopy przy ogniu.

- To dobre miejsce na ucieczkę.

- To takie widoczne?

Opiera się na łokciu i przygląda uważnie mojej twarzy oświetlonej przez płomienie.

- Dostrzegam ból związany z wcześniejszymi doświadczeniami.

-A...

Z czeluści puchowej kurtki Dean wyciąga butelkę san miguel.

Porusza demonicznie brwiami.

- Leczenie bólu alkoholem? - dziwię się.

- To nigdy nie działa. - Potrząsa ciemną zmierzwioną czupryną. -

Uważam po prostu, że zasłużyłaś dzisiaj na małą nagrodę. Nie przyjechałaś tu, żeby się samobiczować.

Zastanawiam się, po co właściwie przyjechałam. Dean znowu sięga do kieszeni i wyjmuje szwajcarski scyzoryk. Wsuwa otwieracz do butelek. Zawsze się zastanawiałam, do czego ludzie używają takich scyzoryków. Tak naprawdę to szwajcarski zestaw koktajlowy. Dean zdejmuje kapsel, wylewa z metalowych kubków resztki czarnej herbaty i napełnia je pianistym piwem. Stukamy się i unosimy naczynia do ust.

Dean upija długi łyk.

- Chcesz o tym porozmawiać?

- Nie ma zbyt wiele do opowiadania.

Mój nowy przyjaciel bierze mnie za rękę i ogląda moje palce.

- Nie masz obrączki - zauważa. - Rozwiedziona?

- Nie. - Kręcę głową. - Nigdy nie wyszłam za mąż. -. Dzieci?

Znów kręcę głową, bo nagle jakoś zabrakło mi słów.

- Przynajmniej jakiś plus - stwierdza Dean.

- Tak. - Na tym etapie nie potrafię sobie nawet wyobrazić rozpoczęcia skomplikowanych wyjaśnień, że gdybyśmy mimo wszystko zdołali z Jakiem wyprodukować dziecko, jednak wyszłoby z tego coś dobrego.

Więc milczę.

- No to co się stało? - Dean ma być może dziwny akcent, ale zachował amerykańską bezpośredniość.

- Każde z nas chciało od życia czegoś innego. - Nie patrzę mu w oczy.

- fake znalazł to z kimś innym.

- Jake?

Potwierdzam.

- Byliśmy ze sobą cztery lata. Seksowny blondyn i ogólnie złe nasienie.

- Jeszcze tego pożałuje. - Dean mądrze kiwa głową. - Betty Jane Brightman pożałowała.

Chichoczę.

- Co to za Betty Jane Brightman?

Dean się uśmiecha.

- Moja dziewczyna przez całe studia. Poszliśmy razem na Uniwersytet Kalifornijski. - Nie licząc Princeton, to jedyny amerykański uniwersytet znany mi z nazwy. - Specjalizowała się w mediach i filmie.

Ja wybrałem antropologię społeczną.

Oboje wybuchamy śmiechem.

- Tak, tak - ciągnie. - Zapewne powinienem był już wtedy dostrzec te różnice. - Oczy błyszczą mu w świetle płomieni. - Jestem jedynym Kalifornijczykiem, który nigdy nie chciał mieć nic wspólnego z przemysłem filmowym.

- Więc Betty Jane poślubiła gwiazdę filmową?

- Nie, rzuciła mnie dla mojego najlepszego przyjaciela, który zajmuje się teraz handlem nieruchomościami. - Dean wzrusza ramionami, jakby chciał powiedzieć: „ludzie są różni”. - Zaproponowano mi wyjazd tutaj w ramach programu dla wolontariuszy i chętnie skorzystałem. Nie miałem żadnych zobowiązań, nie musiałem się długo zastanawiać. Przez pierwszy rok zajmowałem się badaniami różnych rodzajów ziół, których wieśniacy używają do celów medycznych. Zakochałem się w tym miejscu.

Zastanawiam się, w kim jeszcze się zakochał.

- Kiedyś, przy okazji wizyty w domu, wpadłem na Betty Jane.

Stwierdziła, że nie powinna była pozwolić mi odejść. Z tego, co mówiła wywnioskowałem, że mój dawny kumpel roztył się i rozleniwił. Można z nim rozmawiać tylko o sprzedaży domów przy plaży.

- Upija kolejny łyk piwa. - Powiedziała, że mogliśmy się pobrać, mieć dwójkę dzieci i mieszkać w Dolinie. Rany! - Dean się śmieje. - Myślę, że wyświadczyła mi przysługę.

Podnosi wzrok i z podziwem patrzy na gwiazdy. Uśmiecham się do niego. Ma kartoflany nos i gdyby nadal mieszkał w Kalifornii, na pewno by go sobie zoperował.

- Więc, jak widzisz, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

- Nie tęsknisz za rodzicami? Dean kręci głową.

- Nie jesteśmy ze sobą blisko. To jedno, czego żałuję. Teraz, kiedy tu jestem, zdaję sobie sprawę, jak ważne jest poczucie wspólnoty. W LA tego nie doświadczysz. Sąsiedzi prędzej cię zastrzelą, niż pomogą. -

Spogląda na mnie i uśmiecha się szeroko. - Ale może tak jest tylko tam, skąd pochodzę?

Sandziw podaje Deanowi kolejną butelkę piwa, kładzie mu dłoń na ramieniu.

- Bracie. - Nie mówi nic więcej. Dean powtarza rytuał otwierania i znów nam nalewa. Zaczyna mi się trochę kręcić w głowie od ciepła ognia i świeżego powietrza oraz butelkowanych napojów.

- Miałem całkiem idylliczne dzieciństwo - ciągnie, wręczając mi kubek. - Słońce i surfowanie potrafią wiele wynagrodzić. Niczego mi nie brakowało oprócz rodziców, którzy potrafiliby wziąć się w garść. Moi poznali się w dzieciństwie, ale rozstali, kiedy byłem mały. Teraz jest między nimi znacznie lepiej, oboje weszli w nowe związki, zresztą po raz kolejny. Żadne z nich tu nie było. Myślę, że po prostu tego nie rozumieją. Ojciec zawsze mnie pyta, czym jeżdżę. Kiedy odpowiadam „nie mam samochodu, bo nie ma dróg”, uważa, że go nabieram.

- Znalazłeś tu kogoś, kto zajął miejsce Betty Jane? - Uważam, że powinnam się dowiedzieć, zanim wpakuję się w kolejną beznadziejną historię, bo zdaje się, że zaczynam odczuwać łagodny przyływ pożądania.

- Nie. - Wygląda na niewzruszonego. - Wszystkie miejscowe kobiety już w wieku dziesięciu lat mają zaaranżowane małżeństwa z chłopcami z sąsiedztwa. Większość uciekłaby w popłochu na myśl o kontaktach ze zwariowanym Amerykaninem. Pod wieloma względami nadal jestem outsiderem. Pewnie zawsze będę.

- Więc co robisz, żeby się rozerwać?

Mam wrażenie, że wyszło to trochę bardziej prowokacyjnie, niż zamierzałem.

- Mieszkam niedaleko Pokhary. Od czasu do czasu zatrzymuję się na kilka dni w mieście, żeby odparować. Stały napływ turystów nie pozwala mi się nudzić.

Odwracam wzrok.

- Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało. Tu ludzie poważnie traktują zobowiązania. Od czasu do czasu umawiam się na randkę, niewiele więcej.

Nie jestem pewna, czy mu wierzę. Założę się, że kolejka beztroskich biuściastych australijskich turystek wydeptuje ścieżkę do jego drzwi.

- Nie brakuje ci tego wszystkiego?

- Właściwie nie. Czasami czuję się samotny. Chyba odkąd tu jestem, stałem się bardziej uduchowiony. Czy gadam jak wariat?

Kręcę głową.

- Ludzie tutaj są tak piękni i skromni, że zmusza cię to do przewartościowania wszystkiego. Jedyne bogami, których wcześniej czciłem, były gwiazdy filmowe. Ludzie tutaj żyją według starych praw.

Jestem teraz łagodniejszy i, mam nadzieję, więcej myślę o innych.

Znów się odprężam. Nigdy nie rozmawiałam tak z Jakiem. A przynajmniej od bardzo dawna. Nie wiem już, czym się kieruje.

Chciwością, ambicją, pożądaniem? Cokolwiek by to było, jestem pewna, że jego podstawową motywacją nie są współczucie ani duchowość. Mam wrażenie, że po tych kilku krótkich godzinach wiem o Deanie więcej niż po czterech latach o mężczyźnie, z którym chciałam się ustatkować i mieć dzieci. Przeróżająca myśl. Myślę, że można bardzo długo unikać rozmów, kiedy ma się tyle rzeczy wypełniających życie - książki, gazety, kino, telewizję, teatr, kolacje z przyjaciółmi, zakupy. Zdumiewające, jak wracają dawno zapomniane umiejętności, kiedy nie ma nic do roboty.

- Zagadałem cię. - Dean sprawia wrażenie zakłopotanego.

- Nie. Wcale nie. - Odwracam się do niego. - Myślałam akurat o tym, jakie to przyjemne. Jak dawno z nikim nie rozmawiałam. Wyszłam z wprawy.

Podmuch wiatru sprawia, że drzę.

- Robi się późno - stwierdza Dean. - Jutro długi dzień.

Dociera do mnie, że reszta rozeszła się już do swoich namiotów.

Widzę czołówki poruszające się pod płótnem i słyszę pomruk głosów i zgrzytanie zamków błyskawicznych. Tragarze dla ochrony przed chłodem położyli się w namiocie jadalnym.

Dean pomaga mi wstać. Czuję w kościach przyjemne zmęczenie.

- Mmm - mruczę. - Już późno.

Mój nowy przyjaciel pomaga mi dotrzeć do namiotu. Zostawia mnie przed wejściem i wymieniamy uścisk dłoni.

- Dobranoc - mówi. - Gdybyś mnie potrzebowała, jestem tuż obok.

Nie mam pewności, czy ta myśl sprawia, że czuję się lepiej. Dean znika, a ja nurkuję w głębiny namiotu. Skulona poruszam się w ciasnej przestrzeni. Siadam na śpiworze i zaczynam się rozbierać. Nie byłam pewna, jak to będzie z rozbieraniem się do snu w namiocie, więc przywiozłam ciepłe polarowe piżamy z Tygrysiem - pewnie niezbyt stosowne dla trzydziestoczterolatki, ale w tej chwili stawiam przede wszystkim na wygodę. Aż trudno uwierzyć, jak dużo atrybutów poprzedniego życia zdołałam zostawić za sobą. Nie mam makijażu, więc unikam długiego procesu jego usuwania. Dysponuję tylko wodą w butelce, zatem mimo najlepszych chęci mycie zębów jest nieco pobieżne. Nie mam depilatora, żelu do powiększania ust, żelu do włosów, nic do prostowania, żadnego kremu przeciwzmarszczkowego. Przy tak skróconym procesie wieczornych przygotowań w ciągu kilku sekund otulam się śpiworem.

Słyszę Deana, który krząta się w swoim namiocie, podśpiewując cicho. Strasznie to kłopotliwe, ale słyszę, jak się rozbiera. W takiej chwili posiadanie bujnej wyobraźni jest prawdziwym przekleństwem. Dźwięk rozpinania zamka błyskawicznego w jego spodniach sprawia, że gwałtownie przęłykam ślinę. Potem słyszę zamek błyskawiczny od śpiwora, po nim odgłosy wiercenia się. Wreszcie się umościł. Gasi latarkę, a ja leżę jak skamieniała. Słyszę własny oddech, a także

oddech Deana.

Z ciemności dobiega jego głos:

- Dobranoc, Lysso.

- Dobranoc - odpowiadam.

Dean kręci się, aż znajduje wygodną pozycję. Mnie wcale nie jest wygodnie. W wąskim śpiworze czuję się obandażowana niczym mumia. Całe wieki nie spałam w piżamie i nogawki oplątują mi nogi jak opaski uciskowe. Stopniowo odgłosy krzątania w obozie cichną i znikają plamy światła latarek.

Kiedy odwracam się, żeby wyłączyć moją, wpada mi w oko zegarek i doznaję niemal szoku, bo nie ma jeszcze dwudziestej. Nawet nie pamiętam, kiedy ostatnio byłam w łóżku przed odcinkiem

Eastendersów.

Rozdział trzydziesty piąty

Chyba nie jesteś znowu obrażony? - zapytała Neve.

Jake nie był obrażony. Po prostu nie wiedział, co powiedzieć. Nie udało mu się zobaczyć z Pipem, który przez całe popołudnie zajęty był spotkaniem z klientem, i mimo że Jake wysłał mu wiadomość, nie odpowiedział.

Było późno i w drodze do domu Neve namówiła go na przystanek w restauracji, żeby coś zjeść. Lodówka przeżywała kolejny kryzys i w tym tygodniu nie udało mu się wyskoczyć do sklepu, a Neve jak zwykle nawet o tym nie pomyślała. Być może nie dość się starał, jak na potrzeby Aleka, ale z całą pewnością pracował przez wiele godzin.

Jake się rozejrzył. Restauracja była minimalistyczna do entej potęgi.

Ściany ozdobiono maleńkimi białymi kafelkami i białymi obrazami.

Wszystkie urządzenia wykonano z nierdzewnej stali i mlecznego szkła,

kelnerki ubrane były na biało. Siedzieli sztywno wyprostowani na

stalowych krzesłach. Przypominało to kolację w kostnicy. Z głośników

sączył się jakiś bezpłciowy jazz i Jake nie mógł uwierzyć, że z

początku, w pierwszych porywach miłości, często wymykali się

tutaj, by coś razem zjeść. Co go napadło, żeby uznać to miejsce za

odpowiednie na romantyczną schadzkę? Czuł, że przydałby mu się

jeszcze jeden sweter.

Atmosfera między nimi również była zdecydowanie chłodna. Jedli w

milczeniu jak stare małżeństwo, które nie ma sobie nic do

powiedzenia.

Neve grzebała w makaronie.

- Nie próbuję cię podkopać - powtórzyła po raz kolejny. - Choćbyś

myślał nie wiadomo co.

Nie potrafił znaleźć żadnego innego wyjaśnienia jej zachowania.

- Próbowałam ochronić cię przed Alekiem - ciągnęła. - W tej chwili

nie jesteś pracownikiem miesiąca.

Najwyraźniej nigdzie nie jest mile widziany.

- Spójrzmy prawdzie w oczy. - Neve była spokojna jak głaz. - W

biurze niespecjalnie się udzielałeś. W niedużej firmie, takiej jak

Dunston i Bradley, nie da się tego nie zauważyć.

Dlaczego gdy oczekuje od niej słów pocieszenia, z uporem dobija go

każdym zdaniem?

- Były po temu powody - odparł spokojnie.

- Odkąd Lyssa wyjechała, nikt cię nie zmusza, żebyś bawił się w szczęśliwą rodzinę. Nasze życie może toczyć się dalej.

„Nasze” wydało mu się określeniem przesadnie optymistycznym. Nic nie było w stanie zawrócić Neve z raz obranej ścieżki. Jake westchnął w duchu. Zamówił jakieś wymyślne gówno - szpinak, wieprzowinę i pomidory ułożone w stertę. Porcja była mała i dziwaczna, a on stracił apetyt. Miał wrażenie, że dławi się każdym kęsem.

Nigdy nie czuł się związany z Neve. Zawsze była na wyciągnięcie ręki, ale poza jego zasięgiem. Kiedy spędzali razem kilka wykradzionych godzin, składał to na karb sytuacji. Teraz, gdy przynajmniej teoretycznie mogli spędzać razem tyle czasu, ile chcieli, jakoś nie stali się sobie bliżsi. Przeciwnie. Nie miał jej nic do powiedzenia.

Neve westchnęła teatralnie, a kilka jedzących obok osób odwróciło się i na nich spojrzało. Pewnie myślą, że są parą na skraju rozstania.

Być może są.

- Słuchaj - powiedziała Neve - wyjeżdżam na parę dni. -Odłożyła widelec. - W interesach - dodała, kiedy nie zareagował. - Do Mediolanu.

- Czy to ma coś wspólnego z kampanią wody po goleniu? - Nawet nie próbował ukryć ironii.

- Tak. - Neve była zirytowana. - Zamierzałam ci powiedzieć. Jake był

tylko ciekaw kiedy.

Rozdział trzydziesty szósty

Dokładnie o szóstej rano i przed wschodem słońca Sandziw wkłada głowę do mojego namiotu.

- Gorąca herbata. - Jego uśmiechnięta twarz to przyjemny widok.

Stawia metalowy kubek na ziemi razem z miską gorącej wody. -

Śniadanie za piętnaście minut, siostró - mówi i znika, by powtórzyć wszystko przy kolejnym namiocie.

- Dzięki Sandziw - odpowiadam z opóźnieniem, ziewając.

Wyłączę ze śpiwora i próbuję zrobić coś z włosami, które wyglądają jak szalona fryzura Harpo Marxa. W nocy prawie nie zmrużyłam oka.

Śpiwór robił wrażenie duszącego kokonu, było mi za gorąco we wszystkim oprócz głowy, bo w głowę było mi zimno. Dokładnie w miejscu, gdzie chciałam trzymać ramiona, w śpiworze było wybrzuszenie. Ze wszystkich pozostałych namiotów dochodziło chóralne chrapanie i brzmiało jak jakaś nowoczesna orkiestra. Z przyjemnością zauważyłam jednak, że z namiotu mojego najbliższego sąsiada nie dobiegały żadne aspołeczne dźwięki. Przyciągam herbatę i miskę z wodą i na czas mycia włączam autopilota.

To była ciemna noc. Tak ciemna, że nie mogłam zasnąć -jeśli ma to jakikolwiek sens. Ani śladu zanieczyszczenia światłem z pobliskich latarni - nic. Tylko rąbek księżycy i garść gwiazd. Za każdym razem, kiedy próbowałam wślizgnąć się do krainy snów, wzdrygałam się i potykałam, budząc się gwałtownie. Ktoś mi kiedyś powiedział, że to

uczucie wiąże się z chwilowym zatrzymaniem akcji serca, i że ciało prowokuje wstrząs, by znów je uruchomić. Szczerze mówiąc, wcale nie potrzebowałam tej informacji. I chociaż leżałam na ziemi, trzymałam się śpiwora, żeby nie spaść. Nic z tego - potykałam się, próbując zatrzymać Jake'a zmierzającego w stronę drzwi, spadałam z krawężnika, podążając za ulotną Neve, zsuwałam się ze stopni, po których próbowałam wejść na wzgórze u podnóża Himalajów, a Dean wyciągał rękę, by mnie złapać. Spadałam, spadałam, spadałam, aż w końcu udało mi się zasnąć. Myślę, że jakieś pół godziny temu. Udało mi się przetrwać noc bez wyprawy w ciemności do dziury w ziemi, która służy za toaletę, i uważam to za sukces.

Śniadanie czeka na stole opartym na kozłach z widokiem na góry z jednej strony, a na rzekę z drugiej. Całkiem możliwe, że w nocy umarłam i poszłam do nieba. Wstaje świt i wszystko jest różowe i zaróżowione. W tym świetle śnieg na szczytach gór sprawia, że wyglądają jak przybrane porcjami truskawkowych lodów.

Dean już siedzi przy stole. Włosy ma mokre, wiją się wokół jego twarzy. Najwyraźniej ma większą wprawę w korzystaniu z miski wody niż ja. Proszę bardzo, uznajcie mnie za płytką, ale tęsknię za suszarką do włosów. W tym momencie trochę bardziej niż za Jakiem.

- Hej - rzuca Dean i poklepuje składany stołek obok siebie. Jak dla mnie, jest o połowę za rześki. - Dobrze spałaś?

- Cudownie. Uśmiecha się krzywo.

- Słyszałem, jak się przewracałaś z boku na bok.

Mam wrażenie, jakby mnie chronił, nasłuchując w nocy.

- Nie przywykłam do spania w pojedynkę - mówię, a potem szybko dodaję: - Ani w namiocie. Pierwszy raz obozuję pod gołym niebem. -

Nie ma mowy, nie wliczę tej jednej nieudanej ekspedycji na podwórze, którą odbyłam z moją złośliwą siostrą. Na myśl o Edie czuję ukłucie tęsknoty za domem. Zastanawiam się, jak mama radzi sobie beze mnie, i czy zdążyły się już pozarzynać z moją młodszą siostrą.

- Człowiek się przyzwyczaja - zapewnia mnie Dean, zanim moja wyobraźnia utworzy wizję krwawej masakry w salonie mamy. - Po kilku dniach się wciągniesz i będziesz się zastanawiała, jak mogłaś mieszkać w domu.

Nim udaje mi się zaprotestować, zjawia się Sandziw z tacą gorącego kremowego puddingu ryżowego, w którym pełno jest kokosa, orzechów i rodzynek. Powoli dołącza do nas reszta grupy i staje się jasne, że pierwsza noc pod namiotem dla nikogo nie była szczególnie relaksująca. Pożeram pudding - i pomyśleć, że w szkole wzbraniałam się przed jego jedzeniem. Miałam nadzieję wrócić z tych wakacji wiotka jak trzcina z nogami supermodelki. W tym tempie przed końcem tygodnia będę gruba jak szafa i nie zmieszczę się do jednoosobowego namiotu. Pocieszam się, że za kilka dni mój apetyt się wyrówna i nie będę już tak gwałtownie rzucała się na wszystko, co przede mną postawią. Dawno z takim entuzjazmem nie podchodziłam do jedzenia. Po puddingu w czarodziejski sposób na stole pojawiają się naleśniki i jajecznica. Nie jestem w stanie przełknąć nic więcej. Jednak

jest nadzieja!

Tragarze likwidują obóz, pakują bagaże i zwijają namioty. Garnki i patelnie zostały umyte i umieszczone w koszach, gotowe do przeniesienia na miejsce następnej kuchni na świeżym powietrzu.

Byłabym zachwycona, gdyby kilku Szerpów pojechało ze mną do domu i codziennie pomagało mi przygotować się do pracy. Bolał mnie nogi, ale w dość przyjemny sposób. Słońce już wstało, wygląda zza gór i przegania chłód. Kończymy śniadanie, gdy pierwszy szereg tragarzy oddala się pospiesznie. Sam ich widok sprawia, że czuję się wyczerpana. Oraz stanowczo nie na miejscu.

W trochę wolniejszym tempie zakładamy plecaki i zastanawiam się, co mam w swoim - wiem, że to nie kuchenny zlew, bo widziałam, że niósł go ktoś inny. Wyraźnie rzuca się w oczy, że wszyscy mają na sobie praktyczne ubrania w odcieniach khaki i beżu. Nie ja. Mimo wysiłków faceta ze sklepu sportowego zrezygnowałam z praktycznych spodni w kolorze błota i sama skomponowałam górski strój. Co oznacza, że mam na sobie wyszywane bojówki Miu Miu, podkoszulek Kookai i różową czapkę z daszkiem z diamentową gwiazdą z przodu. Dean uśmiecha się do mnie szeroko.

- Startujesz w konkursie o nagrodę dla najelegantszej podróżniczki?

- Nie miałam tego w planach. - W rzeczywistości wołałabym

wyglądać na osobę bardziej sprawną i dzielniejszą, która potrafi biegać po górach i jada na śniadanie yeti. Trzymanie się mody nie jest chyba najlepszym pomysłem.

- Wygrałabyś - stwierdza mój przewodnik i puszcza do mnie oko. - Z palcem w nosie.

Myślę, że to komplement.

Wciąż zerkając na mnie przez ramię, Dean zbiera nas, a potem prowadzenie przejmuje Sandziw. Wyruszamy tuż przed tym, nim mała wskazówka dociera do siódemki. Jestem zaskoczona, że nie zamykają mi się oczy, nie wspominając o tym, że udaje mi się zmusić nogi do stawiania kroków.

Opuszczamy wioskę, kołysząc się nad spienioną rzeką na potwornie rozklekotanym moście linowym, któremu w kilku kluczowych miejscach brakuje desek. Kiedy udaje nam się bezpiecznie, choć dość nerwowo, go pokonać, ruszamy stromym zboczem w górę, mijając poletka uprawne, gdzie kobiety, elegancko ubrane w bogato wyszywane sari i buty Nike, zbierają ryż. Dzieci o twarzach koloru kawy z mlekiem biegają ścieżką w górę i w dół, wołając do nas *namaste*, niosąc kosze wyładowane drewnem na opał, kolbami kukurydzy i głośno narzekającymi kurczakami. Chłopczyk w koszulce z Dickiem Trącym i w szortach ze Snoopym staje i z nieśmiałym uśmiechem wręcza mi kwiat nagietka, po czym ucieka, śmiejąc się głośno. Te dzieci potrafiłyby skruszyć najbardziej zatwardziałe serce i moje zdążyło się już rozplynać jak porcja lodów przy grzejniku. Dzieci Edie są hałaśliwe, krzepkie, głośne i stale się czegoś domagają. Tutejsze dzieciaki są otwarte, niewinne, delikatne i stanowcze. Nie noszą nike'ów. W ogóle nie mają butów.

Ani żadnych markowych ciuchów. Ich ubranie wygląda jak resztki z lumpeksu. Ze śmiechem podążają za nami przez wioski, biegają zakurzonymi drogami, nie obawiając się trzymać za ręce bladolicych obcych. Ofiarowują nam nagietki, ładne kawałki kwarcu i słodkie uśmiechy na brudnych buziach.

Droga wiedzie przez zarośnięte ścieżki, ocienione przyjemnie przez dęby, na wpół zrujnowane wioski, gdzie wszyscy wybiegają, żeby nam pomachać. Kamienne stopnie są przystosowane do drobnych nepalskich stóp, a nie niezgrabnych europejskich buciorów, i wystawiają nasze uda oraz łydki na ciężką próbę. Już nigdy nie przerazi mnie stepper. Rolnicy pracują na polach, młóćą zboże starożytnymi metodami, przepędzając woły po żółtych kłosach, by oddzielić od plew cenne ziarno. Przed domami grupy kobiet młóćą proso, wykorzystując siłę własnych stóp, plotkując przy tym i chichocząc.

Czuję, że stres opada ze mnie z każdym zakrętem ścieżki. Słońce już wzeszło i temperatura wzrasta, ciepłe promienie rozkosznie grzeją mi plecy. Tyle czasu spędziłam, gnając z jednego miejsca do następnego, nakręcając się bez powodu, i tak rzadko zatrzymywałam się, by popatrzeć, jak płynie życie. To idealne lekarstwo na zachodni styl egzystencji i rozumiem, dlaczego Dean postanowił nie wracać do wyścigu szczurów. Jednego można być pewnym: choćby człowiek się starał, szczury zawsze wygrają. Mam wrażenie, że trafiłam do disneyowskiej wersji życia - zbyt jaskrawe kolory, miłe twarze,

wszyscy się śmieją i uśmiechają, nieskazitelnie wymalowane

dekoracje. Kiedy Londyn stał się taki monochromatyczny? Jedyne, co pamiętam jako kolorowe, to czerwone autobusy.

Stajemy, żeby odsapnąć i wypić trochę jakże potrzebnej wody.

Pokryte śniegiem wierzchołki południowej Annapurny, Lam Yung

i Machapuchre nie dają chwili wytchnienia fotografom w naszej

grupie. Sandziw wręcza wszystkim ostre, wonne goździki do żucia.

Mają bardzo intensywny smak i trzeba do niego przywyknąć.

- Nie wyglądasz już dzisiaj na taką smutną, siostró - mówi i chyba ma rację. Jak można być smutnym w takiej scenerii? Jestem milion mil od „Mojego Dziecka” i „Mojego Rozwodu” oraz prawdziwego życia.

Powietrze jest tak czyste i orzeźwiające, jakby zawierało dodatkowe cząsteczki tlenu. Szybko zapominam o bolących nogach. Głównie dlatego, że koncentruję się na płucach, którym grozi eksplozja.

Dean rzuca plecak obok mnie. Od rana rozmawiał z innymi członkami grupy, ale ja chciałam побыć trochę sama i chłonąć widoki.

Sapię i prychem tak, że chyba nie zostało mi oddechu na rozmowę.

- Pięknie tu, prawda? - wzdycha.

- Cudownie. - Mogłabym się tu położyć i już nigdy nie wstać. Patrzę na Deana w obramowaniu gór, ze zdrowym rumieńcem na policzkach i błyskiem w oczach. - Zaczekaj - proszę. - Nawet nie drgnij. - Grzebię w plecaku, wyciągam aparat i robię zdjęcie, na którym wygląda odpowiednio rozkosznie. Moja siostra popłacze się z zazdrości. -

Wyślę ci kopię e-mailem.

- Tobie też zrobię. - Kiedy się ustawiam, pstryka. - To też mi wyślij. -

Oboje się rumienimy.

Moglibyśmy poznać się nieco lepiej, ale na widok aparatu natychmiast otaczają nas wioskowe dzieciaki, które nie mogą się doczekać, kiedy zrobię im zdjęcia, chcą też przećwiczyć swój angielski. To takie miłe, że nie okazują lęku przed obcymi. Ich zaufanie jest urzekające. Paplają między sobą, kiedy je fotografuję, a potem wszystkie grzecznie ustawiają się w kolejce, żeby obejrzeć się na ekranie cyfrowego aparatu. Wyjątkowo zapada mi w serce dziewczynka z brudną buzią, bosa i w błyszczącej wizytowej sukience od Marksa & Spencera. Przyglądam jej włosy, a mała zakrywa usta, chichocząc na widok swojej podobizny na ekranie, gdy tymczasem ja zastanawiam się, czy kiedykolwiek przestanę odczuwać tę tęsknotę.

Rozdział trzydziesty siódmy

Biuro było ciche, niemal kojące przed wybuchem zwykłego zamieszania. Jake odchylił się na krześle i wpatrywał w otwory wentylacyjne na suficie. Jakoś nie potrafił zebrać rozproszonych myśli.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem i wszedł Pip, niosący kask motocyklowy i sfatygowaną aktówkę.

- Nie mogłeś spać? - Podszedł i przysiadł na biurku Jake'a. Zdjął skórzaną kurtkę, by pokazać koszulę kwitnącą różami. Jake odebrał to jak atak na swoje i tak już wrażliwe zmysły.

- Nie - przyznał żałośnie. - Neve wstała o jakiejś nieludzkiej godzinie, żeby pojechać do Mediolanu. Pomyślałem, że skorzystam z okazji,

żeby wrócić do łask Aleka, kiedy zobaczy mnie tu bladym świtem.

Pip milczał.

- Wiedziałaś, że dostała kampanię Podmuchu?

Pip kiwnął głową. Kilka bardziej obowiązkowych osób przeszło obok w stronę maszyny z kawą.

- Dzięki, że mi powiedziałaś.

- Uznałem, że lepiej, żeby informacja wyszła od Neve - wyjaśnił Pip.

- Cóż, nie wydaje mi się, żeby przesadnie się z tym śpieszyła.

- Nikt nie chce być zwiastunem klęski, stary - stwierdził przyjaciel. -

Wiedziała, że nie będziesz zachwycony. Ja też wiedziałem, że nie będziesz zachwycony.

W jakiś dziwny sposób, mimo narzekania, że Neve nigdy nie ma w domu, Jake był zadowolony, mając mieszkanie dla siebie. Musiał oczyścić myśli i poważnie zastanowić się nad przyszłością. Świetny seks niekoniecznie oznacza spełniony związek. Jake

przeklął sam siebie. Trochę późno zaczął odkrywać filozofię jak z

pudełka płatków śniadaniowych. Poza tym, jego problemy nie

ograniczają się już do życia osobistego - wygląda na to, że w tym momencie perspektywy zawodowe też prezentują się niespecjalnie.

Jake sprawdził, czy w pobliżu ktoś jest - w dzisiejszych czasach ostrożność nigdy nie zawadzi.

- Myślę, że Alec próbuje się mnie pozbyć - wyznał. Pip, nie patrząc mu w oczy, potarł podbródek.

- O w dupę, stary! - Jake walnął pięścią w biurko. Wszystkie głowy

odwróciły się w ich stronę. Zniżył głos. - O tym też wiedziałeś.

- Zawsze krążą jakieś plotki - bąknął Pip.

- I co jeszcze mówią biurowi plotkarze?

- Nigdy nic przyjemnego. Nie powinieneś zwracać na nich uwagi.

- Ale ja nie słyszałem żadnych plotek! - Było to niepokojące, bo zawsze sądził, że trzyma rękę na pulsie. Może to oznaczać tylko jedno:

biurowe plotki dotyczą jego. - Co ja mam robić, stary? - Jeszcze

bardziej ściszył głos. - Mam wrażenie, że tonę. Potrzebuję pomocy.

Pip westchnął.

- Jestem twoim przyjacielem, zgadza się?

- Tak. Jedynym w tym cholernym miejscu.

- W takim razie pamiętaj, że słyszysz to od przyjaciela. Jake poczuł, że robi mu się zimno, mimo że klimatyzacja nie działała na pełnych obrotach.

- Wiążąc się z Neve, wykopałeś sobie bardzo głęboki grób

-powiedział obojętnie Pip.

Chociaż właśnie dochodził do tej samej konkluzji, Jake nie to chciał usłyszeć.

- Jak się mam z niego wygrzebać?

- Będziesz potrzebował piekielnie wielkiej łopaty.

- Uważasz, że Alec wie o mnie i Neve? Pip ostrożnie dobierał słowa:

- Myślę, że to spóźniony wniosek.

- Cholera! Chyba muszę się z nim zobaczyć. Wyprostować sprawy. -

Musi stanąć twarzą w twarz z problemem. Musi wyjaśnić sytuację z

Alekiem, żeby nie zrobiło się jeszcze gorzej. Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo Lyssa go wspierała, kiedy szło o trudną politykę biurową. Wysłuchiwała wszystkiego, rozsądnie doradzała i generalnie naprostowywała, kiedy tego potrzebował. Na myśl o niej poczuł lekki skurcz żołądka. Nie chodzi tylko o dzieci i próbki spermy.

- I co zamierzasz powiedzieć Alekowi? - Pip przerwał jego zadumę.

- Nie wiem. - Jake westchnął. - Ale trzeba kuć żelazo, póki gorące.

Załatwię to dzisiaj.

- Niemożliwe. - Pip kręcił głową.

- Dlaczego? Wiesz jeszcze coś, czego ja nie wiem?

- Pewnie tak. - Pip przygryzł usta i spojrzał na przyjaciela ze współczuciem. - Alec też jest w Mediolanie.

Rozdział trzydziesty ósmy

Przetrwałam kolejny dzień. Uważam to za nie lada osiągnięcie.

A Wędrowaliśmy przez jakieś siedem godzin i jestem pewna, że nigdy w życiu nie zaszłam tak daleko. Muszę uczciwie przyznać, że do tej pory byłam bardzo przywiązana do wygody mojej fiesty. Ścieżka prowadziła przez lasy dębów i rododendronów. Przysięgłam sobie, że któregoś dnia wrócę tu wiosną, kiedy kwitną pry-mule i orchidee.

Przez całe popołudnie szłam z Dave'em, prawnikiem rozwodowym, i Jimem tajniakiem. Odkryłam, że obaj mają równie fatalne doświadczenia miłosne, jak ja, i dzięki temu czuję się o wiele lepiej.

Nie mogłam jakoś stawić czoła Tani i Tony'emu, bo są tacy zakochani, że uznałam, iż ich towarzystwo mogłoby popsuć mi

humor. Saffron przyłączyła się do Feliksa i Felicity i kiedy tylko odkryli, że wszyscy są wykwinnymi socjalistami, razem zajęli się poprawianiem świata, Ian i Graham okazali się zaskakująco macho i szli przodem z Sandziwem oraz Deanem, gdy tymczasem inny przewodnik, Tek, miał pilnować maruderów. Moim zdaniem sił dodała im wizja zimnego piwa. Na mnie zachęcająco podziałałaby wizja gorącej kąpieli i szybkiego masażu rozgrzewającą maścią.

Obóz rozbito na łące w pobliżu wioski Sikklis, z fantastycznym widokiem na Machapuchare. Myśl o spędzeniu kolejnej nocy w namiocie nie wydaje się już taka straszna - szczególnie gdy zauważam, że i tym razem mam za sąsiada Deana.

Z ulgą zrzucam plecak, zmieniając tym samym moje skromne mieszkanie w miejsce jak po wybuchu bomby, i wietrzę rozpalone pulsujące stopy, siedząc nad kubkiem dymnej czarnej herbaty. Zastanawiam się głównie nad tym, które części ciała mogę zmieścić w misce z wodą i w jakiej kolejności. Chcę umyć włosy, ale nie mam mowy, żebym zrobiła to po umyciu stóp. Czy naprawdę jestem tą samą kobietą, która codziennie rano brała prysznic, a kąpiel z pachnącą pianą co wieczór? Wolnym krokiem zbliża się do mnie Dean.

- Wyglądasz, jakbyś rozmyślała o troskach tego świata - mówi, siadając.

- Nie. - Uśmiecham się krzywo. - Rozważam kwestie znacznie bardziej podniosłe.

Czeka, aż powiem coś jeszcze.

- Nie wiem, czy mam umyć nogi, czy włosy. I jak się do tego zabrać.

- Typowy z ciebie mieszczuch. Mogę ci pomóc. - Wstaje i po chwili

wraca z miską czystej wody. - Umyję ci włosy.

- Ooo!

- Na takiej wyprawie pewne zasady nie obowiązują. Zdejmij koszulę -
radzi.

Przełykam ślinę i zdejmuję koszulę, zostając tylko w wyciętym podkoszulku. W wioskach grzeczność nakazuje, by kobiety zakrywały nogi i ramiona, ale nie w obozowisku, gdzie można zachowywać się nieco swobodniej i pokazywać kolana i łokcie. Wiatr przyjemnie chłodzi mi skórę. Weszliśmy wyżej -tu powietrze jest bardziej rozrzedzone i znacznie zimniejsze. Wręczam Deanowi ekologiczny, ulegający biodegradacji szampon, który nie pachnie nawet w połowie tak ładnie, jak zwykle przeze mnie używany aromaterapeutyczny dziesięć funtów za butelkę. Klękam i pochylam się nad miską. Dean polewa mi wodą włosy. Potem nakłada szampon i zaczyna powoli masować moją głowę. Najwyraźniej jego ręce do tego właśnie zostały stworzone.

- Przyjemnie?

- Mmm. - Próbuję mrużyć z aprobatą, a nie, jakby mnie to podniecało. Ale oczywiście podnieca! Mam okropne uczucie, że w którymś momencie, w ciągu ostatnich czterech lat, Jake i ja po prostu przestaliśmy się dotykać. Czy stało się to przy okazji mechanicznego procesu starania się o dziecko, czy wcześniej? Jake nigdy nie umył mi

włosów i nigdy nie zdradził najmniejszej chęci, żeby to zrobić. Czy to nietypowe? Chyba coś straciliśmy. Mycie włosów może być bardzo zmysłowe. Czy Robert Redford nie mył przypadkiem włosów Meryl Streep w *Pożegnaniu z Afryką*? Jeżeli nie, to powinien.

- Wystarczy? - pyta Dean.

Wydaje mi się niestosowne proponować, by kontynuował przez kolejną godzinę albo dwie. Zastanawiam się, czy zdołałabym go przekonać, żeby wymasował mi stopy.

- Tak, doskonale. Dzięki.

Splukuje mi włosy i podaje ręcznik. Trochę kręci mi się w głowie. Pewnie z powodu wysokości i dlatego, że się pochylałam. Ale nie jestem do końca pewna.

Dean się uśmiecha.

- Do zobaczenia na kolacji.

Rozglądam się po obozie, starając się nie patrzeć na niego, jak idzie do swojego namiotu. Na drugim końcu zauważam Saffron, która próbuje umyć włosy. Postanawiam pójść do niej i zaproponować pomoc. Możecie mnie nazwać samolubną krową, ale jestem zadowolona, że nie zrobił tego Dean.

Rozdział trzydziesty dziewięty

Edie otworzyła drzwi i zaskoczona stwierdziła, że na progu stoi Jake.

- Ależ z ciebie idiota! - prychnęła.

- Mnie też miło cię widzieć, Edie. - Wepchnął ręce głębiej do kieszeni i pozwolił, żeby kąciki ust opadły mu jeszcze niżej. - Mogę wejść?

- Tylko jeżeli chcesz paluszki rybne i pieczoną fasolę. Zaraz nakładam.

- To moje ulubione danie. Jake wszedł.

Edie ruszyła do kuchni, ciągnąc za sobą Archiego z katarem do pasa, który krzyczał tak, że zrobił się fioletowy na twarzy, i trzymał się jej nogi jak pijawka.

- Zachowuje się tak cały dzień! - krzyknęła przez ramię. -Przestałam próbować go odczepić.

Reszta licznej dzieciarni Edie siedziała przy kuchennym stole, krzycząc na siebie i tłukąc się łyżkami. Z boku czekała cierpliwie patelnia grillowa z górą paluszków rybnych.

- Utrzymujesz Kapitana Igloo na rynku? - zapytał Jake, zdejmując płaszcz.

- Owszem. Dzięki tej bandzie facet ma zapewnioną porządną emeryturę. - Edie przeciągnęła wrzeszczącego Archiego przez całą kuchnię do piekarnika - Siadaj - nakazała Jake'owi, jakby mówiła do jednego ze swoich dzieci. Jake usiadł. - Powiedźcie „cześć” wujkowi Jake'owi.

- Cześć wujkowi Jake'owi - powiedzieli wszyscy, także Jake. Daisy ukradkiem przesunęła się na tę stronę stołu, po której siedział Jake.

- Kiedy dorosnę, zapiszę się do Girls Aloud. - Rzuciła swojej znękaney rodzicielce pełne niechęci spojrzenie, prezentując jednocześnie układ taneczny. - A potem będę mogła jeść wszystkie lody,

jakie zechcę.

- Znakomity pomysł - pochwalił Jake. - Tylko że skoro masz być idolką, menadżer zechce, żebyś była potwornie chuda, więc także on nie pozwoli ci jeść lodów.

Daisy ściągnęła brwi.

- Widzisz? - włączyła się Edie. - Nie tylko mamusia potrafi być upierdliwa. Wujek Jake też. - Upchnęła paluszki rybne pod grillem.

Do kuchni z łomotem weszła Kelly.

- Nienawidzę tego domu! - wrzasnęła. Po namyśle postanowiła, że zauważy obecność Jake'a. - O, cześć, wujku. - Pocałowała go w policzek. - Nienawidzę was wszystkich.

Jake ją uściskał.

- Jak tam najpiękniejsza nastolatka świata?

Kelly się zarumieniła. Miała na sobie niemożliwie krótką spódnicę, odsłaniającą niemożliwie długie nogi, i aż strach pomyśleć, że jeszcze niedawno była gapowatą nieśmiałą nastolatką z warkoczykami i bez biustu. Kiedy przestała być dzieckiem i zmieniła się w buzującą hormonami kobietę? Jake'a śmiertelnie przeraziła myśl, że któregoś dnia mógłby mieć córkę, która tak by wyglądała i tak się zachowywała.

- Zabierz mnie do domu, żebym mogła z tobą mieszkać -zwróciła się do Jake'a.

- W dzisiejszych czasach można za to trafić do więzienia -wyjaśnił.

Kelly paskudnie się wykrzywiła.

- Niczego mi nie wolno.

- Nie wolno ci zostawać poza domem do drugiej nad ranem.

- Katie Marchmont wolno.

Edie wepchnęła palce do uszu i zaczęła śpiewać w stylu Julie

Andrews: *Masz lat piętnaście, wyglądasz na trzydzieści pięć, mam cię dość....*

- Paszczury. - Kelly wyszła z łomotem. Daisy wślizgnęła się Jake'owi na kolana.

- I pomyśleć, że Lyssa chciała czegoś takiego - westchnęła Edie. - Nie rozumiem, jak mogłeś nie uznać tego za wyjątkową atrakcję.

- Twoje dzieciaki wystarczą, żeby każdego zniechęcić - przyznał Jake. - Nie licząc waszej dwójki.

Edie z brzękiem wyjęła talerze z kredensu i przerzuciła na nie paluszki rybne, dodając po chochli pieczonej fasoli. Jeśli chodzi o gotowanie, brakowało jej finezji. Mimo całej tej krzątaniny, rwetesu i hałasu Jake musiał z zaskoczeniem przyznać, że znacznie lepiej czuje się, siedząc wśród potyczek prawdziwego życia niż w lodowatym klinicznym mieszkaniu Neve. Edie cisnęła na środek stołu miskę ziemniaków w mundurkach i rozdała talerze.

- Wszyscy umyli ręce? Potwierdzili.

- Kłamczuchy. Za wszystkie dary i tak dalej... Rozpoczęło się karmienie. Jake zaczekał, aż przetoczy się pierwsza fala, a potem sięgnął po ziemniaka. Miał wrażenie, że się zapada i czuł się absurdalnie bliski płaczu. Być może chodziło o to, że Edie na swój niepowtarzalny sposób zaprosiła go do domu, chociaż

mogła zamknąć mu drzwi przed nosem. Nie zdawał sobie sprawy, ile to dla niego znaczy. Mogli nie być spokrewnieni, ale myślał o Edie jak o szwagierce, a jej dzieci traktował jak siostrzeńców i siostrzenice.

- Dzięki, Edie.

Kocha życie rodzinne. Marzy o posiadaniu własnego życia rodzinnego. Po prostu strona praktyczna tego wszystkiego nieco ujęła mu czaru.

- Miałaś jakieś wiadomości od Lyssy? - zapytał najbardziej nonszalancko jak potrafił.

- Oczywiście, że nie. Mała szansa, żeby przysłała kartkę skądś z Himalajów, czy gdzie tam jest.

- Rzeczywiście - zgodził się Jake.

- Winię za to ciebie. To wszystko z powodu tej niewyżytej Neve. - Ostatnie słowo wymówiła bezgłośnie.

- Czy Neve to twoja nowa dziewczyna? - zapytała Daisy z pełną buzią.

Edie rzuciła mu spojrzenie pod tytułem „i widzisz, co narobiłeś?”.

- Eee...

Daisy się nachmurzyła.

- Nie kochasz już cioci Lyssy?

- Kocham - odparł szczerze Jake. - Ależ kocham. Brwi Edie

gwałtownie podjechały do góry.

- Słuchajcie, później możecie dostać trochę lodów. - Jęki. - Idźcie i coś zróbcie. Najlepiej, żeby to było coś pożytecznego, najlepiej, żeby

dotyczyło karmienia któregoś z tuzina zaniedbanych zwierząt

zamieszkujących ten dom.

Dzieci niechętnie odeszły od stołu i rozproszyły się po pokojach. Gdy

zostali sami, Edie rzuciła Jake'owi chłodne spojrzenie.

- Nie patrz tak na mnie.

- Mam szóstkę dzieci, to odruchowe. - Jake odsunął talerz.

- Rozumiem, że nie wszystko układa się jak w bajce.

- Nie - przyznał. - Jestem zagubiony.

- Jesteś facetem, czego się spodziewasz?

- Mam uczucie, że naprawdę schrzaniłem sprawę. - Spojrzał na Edie i

uśmiechnął się szeroko. - Wiem, jestem facetem. Czego mam się

spodziewać?

Edie westchnęła.

- Nie jestem pewna, czy właśnie ode mnie powinieneś oczekiwać

współczucia.

- Muszę się z nią skontaktować. Chcę wiedzieć, co o tym myśli.

- Na jej miejscu uważałabym cię za durnia.

- Próbowałem się dodzwonić na jej komórkę. Nie działa.

- To nie cholerna starówka, Jake. Jest gdzieś w górach. Pojechała bez

suszarki. Zdajesz sobie sprawę, jaka to poważna historia?

- Co mogę zrobić?

- Weź się w garść. Nie będzie jej jeszcze dość długo. Kiedy wróci,

musicie zdecydować, czego właściwie chcecie.

- Ale wróci, prawda?

- Czy potrafisz sobie wyobrazić, że Lyssa zostanie na dłużej w

miejscu, gdzie nie ma kawy ze Starbucksa?

- Nie - przyznał Jake. - Ale nigdy w życiu nie przyszło mi do głowy, że w ogóle coś takiego zrobi.

- Mnie też nie. Moja siostra zwykle nie robi niespodzianek. To moja działka. - Zerknęła na Archiego, jakby chciała dowieść, że ma rację. - Załatw to, Jake. Załatw, zanim wróci.

- Na pewno - obiecał. - Słowo. - W taki czy inny sposób.

- W ogóle nie rozumiem dlaczego, ale ta biedna skołowana kobieta wciąż cię kocha.

Jake poczuł ucisk w gardle i nie było to w żaden sposób związane z ciężkostrawną kuchnią Edie.

- Lepiej już pójdę - powiedział, chociaż wcale nie był pewny, czy chce iść. Nie trzeba by go było namawiać, żeby został na noc, ale Edie tego nie zaproponowała. - Mam dużo pracy.

- Ja też. Prasowanie. Dręczenie dzieci. Wstał.

- Mogę cię o coś zapytać, Edie?

- Tak. O ile nie chodzi o pożyczenie pieniędzy.

- Czy zdarza ci się żałować, że zdecydowaliście się na dzieci? Oboje spojrzeli na Archiego, który właśnie lizał kuchenną podłogę.

- Codziennie. Ale nie potrafiłabym bez nich żyć.

Czy taką chciał usłyszeć odpowiedź? Prawdopodobnie nie. Chciał

usłyszeć, jak bardzo dzieci wzbogacają życie i że nigdy nie tęskni się

za dniami, kiedy człowiek był młody, wolny i mógł wydawać pieniądze na zimowe wakacje. Dlaczego dzieci muszą oznaczać tak wielki kompromis?

- A czy teraz ja mogę cię o coś zapytać?

- Tak. Pod warunkiem, że nie będziesz mnie za bardzo dręczyła.

- Nie, nie, nic z tych rzeczy. Zastanawiałam się tylko... -

od-kaszlnęła.- Co tam u Pipa?

- U Pipa?

- Poznałam go na pożegnalnej imprezie u Lyssy.

- Och... - Zabolało bardziej, niż byłby skłonny przyznać. Lyssa urządziła pożegnalne przyjęcie i go nie zaprosiła. Powinna była, choćby ze względu na dawne czasy.

- Było tylko kilka osób - pocieszyła go Edie, jakby czytała w jego myślach. - Głównie rodzina.

-1 Pip.

- Tak. I Pip. U niego w porządku? Jake wzruszył ramionami.

- W porządku.

- To dobrze. - Założyła włosy za ucho. - Świetnie. Pozdrów go ode mnie.

- Jasne. Załatwione.

Edie odprowadziła Jake'a do drzwi, a spokojny i prawdopodobnie zarobaczony Archie podążał za nimi. Spojrzeli na siebie skrepowani.

- Dzięki za wszystko. I za paluszki rybne. Były fantastyczne.

- Czarus - mruknęła Edie, obejmując go.

Jake mocno ją uściskał. Jakim cudem tak wszystko się przyszyło?

- Kochamy cię. Należysz do rodziny. Przychodź, kiedy chcesz.

Wiesz, że zawsze jesteś mile widziany. Tylko żebyś się nie ważył znowu skrzywdzić mojej siostry - ostrzegła. - Bo cię zabiję.

Rozdział czterdziesty

Z wczorajszym posiłkiem po prostu mieliśmy szczęście. Dziś, tak jak ostrzegały mnie matka, siostra i wszystkie koleżanki z pracy, danie dnia to suszony jak. I muszę stwierdzić, że wbrew powszechnemu przekonaniu jest całkiem smaczny. Saffron, w moim mniemaniu kryptowegetarianka, zajada go ze smakiem. Zapiekanka z jaka została uzupełniona makaronem, zieloną fasolką i sporą ilością rakszi, lokalnego ryżowego wina. Wszystko razem uderza mi do głowy. Może to górskie powietrze, a może fakt, że przypomina paliwo rakietowe, w każdym razie rakszi wchodzi wyjątkowo gładko. Inna sprawa, że z powodu prób in vitro byłam na ścisłej diecie dłużej, niż chcę pamiętać - żadnego alkoholu, żadnych serów pleśniowych, żadnych surowych jajek, żadnego tuńczyka. Teraz to bez znaczenia, teraz, kiedy ten problem przestał istnieć, mówię: „Dawać, no!”. Szczególnie alkohol. Po kolacji wynosimy składane krzesła na dwór i, co wymowne, grupa zostawia Deanowi wolne miejsce obok mnie. Część mieszkańców pobliskiej wioski postanowiła towarzyszyć nam wieczorem. Przeszli zaledwie dwie mile, by nas zabawić, zabierając ze sobą bębny i piszczałki. Szerpowie przynoszą lampy naftowe z namiotu-jadalni i gromadzą się wokół nich, śmiejąc się głośno, co zdradza, że i oni

potrafią docenić surowe ciepło rakszi. Młodzi mężczyźni zaczynają tańczyć do wtóru śpiewających i klaszczących wieśniaków. Wirują jak szaleni, wyginając się, kręcąc i kręcąc. Kilka kobiet tragarzy trzyma się z tyłu i nieśmiało przygląda się tańczącym. Wielki pas Drogi Mlecznej zapewnia nam dyskotekowe oświetlenie, strzelając jasnymi iskrami od horyzontu do horyzontu.

- Chodź zatańczyć - mówi Dean.

- Nie, nie mogę. - Włącza się typowa angielska rezerwa. - Nie wiem, co robić.

- Czy to wygląda na trudne? Wszyscy za dużo wypili, niczego nie zauważą. - Ciągnie mnie, żebym wstała. - Nepalczycy uwielbiają tańce.

Saffron już podąża w stronę tańczących. Zdecydowanie musiała ukończyć jeden z tanecznych kursów New Age i wiruje jak opętana. Jej niechętnym partnerem jest Dave, który tańczy z ogniem i rytmem charakterystycznym dla przeciętnego Brytyjczyka. Pozwalam, by Dean poprowadził mnie w stronę tancerzy, bezpiecznie do środka, z dala od kpiących obserwatorów, którzy, być może, tylko czekają, by wyszydzić moje umiejętności. Tylko kto właściwie miałby... Ostrożnie próbuję wykonać kilka nieśmiałych obrotów.

- Urodzona tancerka - stwierdza Dean ze śmiechem.

E, do diabła z tym! Co mam do stracenia? Felix i Felicity już się poderwali, ona skacze jak Kate Bush wyjątkowo pozbawiona formy.

On naśladuje Micka Jaggera z roku sześćdziesiątego siódmego. Jestem

pewna, że gdyby mój ojciec pozostał z nami w kontakcie, nawet on zatańczyłby lepiej. Próbuję się przyłączyć. Mówcie co chcecie, ale wirowanie to niełatwa sprawa. Ciało mam napięte i sztywne. Kiedy do tego doszło? Mam wrażenie, że straciłam łączność z samą sobą. Dean też wiruje, więc zdaję się na żywioł i umiejętności partnera.

Muzyka płynie, piosenki, jedna za drugą, zgrabnie łączą się w całość, a my wirujemy tak długo, aż kręci mi się w głowie.

- Muszę usiąść!

- Dobra - zgadza się Dean. - Udowodniłaś, że potrafisz.

I potrafię. Ja, dla której udane wyjście wieczorem oznacza kolację w wytwornej restauracyjce albo może parę kieliszków chardonnay w przesadnie eleganckim barze. Nigdy wcześniej nie wirowałam pod rozświetlonym gwiazdami niebem, pijąc piwo i lokalny biber z metalowego kubka. Piosenkę podejmują dziewczęta, śpiewają kilka zwrotek, po nich włączają się młodzi mężczyźni, jakby im odpowiadali.

Pochyliłam się w stronę Deana.

- O czym oni śpiewają?

- To śpiewane zaloty - wyjaśnia nieco zażenowany. - Jedna z dziewcząt szuka męża. Są bardzo bezpośredni. - Zakłopotany wzrusza ramionami. - Kobiety mówią, czego pragną, mężczyźni odpowiadają.

Dziś wieczorem jeden z nich najpewniej znajdzie sobie żonę.

- Co bije na głowę taniec wokół torebki w dyskotecie.

- To pewnie tylko wariacja na ten sam temat - racjonalizuje Dean. -

Wolne kobiety noszą na plecach barwne narzutki w paski, żeby pokazać, że wciąż są do wzięcia. Kobiety tragarze są wyjątkowe. Nie uważa się tej pracy za odpowiednią dla niezamężnej kobiety. W ich wioskach będą się na to krzywili. Te dziewczyny to początkujące feministki.

- Brawo!

Słychać krzyki i chichoty. Młodzi przekazują sobie misę czegoś, co wygląda jak pudding ryżowy. Niektórzy z chłopców próbują rozsmarować go na czołach dziewcząt. Dochodzi do przepychanek. Sandziw i Dave ryczą ze śmiechu.

- To tika - wyjaśnia Dean. - Mieszanka ryżu, jogurtu z mleka jaka i miodu.

Misa trafia do rąk Deana. Sandziw przygląda mu się szeroko otwartymi oczami.

- I ma jakieś symboliczne znaczenie, prawda? Dean potakuje.

- Proponuję ci ją, jeżeli cię lubię. - Patrzy mi w oczy. - Jeżeli bardzo cię lubię. - Zanurza kciuk w białej substancji o ostrym zapachu i wręcza mi misę. - Jeśli ją przyjmiesz - dodaje - to znaczy, że czujesz to samo. Że... też bardzo mnie... lubisz.

Pochylam głowę i Dean rozsmarowuje tikę między moimi brwiami.

- Pachnie okropnie - stwierdzam. Dean uśmiecha się łagodnie.

- Nikt nigdy nie obiecywał, że miłość musi pachnieć różami. Nie, rzeczywiście nie. Z puddingiem ryżowym na czole czuję się skrępowana.

- Chcę cię pocałować - szeptem Dean. Nie protestuję.

- Publiczne manifestowanie uczuć nie jest akceptowane. -Śmieję się nerwowo. - Będziemy musieli poczekać.

Bierze mnie za rękę i znowu idziemy zatańczyć. Mam szczerą nadzieję, że nie potrwa to długo.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Jake wrócił do mieszkania Neve. Miał ochotę zatrzymać się na kilka piw w którymś z zatłoczonych anonimowych barów, żeby nie mierzyć się z samotnością, ale była prawie północ i czas do łóżka. Jego kroki rozbrzmiewały echem w mieszkaniu, odbijały się od ścian i drewnianych podłóg. Rzucił płaszcz na sofę, otworzył lodówkę i wyjął puszkę piwa. Przydałaby się tu grupka biegających dzieciaków, jakaś muzyka, trochę hałasu. Można by rozłożyć piękne tory kolejki elektrycznej. Dobry Boże, o czym on myśli? Czy przypadkiem nie o tym, co go wcześniej przerażało?

Na sekretarce nie było wiadomości od Neve - trudno się dziwić, skoro nadal miał parszywy nastrój, gdy rano wyjeżdżała. Powinien do niej zadzwonić. Spróbować dojść do porozumienia. Nawet jeśli ich związek nie okazał się usłany różami, jak to sobie wyobrażał, nadal muszą razem pracować. Powinien przynajmniej spróbować. Lyssa nie wróci jeszcze przez kilka tygodni więc ma mnóstwo czasu, by dojść do tego, czego naprawdę chce.

Jake przeszukał aktówkę. Zdołał namówić asystentkę Aleka, żeby podała mu numer do hotelu w Mediolanie, bo Neve, pewnie w

przyływie złości, nie zostawiła mu żadnych namiarów. Spojrzał na zegarek. Czy nie za późno na telefon? Nie miał pojęcia, jak wygląda plan wizyty w Mediolanie. Jeżeli wcześniej rano spotkania ma poumawiane, jemu się z tego nie zwierzyła. Podniósł słuchawkę. Nie, jeśli ma do niej zadzwonić, powinien być w bardziej pojednawczym nastroju. Kłótnie na odległość to kiepski pomysł. Jake odetchnął głęboko parę razy, żeby się uspokoić, a potem upił kilka solidnych łyków piwa. Wystukał numer hotelu i poprosił o połączenie z pokojem Neve Chandler.

Po kilku sygnałach ktoś podniósł słuchawkę.

- Halo. - Męski głos.

- O - bąknął Jake. - Czy zastałem Neve Chandler?

- Eee... - stęknął mężczyzna. - A kto dzwoni?

- Co? - Jake podrapał się w głowę. Połączenie nie było najlepsze.

Czasami można wybrać numer na drugim końcu świata i rozmawiać z kimś, słysząc tak wyraźnie, jakby siedział w pokoju obok. Nie tym razem. Tym razem trzeszczało i szumiało. Mimo to głos był znajomy, na pewno. Prawie na pewno. - A kto mówi?

- Przepraszam - odparł tamten pośpiesznie. - Źle pana połączono.

Zanim Jake zdążył wymyślić, co mógłby powiedzieć, przerwano połączenie.

Był jak ogłuszony. Rozmawiał z Alekiem. Alec jest w pokoju Neve.

W Anglii minęła północ - która godzina jest we Włoszech? Jeszcze później, uznał ponuro. I Alec znalazł się w pokoju Neve. Co robić?

Powinien zadzwonić jeszcze raz? A jeżeli tym razem odbierze Neve?

Co jej powie? Czy w ogóle chce cokolwiek mówić, biorąc pod uwagę potencjalną obecność Aleca podsłuchującego gdzieś z boku? A z drugiej strony, może recepcja rzeczywiście źle go połączyła?

Jake odłożył słuchawkę na widełki. Okropne. Czy Neve go zdradza? I to z Alekiem! Czy nie zdaje sobie sprawy, w jakiej sytuacji stawia ich wszystkich? Jake się roześmiał. Przyganiał kocioł garnkowi. Jeżeli rzeczywiście Neve go zdradza, to na to zasłużył. To samo zrobił Lyssie, kiedy żyła w przekonaniu, że próbują założyć rodzinę. Czy fakt, że była zupełnie nieświadoma, co Jake myślał, cokolwiek zmienia? Jake poczuł, że rumieni się ze wstydu. Jak mógł być takim gnojkiem?

Potrafił zracjonalizować swoje postępowanie na milion różnych sposobów, ale żaden z nich nie wytrzymałby krytyki. Teraz siedzi w mieszkaniu Neve, gdy tymczasem ona w innym kraju najpewniej zabawia się z innym facetem. Zrobiło mu się niedobrze, jakby miał zwymiotować wypite piwo. Zdrada nie jest już taka fajna, kiedy to ty jesteś zdradzany.

Rozdział czterdziesty drugi

Leżę w namiocie i zastanawiam się, co teraz? To pewnie okropna zniewaga dla nepalskiej kultury, ale, niestety, musiałam zetrzeć tikę. Pachniała okropnie, a w dotyku okazała się jeszcze gorsza, i mam nadzieję, że to nie będzie zły znak. Iako osoba, która wzięła udział w prymitywnych rytuałach godowych nie uważam, by należało zachęcać ich uczestników do smarowania obiektu pożądania śmierdzących

puddingiem ryżowym.

Gdy zaczął padać deszcz, wszyscy się rozeszli. Od tamtej pory ulewa jeszcze się nasiliła. Zaczęło się od delikatnego stukania o tropik, teraz słyhać dudnienie. Nawet obecny obowiązkowo w każdej wiosce wyjący pies znalazł sobie jakieś schronienie. W tym łaskocie nie słyszę nawet rapsodii chrapania. Podobno to pora sucha, więc nie potrafię sobie wyobrazić, jak wygląda pora monsunowa, kiedy deszcz leje strugami. Hałas sprawia, że nie słyszę także odgłosów dochodzących z namiotu Deana. Leżę na pozór spokojnie, ale w duchu drżę jak napięta struna. Wiem, że czekam, aż coś się wydarzy, i wiem, czego bym chciała, ale właściwie nie jestem pewna. Już niczego nie jestem pewna. Rozlega się szelest poły namiotu, którą zaczęłam żartobliwie określać mianem frontowych drzwi. Tym razem nie mam obaw, że to duch albo seryjny morderca.

- Lysso - ktoś szeptem wypowiada moje imię.

-Tak?

Zamek zostaje odsunięty i Dean wsadza głowę do namiotu. Nawet w ciemnościach widzę, że włosy ma mokre i krople deszczu spływają z jego nosa na mój śpiwór.

- Chciałem zobaczyć, czy u ciebie wszystko w porządku.

- W porządku - odpowiadam chrapliwie.

Dean wciska się do środka i nagle nie ma miejsca. Marzę, by dotknąć jego mokrych loków.

- Myślałem, że w taki deszcz możesz się czuć niepewnie.

- Nie. - Jestem Brytyjką, jakim sposobem deszcz mógłby mnie niepokoić? Mój nocny gość nagle wygląda na stropionego.

- No cóż - dodaję. - Trochę.

Jeżeli wyobrażał sobie, że leżę w ponętnej pozie w koszuli na ramiączkach, musi być bardzo rozczarowany. Mam na sobie pola-rową piżamę w tygryski i śpiwór zasunięty pod szyję. Na szczęście zdjęłam skarpetki.

- Myślę, że reszta śpi. - Oczy Deana połyskują niczym mroczne gwiazdy. Odchrząkuje. - Masz ochotę na towarzystwo?

Głośno przełykam ślinę. - Tak.

Przywieramy do siebie. Nasze usta są gorące i poszukujące, szalone.

Ściągam z Deana mokrą koszulkę, rozrywając ją. On rozpina zamek mojego śpiwora, który w połowie się zacina.

- Cholera jasna!

Gdy usiłuję się wydostać, szarpie moją piżamę. Zaczynam chichotać.

- Cii... Cicho... cii... - Dudnienie deszczu może ukryć nasze gorączkowe ruchy, ale nie wtedy, gdy zaczniemy hałasować bez umiaru. - To wariactwo - mruczy Dean.

- Wiem. - Zsuwam spodnie od piżamy i próbuję jednocześnie rozpiąć pasek Deana. Padając na materac, zrzucamy metalowy kubek, miednicę i kijki trekkingowe. Wygląda na to, że liczba posiadanych przez nas łokci przewyższa standardową. Dean kopnięciem zrzuca buty i walczymy z jego džinsami, powstrzymując śmiech. Pewnie zachowujemy się jak para pijaków, być może dla-

tego, bo za dużo wypiliśmy. Gdyby ktoś nas obserwował, uznałby pewnie, że w namiocie banda tchórzofretek zorganizowała mecz bokserski. Dean ściąga ze mnie górę od pizamy i przytula, nagle poważny.

- Zwykle nie robię takich rzeczy - dyszy. - Nie mam... nie jestem przygotowany.

Przykładam palec do jego ust.

- To bez znaczenia - mówię. - Nie mogę... nie mogę zajść w ciążę, nie mogę mieć dzieci. - Matko jedyna, pierwszy raz mówię to głośno i w takich okolicznościach. Aż trudno uwierzyć, ale nie brzmi to tragicznie. Prawdę mówiąc, po raz pierwszy wręcz się z tego cieszę!

- A inne zagrożenia?

Nic mnie nie obchodzi. Chcę dzikiego niepohamowanego seksu, z którym nie wiążą się wykresy, temperatura i zastrzyki. Pragnę niebezpiecznego seksu z atrakcyjnym nieznanym. Chcę seksu, którego jedynym celem jest dobra zabawa. Chcę się rozgrzać i czuć spływający po plecach pot. Chcę drapać, gryźć i walczyć, a później chcę być miękka, delikatna i seksowna. A jeszcze później chcę wszystko zrobić jeszcze raz!

- No wiesz, możesz tu zostać, a ja mogę wejść do śpiwora... Ale będzie o wiele mniej zabawnie.

Obejmujemy się, znów chichocząc. Dean przygląda moje włosy.

- Na pewno chcesz to zrobić?

- Bez dwóch zdań.

Wiercimy się i przepychamy jeszcze przez chwilę, a gdy oboje jesteście nadzy, zaczyna się całowanie na poważnie. Dean ma wspaniałe ciało, silne i szczupłe. Deszcz coraz mocniej uderza o tropik. Czuję ręce Deana na całym ciele, pieszczą mnie i poznają, pozwalam sobie zatonać w tych doznaniach. Nie jestem już zrozpaczoną, nieszczęśliwą, bezdzielną kobietą - jestem lekkomyślną i lubieżną Kobieta z Gór!

Rozdział czterdziesty trzeci

Chciałabym móc powiedzieć, że dręczy mnie potężny kac albo żałuję tego, co się stało. Nic z tych rzeczy. Poranek jest bezdeszczowy, ptaki świergocą, jem śniadanie na dworze u stóp Himalajów. Czuję w brzuchu specyficzne ciepło, które dają dobra owsianka i wspaniałe seks. Życie nie może być lepsze.

Bardzo się cieszę, że deszcz padał aż do świtu. Możecie mi 1 wierzyć, że Dean i ja w pełni to wykorzystaliśmy. Można powiedzieć, że rakszi szczęśliwie pozwoliła nam pozbyć się większości zahamowań. Później zasnęliśmy przytuleni i Dean wykradł się po cichu, zanim Sandziw - niech mu Bóg błogosławi - przyniósł mi poranną herbatę. Boli mnie każda komórka ciała i pewnie oboje mamy siniaki, ale zabawa była przednia. I jakimś sposobem mam wrażenie, że to coś więcej niż nieodpowiedzialny zakazany seks. Nie potrafię ująć tego w słowa, ale odczuwam coś w rodzaju ulgi. Widzę teraz, że całkowicie skupiłam się na jednym, z wyłączeniem całej reszty. Zapomniałam o czystej radości, jaką może dać dotyk czyjegoś ciała. i Nie żebym podczas nocnych

bojów myślała o moim byłym, j ale dziś rano rozumiem, dlaczego Jake tak się na mnie wkurzył. I kiepsko się czuję z tym, że potrzebowałam innego mężczyzny, by go zrozumieć. Ale z drugiej strony, nie przesadzajmy z tym żalem! W moim sercu odżyło coś, co znikło dawno temu. I czuję, że niezbyt mi wychodzi ukrywanie tego faktu.

Zresztą po co? Włóczę się po obozie, radośnie podśpiewując. Zrobiłam siusiu w śmierdzącym ekologicznym kibelku (dziura w ziemi), w towarzystwie mieszkających tam myszy, i wcale się nie przejęłam. Zabawne.

Kiedy Dean wychodzi ze swojego namiotu, wszyscy jedzą drugą porcję owsianki. Wygląda koszmarnie, jakby w ogóle nie spał. Kiedy się zbliża, dostrzegam na jego twarzy zadowolony uśmiešek.

Jim głośno gwizdże.

- Deszcz nie dał wam spać?

Ach, być może nie padało tak głośno, jak myśleliśmy. Albo może zachowywaliśmy się głośniejsze, niż myśleliśmy. Oboje z Deanem rumienimy się aż po korzonki włosów. Więc przynajmniej jedna osoba była świadkiem naszych nocnych działań. Nie na darmo Jim jest policyjnym wywiadowcą. A potem wszyscy przy stole zaczynają chichotać i wybucha spontaniczny aplauz.

- To górskie powietrze, kochanie - wyjaśnia Safron i klepie mnie po ramieniu.

Mam wrażenie, że chodzi raczej o to, że nasz przewodnik jest wyjątkowo rozkoszny. Ale milczę, żeby nie powiedzieć czegoś, co

mnie obciąży.

- Sama nie byłabym od tego - dodaje z pożądlwym błyskiem w oku. -

To przez wysiłek fizyczny. Hormony buzują.

Safron się przesuwa i robi Deanowi miejsce obok mnie.

- Cześć - rzuca zawstydzony. Przeżywamy tortury na oczach całej grupy.

- Cześć.

Wsuwa rękę pod stół i ściska moją nogę. Właściwie już to wystarczy,

żebym znów zaskoczyła. Nigdy wcześniej nie poszłam do łóżka - czy

też spiwora, jeśli chcemy dochować wierności szczegółom

technicznym - z nieznanym. I nie jestem pewna, jak się zachować.

Za długo byłam w związku i nie mam pojęcia o współczesnej etykiecie

seksualnej. Może gdybym była młodsza... Chociaż gdybym była

młodsza, pewnie bym się tym nie przejmowała!

- Jesteś taki zmęczony, na jakiego wyglądasz? - mamrocze, starając

się nie zwracać niczyjej uwagi.

- Nie. Czuję się świetnie. - Mój nowy kochanek obdarza mnie

nieśmiałym uśmiechem. - Dzięki.

- Ależ proszę.

- Nie żałujesz?

- Ależ skąd.

- Chyba nie byliśmy tak ostrożni, jak się nam wydawało.

- Nie. - Przez głowę przemyka mi myśl, że powinnam się była uczyć

od Jake'a, najwyraźniej Króla Podstępu.

Dean pod stołem bierze mnie za rękę.

- Być może nasze ścieżki skrzyżowały się na krótko, Lysso -mówi

cicho. - Uważam, że powinniśmy wykorzystać każdą chwilę dnia.

Patrzę mu w oczy i nie spuszczam wzroku. -1 nocy.

Śmieje się i ściska moją dłoń.

- To się rozumie samo przez się.

Rozdział czterdziesty czwarty

Archie śpi. Nareszcie. Daisy jest u koleżanki, a reszta jeszcze

w szkole. Spokój. Przez co najmniej kolejne pół godziny. Edie upiła

łyk kawy i spojrzała na górę taniego mielonego mięsa, które wkrótce, z

dotąd kilku butelek gotowego sosu, ma się zmienić w ulubione

danie rodziny Firthów, włoską ekstrawagancję, lazanie. Dziś

wieczorem może spodziewać się czystych talerzy.

Spojrzała na zegarek. Jeśli zamierza przeprowadzić swój głupiutki

plan, musi zrobić to teraz. Rzadko kiedy miewa pół godziny

samotności. I jeśli chce skorzystać z okazji, nie ma ani chwili do

stracenia. Kawa ją podkręciła - czuła się jednocześnie podniecona i

niespokojna.

Edie przygryzła wargę i przez kilka sekund trwała w niepewności, po

czym przeszła przez kuchnię, by podnieść słuchawkę. Z kieszeni

dżinsów wyciągnęła zmięty kawałek papieru i wygładziła go na blacie.

Oddychając głęboko, wybrała numer.

- Cześć - odezwała się, kiedy ktoś odebrał. Oddychała trochę szybciej

niż normalnie. - Czy mogę rozmawiać z Pipem Henshallem?

Czekając, aż recepcjonista połączy ją z biurem Pipa, myślała o tym, że popełnia szaleństwo, że robi coś złego.

- Pip Henshall przy telefonie.

Na dźwięk jego głosu Edie poczuła, że cała odwaga opuszcza ją i chowa się pod kuchennym stołem.

- Cześć - rzuciła niespokojnie. - Mówi Edie, siostra Lyssy.

- O, cześć. - Pip był należycie zaskoczony. No pewnie, pomyślała

Edie. - Miło cię słyszeć.

- Przepraszam, że zawracam ci głowę w pracy - zmusiła się, by mówić dalej.

- Nie, nie ma za co. Wszystko w porządku - zapewnił ją. - Miałaś wieści od Lyssy?

Po głosie sądząc, bardzo chciał się tego dowiedzieć.

- Nie. Żadnych wieści.

- Mam nadzieję, że dobrze się bawi.

- Ja też. - Rozmowa najwyraźniej kulą.

- No więc, co mogę dla ciebie zrobić? - zapytał Pip.

- No więc zastanawiałam się, czy chciałbyś się może spotkać kiedyś na lunchu - wydusiła. - Niedługo. Może. Jeżeli nie jesteś za bardzo zajęty.

- Lunch?

- Martwię się o Jake'a - dodała pospiesznie. - O Jake'a i Lyssę.

Myślałam... No więc myślałam... Że jako jego przyjaciel i w ogóle...

- Chcesz porozmawiać o Jake'u i Lyssie?

- No tak.

- O... - Pip się zastanowił. - Dobra. Kiedy chcesz się spotkać? No i proszę, jakie to proste.

- Niedługo. Załatwmy to szybko. Myślałam, że mogłabym przyjechać do miasta.

Usłyszała szelest przerzucanych kartek i uznała, że Pip przegląda notes.

- W pracy szaleństwo - powiedział. - W porze lunchu mam czas najwyżej na kanapkę w biegu. Może spotkamy się jutro?

- Jutro? W sobotę?

- Mam wtedy masę czasu - wyjaśnił. - Myślałem, że tak byłoby lepiej dla ciebie z dziećmi.

- A tak, jasne. Dzieci.

- Mogę wskoczyć na motor i podjechać do ciebie - zaproponował. - Będę miał pretekst, żeby się przejechać.

Powinna być z tego zadowolona. Wiedziała, że powinna, ale zdążyła już sobie wyobrazić cichy obiadek z dala od domu. A później może też rozkoszne popołudnie spędzone na samotnych zakupach.

- Wolałabym przyjechać do ciebie - powiedziała słabo.

- Nie śmiałybym cię o to prosić - upierał się Pip. - Znasz jakieś dobre miejsce?

- Tak. - Matko jedyna, kiedy ostatni raz wychodziła coś zjeść? Jeżeli w ogóle jadali poza domem, to z dziećmi i zwykle w Pizza Hut albo w Burger Kingu.

Edie gorączkowo grzebała w pamięci i uchwyciła się pierwszej nazwy, która przyszła jej na myśl. Była to pseudofrancuska restauracja niedaleko głównej ulicy, która zawsze dostawała w lokalnej prasie przyzwoite recenzje.

- Ménage à Trois. - Prawie udławiła się nazwą, gdy tylko ją wymówiła. Czy to coś oznacza? Co dziś rano mówił horoskop? W centrum miasta jest kilka innych, równie przyzwoitych restauracji. Dlaczego wybrała właśnie tę, o tak znaczącej nazwie? Czy to znak? Powtórzyła, mając nadzieję, że restauracja naprawdę jest dobra i głośno przełknęła ślinę, słysząc, że Pip notuje.

- Zapowiada się dobrze.

- Tak. - Edie zachichotała nerwowo. Czyżby z nią flirtował? -1 nazwa brzmi stosownie, nie uważasz? - dodał ze śmiechem

Pip.

Owszem, pomyślała Edie, ale z innego powodu, niż sądzisz.

- Do zobaczenia o pierwszej.

- O pierwszej - powtórzyła, mając nadzieję, że to stosowna pora.

- No to świetnie. Do jutra - zakończył Pip.

- Jasne. - Edie odłożyła słuchawkę. Dokładnie w tej chwili Archie wrzaskiem obwieścił swoje niezadowolenie z faktu obudzenia się i braku rozrywki przez ostatnich pięć minut. Powrót na ziemię, powrót do rzeczywistości. Edie westchnęła, idąc na górę po synka, odtwarzając z pamięci odbytą rozmowę. „Do jutra”.

Rozdział czterdziesty piąty

Felix i Felicity dużo opowiadają o Tybecie. Mam wrażenie, że przyjechali do niewłaściwego kraju i zamiast odwiedzać Nepal, powinni byli jechać właśnie tam. Spotkali się kiedyś z Dalajlamą i najwyraźniej zrobiło to na nich ogromne wrażenie. Na nich oraz na sposób, w jaki wydają pieniądze. Za każdym razem, gdy do obozu albo wioski dotrze tybetański sprzedawca, rzucają się na niego, łamiącymi się głosami wyrażają współczucie z powodu okrucieństw popełnianych przez Chińczyków na jego rodzinnej ziemi i, by dowieść szczerości swojego zaangażowania, kupują masę tandetnej biżuterii. Każdemu wolno zabrać dziesięć kilo bagażu i moim zdaniem kupili już co najmniej tyle wisiorków, bransoletek i błyskotek. Cała posiadana przeze mnie wiedza o Tybecie pochodzi z filmu *Siedem lat w Tybecie*, który obejrzałam tylko dlatego, że występował w nim Brad Pitt.

Zgodzę się z każdym, kto zechce wyrazić opinię, że moja wiedza o światowych kryzysach jest stanowczo za mała. Ale o to chodzi w podróżach - czy do Kornwalii, czy do Katmandu, podróże poszerzają horyzonty. W moim przypadku poszerzały tylko obwód mojej talii, ale uznałam, że każdy, kto potrafi przemierzać glob, nie korzystając z łazienki, może zacząć czuć się bardziej wartościowym człowiekiem. To dla mnie prawdziwe odkrycie. Nie tylko doskonale radzę sobie bez suszarki czy żelu pod prysznic. Lubię brać się za bary z naturą. Odkryłam, jaką przyjemnością jest przyglądanie się nocnemu niebu, chociaż nie potrafię określić, gdzie znajdują się główne konstelacje, bo tu wszystkie są w zupełnie innych miejscach.

W domu po prostu nie da się ich oglądać z powodu światła ulicznych latarni.

Dlaczego zakładamy, że nasz sposób życia jest lepszy? Czy fakt posiadania cyfrowej telewizji, pożerających benzynę samochodów, prysznic z głowicą masującą i prozacu naprawdę czyni nas istotami wyższego rzędu? W tutejszych wioskach nie ma prądu, ale czy lepiej jest spędzać wieczory na śpiewaniu tradycyjnych pieśni i pogawędkach z wioskowymi starszymi, czy na przysypianiu na wygodnej sofie podczas oglądania *Idola*, bez świadomości, że zapomnieliśmy o sztuce prowadzenia rozmowy?

Tutaj nie ma rozwodów, domów starców, psychiatrów, klubów Strażników Wagi i nie jestem pewna, czy Nepalczycy są przez to ubożsi.

Odkryłam też, że potrafię poradzić sobie bez Jake'a. Nie chcę jeszcze przesądzać, czy dzięki znalezieniu rozkosznego, choć tymczasowego, zastępstwa w osobie Deana.

Mój nowy kochanek i ja maszerujemy dzisiaj razem, ale nie możemy trzymać się za ręce ani przytulać, mimo że dla wszystkich jest oczywiste, że bardzo tego chcemy. Kulturowo to zachowanie nie do przyjęcia. Dean zwalnia, żebym mogła dotrzymać mu kroku, i idziemy tak blisko siebie, jak tylko się da, nie dotykając się jednak, co, muszę przyznać, jest bardzo romantyczne.

- Czego najbardziej brakuje ci w porównaniu ze Stanami? Dean wzrusza ramionami.

- Czy ja wiem? Kiedy jestem w domu, w wiosce, codziennie na śniadanie jadam dhal, coś w rodzaju kleiku z soczewicy. Trochę trwało, zanim nauczyłem się go kochać. - Uśmiecha się krzywo. - Czasami tęsknię za bekonem, ale jest zakazany. No i w promieniu wielu mil nie ma żadnego dentysty. Jako Amerykanin nie do końca przywykłem do tej myśli. Zmarnowały się wszystkie pieniądze, które moi rodzice wydali na ortodontę,

gdy byłem dzieckiem. - Rozchyła w uśmiechu usta, prezentując idealny garnitur zębów. - Brakuje mi też centralnego ogrzewania w zimie. Człowiek nie zdaje sobie sprawy, jak komfortowe jest życie w Kalifornii, dopóki nie wyjedzie. Słońce od ucha do ucha i klimatyzacja. W moim domu ciągnie jak diabli, a czasem robi się tu naprawdę zimno. Jeżeli chodzi o klimatyzację, zapewnia mi ją szeroka na stopę szpara między szczytem ścian i dachem. - Rzuca mi zawstydzone spojrzenie. - Teraz jestem jęczącym Jankesem.

- Ależ nie. Tu jest zupełnie inaczej. Po prostu trudno mi wyobrazić sobie siebie w domu! - Widziałam go za to w szeregu interesujących pozycji w namiocie.

Dean się śmieje.

- Czasem potrafię być udomowiony - przekonuje. - Projekt, przy którym pracuję, zapewnia mi skromne miejsce zamieszkania za minimalną cenę, bo nie dostaję pensji.

- Nie masz pensji? - Nie potrafię ukryć przerażenia.

- Żaden ze mnie Rockefeller - droczy się ze mną.

Muszę przezwyciężyć typowo brytyjską awersję do rozmowy o pieniądzach.

- Więc z czego żyjesz?

- Trochę uczę, w sezonie dorabiam jako przewodnik. - Ruchem głowy wskazuje grupę przed nami. - Trochę fotografuję i próbuję sprzedać zdjęcia Lonely Planet. Trochę tego. Trochę tamtego. Nieco owego.

- O rany.

- Mam pewność, że kobiety nie kochają mnie dla pieniędzy. Ale

spójrz, gdzie pracuję. - Dean ruchem ręki wskazuje otaczające nas góry. - To bardzo ułatwia rezygnację z dóbr materialnych.

Mogę sobie wyobrazić, ale czy odważyłabym się spróbować? Ilu z nas by się na to zdobyło? Uważam się za wyjątkowo dzielną, bo przez kilka tygodni radzę sobie bez produktów do stylizacji włosów. I co to o mnie mówi?

- Kiedy się stamtąd wyrwiesz, nie tak trudno się przystosować -

zapewnia. - Trudniej to zaakceptować ludziom przyglądającym się z zewnątrz.

To także potrafię sobie wyobrazić.

Przeszliśmy całe mile. Moje kolana nie są pewne, czy jeszcze

działają. Sandziw poprowadził nas stromą ścieżką przez lasy kasz-

tanowe. Trasa jest naprawdę ciężka, bo słońce stoi wysoko, a lasy

parują po deszczu i wilgotność osiągnęła naprawdę zbrodniczy

poziom. Grupa znalazła tempo, które pasuje wszystkim. Przechodzimy

przez kilkanaście czy więcej wiszących mostów, które kołyszą się

wysoko nad rwącymi wodami rzeki Sardi, i każdy kolejny pokonuję coraz pewniej, chociaż mijamy stada kóz i staruszki niosące kosze wyładowane kukurydzą ułożoną w wysokie stosy -i nikt nie zmierza zatrzymać się dla czyjejs wygody. Wyraźnie czuję, że mam w sobie coś z Indiany Jonesa.

Poprzez zmieniający się krajobraz podążamy wzdłuż rzeki. Idziemy przez bardziej płaski fragment, przecinając tarasowe pola uprawne, mijając naturalne ule dzikich pszczół, które przypominają anteny satelitarne zwisające ze skał, buzujące aktywnością.

- Jutro mamy dzień odpoczynku - informuje mnie Dean. -

Możemy wymknąć się i odwiedzić moją wioskę.

Nie potrafię wymyślić niczego bardziej kuszącego niż perspektywa wymknięcia się sam na sam z Deanem.

- O tak, bardzo bym chciała.

- Ja też.

W ciemnych oczach mojego kochanka widzę wielką tęsknotę i czuję przypływ pożądania. Moje libido odżyło z morderczą siłą, a ja nawet nie zdawałam sobie sprawy z jego nieobecności. Prowadziliśmy z Jakiem regularne i aktywne życie seksualne, ale nie było ani namiętne, ani zabawne. Być może zabrzmiało to obcesowo, ale nie mogę się doczekać, kiedy wskoczę do łóżka. Nareszcie odkryłam terapię o wiele skuteczniejszą niż kupowanie butów!

- I mam dla nas niespodziankę na dzisiejszy wieczór - szepce konspiracyjnie Dean.

Teraz naprawdę nie mogę się doczekać zachodu słońca.

Rozdział czterdziesty szósty

Znowu obozujemy nad rzeką i siedzę na kamieniu nad wartko płynącą wodą i zapisuję w dzienniku różne rzeczy. Chcę zachować w pamięci każdą chwilę tej wyprawy i, jak do tej pory, wszystko przerasta moje oczekiwania. Nie czuję cienia żalu do Jake'a i Neve, przeciwnie, chciałabym im podziękować, bo przyczynili się do stworzenia sytuacji, która doprowadziła mnie tutaj. Ledwo mogę uwierzyć, że coś takiego mówię. Mam nadzieję, że wszystko im się układa i Jake jest szczęśliwy. Oczywiście nie za bardzo.

Kilka stóp ode mnie na gałęzi siedzi zimorodek, jego pióra opalizują pięknie w gasnącym świetle. Pleszki o białych głowach i żołą z niebieskimi gardziołkami latają nisko nad wodą w poszukiwaniu owadów na wieczorny posiłek. Czuję zapachy unoszące się z kilkunastu wielkich garnków, które postawił na ogniu pan Bom, i przychodzi mi na myśl, że prowadzimy bardzo komfortowe życie.

Za plecami słyszę hałas, podnoszę wzrok i się uśmiecham. W Nepalu człowiek rzadko jest sam. Za każdym krzakiem kryje się dzieciak, który tylko czeka, żeby się przywitać. Tym razem są to trzy dziewczynki stojące w szeregu tuż za mną.

Składam ręce i wykonuję ukłon.

- *Namaste.*

- *Namaste.* - Wszystkie chichoczą. Odwracam stronę w dzienniku.

- Jakie są wasze imiona?

Wyrzucają z siebie szereg niezrozumiałych dźwięków.

Podaję im dziennik.

- Chodźcie tu i zapiszcie je dla mnie. - Prezentują znakomitą znajomość angielskiego i szczyt umiejętności kaligraficznych. Przez cały czas cal za całem podchodzą bliżej, aż wszystkie cztery siedzimy na kamieniu, patrząc na zachodzące słońce.

- Wygląda na to, że masz tu mały fanklub. - Dean przyłącza się do nas. Dziewczynki chichoczą jeszcze głośniejsze, a potem, energicznie machając na pożegnanie, wyruszają w drogę powrotną do swojej wsi. -

Dobrze sobie radzisz z dziećmi.

- No cóż...

- Żałujesz, że nie możesz mieć własnych? Kiwam głową.

- To bolesna kwestia.

- Przepraszam.

- Staram się z tym pogodzić. - Spoglądam na rzekę. - To tutaj bardzo pomaga.

Dean patrzy na mnie i wzdycha.

- Chcę być z tobą sam. - Opieram się o niego, a jego usta dotykają moich włosów. - Myślisz, że reszta ma mi za złe, że ich zaniedbuję?

- Moim zdaniem doskonale radzą sobie sami - mówię. Spoglądamy w stronę obozu, gdzie odbywa się gremialne pranie skarpetek i

podkoszulków. - Mam wrażenie, że Sandziw z nawiązką nadrabia twoje braki. - Uśmiecham się szeroko.

- Od dawna się tak nie czułem - wyznaje Dean i nie jestem pewna, czy

słyszę w jego głosie zadowolenie. - Cieszymy się czasem, który mamy. -

Pieszczotliwie wsuwa palce w moje włosy.

- Muszę znów umyć głowę - mówię.

- Och, mam znacznie lepszą propozycję. - Dean mruga porozumiewawczo.

Mogłabym poważnie uzależnić się od rakszi, gdyby w smaku tak bardzo nie przypominała czystej benzyny. Dziś wieczorem, po obowiązkowych tradycyjnych pieśniach i nepalskich tańcach, rozrywki dostarcza nam grupa sztywnych Brytoli, którym języki rozwiązała pita bez umiaru lokalna wódka. Serię zaczęła Saffron, kiedy byliśmy jeszcze stosunkowo trzeźwi, wykonując dwie folkowe piosenki, które pewnie w latach siedemdziesiątych śpiewali Lindisfarne czy inna banda długowłosych. Głos jej drżał i w dodatku zatkała palcem jedno ucho, jak wszyscy prawdziwi folkowi piosenkarze, co wyglądało dość przerażająco. Dziś wieczorem zjadła baranie curry, w dodatku z wyraźną przyjemnością, ale wciąż nie jestem przekonana, czy to nie kamuflaż. Jest za bardzo w stylu Greenpeace, jak na prawdziwego mięsożercę.

Dave i Jim śpiewają tytułową melodię z *Auf Wiedersehen Pet*, naśladując akcent z Newcastle, i biedni tragarze z chwili na chwilę wyglądają na coraz bardziej zaskoczonych naszym występem. Mam wrażenie, że nie jest to stosowne zadośćuczynienie za śpiewane przez nich rozgrzewające serce, przekazywane z pokolenia na pokolenie pieśni o miłości, pięknie i poświęceniu. Podejrzewam, że są tego

samego zdania. No, zbliża się czas mojego występu. Dean ciągnie mnie za rękę.

- Nie mogę - protestuję. - Naprawdę nie mogę. Nie ma dla mnie litości.

- No, dalej, dziewczyno!

Kiedy ostatnio śpiewałam publicznie, chodziłam do szkoły Świętego Stefana i należałam do chóru drugoklasistek - jakby nie liczyć, minęło sporo czasu. Zawsze jak ognia unikałam karaoke, uważając tę rozrywkę za wyjątkowo nefajną i poniżającą. Odkąd dorosłam, zawsze zaliczałam się raczej do życzliwej widowni niż aktywnych uczestników. A teraz będę próbowała śpiewać bez muzyki czy choćby kartki z tekstem. Biorąc pod uwagę okoliczności, istnieje bardzo ograniczona liczba melodii, których wykonanie mogłabym rozważyć. Stoję w kręgu jak sparaliżowana - zapadła cisza jak makiem zasiał. Na szczęście dużo wypiałam, a za kilka tygodni rozstanę się z tymi ludźmi na zawsze. Wszyscy patrzą na mnie wyczekująco. Odchrząkuję.

- *First I was afraid... I was petrified...* - Tak, na swój wokalny debiut wybrałam hymn wszystkich świeżo porzuconych kobiet. Babkę wszystkich piosenek, które mówią „spadaj”. Startuję z *I Will Survive*, dziękując Glorii Gaynor za jej zasługi dla karaoke i złamanych dziewczęcych serc na całym świecie. Oddaję się temu dość entuzjastycznie, korzystając z obszernego doświadczenia nocy spędzonych na tej czy innej terapeutycznej dyskotecie, gdzie

usiłowałam postawić na nogi siebie czy którąś z przyjaciółek po kolejnym nieudanym związku. Nie mogę uwierzyć, że tę piosenkę napisał mężczyzna.

Cała grupa zaczyna ofiarnie klaskać. Teraz już mi wszystko jedno, rakszi mnie znieczula i chwytam leżący w pobliżu kijek trekkingowy, by użyć go jako zastępczego mikrofonu w stylu Freddie'go Mercury ego. Nawet tragarze się prostują. Saffron śpiewa razem ze mną - niech jej Bóg błogosławi, kocham nawet jej bawełniane skarpetki. Kilku Nepalczyków zaczyna chichotać. Dean wiruje w nepalskim stylu, a ja wydzieram się coraz głośniej. Przyłącza się do niego kilka osób z ekipy, aż wreszcie wszyscy zrywają się na równe nogi, pokrzykując i pohukując z nadzieją, że *I will survive* aż do wielkiego finału, który, podbudowana sukcesem, wykonuję w stylu koncertu kończącego światowe tournée.

A potem wszyscy padamy na ziemię, śmiejąc się i krzycząc. Mam wrażenie, że tragarze nie mogą już tego znieść, bo pośpiesznie chwytają instrumenty i rozpoczynają nasilający się nepalski lament, zanim zdołamy ich uraczyć kolejnymi hitami disco z lat siedemdziesiątych czy inną muzyką, od której zwiędną im uszy.

Przyłączamy się do nich, by wirować, i po chwili również gwiazdy wirują bez niczyjej pomocy.

Dean trzyma mnie za rękę.

- Niesamowita z ciebie kobieta. Troszkę kręci mi się w głowie.

- No cóż - mówię, siląc się na skromność - *I will survive*. Jakoś

przeżyję.

- Co do tego nie mam żadnych wątpliwości. - Sprawdza, czy wszyscy dobrze się bawią. - Chodź ze mną - mówi i prowadzi mnie z dala od obozu w gęstą wszechogarniającą ciemność.

Oddalamy się od bezpiecznego zgrupowania błękitnych namiotów - w smolistej ciemności nie ma po nich nawet śladu - zostawiając za sobą śpiew i śmiech, które unoszą się w powietrzu, gdy idziemy brzegiem rzeki, aż wreszcie jesteśmy zupełnie sami.

- Tutaj - mówi Dean i pomaga mi wdrapać się na kamienisty brzeg.

Przechodzimy przez rzekę, przeskakując z głazu na głaz. Nigdy w życiu nie byłam tak aktywna fizycznie i cieszę się, że mój wzrok zdążył przystosować się do ciemności. Nie boję się, bo silne ręce Deana prowadzą mnie i podtrzymują. Gdy docieramy na drugą stronę, znajdujemy się w zatoczce, do której wejścia bronią ogromne głazy. Wchodzimy ostrożnie, a skalne ściany wznoszą się po obu stronach. Paprocie i ociekająca wodą roślinność tworzą wysoko nad naszymi głowami baldachim. Powietrze jest nieruchome i ciepłe, przesycone ciężką wonią mokrych liści.

- To moje tajemne miejsce - mówi Dean. - Jestem jedyną osobą, która wie o jego istnieniu.

- Naprawdę?

- No... - Nawet w ciemności dostrzegam jego bezczelny uśmiezek. -

Ja i kilkudziesięciu nepalskich wieśniaków.

Rewanżuję się uśmiechem. Dean mnie obejmuje.

- Przez cały dzień chciałem to zrobić - mruczy mi do ucha.

Wzdycham i odprężam się.

- Ja też.

Nasze usta się spotykają i całujemy się wygłodniali.

- Rozbierz się - poleca Dean. Być może dostrzega, że ze zdziwieniem

unoszę brwi, bo zaczyna się głośno śmiać. - Zaufaj mi. Jesteś tu

bezpieczna. Nikt tu nie przychodzi w nocy. - Znowu się śmieje. -

Oprócz mnie.

Czuję dreszcz podniecenia.

- Dobrze. - Niezgrabnie zaczynam rozpinać koszulę.

- Chodź - mówi Dean. - Pomogę ci.

Poddaję się, gdy zdejmuje ze mnie ubranie, jednocześnie okrywając

pocałunkami. Sam zrzuca ciuchy i stoimy nadzy. Wtedy gestem

wskazuje, żebym szła za nim. Mijamy kolejne skały, aż wreszcie

docieramy do niewielkiej polany, gdzie czeka na nas czyste lustro

wody. Z jego powierzchni unosi się para.

- Matko jedyna, to niesamowite.

- Wiedziałem, że ci się spodoba.

- To genialne!

Dean bierze mnie za rękę i prowadzi do wody. Moje mięśnie marzą o

jej dotyku.

- Och, jest taka ciepła.

Mój kochanek dołącza do mnie.

- To naturalne gorące źródło.

- Boskie.

- Wieśniacy korzystają z niego w dzień, ale teraz mamy to miejsce tylko dla siebie.

Razem unosimy się na wodzie i Dean bierze mnie w ramiona. Całuję go, kosztując wodę z jego ust.

- Dziękuję, że mnie tu przyprowadziłeś.

Znów mnie całuje, długo i mocno, a potem odgarnia z czoła mokre włosy.

- Podobno ma magiczne właściwości lecznicze.

- Mmm, wiesz - mówię z uśmiechem - już czuję to uzdrawiające działanie.

Rozdział czterdziesty siódmy

Neve wróciła z Mediolanu. Stwierdzenie, że panowała między nimi szczególna atmosfera, byłoby niedopowiedzeniem. Gdyby ich stosunki jeszcze bardziej się ochłodziły, Jake musiałby włączyć centralne ogrzewanie na pełną moc. Najwyraźniej takie nastroje stanowią specjalność tej relacji. Miał czas, by zastanowić się, co powiedzieć, a jednak nie zdołał ułożyć w głowie słów w sensowne zdania.

Neve wpadła cała w uśmiechach koło dziesiątej i kiedy nie zareagował, nadeła się i teraz rozpakowywała w sypialni walizkę. Czuł irracjonalną potrzebę wtargnięcia tam i przejrzenia brudów w koszu z praniem, by wykryć na bieliźnie ślady nielegalnych kontaktów z Alekiem. Czy do tego go doprowadziła?

Kiedy Neve wróciła do pokoju, Jake udawał, że ogląda telewizję.

Otworzyła lodówkę, szukając czegoś do jedzenia. Celowo nie zrobił zakupów, na złość, a to nie jest dobry znak w związku, prawda? Lyssa zawsze twierdziła, że aby związek przetrwał, trzeba bardziej troszczyć się o szczęście drugiej osoby niż o własne. Teraz zrozumiał mądrość jej słów i zdawał sobie sprawę, że je zlekceważył.

W geście pojednania wyłączył telewizor i podszedł do marmurowego kuchennego blatu. Przysiadł na barowym stołku i obserwował Neve, która przygotowywała sobie przywiedłą sałatę z zeschniętymi resztkami sera pleśniowego. Ignorowała Jake'a w wystudiowany sposób.

- No i jak było w Mediolanie? - zapytał.

Neve przestała szukać wśród liści sałaty tych bez zbrązowiałych brzegów i podniosła wzrok.

- W porządku. W Mediolanie było w porządku.

- Podobało im się to, co zaproponowałaś?

- Owszem - odparła sztywno. - Byli pod wrażeniem mojej pracy.

Jake poczuł, że aż się skręca.

- A Alec? Też był pod wrażeniem twojej pracy? Neve milczała.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że Alec jedzie z tobą?

- Bo wiedziałam, że dokładnie tak zareagujesz.

- Nie pomyślałaś, że potrafię dodać dwa do dwóch, kiedy dowiem się, że nie ma go w biurze?

Neve z urazą wyduła wargi.

- Czy był w twoim pokoju, kiedy zadzwoniłem? Kolejne zawahanie.

- Tak.

- A co tam robił?

Neve otworzyła lodówkę i wyjęła prawie pustą butelkę białego wina.

Machnęła nią w stronę Jake'a. Pokręcił głową, chociaż myśl o czymś mocniejszym do picia była kusząca.

- Nie odpowiedziałś na moje pytanie. Neve przełknęła wino.

- To nie twoja sprawa, Jake.

- Sądzę, że jednak moja. Co to było, późne spotkanie służbowe?

Doradzał ci w sprawach zawodowych?

- Natychmiast przestań - ostrzegła Neve. - Nie masz prawa mnie przesłuchiwać.

- Nie przesłuchuję cię. - Jake starał się zachować rozsądek. Było to trudne, bo w ogóle nie miał na to ochoty. - Chcę po prostu wiedzieć, czy sypiasz z kimś jeszcze.

- To nie ma nic wspólnego z tobą.

- Neve, właśnie spędziłaś kilka dni poza domem z innym mężczyzną.

Uważam, że mam prawo wiedzieć.

Neve gwałtownie uniosła głowę.

- Nie sądziłam, że umawialiśmy się na wyłączność.

- A ja nie sądziłem, że pieprzysz się z szefem.

- No to już wiesz.

Jake z trudem oddychał.

- Od dawna to trwa?

- Czy to ma znaczenie? Czy to naprawdę ma znaczenie?

Dla niego miało, chociaż nie potrafił wyjaśnić dlaczego. Czy Neve spotykała się z Alekiem przez cały ten czas, gdy oszukiwał Lysse? Na myśl o tym zrobiło mu się niedobrze. Podejrzewał, że tak właśnie było.

Jak mogła mu coś takiego zrobić? Naprawdę jest aż takim durniem?

Ponieważ milczał, Neve powiedziała:

- Owszem, trwa to od jakiegoś czasu. Lubię go, Jake. Alec jest zabawny.

- Nie wspominając o tym, że skraca drogę do awansu.

- Uważam, że to zupełnie niepotrzebne - ponuro odparła Neve. - Do wszystkiego doszłam własną pracą.

- Ale nigdy nie będziesz mogła tego udowodnić, zgadza się? Wszyscy uznają, że dostałaś nowy kontrakt dlatego, że sypiasz z szefem.

Neve milczała, ale widział, że jej pierś faluje z oburzenia. W tym momencie wydała mu się żalosna. Z dużym prawdopodobieństwem inni jego uważali za równie żalosaną postać.

- Czy jest coś jeszcze, co chcesz mi powiedzieć? - zapytał. Neve skrzyżowała ręce na piersi.

- Tak. - Upiła kolejny łyk wina i Jake zauważył, że jej ręka drży. - Jestem w ciąży.

Jake poczuł, że krew odpływa mu z twarzy. Wstał i zachwiał się.

- Czyje to dziecko? - Nie mógł uwierzyć, że rozmawiają o czymś takim. Miał wrażenie, że stracił kontakt z rzeczywistością. Przeszedł na drugą stronę blatu, by spojrzeć na Neve.

- Nie wiem. Dlatego się go pozbędę.
- Jak miło z twojej strony, że mi o tym mówisz. Nie wyczuła ironii w jego głosie.
- Nie chciałam, żebyś się dowiedział od kogoś innego. Brzuch miała płaski jak deska, jak zwykle. Ani śladu ciąży.

Zauważyła, że Jake się jej przygląda.

- To wczesny etap - stwierdziła lodowato.
- Powiedziałaś Alekowi?
- Tak i zgadza się ze mną. Nie jest gotów zostać ojcem.
- Jego żona i dzieci muszą być zachwyceni. Teraz z kolei Neve wyglądała na wstrząśniętą.
- Byłabym beznadziejną matką. Ty też pewnie go nie chcesz. Czy chce mieć dziecko z Neve? Oboje z Lyssą poświęcili na to cały ostatni rok, a nawet więcej, a teraz szansa na ojcostwo dosłownie wpadła mu w ręce. Dlaczego z Lyssą nie mogło pójść tak łatwo? Może wówczas nie znaleźliby się w tej głupiej sytuacji. A jeżeli to jego dziecko? Jeżeli jego plemniki nie są jednak niemrawe? Jeżeli są silnymi atletycznymi pływakami? Niezła zagwozdka.

- Mówisz o osobie - wytknął jej. - O życiu.
- To tylko zlepek komórek, Jake. Spójrz prawdzie w oczy. - Neve patrzyła na niego z zaciętą miną. - Dziesięć minut i będzie po wszystkim. - Wydała z siebie obrzydliwy ssący dźwięk.
- Pożałujesz tego - spokojnie powiedział Jake. - Przemyśl to dobrze, żebyś nie żałowała do końca życia.

- Nie widzę problemu. Zawsze mogę się postarać o dziecko z

próbówki, kiedy tego zechcę.

- To nie zawsze tak działa - westchnął smutno Jake. Jeśli ktoś się na

tym zna, to właśnie on. Życie nie jest sprawiedliwe. Lyssa tak się

starala, by zostać matką. Neve odtrąca tę szansę jak irytującego robaka.

Strząsa z siebie problem jak pyłek. Głupio się czuł, przyznając się do

tego nawet przed sobą, ale nigdy wcześniej nie zdawał sobie sprawy,

jakie to dla niego ważne. - Czy mogę powiedzieć coś, co pozwoli ci

zmienić zdanie?

- A co mógłbyś powiedzieć? Że chcesz, żebym urodziła dziecko,

które może jest twoje, chcesz się ze mną ożenić i żyć długo i

szczęśliwie? - Neve odrzuciła głowę do tyłu i się roześmiała. - Jestem

młoda, wolna, bogata i bardzo mi się to podoba. Mam mnóstwo czasu,

żeby się ustatkować i mieć dzieci. Teraz chcę wolności.

- Ja zrezygnowałem ze wszystkiego, co było dla mnie ważne, żeby

być z tobą.

- Nie sądzę. Rozpaczliwie mnie pragnąłeś, Jake. Nie musiałam cię

zachęcać.

- Zostawiłem dla ciebie Lyssę. - Kiedy najbardziej mnie po-

trzebowala.

- I to było takie słodkie...

- Słodkie? - Nagle przestał zachowywać pozory rozsądku. Mało go

szlag nie trafił ze złości. - Słodkie! Dla ciebie zrujnowałem jej życie.

Neve prychnęła.

- Chyba trochę dramatyzujesz.

- Tak myślisz? - Gotował się ze złości. Nieświadomie zacisnął pięści.

- Cóż, w takim razie pozwól, że zrobię coś dramatycznego.

Systematycznie, jedną po drugiej, otworzył wszystkie szafki i wygarnął z nich modną białą zastawę tak, by rozbiła się w proch na drewnianej podłodze. Sztuki, które przeoczył, wyciągał pojedynczo i ciskał nimi przez długość pokoju, rozbijając o ścianę. Słyszał hałas, ktoś wył jak wilk. Jake pomyślał, że być może to on.

Neve skuliła się, szukając za lodówką schronienia przed odłamkami talerzy, kubków i absurdalnie drogich mis. Jake skończył i stał, ciężko dysząc.

Neve się wyprostowała i odezwała głosem ociekającym sarkazmem:

- Lepiej się teraz czujesz?

Nie mógł jeszcze normalnie oddychać. Bolały go płuca i czuł dudnienie w piersi. Krew zalewała mu mózg i miał przed oczami krwawą mgłę. - Tak - wydusił.

- To wspaniale. W takim razie wypierdalaj.

Rozdział czterdziesty ósmy

Leżę na plecach na śpiworze, poprawiam ramię Deana, by mocniej mnie obejmował. Protestuje sennym sapnięciem. Całuję go w nos i obserwuję jego pierś, unoszącą się i opadającą w rytm równego oddechu. Mam okropne wrażenie, że się w nim zakochuję. Za szybko i strasznie głupio, ale nie mogę wszystkiego zwalić na poszerzającą percepcję moc rakszi i kojących kąpiele termalnych. Kilka krótkich

tygodni wcześniej myślałam, że nie potrafię pokochać nikogo równie mocno jak Jake'a i spodziewałam się spędzić resztę życia w czymś na kształt czyśćca pomiędzy Jakem a szczęściem. Nie mogę uwierzyć, że wszystko tak się zmieniło. Patrzę na Deana i przesuвам palcami po jego skórze. Uśmiecham się, bo znów sennie prychnęła.

Siedzieliśmy w wodzie, dopóki nie poczuliśmy się całkiem odprężeni, pomarszczeni i spełnieni, a potem wróciliśmy do mojego namiotu i kochaliśmy się przez całą noc - cóż, w każdym razie przez większość nocy. Nie liczyłam, ale jestem pod wrażeniem. Dean może twierdzić, że wyszedł z wprawy, ale moim zdaniem podobnie jest z jazdą na rowerze - wygląda na to, że szybko wszystko sobie przypomniał. Nie żebym narzekała. Wręcz przeciwnie.

Jest jeszcze ciemno, ale słyszę odgłosy przygotowań do śniadania, cichy brzęk rondli, rozmowy pomocników kuchennych. Budzą się tragarze, jak zwykle śmieją się i żartują. Dean się do mnie przytula. Powinien zniknąć, bo w każdej chwili może się zjawić Sandziw z herbatą.

I w tym momencie wkłada głowę do namiotu. Jeżeli szokuje go widok mojego towarzysza, nie pokazuje tego po sobie. Dean otwiera oczy.

- Chodź, siostrze, chodź, bracie - popędza nas Nepalczyk. - Słońce niedługo wstanie i myślę, że będzie bardzo pięknie.

- Już idziemy - mruczy Dean i z trudem się podnosi. Sennie pociera klującym policzkiem o mój, i chyba jeszcze bardziej go za to Kocham. - Chcesz zobaczyć wschód słońca?

- Z rozkoszą.

- Tego się obawiałem.

Całuje mnie, a potem przyciąga bojówki. Wślizgujemy się w ubrania i wypelzamy z namiotu. Reszta grupy także się budzi i zbiera, sądząc po szelestach dochodzących z szeregu niebieskich namiotów.

- Idźcie na grań sami - mówi Sandziw z porozumiewawczym uśmiechem. - Zabiorę resztę dalej, w głąb doliny. Pospieszcie się. Nie macie za dużo czasu.

Ruszam z Deanem pod górę i, choć sapię jak stary parowóz, w równym tempie gramolimy się na ostrą niczym nóż grań oddzielającą dwie doliny.

Z całego serca poparłabym zakaz wspinaczki przed śniadaniem, jednak kiedy docieramy do szczytu, widok dosłownie zapiera mi dech. Niebo przecinają pasy czerwieni i błękitu, słońce właśnie wychyla się zza horyzontu, zabarwiając śnieg na Annapurnie na kolor cytrynowego lukru.

Gęsta biała mgła wiruje w dolinie jak puszyste chmury. Ponad nią krążą orły i pomijając sporadycznie rozlegające się ptasie śpiewy, jest cicho i tak pięknie, że mam ochotę się rozplakać.

Dean mnie obejmuje.

- Warto było się tu wspiąć?

- Tak. - Uczuciowo pociągam nosem. - Warto.

Znajduje dla nas wygodny kamień i siadamy na nim przytuleni, by odgonić poranny chłód. Słońce wznosi się wyżej, powoli, bardzo powoli, zalewając góry błyskami różu jak konfetti. Rozlega się huk podobny do wystrzału.

- Lawina. - Dean wskazuje Lamjung, gdzie majestatycznie zsuwa się połać śniegu wielkości boiska piłkarskiego, płynnie niczym woda, wyrzucając w powietrze kłęby śniegu. Promienie słońca rozchodzą się na boki, oświetlając wierzchołki i szczeliny.

- Nie chcę już nigdy wracać do domu - wzdycham.

- Lysso. - Dean ujmuję moją twarz w dłonie i patrzy mi w oczy. - Też nie chcę, żebyś wracała.

Rozdział czterdziesty dziewiąty

Do licha. - Lee podniósł wzrok i mało brakowało, a upuściłby młotek.

- Co? - Edie poczuła, że się rumieni, gdy schodziła po schodach.

Miała wrażenie, że robi wielkie wejście w filmowym stylu.

Archie był zajęty dewastacją swojego ksylofonu i walił w niego plastikowym młoteczką. Lyssa kupiła ten instrument w jaskrawych kolorach na jego poprzednie urodziny. Tylko ktoś niemający dzieci mógł wpaść na pomysł kupienia równie szarpiącej nerwy, hałaśliwej zabawki. Wysokie dźwięki wibrowały w mózgu Edie i wprawiały w drgania wszystkie jej plomby.

Lee skończył wbijać gwóźdź w ścianę, po czym znowu się odwrócił.

- Mówiłaś, że dokąd idziesz?

- Na lunch - przypomniała mu Edie. - Wychodzę na lunch.

- Ze swoją matką?

- Czy ty mnie w ogóle nie słuchasz, Lee?

- Nie. Powiedz mi to jeszcze raz. I mów do mnie, jakbym był pięciolatkiem. Wiesz, że to mnie kręci.

Edie cmoknęła z irytacją.

- Idę na lunch z przyjacielem Jake'a.

- Paulem?

- Pipem. Chciał porozmawiać o Jake'u i Lyssie. Może mogłabym im w czymś pomóc.

- Myślałem, że się rozstali i Jake zamieszkał z kimś innym.

- Treściwie podsumowane - prychnęła, gotując się ze złości.

- Na moje oko wygląda to na przegraną sprawę.

- Niekoniecznie. Pip uważa, że powinniśmy przynajmniej spróbować.

- Edie miała nadzieję, że się nie zarumieniła.

- Lyssa już niedługo będzie w domu - zauważył Lee. - Nie może sama wszystkiego załatwić, kiedy wróci?

- Wtedy może być za późno. - Edie miała nadzieję, że zabrzmiało to tajemniczo. - Nie mogłam mu odmówić.

- Padnie rażony gromem na twój widok - ocenił Lee. - Wyglądasz, jakbyś starała się o rolę w *Gorączce sobotniej nocy*.

- Dzięki. - Edie, gdy kupowała tę sukienkę uważała, że jest modna, teraz, gdy ją obejrzała - krótką, w geometryczny wzór - w bezlitosnym świetle dnia, nie była już tego taka pewna. Pewnie znacznie lepiej wyglądałaby na Kelly czy generalnie na kimś poniżej dwudziestego piątego roku życia.

- A te dwa białe kawałki, które wystają na dole?

- To moje nogi.

- Do licha. Naprawdę? A kiedy ostatnio je widziałem?

- A kiedy ostatnio poprosiłeś, żebym ci je pokazała? - zrewanżowała się pytaniem Edie.

- Uważam, że wyglądasz ślicznie, mamusiu - skomentowała Daisy, która gonila wzdłuż korytarza królika Justina, nazwanego tak na cześć Justina Timberlake'a.

- Dziękuję - powiedziała Edie. - Co nie znaczy, że Justin może zostać w domu. Zabierz go do ogrodu.

Daisy złapała królika i wyszła, trzaskając drzwiami.

- Mogłabyś może zabrać Archiego i odwiedzić go po drodze do swojej matki?

- Nie. Będziesz musiał się nim zająć.

- Ale Edie, mam masę roboty. Nie mogę cały czas siedzieć i pilnować dziecka.

- Obiecałeś - przypomniała mu Edie. - Zresztą, czy tak często zostajesz z dziećmiakami? Niech Kelly go popilnuje.

Rzeczona Kelly pędem pokonała schody.

- Ja nie. Wychodzę - oznajmiła.

I zanim Edie zdołała zaprotestować, frontowe drzwi zamknęły się za nią z hukiem.

- Dokąd ona poszła? - chciała wiedzieć Edie.

- Nie sądzisz chyba, że mi powiedziała? Biorąc pod uwagę grubość jej makijażu, pewnie poszła dręczyć jakiegoś biednego, niczego niepodważającego młodzieńca.

- A co robi reszta?

- Na pewno coś knują - stwierdził Lee z uśmiechem. - Kiedy ostatnio widziałem Annę, próbowała wytatuować sobie brzusek pisakiem.

Liam i Mark są w ogrodzie, udają, że grają w nogę, trając resztki zieleni, które nam zostały.

Archie włączył się do rozmowy fałszywymi ostrymi akordami.

- Archie, przestań - rzuciła ostro Edie. Dzieciak natychmiast wybuchnął płaczem.

Z jakiegoś głupiego powodu Edie poczuła, że jej także łzy napływają do oczu.

- Zupełnie straciliśmy nad nimi kontrolę.

Lee odłożył młotek i wziął na ręce krzyczące dziecko, które natychmiast się uspokoiło.

- A czy kiedykolwiek ją mieliśmy? - zapytał, ale gdy zobaczył, że żonie drżą wargi, dodał łagodniej: - Nie wiem, czym się zajmujesz.

Nic im nie jest. Żadne z nich nie doczeka się nagrody za wzorowe zachowanie czy porządek w sypialni, ale to dobre dzieciaki.

Podszedł do Edie i objął ją w talii, z wciśniętym pomiędzy nimi Archiem.

- Wyglądasz ślicznie. Zrobiłaś też coś z włosami?

Edie wyzwoliła się z jego objęć. Lee wręczył jej dziecko, które umieściła jak zwykle na biodrze.

- Uznałam, że się postaram. - Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów zrobiła sobie makijaż. Nie trzeba chyba wyjaśniać, że wszystkie kosmetyki musiała podprowadzić Kelly.

- Mam nadzieję, że zabierze cię w jakieś eleganckie miejsce

-powiedział Lee.

Edie wzięła torebkę i płaszcz.

- Nie jestem pewna. - Menage a Trois! Nie mogła się zmusić, żeby wypowiedzieć nazwę w głowie, a co dopiero na głos.

- Powinniście wypróbować tę francuską knajpę. - Lee uśmiechnął się niewinnie. - W Burger Kingu za bardzo zwracalibyście uwagę.

- Postaram się, żeby to nie trwało długo - obiecała Edie.

- Nie spiesz się. Nigdy nie wychodzisz. Powinnaś to robić częściej.

Baw się dobrze.

- Pewnie będzie strasznie nudno.

- Hej - Lee patrzył na nią z czułością - ze względu na nas nie musisz się spieszyć. Damy sobie radę.

- Dzięki. - Edie nie wiedziała, czy czuje się dzięki temu lepiej, czy gorzej. Pocałowała męża w policzek.

Lee cmoknął syna w szyję.

- Wiesz, że cię kocham, prawda?

Edie uważnie przyglądała się swojej torebce.

- Tak.

- Dla ciebie i dzieci zrobiłbym wszystko.

- Wiem.

- I czujesz to samo? Edie zwiesiła głowę.

- Oczywiście.

- Więc bądź aniołem - poprosił Lee. - Zawieź Archiego do swojej

matki.

Rozdział pięćdziesiąty

Żebyśmy nie czuli się pokrzywdzeni, Sandziw też wspiał się na grań, przynosząc dla nas imbryk gorącej czarnej herbaty, naleśniki z miodem i po dwa jajka na twardo na osobę. Muszę stwierdzić, że to najbardziej pamiętny piknik w moim życiu. Siedzimy bez ruchu, rozkoszując się jedzeniem i samotnością. Światło zmienia się z sekundy na sekundę, aż w końcu Himalaje wyłaniają się w pełnej krasie.

Dean opiera głowę o moją.

- Szczęśliwa?

- Nie pamiętam szczęśliwszej chwili. Bardzo.

- Ja też.

Kilka kolejnych dni zostało oficjalnie przeznaczonych na wypoczynek, chociaż nie jestem pewna, czy wstawanie o wpół do szóstej można za taki uznać. Sandziw zabiera pozostałych członków grupy na wycieczkę. Ponieważ wszyscy tryskają entuzjazmem, wszyscy idą.

Dean i ja postanowiliśmy zostać w obozie - pod pretekstem załatwienia różnych spraw planujemy oczywiście własne wyprawy. Niektóre w teren, by zbadać okolicę, inne ograniczą się do badań w obrębie namiotu. Ha!

Kiedy słońce stoi w zenicie i nagrzewa powietrze oraz nasze kości, rozpoczynamy długi, powolny spacer do obozu. Trzymamy się za ręce.

Między namiotami wrze jak w ulu. Niektórzy tragarze zabawiają się grą w karty. Ulegając powszechnej w Nepalu skłonności do hazardu,

przegrywają większość swoich skromnych pensji, wyjaśnia Dean. Inni rozciągnęli sznur i pracowicie płuczą ubrania w metalowych miskach. Ponieważ w pobliżu nie ma żadnych centrów handlowych ani multipleksu, który zapewniłby nam rozrywkę, czuję, że i mnie ogarnia gorączkowa potrzeba prania.

A zatem w ramach naszego pierwszego romantycznego dnia, spędzonego prawie sam na sam, urządzamy przepierkę brudnych skarpet i majtek. Wątpię, czy można to uznać za sposób spędzenia czasu odpowiedni dla zakochanych gołąbków, ale odkąd tu przyjechałam, inaczej patrzę na wiele spraw - także na romans.

Robię porządek w namiocie, wietrzę buty i po raz tysięczny przepakowuję plecak. Jestem pewna, że każdy, kto by mnie przy tym zobaczył, uznałby, że stary ze mnie wyjadacz. Po odbębnieniu obowiązków jemy obiad z tragarzami, po czym ruszamy w drogę do wioski Sikklis.

Szlak prowadzi wąską kamienną ścieżką, która wspina się, pozostawiając za sobą obóz, więc po paru minutach zaczynam sapać i zanoszę dziękczynne modły do Boga Kijków

Trekkingowych za to, że zesłał mi chłopaka ze sklepu sportowego.

Zatrzymujemy się w otwartej, krytej strzechą chacie, by zrobić miejsce pasterzowi prowadzącemu stado niechętnych kóz na niższe pastwiska.

Wnętrze chaty pokrywają krwistoczerwone maoistowskie slogany antyrządowe, co przypomina mi, że nie wszyscy tu są zadowoleni ze swego losu. Raj jednych jakże często jest piekłem drugich.

Po kolejnym stromym podejściu docieramy do niewielkiego płaskowyżu, gdzie otwiera się przed nami widok na Himalaje. Od strony Annapurny dociera do nas prąd zimnego powietrza i czuję chłód śniegu wysokich gór szczypiący policzki. Wydaje się, że przedgórze jest tak blisko, że jeśli mocno się wyciągnę, na pewno go dotknę. Znajdujemy porośniętą trawą brzeg i kładziemy się, opierając plecy o rozgrzaną gładką skałę. Dean bierze mnie za rękę i zamykamy oczy, grzejąc się w słońcu.

Po chwili całuje mnie w policzek.

- Grosik za twoje myśli.

- Myślałam o rodzinie.

- Tęsknisz za domem?

- Nie - przyznaję. - W ogóle. - W pewnym sensie to zaskoczenie.

Właściwie wcale nie myślałam o domu. - Zastanawiam się po prostu, co by o tym pomyśleli. - Tulę się do Deana. - Byli zdania, że oszalałam, chcąc tu przyjechać. Jestem tą rozsądną. Waleczną. Można na mnie polegać. Nie ulegam kaprysom.

- Może dlatego, że nigdy nie miałaś okazji?

Dokładnie. Tylko, z drugiej strony, ilu z nas może sobie pozwolić na wycofanie się z życia, by przemyśleć, co tak naprawdę chcielibyśmy robić? Większość ludzi za bardzo się stara, chcąc przetrwać każdy kolejny dzień, by zastanawiać się, czy siedzenie w biurze i przekładanie papierów, które pozwala spłacić gigantyczny kredyt hipoteczny, jest wymarzoną sposobem spędzania czasu. W moim przypadku potrzeba było potężnego wstrząsu.

- Wielki z ciebie szczęściarz - mówię. - Ja nie mam pojęcia, co zrobić ze swoim życiem.

- Szczęście nie ma tu nic do rzeczy. Chodzi o to, by korzystać z okazji, aż znajdzie się coś, co człowieka kręci.

Sama już nie wiem, co mnie kręci. Jedyne, czego pragnęłam, jest dla mnie nieosiągalne. Póki co, w pewnym sensie dryfuję.

- Mam strasznie nudną pracę.

- Więc ją rzuć i rób coś innego - proponuje Dean ze swadą człowieka, którego taki ruch nie przeraża.

- Niektórzy kochają przygody, a inni co roku jeżdżą na wakacje do tego samego hotelu. Moim zdaniem fakt, że cztery lata z rzędu jeździliśmy z Jakiem do tego samego kurortu w Tajlandii, o czymś świadczy.

Szczególnie, że to ja tego chciałam.

- To, co znane, jest wygodne - komentuje Dean. - Nie ma w tym nic złego, dopóki nie zaczynasz się dusić. Jesteś blisko ze swoją rodziną?

- Mmm. Mam szaloną matkę, młodszą siostrę Edie i bandę siostrzeńców.

- I wszyscy na tobie polegają?

- W stu procentach.

- Gdyby musieli, pewnie poradziliby sobie bez ciebie. Tak to już bywa.

- Nie jestem pewna. - Czy Edie dałaby sobie radę bez codziennych telefonów do mnie w różnych sprawach? A mama? Edie sama nigdy by

się z nią nie uporała. - Siostra ma sześcioro dzieci. Wymagają sporo uwagi.

- Sześcioro?

- Tak się złożyło, że nie skorzystała z dobroczynnego działania antykoncepcji.

- Ciężko ci z tym?

- Właściwie nie. - Zdobywam się na uśmiech. - Chociaż czasami mam uczucie, że to trochę nie w porządku. Wystarczy, że jej mąż zostawi majtki przy łóżku, i już jest w ciąży. Musiała odziedziczyć całą przypadającą na rodzinę pulę genów odpowiedzialnych za prokreację.

- Bezmyślnie wyrywam trawę. - Oczywiście moje siostrzenice i siostrzeńcy z radością odgrywają rolę zastępczych dzieci. Szczególnie w chwilach, gdy oznacza to przekupywanie ich drogimi prezentami.

- Tutaj dzieci wciąż są istotną częścią społeczności - wyjaśnia Dean. - Pracują z rodzicami w polu. Utrzymują rodziców na starość. Przy okazji moich nieczęstych wizyt w Kalifornii myślę czasem, że dzisiaj uważa się dzieci za niekonieczny luksus. Z całą pewnością nie dają rodzicom radości, którą zapewniają maluchy tym tutaj. W dzisiejszych czasach chyba wszyscy lawirują między karierą a życiem rodzinnym. I najczęściej wygrywa kariera.

- Strasznie to smutne. - I potwornie prawdziwe. - A ty, chcesz się ustatkować?

Dean się śmieje.

- Jasne. - Bawi się moim palcami, nie patrzy mi w oczy. - Trudno mnie uznać za odpowiedniego kandydata na męża. Nie mam perspektyw zawodowych.

Żadnego portfela inwestycyjnego.

Zarabiam dwadzieścia osiem dolarów miesięcznie. - Nasze spojrzenia się spotykają. - Nie mam nic do zaoferowania.

- Nie zgadzam się. - Całujemy się ustami ciepłymi od słońca. - Masz serce. - Przesuwam palcami po jego piersi. - Żadna kobieta nie mogłaby prosić o więcej.

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

Jake postąpił zgodnie z otrzymaną radą i wypierdolił. Wczesnie rano. Zanim Neve wstała. Spędził noc na twardej niegościnniej sofie, nie mogąc zasnąć ze złości, drżąc z braku koca. Gdy pierwszy ślad zimnego białego poranka prześlizgnął się przez drewniane żaluzje, zmusił swoje sztywne ciało do przyjęcia pozycji pionowej i skradał się po domu, wpychając do torby wszystko, co wpadło mu w ręce, z rozpaczliwą nadzieją, że nie obudzi Neve i nie będzie musiał znowu stawiać jej czoła. Nie miał najmniejszej ochoty widzieć jej złośliwie uśmiechniętej twarzy. Neve leżała w łóżku bez ruchu. Nie był pewny, czy śpi, czy może udaje, bo chyba bez przerwy udawała. Było mu wszystko

jedno. Nie miał jej nic więcej do powiedzenia. Spojrzał na nią, stojąc w progu: leżała skulona pod kołdrą, gładka twarz nie zdradzała śladu niepokoju. Z całą pewnością była piękną kobietą, ale wyjątkowo dobrze pasowało do niej powiedzenie, że uroda ciała nie musi iść w parze z pięknem duszy. Nie można kochać kogoś, kto ma serce jak kawał betonu. Tylko czy naprawdę ją kochał? Przecież zdołała zniszczyć uczucie, wypowiadając jedno zdanie. Miłość i nienawiść rzeczywiście oddziela cienka linia i Jake miał świadomość, że ją przekroczył.

Wiedział, że będzie musiał spotykać się z Neve w pracy, ale miał całe dwa dni, by przemyśleć, jak to rozegrać. No i Pip mu pomoże. Pip będzie wiedział, co robić. Zadzzwoni do niego, gdy tylko wróci do domu w St Albans, i opowie mu ze szczegółami o swojej paskudnej sytuacji. Powinien był słuchać Pipa całe miesiące temu. Pip ostrzegął go przed Neve. I miał rację! Jasne, będzie musiał znieść masę spojrzeń „a nie mówiłem”, ale zasłużył na znacznie gorszą karę niż drwiny przyjaciół.

Jake dotarł do drzwi wejściowych, po czym przyjrzał się nieskazitelnemu wnętrzu ozdobionemu markowymi dodatkami. Był tak wyprany z uczuć, że nawet nie miał ochoty niczego więcej niszczyć. Zastanawiał się tylko, jakim cudem mógł sobie wyobrazić, że to sterylne miejsce stanie się jego domem. Wymacał w kieszeni klucze, zważył je w dłoni i położył na stole.

Ulica była pusta - frontony domów starannie ukrywały życiowe

katastrofy. Dowlókl się do samochodu i wrzucił torbę do bagażnika.

Oparł głowę o kierownicę, po czym wziął się w garść i ruszył. Chciał tylko się stąd wynieść, wrócić do domu. I jeśli udałoby się dokonać cudu, wrócić do Lyssy.

Rozdział pięćdziesiąty drugi

Edie zauważyła, że na jej widok oczy Pipa rozszerzają się z niepokojem. Wstał, by ją powitać, ściskając białą wykrochmaloną serwetkę.

- Cześć - rzuciła, próbując przezwyciężyć skrępowanie swoim zuchwałym tonem.

- Cześć - odparł Pip. Nadal wyglądał na wstrząśniętego.

- Ładnie tu. - Rozejrzała się po sali. Modny wystrój, modne jedzenie, modni ludzie i brak niezbyt modnych dzieci.

Pip podrapał się po brodzie.

- A kim jest ten koleżka? - W jego oczach pojawił się cień. - To chłopiec?

Do tej pory nikt nie wziął Archiego o tłustych rumianych policzkach i z szopą blond włosów za dziewczynkę. Najwyraźniej Pip nie miał rozeznania w kwestii opieki nad dziećmi.

- To Archie - wyjaśniła Edie, modląc się, by jej syn doznał nagłej przemiany osobowości i choć raz zachował się jak należy.

- Ciężarowa! - oświadczył Archie i rzucił wielki czerwony wóz na podłogę, by to podkreślić.

- Tak - przyznał Pip, schylając się by ją podnieść. - Sam bym lepiej

tego nie ujął.

Edie próbowała wyciągnąć sobie krzesło i Pip pospieszył jej z pomocą.

- A gdzie chcesz umieścić to... jego?

- Nie wiem. - Edie rozejrzała się po sali. - Mają jakieś krzeselka dla dzieci?

- Krzeselka dla dzieci? - Pip sprawiał wrażenie zaskoczonego taką koncepcją. - Myślałem, że to twój teren.

- Nie - przyznała Edie. - Nigdy w życiu tu nie byłam. - Nie miała ochoty wyjawiać, że bywa tylko w miejscach, w których serwują panierowane kawałki kurczaka.

Café Ménage à Trois stanowiła szykowny hołd dla wszystkiego, co stereotypowo uważa się za francuskie. Edie nie mogła tego wiedzieć.

Jedyny francuski produkt, z którym kiedykolwiek miała bliższy kontakt, to gigantycznych rozmiarów torby mrożonych francuskich frytek, kiedy w sklepie z mrożonkami Iceland urządzano promocję. W każdym razie to właśnie napisano w lokalnym szmatławcu, więc dlaczego miała nie wierzyć? Ściany ozdabiała artystyczne czarno-białe fotografie sprzedawców cebuli w beretach i jak dla niej było to wystarczająco francuskie. Brytyjską ziemię opuściła jeden jedyny raz, wybierając się z Lyssą na jednodniową wyprawę promem do Calais na tanie świąteczne zakupy. Była tak podekscytowana możliwością wyjazdu na cały dzień, że pochorowała się jeszcze przed wyjściem z domu. Potężna dziewiątka na kanale La Manche tylko jej pomogła i

cały czas spędziła, wymiotując w paskudnym kiblu bezdusznego hipermarketu, gdzie Lyssa kupowała bagietki, camembert i inne rzeczy, które bez trudu mogła dostać w Sainsburys. Od tamtej pory Edie jakoś nie nabrała przekonania, że powinna czuć się Europejką, a co za tym idzie, bardziej cenić braci z kontynentu.

Z głośników płynęła muzyka z ciężkim akcentem i, ponieważ Edie słyszała tylko o dwóch francuskich piosenkarkach, Edith Piaf i Vanessie Paradis, uznała, że musi to być jedna z nich. Walcząc z ogarniającym ją przerażeniem, skupiła uwagę na swoim nowym przyjacielu.

- Słyszałam tylko, że to dobra knajpa.

Pip przywołał kelnerkę. Wysoka, chuda i od stóp do głów odziana w czarną lycrę, miała owinięty wokół niemożliwie szczupłej talii wykrochmalony biały fartuch. Edie zauważyła, że nie jest to talia kobiety, która urodziła szóstkę dzieci. Pip wskazał Archiego, jakby nie był do końca pewny, z czym ma do czynienia.

- Czy macie państwo krzesła odpowiednie dla... Oczy dziewczyny gwałtownie się rozszerzyły.

- Nie wiem - przyznała. - Normalnie nie mamy specjalnie...

Sprawdzę. - I pośpiesznie zniknęła.

- Ciężarówka! - krzyknął Archie do pary przy stoliku obok. Oboje cofnęli się przerażeni, a potem zmierz yli Edie wściekłym spojrzeniem, jakby była wyrodną matką, która pozwala dziecku wypowiadać się publicznie. Kelnerka wróciła z wysokim krzeselkiem,

które wyglądało na nieużywane, i niechętnie ustawiła je koło stołu.

Gdy skończyła całe przedstawienie, Edie posadziła na nim Archiego.

Od razu głośno wrzasnął, więc usiadła i umieściła na swoich kolanach.

Pip sprawiał wrażenie oszołomionego.

- Za chwilę się uspokoi - obiecała Edie, podrzucając Archiego na

kolanie tak mocno, że mógł zwymiotować.

Pip usiadł i jednym haustem wypił wino.

- Miałam go zostawić u mojej matki - wyjaśniła Edie. - Ale wyszła. -

Miała ochotę zamordować przede wszystkim matkę, za to, że była

nieosiągalna, gdy jej potrzebowała, a w dalszej kolejności Lee.

Dlaczego nie może po prostu zająć się synem przez kilka godzin, żeby

jego żona miała trochę swobody? Czy prosiła o zbyt wiele? Spojrzała

na Pipa z poczuciem winy. Po co jej właściwie ta wolność?

- Wszystko w porządku. - Głos Pipa mówił, że nic nie jest w

porządku. Jeśli wyobrażał sobie, że zjedzą we dwójkę cichy obiad,

musiał pożegnać się z tą myślą w tej samej chwili, gdy zobaczył

uwieszonego na niej Archiego. - Do tej pory niespecjalnie miałem

kontakt z dziećmi. - Nie wyglądał na zasmuconego tym faktem.

Z wahaniem wyciągnął palec w stronę Archiego, ale szybko cofnął

rękę, bo Archie wyglądał, jakby chciał go ugryźć.

- Lyssa mówiła, że masz kupę dzieciaków.

- Sześcioro. - Edie nagle zdała sobie sprawę, że w normalnym świecie

to właśnie oznacza „kupę”.

- Rany. - Była pewna, że Pipowi zrobiło się słabo. - Sześcioro

- powiedział tonem przepętnionym przerażeniem niż podziwem.

- Więc wszystkie te dzieci na imprezie były twoje?

- Wszystkie, co do jednego.

- Rany. - Pip zaczerpnął powietrza.

Edie poczuła, że jej oczy wypełniają się łzami. To nie tak miało być.

Zupełnie nie tak. Znów spróbowała umieścić Archiego

w wysokim krzeselku i tym razem, bardziej dzięki uśmiechowi losu

niż jej umiejętnościom wychowawczym, zgodził się usiąść. Edie

zaśmiała się nerwowo.

- Napijesz się czegoś? - spytał Pip. - Co mogę dla ciebie zamówić?

- Poproszę białe wino. - Nie pogardziłaby butelką czy dwoma.

Kelnerka podeszła do nich ostrożnie, szerokim łukiem omijając

Archiego, i przyjęła zamówienie.

- Czy może pani przynieść jakieś lody? - Edie powstrzymała się, by

nie dodać „szybko”. Był to przetestowany sposób na uspokojenie

dzieciaka.

Pip wyglądał wspaniale. Miał na sobie czarne aksamitne spodnie i

biało-czarną koszulę we wzór, który przypominał interferencyjne paski

na ekranie telewizora. Wszyscy tu byli niewiarygodnie dobrze ubrani,

przeważnie w czerń, dopasowani do stylu otoczenia, i nikt nie miał na

sobie krzykliwej sukienki w geometryczne wzory. Edie czuła się jak

wieśniara. Zaczęła się zastanawiać, czy kiedykolwiek była modna. A

może kolejne ciążę, zdarzające się z niepokojącą regularnością od

czasów, gdy była nastolatką, stępiły jej wycucie stylu? Teraz nie ma

pieniędzy ani powodu, by interesować się modą. Tę działkę zostawiła swojej czternastoletniej córce i to właśnie była naprawdę przerażająca myśl.

Dokoła nich jadły obiad grupki rozchichotanych kobiet, które wciąż jeszcze można było określić mianem „dziewczyny”. Mniej więcej w tym samym wieku co Edie, sprawiały wrażenie beztroskich. Żadna z nich nie wyglądała na obdarzoną licznym potomstwem. Żadna nie sprawiała wrażenia, że potrafi założyć pampersa wrzeszczącemu niemowlakowi. Wszystkie bez wyjątku były nieskazitelnie wyszykowane i olśniewające. Jedna czy dwie obrzuciły pełnymi podziwu spojrzeniami Pipa, który na szczęście był nieświadomy ich zainteresowania.

Kelnerka wróciła z drinkami i lodami dla Archiego, podała je, zachowując bezpieczną odległość, a potem umknęła z ich zamówieniem na jedzenie. Edie i Pip przyglądali się, jak chłopczyk energicznie ujmuje łyżkę i zabiera się do pakowania lodów do buzi.

- W jakim wieku są twoje dzieci? Edie uniosła rękę.

- Wolałabym dzisiaj zapomnieć o moim potomstwie.

Nie miała zamiaru przyznać się, że jest matką szybko dorastającej potwornej nastolatki. Archie wpadł na świetny pomysł, by wypełnić ciszę, waląc wielką czerwoną ciężarówką w górną drewnianą część krzeselka i śpiewając *Be be, czarna owieczka*, ile sił w płucach.

Zagłuszył w ten sposób umiarkowane nasilone starania niezidentyfikowanej *chanteuse*, machając lepką łyżką. Edie go zignorowała. Jej

towarzyszowi najwyraźniej przychodziło to z trudem.

- Rzadko udaje mi się wyrwać bez nich. Bo przecież jeden dzieciak

właściwie się nie liczy, prawda?

- Nie - potwierdził Pip. - Rozumiem, że to niemożliwe.

- No cóż... - Edie postawiła na kokieterię. Nie zamierzała

zaprezentować się jako osoba całkowicie niedostępna. - Nie do końca niemożliwe.

- No więc... - Pip jakby otrząsnął się z chwilowego paraliżu, wywołanego nieustannym hałasem zaimprovizowanej perkusji

Archiego. - Chciałaś pomówić o Lissie i Jake'u?

- A tak. Jake i Lyssa.

Spojrzeni na siebie. Pip wyczekująco. Jest bardzo przystojny, kiedy ściąga brwi, pomyślała Edie.

- Miałaś jakieś wiadomości od Lyssy?

- Nie. - O to samo pytał ją wczoraj.

- Nie zaczynasz się trochę martwić?

- Nie. Jestem pewna, że z Lyssą wszystko w porządku. -A potem przypomniała sobie o pretekście tego spotkania. - Oczywiście trochę się niepokoję. Kiedy wyjeżdżała, była w okropnym stanie. Mam nadzieję, że nie zrobiła niczego głupiego.

- Lyssa nie należy do osób, które popełniają głupstwa.

- Nie - zgodziła się Edie. - Nie należy. - Spuściła wzrok. - Ale miłość może dziwnie wpłynąć na kobietę.

Archie zaczął lizać ciężarówkę. Pip przyglądał mu się jak za-

hipnotyzowany.

- Tak słyszałem.

Nagle Archie wystrzelił z łyżki porcję lodów, która w zwolnionym tempie poszybowała w stronę Pipa.

Edie jęknęła. Lody z pluskiem wylądowały na jego spodniach. Zerwał się na równe nogi i zaczął wycierać je serwetką.

- O rany! - wykrzyknęła Edie. - Przepraszam! Przepraszam!

- Nic nie szkodzi. - Pip zdał sobie sprawę, że zwraca powszechną uwagę, więc usiadł.

- To aksamit, prawda?

- Tak.

- Prawdziwy aksamit...

- Tak - powtórzył. - Słuchaj, to bez znaczenia. Oddam je do pralni chemicznej. Pewnie się spierze. Niepotrzebnie je włożyłem.

Zapadła cisza, przerywana tylko śpiewem Archiego. Niektórzy goście zaczęli posykiwać zniecierpliwieni. Chłopczyk oczywiście zupełnie się nie przejął wywołanym przez siebie zamieszaniem.

- No więc - w końcu odezwała się Edie - co u Jake'a?

- Wciąż zachowuje się jak cipa. - Pip wyglądał na zaszokowanego wyborem słów. - Przepraszam - zwrócił się do Archiego. -

Przepraszam.

- Cipa! - Archie natychmiast wykorzystał okazję do użycia zakazanego słowa. - Cipa, cipa, cipa - zwrócił się do pary siedzącej przy sąsiednim stoliku, pokazując w uśmiechu zębki. - Cipa!

Goście zbledli.

- Archie, cicho bądź - syknęła Edie. Próbowała wzbudzić zainteresowanie synka czerwoną ciężarówką. - Bądź grzecznym chłopcem.

- Przepraszam - kajał się Pip.

- Zwykle jest bardzo grzeczny - zapewniła Edie. - Chyba jest podekscytowany. - Zupełnie jak jego mama.

Pojawiło się jedzenie. Rozpaczliwie małe porcje, ułożone na gładkiej białej porcelanie. Całe lata nie widziała dań w takiej formie. Sama serwowała porcje przemysłowych rozmiarów, stosowne dla dzieci o wilczych apetytach. Frytki i spaghetti bolognese zbyt mocno wryły się w jej życie. Edie poczuła, że gaśnie w niej duch. Cóż ona tu robi, do licha? Kogo chce oszukać? Nie mają z Pipem nic wspólnego. Jest pewnie *aufait* ze wszystkim, co francuskie. Sprawiał wrażenie człowieka, który czuje się swobodnie na wszystkich pięciu kontynentach. Popchnęła końcem widelca małą główkę szparaga.

- Czy widzisz we mnie kobietę, Pip?

Widelec jej towarzysza zatrzymał się w połowie drogi do ust. -Eee...

- To nie jest podchwytliwe pytanie. - Widelec opadł. - Czy widzisz we mnie kobietę?

Nerwowo przełknął ślinę w reakcji na ten niespodziewany zwrot w rozmowie.

- Tak.

- Atrakcyjną kobietę?

Pip ostrożnie zerknął na Archiego. -Tak.

- Masz na myśli, że tak, o ile nie byłabym obarczona szóstką dzieci?

- Prawdopodobnie należy wziąć to pod uwagę - wymijająco odparł Pip.

Opadła na oparcie krzesła.

- Edie, czy to do czegoś prowadzi? - odważył się zapytać.

- Owszem - przyznała, zbierając się na odwagę. - Myślałam, że byłbyś zainteresowany... Widywaniem... Mnie.

- Widywaniem ciebie? Wzruszyła ramionami.

- Od czasu do czasu.

Pip był wyraźnie zaskoczony. Edie ściszyła głos:

- Myślałam, że między nami zaiskrzyło. Na pożegnalnej imprezie u Lyssy. Myślałam, że to była iskra zainteresowania.

Pip nawet nie drgnął.

Edie nie czuła się zbyt pewnie, a teraz zupełnie straciła grunt pod nogami.

- Źle to odebrałam, prawda?

- Eee... Tak. Przyznaję, owszem.

- Och. - Edie bawiła się serwetką. - Nikogo wcześniej nie uwodziłam

- przyznała się. - Byłam zbyt zajęta. Nie miałam czasu poćwiczyć. Nie wiem, co powiedzieć.

- Nie sądzę, że powinnaś cokolwiek mówić.

- O... - Uszło z niej całe powietrze. - Więc nie chcesz się nad tym zastanowić?

Wyglądało na to, że Pip częściowo odzyskał równowagę.

- Edie, jesteś bardzo atrakcyjną kobietą. Bardzo atrakcyjną. Bez

cienia wątpliwości. Ale mężatką. Mężatką mającą dzieci.

- Mogę się wyrwać. - Oboje spojrzeli na Archiego. - Czasami.

- Słuchaj - Pip pokręcił głową - przykro mi, że uznałaś mnie za uwodziciela, ale taki nie jestem. W związkach wypadam beznadziejnie, ale raczej popieram monogamię. Jesteście obie z siostrą bardzo piękne...

Moja siostra. Lyssa. Edie usłyszała trybiki obracające się w głowie.

Te wszystkie ukradkowe tęskne spojrzenia były przeznaczone dla

Lyssy. Powinna była poprzestać na pierwszym wrażeniu. To

uporczywe zaprzeczanie siostry, że są tylko przyjaciółmi, wprowadziło ją w błąd.

- Do licha. Chodzi o Lysę. To w niej się zakochałeś. Pip oblał się rumieńcem.

- Jak mogłam być taka głupia? Oczywiście, że to Lyssa! No bo jakże?

Wyglądał na skrępowanego.

- Muszę przyznać, że tak naprawdę nie zależy mi na tym, żeby Lyssa i

Jake się zeszli - wymamrotał.

Edie miała ochotę się rozplakać.

- Strasznie głupio się czuję.

- Nie ma powodu. Łatwo się pomylić.

- A co, codziennie ci się zdarza, że kobiety proponują ci romans?

- Nie codziennie - odparł Pip z uśmiechem. Edie też się uśmiechnęła.

- Bardzo mi to pochlebia, ale...

Włączył się Archie:

- Cipa!

- Tak wygląda moje życie. - Edie westchnęła znużona.

-Przedwcześnie się zestarzałam z pół tuzinem dzieciaków. Nie mogę cię winić, że nie chcesz się angażować.

Pip wziął ją za rękę.

- Wiesz, co bym zrobił na twoim miejscu? Edie pokręciła głową.

- Wróc do domu, załatw opiekunkę i dziś wieczorem zabierz męża do miasta. Powiedz mu, jak bardzo go kochasz, a potem pijcie i tańczcie aż do świtu.

- W ten sposób chcesz ożywić moje smutne życie?

- Jeśli chcesz znów poczuć się kobietą, niech to będzie za sprawą twojego męża. Na dłuższą metę to znacznie mniej bolesne.

- Ale nie takie zabawne.

- Radziłbym najpierw sprawdzić. Edie znów westchnęła.

- Pewnie masz rację.

- Mam. - Pip delikatnie ucałował jej dłoń. - Ale to nie znaczy, że nie czuję się wyróżniony.

Edie się zaczerwieniła.

- Nie mogę uwierzyć, że byłam taka głupia.

- Baba! - krzyknął Archie.

Edie odwróciła się gwałtownie. Jej oczy rozszerzyły się z przerażenia.

Do wielkiego restauracyjnego okna przyciskała twarz ostatnia osoba, którą spodziewałaby się tu zobaczyć. Matka. Edie puściła rękę Pipa, jakby się sparzyła. Co jeszcze bardziej zaskakujące, zza pleców

zionącej dezaprobatą rodzicielki wychylał się zdecydowanie

wpadający w oko mężczyzna w eleganckich spodniach.

Rozdział pięćdziesiąt trzeci

Dean i ja wędrujemy do jego wioski - oddalonej o zaledwie dwie godziny marszu - gdzie pokaże mi swój dom i przedstawi niektórym z przyjaciół.

Trochę się denerwuję, zupełnie jakbym miała poznać jego rodziców - oczywiście rodzice są bezpiecznie daleko, w Stanach. Uważam za znaczące, że to nie czterogodzinna piesza wędrówka mnie onieśmiela.

Myśl o dniu spędzonym tylko z nim jest rozkoszna. Schodzimy powoli, oddalając się od obozu, a gdy jesteśmy sami, trzymamy się za ręce. Na drzewach nad naszymi głowami małpki przeskakują z gałęzi na gałąź, głośno przy tym rozprawiając. W miarę jak idziemy, krajobraz łagodnieje. Moje mięśnie się rozluźniają. Wewnętrzne napięcie wyobrażam sobie jako łuskę cebuli - każdego dnia udaje mi się zrzucić kolejną warstwę. Nie zdawałam sobie sprawy, że jest ich aż tyle.

Mówimy tu o cholernie wielkiej cebuli! Żadna tam wiosenna cebulka, to cebula wielkości solidnej boi.

Stoimy na poboczu wąskiej ścieżki, gdy mija nas karawana mułów.

Dzwonią dzwonki w barwnych, przypominających pióropusze ozdobach na głowach zwierząt, kopyta stukają o kamienie, gdy przenoszą podstawowe produkty do wyżej położonych rejonów. To jedyny szlak w rejonie Annapurny. I pomyśleć, że tych szczęśliwych dziesięć procent światowej populacji, na które składają się posiadacze

samochodów, uważa je za coś oczywistego!

Ostatnia część drogi prowadzi w dół przez rozległą łąkę. Ostrożnie stawiamy stopy na śliskich kamiennych schodach, ciesząc się widokiem na jezioro Bengas. Małe domki przylgnęły do górskich zboczy jak barwne klocki lego.

Gdy zbliżamy się do wioski, zbiegają się dzieci i krzyczą *Gora!*

Gora! - Obcy! Obcy!

- Niektóre z tych dzieciaków uczę - mówi Dean, gdy wpadają na nas z rozpędem i płaczą mu się pod nogami.

A zatem okrzyki wznoszono z mojego powodu. Dzieci roją się wokół mnie bardziej hałaśliwie niż dzikie pszczoły, uśmiechnięte i rozkrzyczane.

Dwie lepkie rączki łapią mnie i prowadzą główną ulicą. Jedyne ulicą.

Nie ma tu drogi, żadnej, nawet nieutwardzonej, tylko połać trawy łagodnie opadająca do podnóża góry. Domy są bardziej zadbane niż w wioskach, przez które przechodziliśmy, od zewnątrz gliniane mury pomalowano na jaskrawy błękit i pomarańcz, wieńczą je solidne strzechy. Ogrody są dobrze utrzymane i pełne dojrzałych warzyw: kapusty, słodkich ziemniaków, papryki, bakłażanów, chilli, a także bardziej egzotycznych i niespodziewanych owoców, takich jak: banany, dynie, cytryny i mandarynki. Kobiety na werandach wymiatają kurz miotłami zrobionymi z cienkich gałązek, gdy tymczasem inne siedzą w grupkach, śpiewają i zagniatają ciasto na ciapaty.

- Gotują już od wielu dni - wyjaśnia Dean. - Wszyscy przygotowują się do obchodów Tihar, Święta Braci. W Nepalu co roku obchodzi się sto dziesięć świąt i uroczystości, a wszystkie są doskonałą wymówką, by jeść i pić bez umiaru, a także nie pracować.

- Więc to coś w rodzaju Gwiazdki.

- Właściwie tak, ale sto dziewięć razy częściej.

- Wolę o tym nie myśleć. - Raz w roku to dla mnie za często. Na pewno uwielbiałabym Gwiazdkę, gdyby wypadała co pięć lat.

- Jest wspaniale, wszyscy czekają na święta z utęsknieniem. - Dean spojrzeniem stara się dodać mi otuchy. - Będzie dobra zabawa.

Spodoba ci się.

Kobiety chichoczą nieśmiało i gdy je mijamy, mówią *Namaste*.

Idziemy ulicą, aż wreszcie docieramy do małego domku krytego strzechą. Ma chyba jedną izbę na dole i jedną na górze. Jest dobrze utrzymany, na werandzie od frontu stoi poczerniały ceglany piec. Przy domu widzę wysoki drewniany stojak ze schnącymi na słońcu kolbami kukurydzy. Obok śpi czarne koźlątko i dumnie przechadza się tuzin tłustych kurczaków.

- No cóż. - Dean się uśmiecha. - To tutaj. Witaj w moim życiu.

Jeśli mam być szczerą, dom Deana trochę mnie szokuje. Jest tak bardzo niepodobny do mojego cukierkowego domu w St Albans. Mały, izby są czyste i schludne, ale jako pierwsze nasuwa mi się określenie „prymitywny”. Podłogi są z kamienia, a ściany z cegieł. Jediną ozdobę stanowi krzykliwy plakat Brucea Springsteena, który ogłasza, że

„urodził się w USA”, i czuję w tym rękę Deana. W głównej izbie znajdują się dwa z grubo ociosane drewniane ławy i buddyjska kapliczka w rogu. W łazience kibelek, z którego korzysta się w kucki, i metalowa umywalka, ale żadnych kurków, więc wodę należy pewnie przynosić z wioskowej studni - widzę wiadro z przywiązaną do niego liną. Drewniane schody prowadzą do sypialni, gdzie szerokie podwyższenie służy za łóżko przykryte zniszczonymi, ale czystymi prześcieradłami i moskitierą. Obok stoi rozlatująca się szafka, na podłodze leży mata z rafi, a na niej lampa naftowa i stosik podniszczonych angielskich książek w miękkich okładkach.

- Ładnie tu - mówię i zdaję sobie sprawę, jaka jestem zepsuta.

Elektryczność i wodę mam na wyciągnięcie ręki.

Dean się rumieni.

- Mój drugi dom to czterdziestoakrowa posiadłość na wsi.

- Tu jest wspaniale, naprawdę. - Ściskam go mocno.

- Spełnia swoją funkcję - dodaje Dean. - Może z wyjątkiem zimy, kiedy jest tu najzimniej na świecie.

- Będę sobie ciebie tu wyobrażała, kiedy wrócę do domu. Kładzie mi palec na ustach.

- Nie będziemy o tym teraz mówili. Idziemy na imprezę.

Kiedy wychodzimy z domu wprost w słoneczny blask, kobiety rozwieszają między domami sznury nagietków. Roześmiane dzieci wieszają nam nagietki na szyjach, gdy idziemy do centrum wioski.

Prowizoryczny stół na kozłach, wyniesiony z jedynej w wiosce

kawiarni, zastawiono jedzeniem i napojami -półmiskami z dhałem, ryżem z kawałkami kurczaka i mięsem jaków, pierozkami, paczuszkami z ciasta wypełnionymi mięsem i warzywami, pikantnymi jelebis i laddus. Z rąk do rąk krążą dzbany mocnego destylowanego piwa, nazywanego tu czang, i pędzonej na miejscu rakszi. Ktoś wręcza nam dwa metalowe kubki pełne po brzegi. Już sam zapach zapowiada kaca. Ostatnio, kiedy piłam miejscowy alkohol, wpakowałam się w niezłe tarapaty! I bardzo jestem z tego powodu szczęśliwa. Patrzę na Deana i uśmiecham się radośnie.

Pod kawiarnianą strzechą zebrała się grupa mężczyzn z instrumentami i zaczęli grać dźwięczną, śpiewną melodię. Wieśniacy, wszyscy w odświętnych ubraniach, gromadzą się dookoła, klaszczą i śpiewają. Ku mojemu wielkiemu zakłopotaniu, Dean wciąga mnie w środek tego kręgu i zaczynamy wirować, wzbudzając powszechną wesołość.

- Dawaj, dziewczyno! - Okręca mnie dookoła.

Mieszkańcy wioski przez chwilę obserwują nas ze śmiechem, po czym się przyłączają, wirują i wirują, świętują, wchodzą na coraz wyższe obroty.

Gdy zapada ciemność, muzyka nie milknie, a my jemy i pijemy, tańczymy do upadłego. Wschodzą gwiazdy, błyszczą na niebie jak diamentowe szpilki i zdaję sobie sprawę, że w tej chwili nie chciałabym być nigdzie indziej.

Rozdział pięćdziesiąty czwarty

Lee szarpał kołnierzyk koszuli. - Ale po co to właściwie robimy?

- Po nic - powiedziała Edie, poprawiając włosy. - Po prostu

wychodzimy, sami, żeby się zabawić.

- Ale my przecież nigdy nie wychodzimy. - Lee sprawdził w lustrze

toaletki, czy nie ma jakiejś niespodzianki między zębami. Nagle

podniósł głowę.

- Zapomniałem o naszej rocznicy?

- Nie.

Odetchnął z ulgą.

- Całe szczęście. Teraz w jego oczach pojawiła się panika. - To nie są

twoje urodziny?

- Nie. - Edie podeszła i go objęła. - Pomyślałam po prostu, że

najwyższa pora, żebyśmy razem dokądś wyszli, zapomnieli o dzie-

ciach, poimprezowali.

Lee nie wyglądał na przekonanego.

- Kelly sobie poradzi. Została przekupiona pizzą i żywą gotówką. A w

dotatku zagroziłam jej powolną i bolesną śmiercią, jeżeli będzie się źle

zachowywała. Wezmę komórkę, na wypadek, gdyby były jakieś

kłopoty.

-1 dokąd idziemy?

- Na kolację, a potem do nocnego klubu.

- Nocny klub. - Lee zadrżał. - Czy to znaczy, że będę musiał tańczyć?

- Do upadłego.

- Nie jestem pewny, czy pamiętam, jak to się robi.

- Mamy całą noc, żeby sobie przypomnieć.
- Tego się obawiałem - westchnął. - Być może będę musiał potwornie się upić.
- Na to liczę. - Edie potarła nosem jego szyję.
- Czy zamierzasz mnie wykorzystać, kiedy będę pod wpływem alkoholu?
- Uważam, że to nieodzowne. Lee się uśmiechnął.
- Więc dlaczego nie urządzamy tego wychodzenia częściej?
- Bo nie możemy się opędzić od dzieciaków i jesteśmy spłukani.
- Wiedziałem, że musi być jakiś powód.

Edi wzięła torebkę. Doszła już do siebie, przestała się głupio czuć z powodu Pipa. Bóg jeden wie, co w nią wstąpiło, jest o wiele za młoda, żeby winić hormony. Na szczęście Pip przyjął to z godnością i w dodatku zrewanżował się dobrą radą. Teraz musi się tylko dowiedzieć, ile widziała matka. Wbrew oczekiwaniom Edie, gdy zorientowała się, że została zauważona, złapała za rękę swojego towarzysza płci męskiej i umknęła. Bez wątpienia będzie miała coś do powiedzenia na ten temat - zawsze ma. Edie westchnęła w duchu i pożałowała, że Lyssa wyjechała.

- Jesteś gotowy?
- Jak najbardziej - odparł Lee, wygładzając marynarkę. Gdy Edie ruszyła do drzwi, Lee chwycił ją za rękę, przyciągnął do siebie i pocałował w usta.
- Wspaniały pomysł - mruknął.

Nie wspomniała, że za tę zmianę podejścia do związku powinien podziękować innemu mężczyźnie.

- Czy wspominałem ostatnio, że jest pani bardzo piękną kobietą, pani Firth?

- Nie. - Edie westchnęła. - Nie wspominałeś.

- W takim razie muszę natychmiast naprawić ten błąd. Jesteś bardzo piękną kobietą i bardzo cię kocham. - Pocałował ją czule.

- Ja też cię kocham.

- Mówisz to, bo jestem ojcem twoich niewiarygodnie pięknych i inteligentnych dzieci.

Edi wtuliła nos w jego szyję.

- A jaki może być lepszy powód?

Rozdział pięćdziesiąty piąty

Dopóki nie ruszę głową na poduszce, nie czuję kaca, ale potem w moim mózgu pojawiają się psychodeliczne kolory. Zastanawiam się, czy cała wioska jest podobnie niedysponowana, czy tylko mięczaki z Zachodu nie przyswajają miejscowego alkoholu. Obok mnie Dean jęczy, oznajmiając, że się obudził. Pozwalam, by moja głowa powoli opadła na poduszkę i rozkoszuję się ulgą, jaką przynosi zamknięcie oczu.

- Czy dobrze się bawiliśmy? - pyta Dean. Leży płasko na plecach i szklanym wzrokiem wpatruje się w sufit.

- Doskonale się bawiliśmy.

- Tak myślałem. - Głos Deana brzmi słabo. - To dlatego nic nie

pamiętam.

- Moim zdaniem czang to wcielone zło.

- Zgadzam się. Ale tutejsi ludzie z pewnością wiedzą, jak urządzić imprezę.

Drewniane okiennice są zamknięte, więc nie musieliśmy jeszcze w pełni doświadczyć potworności bezpośredniego kontaktu ze światłem. Z zewnątrz docierają do nas odgłosy pracy w polu - dziwaczny okrzyk „hau-hau-hau!”, gdy wieśniacy popędzają bawoły młójące proso, a potem odgłos uderzania kijem w zwierzęce zady. Kac czy nie, są tam i zapewniają swoim rodzinom utrzymanie. Domyślam się, że cykl natury nie czeka, aż człowiek wytrzeźwieje. Na ulicach słychać dziecięce trajkotanie.

Dean spogląda na zegarek.

- Szkoła zaczyna się o dziesiątej - wyjaśnia. - Dzięki temu dzieci mogą rano pracować w polu z rodzicami. A większość była tam już przed świtem.

Nie umiem sobie wyobrazić potomstwa Edie zrywającego się o świcie, żeby przez kilka godzin ciężko pracować przed pójściem do szkoły. Nie sądzę, by Kelly, podobnie jak większość nastolatków, w ogóle wstawała przed południem. Myślę o tym, jak łatwe życie mają nasze dzieci.

- Możemy odwiedzić szkołę? - pytam.

- Jasne, jeśli tylko chcesz.

- Chciałabym. - Chcę dowiedzieć się jak najwięcej o tych cudownych,

gościnnych i wrażliwych ludziach. - Chyba powinniśmy zacząć wstawać.

- Pewnie tak. - Dean obejmuje mnie, przygważdżając do łóżka, i zamyka mi usta natarczywymi pocałunkami. - Ale jeszcze nie teraz.

Rozdział pięćdziesiąty szósty

Edie nie mogła się ruszyć. Nie działały żadne odruchy, które zwykle pozwalały się jej przemieszczać. Do licha. Gdzieś pomiędzy wyjściem z nocnego klubu i przebudzeniem została sparaliżowana.

Całkowicie. Nie czuła rąk ani nóg, natomiast głowę jak najbardziej.

Poruszyła nią. Mąż leżał obok niej na łóżku zupełnie nieruchomo.

Wciąż w koszuli, jego twarz wyrażała pewne oszołomienie. Oczy miał otwarte, ale nie była pewna, czy śpi.

- Jestem sparaliżowana - wymamrotała, czując, że wargi ma opuchnięte i zdrętwiałe.

- Chyba raczej skacowana - odmamrotał Lee.

Edie jęknęła. Zabije Pipa. Namówił ją na wyjście i picie, ale zapomniał powiedzieć, jak paskudnie człowiek czuje się następnego dnia.

- Bolą mnie nogi - poskarżył się Lee. Tańczyli, jeśli nie do świtu, to z pewnością do jakiejś trzeciej.

- Mnie boli wszystko - zrewanżowała się Edie.

Lee wysunął spod kołdry stopę. Nadal miał na nogach buty.

Rozległo się delikatne pukanie do drzwi, a potem otwarto je z hukiem, bo walnęły o szafę. Niepewnym krokiem wszedł Archie, żując

smoczek, zupełnie nagi, nie licząc artystycznie rozsmarowanego na buzi dżemu. Za nim pojawiła się Daisy, niosąc tacę ostrożnie jak naczynie z nitrogliceryną. Uważnie stawiała krok za krokiem, aż dotarła do łóżka.

Edie usiadła z wysiłkiem, Lee, w koszuli i butach, zrobił to samo.

- Przyniosłam wam śniadanie do łóżka - oznajmiła Daisy, wciąż skoncentrowana.

- Dziękuję, kochanie - wycharczała Edie.

Daisy umieściła tacę na łóżku przed rodzicami, jakby rozbrajała niewybuch. Czerwone oczy Edie spoczęły na postawionym przed nią posiłku. Lee, który drapał się w głowę, zamarł w pół ruchu. Edie spróbowała się uśmiechnąć.

- A teraz zjadajcie - pogodnie nakazała Daisy. - Wszystko sama przygotowałam. - Uśmiechnęła się z dumą. - Tylko Archie trochę mi pomógł.

Archie wtarł sobie trochę dżemu we włosy. Edie wołała nie myśleć, na czym mógł polegać jego wkład.

- Pycha - stwierdził Lee.

Śniadanie składało się z dwóch misek lodów smarties - które tego ranka wydawały się lśnić wszystkimi kolorami tęczy - uzupełnionych talerzem wyjątkowo dobrze wysmażonych paluszków rybnych, wynurzających się spod gęstej warstwy keczupu, resztek dwóch kawałków spalonego chleba, którego nie dało się ocenić pod względem przydatności do spożycia, ukryty był bowiem pod calowej grubości

warstwą dżemu. Zapewne na tym polegał wkład Archiego. Na zakończenie dwie szklanki ribeny i po dużym kitkacie dla każdego.

- Grzanka - stwierdził Lee, badawczo przyglądając się daninie. -

Bardzo sprytnie przypiekaś ją na czarno.

Daisy pokazała zęby w dumnym uśmiechu.

-1 ile dżemu. - Lee rozpromienił się, przepełniony wdzięcznością.

- Nie jestem specjalnie głodna. - Edie spróbowała podjąć negocjacje. -

Mamusia nie za dobrze się czuje.

- Po tym poczujesz się lepiej - zapewniła ją córka.

- Zjadaj - wymamrotał Lee. - Zadała sobie dużo trudu. Zjadaj.

- Umrę.

Uśmiech Lee nie zmienił się ani o jotę.

- Ale za to w słusznej sprawie.

Edi z przerażeniem pomyślała, że inspiracją dla córki mogły być jej własne kulinarne wysiłki. Uznała, że tak właśnie było. Obowiązkowi rodzice uśmiechnęli się szeroko i chwycili łyżki.

- Mmm, lody. - Zimno podrażniło Edie wszystkie zęby. Doskonałe lekarstwo na kaca. Miała nadzieję, że córka doświadczy kiedyś problemu alkoholowego, co da jej okazję do odpowiedniego rewanzu.

Daisy stała nad nimi i patrzyła, jak z wysiłkiem zjadają wszystko do ostatniego kęsa. Kto powiedział, że łatwo jest być rodzicem? Gdy wreszcie skończyli i Daisy raczyła zabrać tacę, a także dała się przekonać i poszła przygotować im herbatę - po wysłuchaniu szczegółowych instrukcji - Lee oraz Edie padli na łóżko, chichocząc.

Lee wziął żonę w ramiona.

- Chyba się nie pochorujesz?

- Nie mogę obiecać. - Upchnęła wspomnienie jaskrawych lodów w głębi umysłu.

- To była udana noc, prawda? - Lee uśmiechnął się szeroko.

- Tak - westchnęła. - To była wspaniała noc.

- Powinniśmy robić to częściej.

- Naprawdę tak uważasz? Nie jestem pewna, czy dałabym radę żyć w takim tempie.

Lee poruszył stopami.

- Nadal nie rozumiem, jak udało mi się zdjąć spodnie bez zdejmowania butów.

Edie podniosła wzrok, uśmiechając się z zadowoleniem. Nagle jej uśmiech zamarł. Pod sufitem leniwie obracał się wentylator, powodując przyjemny przepływ świeżego powietrza. Było to jeden z projektów Lee z cyklu „zrób to sam”, niezbędny podczas tych trzech dni w lecie, kiedy robiło się zbyt gorąco, by spać. Mąż spojrzał w tę samą stronę i gdy jego otępiały mózg zarejestrował, co przykuło uwagę żony, popatrzyli sobie w oczy z narastającą zgrozą.

- O nie - jęknął Lee. - O nie...

- O tak - jęknęła Edie. - O tak.

Z wentylatora zwisały delikatnie powiewające czarne koronkowe majtki i w nagłym przebłysku oboje przypomnieli sobie, skąd się tam wzięły.

Rozdział pięćdziesiąty siódmy

Jake i Pip stali w kolejce w barze kanapkowym niedaleko biura. Była pora lunchu i knajpa pękała w szwach. Sekretarki i urzędnicy krok za krokiem posuwali się naprzód, żeby zamówić coś do jedzenia.

- Wyglądasz załóżnie - zauważył Pip, opierając się o ścianę.

- Mam dobry powód, stary. Cholernie dobry powód.

- Chcesz o tym pogadać?

- Tak. Ale nie w biurze. - Nie przyznał się, że zbiera mu się na płacz.

Nie płakał, odkąd skończył sześć lat i jego mama włożyła misia

Pindy-Pandy do pralki i odpadły mu obie łapki. A teraz sytuacja jest znacznie poważniejsza.

- Chodźmy na ławkę po drugiej stronie - zaproponował Pip. Zamówili

i odebrali kanapki, po czym poszli usiąść. Na ulicy hulał

wiatr, znacznie obniżając temperaturę. Pip postawił kołnierz

marynarki, a jego mina zdradzała nadzieję, że rozmowa nie potrwa

długo.

- Rozumiem, że chodzi o Neve?

- Owszem.

Pip zanurzył rękę w brązowej papierowej torbie z kanapkami,

przyjrzał się zawartości, a następnie odgryzł kęs.

- No więc jak poszło, kiedy wróciła do domu? Jake potarł podbródek.

- Myślę, że dobrze. W tych okolicznościach. Pip nie przerwał

jedzenia.

- Wytlukłem jej całą zastawę Jaspera Conrana, a ona kazała mi

wypierdalać ze swojego życia.

- Okoliczności musiały być zatem interesujące.

- Tak - przyznał Jake. - Sypia z Alekiem. - Zerknął na drżącego z zimna przyjaciela - Ale o tym już wiedziałeś.

Pip milczał.

- Nie sędzę, natomiast, żebyś wiedział, że jest w ciąży.

Pip gwałtownie nabrał powietrza i powiedział:

- Nie, nie miałem o tym pojęcia.

- Ja też nie, aż do wczorajszego wieczoru.

- Cholera - zaklął Pip.

- Cholera psia krew - zgodził się Jake. Kumpel spojrzał na niego ze współczuciem.

- Nie jestem pewny, czy potrafię się zdobyć na zadanie następnego pytania.

- Czyje to dziecko? - Jake pokręcił głową. - Też chciałbym znać odpowiedź.

Pip uniósł brwi.

- Ona nie wie?

- To wiele mówi, nie uważasz? - westchnął smutno Jake.

- Cholera, stary. Co zamierzasz zrobić?

- Nie mam pojęcia. - Miejsce, w którym do tej pory znajdował się jego mózg, wypełniała wielka nieczuła bryła. - Usunie ciążę.

Pip był oszołomiony.

- Ciężka sprawa, stary.

- Jakbym nie wiedział.

Przyjaciel zrezygnował z dokończenia kanapki.

- Może tak będzie najlepiej.

- Tak uważasz? - Jake nie był pewny. Wcale nie był tego pewny. - A jeżeli dziecko jest moje?

- Możesz nalegać na przeprowadzenie badania DNA - zasugerował

Pip. - Wtedy przynajmniej się dowiesz.

- A co to za różnica? I tak nie chce tego dziecka. Mógłbym powiedzieć o Neve wiele różnych rzeczy, ale z pewnością nie ma instynktu macierzyńskiego. Nie można w ten sposób sprowadzać dziecka na świat.

fake był przygnębiony. Od kiedy zaczęliśmy bawić się w Boga?

Pozbywać się dzieci bez namysłu. Traktować ludzkie życie jak towar.

Sprowadzać akt stworzenia do połączenia zawartości dwóch szalek

Petrieego.

- Rozumiem, że z wami koniec?

- Na to wygląda.

- Niespecjalnie się układało, odkąd sprzątnęła ci sprzed nosa ten jajeczny projekt.

- To prawda - przyznał Jake. Teraz wydawało mu się to mało znaczące w porównaniu z ostatnią zdradą. - Twierdziła, że chroni mnie przed Alekiem. Nie zdawałem sobie tylko sprawy, że jako tarczy używa własnego nagiego ciała.

Pip zaśmiał się ze znużeniem i klepnął Jake'a w plecy.

- Śmieję się z tego, stary.

- Mam się śmiać?

- Dostrzeżesz zabawne strony sytuacji. - Pocieszenie Pipa nie

brzmiało przekonująco - Kiedyś, w przyszłości.

Wyglądało na to, że w przypadku Jake'a mechanizm odpowiedzialny

za śmiech przestał działać. Być może wszystko poszłoby łatwiej,

gdyby nie wplątał w te parszywe machinacje Lyssy i przy okazji jej nie

stracił. Spędził okropny weekend w starym domu, zastanawiając się

cały czas, co mógłby zrobić, żeby wszystko naprawić.

- Chodź - powiedział Pip. - Wejźmy do środka. Tyłek mi odmarza.

Jake pożałował, że nie odmroził sobie tyłka lata wcześniej, bo być

może wtedy nie wpakowałby się w cały ten koszmar.

A jednak Pip jak zwykle miał rację. Listopad to nie najlepsza pora,

żeby siedzieć na dworze z kanapkami. Chociaż, co dziwne, Jake nie

czuł zimna. Nie czuł nic. Zupełnie nic.

Rozdział pięćdziesiąty ósmy

Szkoła znajduje się na wzgórzu nad wioską. To mały parterowy

budynek. Na pełnym dziur betonowym placu zabaw przed nim bawi się

grupa dzieci.

Wszystkie są wyszorowane, mają na sobie nieskazitelne, choć nieco

znoszone granatowe mundurki, i ganiają się w kółko. Niektóre

wyraźnie donaszają ubrania po starszym rodzeństwie. Wszystkie

dziewczynki mają włosy związane czerwonymi wstążkami, wyglądają

rozkosznie i są pełne entuzjazmu - stanowczo nic podobnego nie

przychodzi mi na myśl, gdy widzę uczniów w Anglii.

Dzieci podbiegają, wieszają się na ramionach Deana i wchodzą za nami do środka.

Szkolny budynek jest bardzo schludny, ale skromny. Składa się z sześciu izb, ściany są gołe, farba spłowiała i popękana, a ławki proste.

Klasy mieszane, ale dziewczynki siedzą po jednej stronie, a chłopcy po drugiej. Są także zróżnicowane pod względem wieku - poczynając od siedmiolatków, a kończąc na trzech nieśmiałych kobietach siedzących z tyłu, które mają pewnie około trzydziestki.

Młoda nepalska nauczycielka, Manuka, chętnie przerywa lekcję, żeby powitać Deana i mnie. Mój przewodnik jest tu najwyraźniej bardzo lubiany i czuję przypływ uczucia do niego. Dean przedstawia mnie najpierw po nepalsku, a potem po angielsku.

- To Lyssa i przyjechała nas odwiedzić aż z Anglii.

Dzieci uważają, że to bardzo zabawne i wychodzą z ławek, żeby stłoczyć się wokół mnie. Chłopczyk o szeroko otwartych niewinnych oczach nieśmiało wręcza mi pomiętą książkę.

- Chcesz im poczytać? - pyta Dean.

- Z przyjemnością. - Szybko przeglądam książkę i muszę przyznać, że jest okropna. To zbiór tekstów do nauki angielskiego i nie oddaje sprawiedliwości umiejętnościom językowym tych dzieciaków. W każdym razie zanim udaje mi się powiedzieć choć słowo, zostaję otoczona przez zachwyconą publiczność o uśmiechniętych buziach i myślę, że gdyby wszyscy uczniowie byli tak skupieni, nauczanie nie

byłoby wcale przykrym zajęciem. Oczywiście mam świadomość, że ich uwagę po części przykuwa urok nowości.

Jedna z najmniejszych dziewczynek pakuje mi się na kolana i zarzuca ręce na szyję, gdy głośno czytam raczej kiepską historyjkę o żabie, szukającej miejsca, w którym mogłaby zamieszkać - ale nikt nie zwraca uwagi na treść. Nawet te dorosłe kobiety przyłączyły się do nas i siedzą po turecku na podłodze. Deana także otaczają fani i kiedy podchwytyję jego spojrzenie, widzę, że uśmiecha się z dumą.

Jego życie odznacza się prostotą, której zaczynam mu zazdrościć.

Podziwiam także, jak zdołał się przystosować. Po przyjeździe z Kalifornii musiał przeżyć, delikatnie mówiąc, szok kulturowy. Mimo oczywistych uroków takiej egzystencji, nie jestem pewna, czy zdołałabym ze wszystkiego dla niej zrezygnować. Wydaje mi się, że za bardzo przesiąknęłam konsumpcjonizmem, żeby teraz się zmienić. Dean natomiast wydaje się całkowitym przeciwieństwem materialisty.

Weźmy jego dom. Wszystko z nim w porządku. Jest idealnie w sam raz. Ma cztery solidne ściany, dach, miejsce do rozpalania ognia i łóżko. Ładną werandę, która służy też jako kuchnia. Ale nic więcej.

Nie ma kuchenki gazowej, lodówki, elektryczności, wanny, paneli na podłogach, odtwarzacza CD, żadnych współczesnych udogodnień. Ile osób przyzwyczajonych do korzystania z domu wypchanego po dach zachodnimi luksusami zdołałoby tu wytrzymać?

Kończę bajkę i dzieci, pod przewodnictwem mojego największego

fana, urządzają mi owację - nawet nastolatki. Są zachwycające w porównaniu z naszymi znudzonymi dziećmi o pustych oczach. Tłoczą się, by pokazać mi zeszyty do ćwiczeń. Widziałam prace domowe moich siostrzenic i siostrzeńców, więc wiem, że napalski program nauczania wygląda jak nieco okrojona wersja naszego, co biorąc pod uwagę tutejsze skromne środki, robi spore wrażenie. Kiedy wreszcie udaje nam się wyrwać, zostawiamy za sobą same uśmiechnięte buzie. Dzieciaki machają jak szalone, gdy przechodzimy przez plac zabaw, płosząc po drodze kilka kurczaków, aż wreszcie znów jesteśmy na ulicy.

- To wspaniałe dzieciaki - mówi Dean. - Mają tak niewiele, a tak bardzo chcą się uczyć.

- Są rozkoszne.

- Uczę je angielskiego - wyjaśnia nieśmiało. - I matematyki. I pewnie daję zły przykład.

- Widać, że cię kochają.

Przelotnie i ukradkiem ściska moją dłoń.

- Nietrudno mnie kochać.

- Za to mogę ręczyć - stwierdzam z uśmiechem.

Idziemy w dół ulicą, mijając domy, przed którymi na słomianych matach siedzą rozplotkowane kobiety z niemowlętami na kolanach.

Przebierają ryż, ostrożnie biorąc w palce każde ziarenko. Żadna z nich nie wygląda na tak umęczoną jak my. Śmieją się i wykrzykują powitania, gdy je mijamy.

- Cała wioska będzie o nas plotkować - uprzedza Dean. Sądzę, że dla niego to nie nowina.

Na końcu ulicy stoi okazały budynek, jak się okazuje siedziba Projektu Ochrony Środowiska, dla którego pracuje Dean. Ściany pomalowane na biało, dach pokryty drewnianymi dachówkami.

Otoczają go poletka ryżowe.

Aby nas powitać, wychodzi maleńki człowieczek w tradycyjnym nakryciu głowy zwanym *topi*. Po jednym czy dwóch *namaste* serdecznie ściska dłoń Deana.

- To mój szef, pan Thakari - mówi Dean.

Mężczyzna o połowę mniejszy od Deana otwarcie śmieje się z jego słów.

- Jesteśmy szczęśliwi, mając tu pana Macaulaya - mówi. - Ale potrzebna mu żona i własne dzieci. - Obrzuca mnie taksującym spojrzeniem. - Mężczyzna nie powinien żyć samotnie. Wciąż mu to powtarzam.

Z moją matką dogadaliby się w mgnieniu oka.

- Musisz przyjechać siostrze do naszej wioski - ciągnie -i uczynić go szczęśliwym człowiekiem. Czy nie widzisz, jaki jest smutny bez kobiety? - Pan Thakari znów wybucha głośnym śmiechem. - Zabiorę was do astrologa. Chodźcie, chodźcie. Sprawdzi, czy wasz związek byłby korzystny.

Dean się czerwieni.

- Chyba powinienem cię oprowadzić. Pójdziemy obejrzeć kuchenny

ogród, panie Thakari.

- *Namaste!*

Pospiesznie prowadzi mnie na tyły budynku.

- Przepraszam!

- Wszystko w porządku. Moja matka cały czas mówi mi to samo. - Już

się nie mogę doczekać, kiedy będzie próbowała mnie swatać z paskudnymi synami wszystkich swoich brydżowych znajomych.

- Człowiek z Zachodu nigdy nie przestaje być tu osobliwością - dodaje Dean. - Szczególnie kawaler.

Wchodzimy na zadbane pole pełne najróżniejszych roślin.

- Eksperymentujemy z różnymi typami owoców i warzyw, by zachęcić wieśniaków do urozmaicenia upraw - wyjaśnia Dean z entuzjazmem wywodzącym się ze szczerego oddania. - Podjęliśmy też starania o doprowadzenie bieżącej wody.

W tym kontekście to, czym zajmuję się w „Moim Dziecku” wypada bardzo nieciekawie. Czy kogoś naprawdę obchodzi, co jakaś gwiazdka czuła podczas porodu? A najgorsze, że nie tak dawno temu, zaledwie kilka tygodni, odpowiedziałabym twierdząco.

Zaczęłam zdawać sobie sprawę, że sposób, w jaki żyjemy, jest w pewnym sensie nierealny. Ten, kto chce, może zasiąść na kanapie z filiżanką herbaty oraz czekoladowymi ciasteczkami i oglądać na żywo w BBC wojnę, głód, katastrofalne powodzie i trzęsienia ziemi czy zniszczenia na niewiarygodną skalę. Wszystkie te obrazy docierają do nas w zaciszach naszych domów. Czy to nie dziwne?

Spójrzmy prawdzie w oczy: nie musimy nawet brudzić sobie rąk, przygotowując jedzenie. Dla naszej wygody pojawia się sterylne, pozbawione smaku, ukryte w tonach niepotrzebnych opakowań. Czy slogan „Hodowane dla smaku” nie jest najdziwniejszy na świecie? A po cóż innego hodować rzeczy jadalne? „Hodowane dla smaku” dojrzewające na krzakach pomidory - o co tu chodzi? Każdy, kto chce się grzebać w ziemi i zmienia podmiejski ogród w grządki z naturalnie hodowanymi warzywami, postrzegany jest jako lekko stuknięty, jako ktoś, kto mentalnie zatrzymał się w latach siedemdziesiątych. Gdybyśmy postanowili z Jakiem sami coś wyhodować, kilka tuzinów marchewek całkowicie wypełniłoby nasz nędzny ogródek. Kiedy człowiek pcha wózek z zakupami w Sainsbury's, tak naprawdę się nad tym nie zastanawia - jak daleko odeszliśmy od okropności prawdziwego życia. Zwykle śpieszę się do domu, żeby oglądać *Place in the Sun* - i, przyznaję, to przerażające stwierdzenie - tylko wtedy myślę przez chwilę, że może istnieje lepszy sposób życia.

Podczas gdy ja zmagam się w duchu z problemami tego świata, spacerujemy między poletkami, podziwiając efekty pracy tutejszych kobiet. Dean doradza i zachęca je, rzucając czasem jakiś żart. Jestem dumna, że zależy mu na tym, co robi. Kocham go za energię i bezinteresowność. Mam ochotę mocno go uściskać, ale wiem, że muszę poczekać. Później, kiedy będziemy sami w zaciszu pełniącego funkcję gniazdka miłości namiotu. Zupełnie, jakby czytał w moich

myślach, Dean odwraca się i uśmiecha. Ruchem głowy daje mi znak, że powinniśmy już iść. Po obowiązkowej rundce *namaste* machamy na do widzenia i ruszamy dalej.

- To musi być miłe uczucie, coś zmieniać - mówię.

- Nieznacznie - skromnie zaznacza Dean. - Ale tak, to miłe.

- Wyraźnie widać, że cię tu cenią.

- Chyba tak. I chociaż zawsze pozostanę dla nich obcy, mam głębokie poczucie przynależności. Na więcej niespecjalnie można liczyć.

Czy mam głębokie uczucie przynależności do St Albans? Nie wiem.

Nigdy nie poznałam nawet połowy sąsiadów. Wymieniam ukłony z ludźmi mieszkającymi obok, ale nie zwróciłabym się do nich w trudnej sytuacji. Należą do tych, którzy, jak to się mówi, nie udzielają się. Czy to nie dziwne, że widzimy w tym zaletę u osób, które mieszkają blisko nas? Wiemy, czym się zajmują, oni tyle samo wiedzą o nas - i to by było na tyle. Można to złożyć na karb wiecznych dojazdów, przez cały rok rzadko się widzimy.

*** *Place in the Sun* - program o Brytyjczykach kupujących posiadłości za granicą.**

A może wiąże się to z brakiem zainteresowania sytuacją innych w dzisiejszych czasach? Założę się, że nikt nawet nie zauważył, że zerwałam z Jakiem. Zresztą i tak nikogo by to nie obeszło. Dean przerywa moje rozważania:

- Musimy wracać, żeby zdążyć przed zmrokiem. Chcesz jeszcze coś obejrzeć?

Nie, widziałam wystarczająco dużo, by wiedzieć, że zaczynam się zakochiwać. W tym cudownym miejscu. I w Deanie.

Rozdział pięćdziesiąty dziewiąty

Jake siedzi w biurze Aleka. Ciszę, jaka tam panuje, można opisać tylko jako pełną napięcia. Szef odgrodził się od niego szerokością biurka. Jake siedzi na twardym krześle, ręce wsunął pod uda na wypadek, gdyby z własnej woli postanowiły wymierzyć cios temu hipokrycie. Alec z kolei przemierza dywan tam i z powrotem, nerwowo pstrykając długopisem.

- Rzecz w tym - ciągnie - że nie jestem pewny, czy wciąż jesteś w obiegu, Jake.

- W obiegu? Alec odchrząknął.

- Sądzę, że uczciwie będzie cię ostrzec, że możesz... Możesz... Zostać włączony w swego rodzaju restrukturyzację działu w najbliższej przyszłości. Ja... Rada... Nie możemy tego wykluczyć.

- Chcesz powiedzieć, że zostanę zwolniony? Alec przygryzł wargę.

- Rozumiem, co masz na myśli. Musisz docenić, że to nic osobistego.

- To nic osobistego?

- Oczywiście, że nie.

Jake usiłował zachować kamienną twarz.

- Więc nie ma to nic wspólnego z faktem, że obaj sypiamy z Neve?

Alec zbladł.

- Podejmujemy po prostu inicjatywę związaną z opłacalnością.

- Innymi słowy „zaczynaj przeglądać ogłoszenia w sprawie pracy,

Jake".

Szef nie patrzył mu w oczy.

- Może to być rozsądne posunięcie.

- W takim razie chciałbym dostać znakomite referencje -oznajmił

Jake.

- Nie jestem pewny...

-1 chciałbym dostać te znakomite referencje teraz - zaznaczył

spokojnie. -Ja...

- Jeżeli je dostanę, odejdę od razu i bez zamieszania. Nie unu-rzam cię

w błocie. Nie opowiem wszystkim, jakim jesteś draniem, i nie

zawiadomię rady o drastycznych szczegółach twojego niestosownego

zachowania.

Adwersarz Jake'a uśmiechnął się z wysiłkiem.

- Nie pozwolę się szantażować.

- Słusznie. I nie powiem też nic twojej żonie. - Jake zrewanżował się

uśmiechem.

- Poproszę Annabelle, żeby przesłała ci referencje.

- Nie chcę, żeby Annabelle się tym zajmowała. Chcę, żebyś ty to

zrobił. Teraz.

Alec niechętnie usiadł za biurkiem.

- To niezgodne z procedurą.

- Sądzę, że masz w tym wprawę. Powiem ci, co napisać.

- Zaraz, zaraz...

- Do wszystkich zainteresowanych - zaczął dyktować Jake. Z

niezadowolaniem zaciskając usta, Alec pisał. Jake wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem jak amerykański prawnik z serialu.

- Pan Jake Swift przez wiele lat był cennym i utalentowanym członkiem naszego zespołu...

Alec podniósł wzrok. Prychnął, po czym wrócił do pisania. Jake ciągnął:

- Jego wizja i oryginalność nie mają sobie równych w świecie reklamy.

Szef z trudem zmuszał się do pisania. Jake czuł, że drżą mu wargi, gdy patrzył na palce Aleka zeszywniałego nad klawiaturą. Dobrze mu tak.

- Jego zachowanie i sposób postępowania zawsze były wzorowe. -

Jake puścił do Aleka oko. - O niektórych członkach zespołu nie da się tego powiedzieć, co?

Alec wściekał się w milczeniu.

- Rozstajemy się z nim z ogromną przykrością. „Ogromną” piszemy przez...

- Wiem, jak piszemy - syknął Alec i walnął z całej siły w klawisze.

- Pan Swift będzie znakomitym nabytkiem dla każdego zespołu.

Alec coś burknął. Skończył pisać, wcisnął polecenie drukowania i egzemplarz tekstu wyłonił się z drukarki stojącej w rogu biura. Alec podszedł do niej wielkimi krokami i gwałtownie wyciągnął kartkę.

- Podpisz - zażądał Jake.

Ręka szefa drżała z wściekłości, gdy to robił. Wręczył Jake'owi

referencje.

- Dzięki. - Jake rzucił okiem na kartkę, złożył ją starannie i wsunął do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- To wszystko? - gniewnie zapytał Alec.

- Nie. Jeszcze jedno.

Jego pięść wylądowała z impetem na podbródku Aleka. Włożył w cios całą siłę. Szef zachwiał się, po czym ugięły się pod nim nogi i łagodnie osunął się na dywan. Jake roztarł dłoń. Była niewiarygodnie obolała, ale czuł się bardzo, ale to bardzo dobrze. Uśmiechnął się do siebie.

- Dzięki, Alec. - Wyminął nieruchomą postać i ruszył w stronę drzwi.

- Dzięki za wszystko.

Rozdział sześćdziesiąty

Katmandu to dziura, ale jak na dziurę jest fascynujące. Cuchnące, brudne, zatłoczone, hałaśliwe, zanieczyszczone i fascynujące. Po idealnym spokoju i ciszy u podnóża gór miasto atakuje moje zmysły ze wszystkich stron. Bóg jeden wie, jak poradzę sobie w Londynie - oczywiście w Londynie nie ma wałęsających się po Oxford Street sparszywiałych krów ani jednonogich szaleńców w pomarańczowych szatach, którzy ścigają niczego niepodejrzewających turystów z nadzieją, że wyciągną od nich drobne. Pewne rzeczy w Londynie są podobne, na przykład korki, ale tutejsze tworzy mieszanina staroświeckich samochodów,

rozklekotanych

autobusów,

niecierpliwych taksówek, rikszy, rowerów, wałęsających się zwierząt i

kolorowych turystów z plecakami. Być może to łagodny powrót do

życia wśród wyziewów wielkiego miasta - z raju do czyścica - ale nie

mogę powiedzieć, żebym cieszyła się na myśl o zbliżającym się

powrocie do cywilizacji.

Nie mogę uwierzyć, jak szybko minął czas w Nepalu, teraz już prawie

pora wracać, a ja nie potrafię znieść tej myśli. Pod fachową opieką

Deana grupa najpierw odpoczęła i nabrała sił w Pokharze, potem przez

dwa dni uprawialiśmy rafting na wzburzonych wodach rzeki Trisuli, a

następnie poleciliśmy do Jomsom i chodziliśmy trochę po królestwie

Mustang w środkowych Himalajach. Czuję, że naprawdę nawiązałam

bliski kontakt z naturą. Ciało mam sprawne i opalone - oczywiście

tylko te jego fragmenty, które wolno pokazywać. Na nosie mam piegi

zamiast makijażu, ręce opalone na brąz. Włosy rozjaśnione przez

słońce, bez chemicznie uzyskanych pasemek, i nie pamiętam, kiedy

ostatnio regulowałam brwi, chociaż wzięłam pęsetę. Edie byłaby ze

mnie dumna! Moje sandały już od dawna nie wyglądają na nowe, są

zakurzone i sfatygowane jak ja. Po raz pierwszy od lat mam na stopach

stwardniałą skórę. Noszę także suknię-kaftan, dokładnie taką, jaką

wyszydziłam

u Saffron, i w jakiej za skarby świata nie pokazałabym się w Anglii.

Takie ciuchy wyszły z mody pod koniec lat sześćdziesiątych. Jest

obszerna, faluje na wietrze i okrywa mnie od stóp do głów. Przypomina namiot. I wiecie co? Guzik mnie to obchodzi i czuję się wspaniale. Zaliczyliśmy już łzawe pożegnanie z naszą ekipą trekkingową, które dało mi nieprzyjemny przedsmak tego, co nadejdzie. Gdy odchodzili, wciąż szeroko uśmiechnięci, do swoich rodzinnych wiosek, z przerażeniem myślałam, że może już nigdy ich nie zobaczę, ale tak naprawdę nie chcę się nad tym zastanawiać. Kilka ostatnich dni spędzamy w Katmandu, przesiąkając historią i kulturą tego miejsca. Jeszcze tyle rzeczy chciałabym zobaczyć. Załedwie otarłam się o ten wspaniały kraj i mam uczucie niedosytu, chcę tu wrócić. A jeśli chodzi o Deana i o mnie? Cały czas zacieśniałiśmy naszą relację. Mam wrażenie, jakbym była z nim od zawsze, Jake stał się bardzo odległym i złym wspomnieniem. Ze wszystkich sił staram się również zignorować fakt, że mamy coraz mniej czasu.

Wymijam kilkunastu rikszarzy samobójców, lawiruję między mknącymi pojazdami, ściskając niesamowicie tanie kaszmirowe szale w cudownych kolorach, które wytargowałam dla Edie i mamy. Zakupy zrobiłam bardzo szybko i w ostatniej chwili, bo czas najwyraźniej przestał być moim sprzymierzeńcem i alarmująco przyspiesza, gdy zbliża się moment powrotu do domu. Czuję macki mojego poprzedniego życia, jak sięgają, by mnie przyciągnąć -we śnie zaczęłam nawet wymyślać tytuły artykułów do „Mojego Dziecka”. Na litość boską! Gdybym była odważniejsza, może bym nie wróciła. To byłoby bardzo proste - sprawę załatwiłby jeden e-mail. Mogłabym po

prostu przedłużyć pobyt i wędrować po Nepalu przez kolejny miesiąc z osobistym przewodnikiem. A jednak odczuwam nużącą moc zobowiązań, a Dean ma własne życie w tej tętniącej radością wiosce. Widzę, że chce tam wrócić i przebywać z tubylcami, a nie z bandą Brytyjczyków na wakacjach. Nie rozmawialiśmy o tym, co czuje w związku z moim zbliżającym się wyjazdem, ale od kilku dni zrobił się melancholijny. Cóż, życie toczy się dalej. Czeka na niego praca w polu, tęsknią za nim jego uczniowie. Poza tym, gdybym nie zjawiała się w domu, moja rodzina byłaby zupełnie zbita z tropu. Mam poczucie odpowiedzialności wobec Edie i, chociaż nigdy nie sądziłam, że coś takiego powiem, bardzo tęsknię za mamą.

Przeciskam się przez tłum zebrany na placu Durbar, gdzie znajduje się co najmniej pięćdziesiąt świątyń pochodzących z dwunastego wieku, z patrzącymi gniewnie na pobożny i przesądny tłum oczami licznych zębanych, złotych bóstw. Spoglądam na zegarek. Powietrze jest gorące i ciężkie od zapachu przypraw. Chociaż niebo ciemnieje, bo zbliża się noc, ulice duszą się w upale. Po plecach spływa mi stróżka potu. Znow jestem w świetle elektryczności, kolorowe żarówki oświetlają tandetny sklepik z pamiątkami na granicy turystycznej dzielnicy Thamel. Spotykam się z Deanem i resztą grupy na kolacji w tradycyjnej nepalskiej knajpce. Nie mogę uwierzyć, że spędzamy ostatni wieczór w towarzystwie ludzi, których tak paskudnie zaniedbaliśmy podczas ostatnich tygodni. Należą im się wyrazy

uznania za tolerancję dla naszych ekscesów. W głębi duszy mam wrażenie, że dobrze się bawili, obserwując rozkwitający się na ich oczach romans. Uroczy Sandziw bardzo się starał, żeby byli zadowoleni, i nigdy mu tego nie zapomnę. A jednak chcę mieć Deana tylko dla siebie jeszcze ten ostatni raz. Czuję napływające łzy i przysięgam sobie, że nie będę o tym teraz myślała.

Mijam bogato zdobiony budynek, który wygląda jak ważna świątynia, ale od frontu dostrzegam przybitą gwoździami zupełnie niestosowną tabliczkę „Szczęśliwe Spotkania - kawiarenka internetowa”. Pokusa jest zbyt silna. Udało mi się nie kontaktować z domem przez cały czas pobytu tutaj, chociaż było kilka okazji. Edie pewnie odchodzi od zmysłów i z pewnością nie zaszkodzi wysłać jej wiadomość, że jestem bezpieczna i w dobrej formie wracam do domu. Zanurzam się w chłodzie ciemnego wnętrza i wręczam kilka rupii opłaty. Zostaję wprowadzona do pokoiku z komputerami i siadam przed jednym z trzech dostępnych pustych terminali.

Wklepuję mój adres e-mailowy i czekam, aż napędzany parą komputer, puf, puf, puf, przemierzy cyberprzestrzeń i odnajdzie moje konto na Hotmailu. Wreszcie po długim i nudnym oczekiwaniu na ekranie otwiera się skrzynka e-mailowa. Jak zwykle zawiera tony spamu z poradami, jak zmniejszyć długi, gdzie kupić viagrę i powiększyć piersi, ale wpada mi w oko wiadomość, na której widok wstrzymuję oddech. Serce zaczyna mi dudnić w piersi i nie ma to nic wspólnego z upałem w kafejce. Ze starego nieostrego ekranu miga do mnie wiadomość od

Jake'a.

Trzęsą mi się ręce, kiedy najeżdżam myszką na wiadomość i ją otwieram. Tekst brzmi: *Lysso - sytuacja się zmieniła. Nie wiem, od czego zacząć. Skontaktuj się ze mną jak najszybciej. Kocham cię, Jake.*

Gapię się w ekran. Co to ma znaczyć, do cholery? Sytuacja się zmieniła? Jake zawsze był dobry w przekazywaniu zagadkowych wiadomości. Moje serce powoli zaczyna bić normalnie. Czy Pip przez cały czas miał rację? Czy związek Jake'a z Neve się zakończył?

Zamykam wiadomość, bo naprawdę nie mam pojęcia, co odpowiedzieć. Czy to właśnie chciałam usłyszeć? Nie jestem pewna, jak powinnam zareagować. Serce wciąż mnie boli, czuję mdłe ssanie w żołądku, ale mózg odmawia przeprowadzenia jakiegokolwiek sensownej analizy. Co teraz czuję do Jake'a? Ze zdenerwowania lepią mi się ręce, emocje się kotłują, gdy zastanawiam się, co czeka na mnie po powrocie.

Drżącymi palcami wystukuję raczej niezobowiązującą wiadomość do Edie, bla, bla, bla. Zbieram pakunki i wychodzę z kafejki. Muszę pędzić, bo spóźnię się na spotkanie z Deanem. Dean, wzdycham w duchu. Moje serce wie, jak reagować na ten kłopot: za każdym razem, gdy o nim myślę, robi fikołka. Sytuacja rzeczywiście się zmieniła - być może bardziej, niż Jake sądzi.

Rozdział sześćdziesiąty pierwszy

Jake nie miał ochoty, ale Pip nalegał. Wernisaże w galeriach nie należą do jego ulubionych rozrywek - nie żeby kiedykolwiek zaliczył

jakiś wernisaż, ale mimo to wiedział, że w wielu różnych innych sytuacjach czułby się lepiej. Jeszcze bardziej upadł na duchu, gdy zobaczył kolejkę tych, którzy próbowali wepchnąć się do maleńkiego pomieszczenia przy bocznej ulicy.

Pip klepnął go w plecy aż zadudniło, gdy tylko wysiedli z taksówki na Charlotte Street.

- Nie możesz tylko snuć się po domu.

- Mogę - upierał się Jake. - Gdybym częściej siedział w domu, a nawet się po nim snuł, nie byłbym teraz w tak cholernie głupiej sytuacji.

Noc była lodowata i zacierając ręce, by choć trochę je rozgrzać, Jake szukał osłony przed lodowatym powietrzem, stawiając kołnierz płaszcza. Zastanawiał się, czy w Nepalu jest ciepło. Zastanawiał się, gdzie jest teraz Lyssa. Co robi? I z kim? Pip zapłacił taksówkarzowi i dołączyli do ludzi na chodniku z płonną nadzieją na kieliszek odgazowanego szampana i kilka czerstwych kanapek.

- Wszystko dobrze się skończy - jowialnie zapewnił Pip. - Zaczekaj tylko, a sam zobaczysz.

- Naprawdę uważasz, że Lyssa przyjmie mnie z powrotem?

- Cóż...

- A ty byś przyjął, skoro byłem takim palantem?

- Muszę cię rozczarować Jake, ale nie jesteś w moim typie. - Pip pozwolił sobie na kilka kolejnych żartobliwych klepnięć. Był w wyjątkowo dobrym nastroju. Jake żałował, że nie może tego powiedzieć o sobie. Zwykle nie pił dużo, ale teraz przez cały dzień

topił smutki w kolejnych puszkach miller lite. Siedział w domu, przeglądając zdjęcia Lyssy z ostatnich wakacji w Tajlandii, ale do tego nie zamierzał się nikomu przyznawać. Na każdym zdjęciu Lyssa wyglądała fantastycznie, uśmiechnięta i opalona, więc czuł się coraz gorzej. Zupełnie jakby spojrzął na nią świeżym okiem. Jak idzie to powiedzenie o spadających z oczu łuskach? Ktokolwiek jest jego autorem, cholernie dobrze wie, o czym mówi. Posunął się nawet do tego, by włożyć zdjęcie Lyssy do portfela i nosić je na sercu. Zawsze uważał się za zdolnego do romantycznych zachowań w rozsądnych granicach, ale nieodmiennie wymagało to od niego wysiłku, zawsze było wymuszone. Teraz wydawało się prawdziwe, szczere. Czy potrzebował chaosu, by zacząć doceniać coś, co uważał za dane raz na zawsze? Czy spokój związany z długotrwałą znajomością oznacza, że człowiek staje się odporny na uroki ukochanej osoby? Jest facetem - jak ma na to odpowiedzieć? Z całą pewnością wie, że postąpiłby rozsądniej, gdyby zrezygnował dziś z piwa, ruszył tyłek i obdzwonił agencje, żeby znaleźć nową pracę.

Dotarli w końcu do drzwi galerii i kiedy Pip machnął swoim zaproszeniem, pozwolono im wejść i mieszać się z jeszcze większym tłumem. Pip znał każdego, kto się liczył, i najwyraźniej wszyscy ci ludzie dziś wieczorem tu byli. Ściśnięci, całujący się w powietrzu i rozgadani. Jake w garniturze oblewał się potem, czuł strużkę spływającą po plecach. Prawdziwa tortura. Miał ochotę położyć się i rozplakać albo upić do nieprzytomności. Nie pociągało go

towarzystwo - jeśli można tym mianem określić tłoczenie się z setką bezimiennych obcych.

Pip z ożywieniem rozmawiał z długonogą blondynką, która wyglądała na córkę bogatego tatusia. Obok przeciskał się kelner i Jake wziął z tacy kieliszek szampana. Tak jak oczekiwał, nie poczuł bąbelków na języku, napój był ciepły i równie smaczny jak jego własny pot. Jake pozwolił, by tłum popchnął go w głąb galerii.

Wystawa - jeśli to właściwe w świecie sztuki określenie - składała się z serii czarno-białych fotografii wykonanych przez kogoś, o kim nigdy nie słyszał, ale Pip zapewniał, że to będzie „kolejne wielkie odkrycie”. Pip zawsze wiedział wszystko o „kolejnych wielkich odkryciach”, Jake natomiast nieodmiennie dowiadywał się o nich ostatni, gdy nie było już w nich niczego wielkiego.

Ciężkim krokiem podszedł do ściany, biorąc po drodze zaschniętą miniaturową pizzę, gdy przepływała obok na srebrnej tacy. Nie uważał się za eksperta, ale zdjęcia były całkiem niezłe. Naklejki z cenami, które zaczynały się w okolicy trzech tysięcy funtów, robiły gorsze wrażenie. Może powinien odkurzyć swojego starego canona? Z braku innego zajęcia studiował fotografie - wyrazistą kolekcję twarzy w zbliżeniach, głównie rzęsy pomniejszych gwiazd. Takie tam rzeczy. Świetnie by wyglądały w apartamencie Neve.

Tłum rozstąpił się na chwilę i oto jest, stoi naprzeciwko niego. Jak zjawą, jakby przywołana jego myślami. Jake parsknął. Niezupełnie tak chciał się zaprezentować. Neve stała w towarzystwie mężczyzny o

klasycznej urodzie, typie maklera w brązowych dziurkowanych półbutach, którego bez trudu mógł sobie wyobrazić za kierownicą porsche. Rozejrzał się pospiesznie. Ani śladu Aleka.

- Cześć. - Neve uśmiechnęła się z przymusem.

- Twój chłopak został w domu z żoną? Twarz jej towarzysza pociemniała.

- To twój znajomy? Jake wyciągnął rękę.

- Jestem ojcem jej nienarodzonego dziecka - wyjaśnił grzecznie. -

Być może. A może nie. Wygląda na to, że jest kilku kandydatów. Pan też do nich należy? - Roześmiał się z przymusem. Nie doczekał się uścisku wyciągniętej dłoni, więc pozwolił, by opadła.

- Wiesz, o czym on mówi? - zapytał mężczyzna.

- Owszem, wie - zapewnił Jake.

- Jeżeli naprawdę chcesz wiedzieć - powiedziała Neve z twarzą ściągniętą napięciem - było twoje. Kazałam sprawdzić DNA, zanim spuścili je w kiblu.

Jake poczuł, że uginają się pod nim nogi. Spojrzenie Neve stwardniało.

- I to była dziewczynka. - Upiła łyk szampana. - Zadowolony?

- Ty dziwko - zdołał wydusić Jake, bo z trudem oddychał.

- Najwyraźniej jesteś bardziej męski niż sądziłeś - syknęła.

- Kochanie - włączył się facet w garniturze - czy on ci się naprzykrza?

- Już nie - chłodno odparła Neve i odwróciła się plecami do Jake'a.

Nie wiedział, co robić. Chciał w coś uderzyć, bardzo mocno. Chciał

coś powiedzieć, coś, dzięki czemu Neve zrozumie, jak potworną rzecz zrobiła. Oddalił się niepewnym krokiem. Czuł narastającą wściekłość i mdłości. Nie zdołał utrzymać kieliszka i poczuł, że wyslizguje mu się z palców i roztrzaskuje na podłodze. Kilka osób odwróciło się, by na niego spojrzeć, a potem się odsunęli, pozwalając mu dowiec się do drzwi. Otoczyły go zdjęcia i twarze, wszystkie niewyraźne, w kawałkach. Więc tak się mdleje? Chyba nigdy wcześniej mu się to nie zdarzyło.

- Jake! - Gdzieś w oddali usłyszał głos Pipa, w którym brzmiała troska, ale zataczając się, brnął do wyjścia. Potrzebuje powietrza. Mnóstwa powietrza. A potem broni. Nada się pistolet. Chce zastrzelić tę dziwkę za to, że zabiła jego dziecko. Chce ją zamordować, jak ona zamordowała. Oko za oko. Ząb za ząb. Życie za życie.

Gdy dotarł do drzwi, poczuł, że po policzkach spływają mu łzy i zaczął się dusić. Ta mini pizza była wyjątkowo nietrafiona. Podobnie jak wiele innych rzeczy w jego życiu. Przepchnął się przez tłum ludzi czekających, by zająć jego miejsce i skorzystać z taniego szampana, po czym wylądował w rynsztoku, gdzie ktoś, może on sam, wymiotował. Latarnie na Charlotte Street przepływały obok, nadciągała ciemność, która zapowiadała się cudownie. Ciemność może wyprzeć z jego mózgu każdą myśl o martwych dzieciach. Jego martwym dziecku.

Zatonął w fali powietrza.

Bardzo, bardzo daleko głos Pipa zapewniał:

- Nie martw się, trzymam cię, stary. Były to ostatnie słowa, jakie

usłyszał.

Rozdział sześćdziesiąty drugi

Zdejmuję buty i siadam po turecku na podłodze obok Deana w ciemnej restauracji z niskim sufitem. Wciąż jestem wstrząśnięta. Cała grupa czeka na mnie i zmuszam się do uśmiechu, patrząc na ich radosne twarze. Wszyscy wyglądają na znacznie bardziej odprężonych, niż kiedy zaczynaliśmy wyprawę, i zastanawiam się, co potrafią wyczytać z mojej twarzy.

Czuję się trochę winna wobec moich towarzyszy wędrowek, których tak zaniedbałam. Po miesiącu wspólnej podróży wszyscy się dogadali i stworzyli mniejsze grupki - ja pozostałam trochę z boku, zbyt zajęta Deanem. Smutno mi, że nie zadałam sobie trudu, by poznać dusze tych ludzi, ale kiedy tu przyjechałam, moja własna dusza była w takim stanie, że nie byłam do tego zdolna. W każdym razie wszyscy wspaniale się bawili i zostawili Deanowi i mnie masę swobody, żebyśmy mogli się odnaleźć.

Dave prawnik i Jim policjant, o wyglądzie bandziora, choć to nieprawdopodobne, zostali przyjaciółmi. Możecie mi wierzyć, przebywanie w małym namiocie przez miesiąc może być dziwnym doświadczeniem. Graham maszynista i uroczy doktor Ian też nieźle się zgrali. I na szczęście nikt z nas nie potrzebował profesjonalnej pomocy Iana. Pomijając sporadyczne pęcherze, wszyscy są praktycznie nietknięci. Saffron zaprzyjaźniła się z Feliksem i Felicity przede wszystkim dzięki wspólnej im wszystkim wierze w homeopatię,

upodobaniu do śpiewów nie w porę i głośnym rozmowom z

tybetańskimi kupcami. Cała trójka uważa, że pogłębili swoją duchowość, co jest miłe.

Saffron nie ujawniła się jako lesbijka, prawdę mówiąc, moim zdaniem jest trochę rozczarowana, iż żaden z wolnych facetów nie próbował jej poderwać. A teraz jej czas się kończy - podobnie jak mój.

Tony i Tania wciąż są w sobie zakochani do szaleństwa, tak bardzo, że nie widzą poza sobą świata, a ja wciąż bardzo im zazdroszczę tego, że są tak sobą pochłonięci - szczególnie teraz, kiedy sama przelotnie zaznałam podobnego uczucia. Czy to nie okrutne, że znalazłam kogoś tak cudownego, kto prowadzi zupełnie inne życie po drugiej stronie świata?

Posapuję, wciskając kolana pod niski stół.

- Przepraszam za spóźnienie - mówię.

Mój piękny kochanek patrzy na mnie z troską.

- Wszystko w porządku? Kiwam głową.

- Jasne.

- Drżysz.

- Na dworze trochę się ochłodziło.

Dean nie wygląda na przekonanego. Zniża głos.

- Martwiłem się o ciebie.

- Wstąpiłam do kafejki internetowej, żeby wysłać e-mail do Edie.

Potrwało to dłużej, niż myślałam.

- Dostałaś jakieś złe wiadomości?

Uśmiechnięci kelnerzy w kolorowych tradycyjnych strojach krzątają się wokół nas, przynosząc metalowe półmiski z pikantną baraniną, plastrami mięsa, ryżem i małymi terakotowymi kubeczkami rakszi. Reszta rozmawia, nie zwracając na nas uwagi.

- Nie - odpowiadam - ja tylko... tylko... - Kulę się. - Nie chcę wracać do domu. - Opieram się o Deana. - A powrót się zbliża i zbliża i nie mogę go powstrzymać.

- Poradzisz sobie - szepcze. - Wrócisz do domu i o mnie zapomnisz.

- Masz rację - stwierdzam nonszalancko. - Dean? Jaki Dean? Obdarza mnie ponurym uśmiechem.

Zastanawiam się, czy z nim będzie tak samo? Czy szybko o mnie zapomni? Czy kiedy wróci do normalnego życia w swojej wiosce, wciąż będzie o mnie myślał? Czy trafi się kolejna, bardziej atrakcyjna podróżniczka uciekająca przez samą sobą, która zajmie moje miejsce w jego łóżku? Czy będzie się z nią kręcił i wirował, aż zapomną, gdzie góra, a gdzie dół? Czy umyje jej włosy i wykąpie ją, i będzie kochał przez całą noc? Wzdycham głośno.

- Pensa za twoje myśli - mówi Dean.

- Są warte o wiele więcej. - Zmuszam się do uśmiechu. Nie chcę być żalosna i cikliwa w nasz ostatni wspólny wieczór. Spoglądam na jedzenie.

- Wygląda wspaniale - mówię.

Dean patrzy mi głęboko w oczy, a potem odwraca wzrok i bierze półmisek z cudownie aromatycznym mięsem. Gdy nakłada mi na

talerz, zdając sobie sprawę, że mój żołądek zacisnął się w supeł, jakby ścisnęły go dwie mocne dłonie. Tak bardzo chciałabym mieć kryształową kulę, żeby poznać przyszłość.

- Dzięki - mówię się do Deana. Cała reszta zajada z apetytem. -

Umieram z głodu. - Ale, prawdę mówiąc, w ogóle nie mam ochoty jeść.

- Ja też - potwierdza Dean.

I oboje grzebiemy widelcami w talerzach.

Rozdział sześćdziesiąty trzeci

Gorąca słodka herbata. - Pip wręczył Jake'owi kubek. - Dokładnie to, co zalecił lekarz.

Jake próbuje podciągnąć się wyżej, ale kształty sofy okazują się zbyt opływowe.

- Lepiej się czujesz? - Pip siedzi na krześle naprzeciwko i pije piwo z butelki.

- Sprecyzuj „lepiej”. - Przyjaciel zdołał złapać go, zanim zemdleł, ale i tak nabił sobie guza na głowie, choć oczywiście bardziej ucierpiał jego uczucia. Niewiele pamiętał, ale najwyraźniej Pip zapakował go do taksówki i przywiózł do siebie.

- Simon wyjechał do Nowego Jorku - wyjaśnił Pip. - Zaanektowałem dla ciebie jego łóżko. Dam ci czystą pościel. Możesz zostać na noc albo jak długo chcesz.

- Co za ironia, że teraz tu jestem, kiedy nie tak dawno twierdziłem, że tu jestem, a nie byłem. Czy wyrażam się sensownie?

- To byłoby po raz pierwszy. Mocno uderzyłeś się w głowę? Jake się roześmiał i poczuł, że wszystko go boli.

- Czuję się jak palant.

- Przykro mi, stary. Nie miałem pojęcia, że będzie tam urocz Neve.

- Mogliśmy się domyślić. Zjawiłaby się nawet na otwarciu koperty.

Kręci ją wszystko, co modne, pełne życia i darmowe.

- Owszem. Szkoda, że nie stosuje tych samych kryteriów przy wyborze mężczyzn. Nie miałbyś szans.

- To był straszny wstrząs. Po prostu nie wyobrażałem sobie, że tak szybko ją spotkam. - Jake zdołał usiąść i znalazł kubek z herbatą.

Próbował zyskać na czasie, niepotrzebnie mieszając napój.

- Powiedziała, że dziecko było moje. - Unikał wzroku przyjaciela.

- Ale się go pozbyła. - Jake czuł, że do oczu napływają mu gorące łzy.

- Jest po wszystkim. To była dziewczynka.

- O rany. Tak mi przykro.

- Mnie też

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Coś w rodzaju „kiedy igrasz z ogniem, powinieneś się spodziewać, że wszystko może stanąć w płomieniach”.

- Nie mogłeś wiedzieć, że tak się to skończy.

Jake zastanawiał się, czy gdyby wiedział, skoczyłby w to na oślep, by poczuć dreszczyk związany z potajemnym romanssem. Co najgorsze, wtedy nawet przez chwilę nie pomyślał o konsekwencjach.

- Jeśli to jakieś pocieszenie, Neve przeszła do historii u Dun-stona i

Bradleya - poinformował Pip. - Klient uznał jej prezentację dotyczącą tej wody po goleniu za beznadziejną. Alec ma już dość jej wymagań.

Moim zdaniem martwi się, że może oberwać rykoszetem.

- Stary dobry Alec. Zawsze dba o to, co ważne.

- W każdym razie obstawiałbym, że Neve wyleci przed piątkiem.

- Nie mogłoby to spotkać miłszej osoby. - Niektóre kobiety zasługują na to, by mieć dzieci, gdy inne zasługują na to, co je spotyka. Jake miał nadzieję, że któregoś dnia Neve dostanie za swoje. Jednak nawet wiedza o zawodowym niepowodzeniu byłej kochanki nie mogła wypełnić pustki, jaka wypełniała jego serce. Tylko jedno może mu pomóc znów w pełni poczuć się człowiekiem.

- Chcę odzyskać Lysse - powiedział. Chce ją mieć z powrotem, by mogli wrócić do normalności, zakończyć to pokręcone życie, w którym jest w innej części świata. Chce znów podjąć starania o dziecko. A to oznacza, że musi podzielić się z nią wiedzą o tym, że może być ojcem i że bardzo tego pragnie. Bardziej niż wszystkiego oprócz samej Lyssy.

- Chcę odzyskać Lysse i nie wiem, co robić.

- Coś wymyślisz, stary - pocieszył go Pip. Jake jednak nie był tego taki pewny.

Rozdział sześćdziesiąty czwarty

Więc to już to? - Mój plecak jest już spakowany. Stoi grzecznie w nogach łóżka i jego widok jest cholernie żalospny.

- Nie bądź taka smutna - prosi Dean. - Pomyśl o tym, jak wspaniale się bawiliśmy.

- Myślę. I nie chcę, żeby to się skończyło. Nie jestem gotowa na takie zakończenie.

Kilka ostatnich dni spędzamy w Katmandu w cztero-gwiazdkowym hotelu ze wszystkim wygodami, odźwiernymi w uniformach, muzyczką w windach i najprawdziwszym sedesem w łazience. Dean jest tu okropnie nie na miejscu. Nie pasuje do niego pokój o wytapetowanych ścianach, łóżka z narzutami dobranymi do zasłon. To po prostu niewłaściwe -jest na to zbyt surowy. Znacznie lepiej wygląda w górach. Jest jakaś nieлюдzka, poranna godzina, a już zdążył się ogolić, włosy ma świeżo umyte i pachnie waniliowym płynem do kąpieli, a nie namiotami, śpiworami, okropnymi butami i seksem. Już teraz czuję, że mi umyka. Obejmuje mnie.

- Nie jadę na lotnisko - oznajmia. Zaczynam głośno płakać.

- Nie mogę. Nienawidzę lotnisk. To byłoby zbyt okropne. Za bardzo... za bardzo okropne, cholera.

- Wszędzie będzie okropnie. Chcę spędzić z tobą cały czas do ostatniej minuty.

- Ale wokół będą ludzie... reszta grupy. Lepiej jest tak.

Wcale nie uważam, że jego sposób jest lepszy. Wszystko tak samo boli. Chciałabym mu powiedzieć tyle rzeczy i nie wiem, od czego zacząć. Od miesiąca jesteśmy kochankami, a wciąż nie wyznaliśmy sobie miłości. Czuję, że te słowa łączą nas jak pajęczyna, delikatna i krucha. Ale to pewnie kiepski moment na wyznania, więc niczego

sobie nie wyznajemy, słowa wiszą między nami niewypowiedziane.

Nie wiem, czy zniosę życie bez niego, bez patrzenia na niego, jak

chodzi po górach, rozstawia namioty, rozpala ognisko i wiosłuje.

Nigdy więcej nie trafi mi się facet tak bardzo przypominający Indianę

Jonesa!

- Już czas - mówi Dean i po raz ostatni się przytulamy. Płaczę
żałośnie.

- Dzięki za wszystko. - Co za głupi tekst. Mam wrażenie, że
rozmawiam z kimś obcym, a nie z mężczyzną, który co noc dzielił ze
mną śpiwór.

- Odzywaj się - prosi Dean.

- Tak. - Połykam łzy.

- Wyślę ci e-mail, kiedy będę mógł.

- Ja też. - Mam świadomość, że w jego przypadku nie chodzi o
wejście do nieużywanej sypialni w domu. Dean będzie musiał
odbyć czterogodzinną wyprawę do najbliższej internetowej kafejki w
Pokharze. Kiedy mu się to znudzi?

Całuje moje włosy, a potem opuszcza ręce. Chcę, żeby powiedział
coś znaczącego, nim ta chwila minie. Pragnę cudownego poetyckiego
zdania, by takim go zapamiętać.

- Autobus czeka - mówi Dean i bierze mój plecak. -Chodźmy.

- Jasne. - Sprawdzam niepotrzebnie kieszenie, podciągam skarpetki,
ciaśniej zapinam pasek.

Dean rusza w stronę drzwi, a ja za nim, przygarbiona, z nosem prawie

przy podłodze. Nagle Dean rzuca moją torbę i znów znajduję się w jego ramionach, szlochając, szlochając, szlochając... Podtrzymujemy się nawzajem, próbujemy nie tracić nadziei. Mogę z całą pewnością stwierdzić, że to sto razy gorsze niż odejście Jake'a.

Rozdział sześćdziesiąty piąty

Podróż działa ogłupiająco. Lot z Katmandu na Heathrow trwa w sumie dziewięć godzin. Dziewięć długich godzin, jeśli wziąć pod uwagę ciasnotę klasy turystycznej, gdzie jedyną pociechę stanowi taca z plastikowym żarciem. Dziewięć bardzo krótkich godzin, jeśli weźmie się pod uwagę, że ze świata eskapistycznego bajkowego romansu wracam do ponurej rzeczywistości. No i wreszcie mam czas, by poczytać mój wierny przewodnik, do którego od wylotu z domu nawet nie zajrzałam. Przebijam się przez najnudniejsze kawałki - geologiczne formacje Himalajów, barwna historia polityczna i przepisy ruchu drogowego w Nepalu, którym poświęcono oddzielny rozdział. Prawie - prawie - udaje mi się przestać myśleć o Deanie i milach, które nas dzielą.

Nikomu nie powiedziałam, kiedy dokładnie wracam, bo uznałam, że wolę sama dotrzeć do domu. Teraz muszę stawić czoło niemal dwugodzinnej podróży linią City Pancras do Bedford -czule zwanej Bedpan - by dotrzeć od pocziwego starego St Albans. Żałuję, że nie zadzwoniłam do Edie i nie namówiłam jej, by mnie odebrała. Mój wierny i teraz dość sfatygowany plecak pojawia się na taśmie z bagażami. Wygląda tak, jakby obsługa radośnie zagrała nim w nogę.

Zarzucam go na ramiona wyćwiczonym ruchem. I chociaż sporo waży, nie jest nawet w przybliżeniu tak ciężki, jak moje serce. Idę przez salę przylotów, przechodzę pod zielonym znakiem „nic do oclenia”, chociaż jakże chętnie stanęłabym i opowiedziała komuś, jak bardzo jestem nieszczęśliwa.

Popycham drzwi i znajduję się w głównej hali. Rozglądam się, szukając znaków wskazujących drogę do ekspresu Heathrow, który podrzuci mnie do Londynu. Przede mną kłębi się tłum ludzi, przepychających się, by zająć lepsze pozycje, gdy z nadzieją, cierpliwie, czekają na ukochanych, krewnych czy współpracowników. A tam ze śnieżnobiałą kartką z nazwiskiem „Lyssa Allen”, wypisanym grubym czarnym markerem, stoi Jake. Stoi za chromowaną poręczą i wygląda na zdenerwowanego. Moje serce nie ma pojęcia, jak się zachować - czy powinno ścisnąć się boleśnie, a może zabić szybciej - wybiera więc coś pośrodku, mam więc lekkie zawroty głowy i mdłości. Twarz Jake'a rozjaśnia się na mój widok. Nie jestem pewna, co wyraża moja twarz - nie licząc początkowego wstrząsu.

- Cześć. Cześć - mówi, przepychając się przez tłum do samej poręczy, gdzie staje przede mną.

- Cześć.

- No więc. No więc... - mówi - wyglądasz... - Przypatruje mi się uważnie, szukając właściwych słów. Ja bym oceniła, że cholernie żałośnie. - Wyglądasz wspaniale.

- Dzięki

- Przyjechałem zabrać cię do domu. - Głos Jake'a brzmi bardzo

poważnie.

- Dlaczego?

- Dlaczego? - Wygląda, jakby nie spodziewał się, że mogę kwestionować jego motyw. Nerwowo spogląda na otaczający nas tłum.

- Tak. Dlaczego?

- Tęskniłem za tobą - stwierdza po prostu. Potem zniża głos i upewnia się, że nikt nie podsłuchuje. - Zdałem sobie sprawę, że schrzałem. I chciałem wszystko naprawić. Wysłałem ci e-mail.

- Czytałem. Był dość krótki. Wygląda, jakbym go zraniła.

- Sporo się wydarzyło. - Ja mogłabym powiedzieć dokładnie to samo.

- Sprawdziłem w liniach lotniczych, kiedy ląduje twój samolot - ciągnie, zadowolony ze swojej przenikliwości. - Chciałem ci zrobić niespodziankę.

- Zrobiłeś. - To mu muszę przyznać.

- Pozwól, że wezmę twój plecak.

- Jest ciężki.

- Dam radę. - Zdejmuję plecak i wręczam Jake'owi. Lekko ugina się pod jego ciężarem.

- Ostrzegałam. - Jake próbuje wyglądać, jakby plecak nic nie ważył.

- Samochód jest na krótkoterminowym piętrowym parkingu po przeciwnej stronie - wyjaśnia. Mam wrażenie, że chce wziąć mnie za rękę, ale ustawiam się tak, by mu to uniemożliwić, a potem idę obok, w

stosownej odległości. Jake wygląda na rozczarowanego. Nie wiem, może spodziewał się, że z wdzięczności padnę mu w ramiona, ale nie potrafię. Nie potrafię nawet tego zagrać.

Mój były chłopak próbuje się uśmiechnąć. Wygląda na wy-czerpanego, twarz ma poznaczoną drobnymi zmarszczkami, oczy zaczerwienione, co zdradza bezsenność.

- Wzięłeś wolne z pracy, żeby po mnie wyjść? Jake przygryza usta.

- W pewnym sensie.

Wychodzimy głównym wyjściem i zalewa nas ostre szare światło, przeszywa zimny wiatr. Ta gwałtowność mnie zdumiewa i żałuję, że nie wyjęłam z plecaka ciepłego polara. Usiłuję powstrzymać dreszczę, żeby Jake'a nie kusiło, by mnie objąć. Mroźne powietrze aż mnie zatyka. Zapomniałam, jak zimna potrafi być Wielka Brytania.

Wszystkie budynki są czarno-białe, proste i onieśmielające, taksówki mijają nas z rykiem, niecierpliwie i agresywnie. Nie ma śladu ciepłego łagodnego wiatru, przynoszącego egzotyczne zapachy, żadnych barwnych figurek bożków i ani śladu Deana. Jake przecina pasy, by dotrzeć na parking. Idę za nim.

Samochód czeka, Jake wrzuca mój plecak na tył. Od wielu tygodni nie siedziałam w samochodzie. Wszystko wydaje mi się obce i wrogie.

Jak długo potrwa, zanim wrócę do życia? Jake wrzuca bieg i opuszczamy parking.

Uśmiecha się do mnie, bez wątplenia uważa, że pocieszająco.

- Już niedługo będziesz w domu.

Może miało mnie to pocieszyć, ale nie pociesza. Ani trochę.

Rozdział sześćdziesiąty szósty

Jesteśmy - mówi Jake dokładnie w chwili, gdy otwieram oczy. Podróż do domu była pełna napięcia i męcząca. Staliśmy w potężnym korku na M25 - jak zwykle - Jake usiłował podtrzymać rozmowę, nie mówiąc niczego ważnego. Chciałam go zapytać, co zaszło między nim a Neve, ale nie mogłam wykrzesać potrzebnej energii. Postanowiłam się wyłączyć, zamykając oczy i uciekając w sen. Wygląda na to, że zadziałało, bo właśnie stanęliśmy przed naszym schludnym domkiem, na naszej schludnej uliczce.

Jake patrzy na mnie z czułością. Naprawdę wolałabym, żeby tego nie robił, bo nie wiem, co myśleć. - Witaj w domu - mówi.

Dom. Na sztywnych zmęczonych nogach wysiadam z samochodu, gdy tymczasem Jake zajmuje się moim plecakiem i otwiera drzwi. Zachowuje się, jakbym była w ciąży, i czuję gwałtowny przypływ smutku.

Dom robi dziwne wrażenie. Czy naprawdę tu mieszkam? Miejsce, które nazywam domem, wydaje mi się obce. Poświęciłam tyle czasu i energii, starając się go stworzyć i wyczelować przez kilka ostatnich lat, a teraz nie czuję z nim żadnego związku. Jest zbyt wymyślny i pachnie sztuczną wonią sosnowej poręby, która wydobywa się z odświeżacza powietrza umieszczonego na ścianie. Dlaczego chciałam, żeby mój dom pachniał sosnami?

Na blacie piętrzy się niepokojąco wysoki stos korespondencji,

wszystko zaadresowane do mnie i zupełnie bez związku z moim życiem. Oprócz kilku niezapłaconych rachunków są tu oferty kilkunastu różnych kart kredytowych, pożyczek w wysokości przekraczającej moje potrzeby, kilka milionów funtów w losach na loterię, które ja, Lyssa Allen, mogę wygrać! Tyle ulotek reklamujących pizzę na wynos, że można by wytapetować minisalon. Większość może trafić prosto do kosza.

Jake zostawia moje bagaże w salonie.

- Wstawię wodę.

- Sama to zrobię - mówię. - Poradzę sobie. - Próbuję spojrzeć na niego życzliwie. - Chcesz filiżankę herbaty, zanim pójdziesz?

Na jego twarzy maluje się niezrozumienie.

- Pójdę? - pyta. - Dokąd niby mam pójść?

- Do domu.

Jake rozgląda się trochę zdziwiony.

- To jest mój dom. Teraz ja jestem zdziwiona.

- Odszedłeś. Wygląda na dotkniętego.

- A teraz wróciłem. Zaskoczona, śmieję się z goryczą.

- Tak po prostu?

- Neve i ja... - Jake urywa i rozgląda się w poszukiwaniu natchnienia.

- My... zerwaliśmy.

- Przykro mi to słyszeć.

- Naprawdę? - Wygląda, jakby ugięły się pod nim nogi, i ciężko siada na sofie. - Myślałem, że będziesz zadowolona.

- Naprawdę?

Wygląda na zaszokowanego.

- Myślałem, że chciałaś, żebym wrócił.

Zabawne. Wybieram chyba nie najmądrzejszą opcję i nie odpowiadam.

- Przeniosłem swoje rzeczy do wolnej sypialni - mówi Jake. - Nie chciałem zakładać...

- Zakładać?

- Wiem, że to potrwa. Będziesz musiała nauczyć się znów mi zaufać.

Nie jestem pewna, czy mam na to wystarczająco dużo czasu.

Wpatrujemy się w siebie w milczeniu.

- Powiedz coś - błaga Jake.

Siadam na najbardziej oddalonym krześle. Jest miękkie, sprężynujące. Podobnie jak w przypadku tego okropnego sosnowego zapachu nie mogę uwierzyć, że sama je wybrałam. Wracam pamięcią do domu Deana, prostoty pokoju, twardych, prostych, drewnianych mebli, aromatu ziemi i ziół oraz seksownych męskich zapachów.

Powoli odsuwam od siebie ten obraz.

- To wszystko jest takie niespodziewane. - Nie zdobywam się na nic więcej. - Dopiero niedawno przywykłam do myśli, że odszedłeś.

Jake najwyraźniej upadł na duchu, a ja nie potrafię się zmusić, by go pocieszyć. Nie wydaje mi się, żebym chciała mieć go tu z powrotem.

Może potrzebuję samotności, by zastanowić się nad tym, czego właściwie pragnę.

- Co mogę zrobić? - Przerazona widzę, że jego oczy napełniają się łzami. - Co mogę zrobić, żeby wszystko naprawić?

Serce mi mięknie.

- Chyba już lepiej wstaw wodę.

Rozdział sześćdziesiąty siódmy

Wzięłam długą gorącą kąpiel i czuję się znacznie lepiej. Lepiej, jeśli pominąć fakt, że wolałabym być w Nepalu niż w St Albans i wolałabym widzieć przed sobą stojącego w fartuszkach i z niemądrym uśmiechem Deana, nie Jake'a.

Mój były chłopak celuje we mnie drewnianą łyżką.

- Przygotowałem dla nas zapiekankę pasterską.

Zastanawiam się dlaczego. Nigdy w życiu nie mówiłam, że lubię zapiekankę pasterską. Z tego, co wiem, Jake nigdy wcześniej nie miał ochoty jej przygotowywać. Z drugiej strony, jest sporo rzeczy, których o Jake'u nie wiedziałam, a teraz wiem.

- Jesteś głodna?

Nie byłam, ale muszę przyznać, że kucharski debiut Jake'a pachnie wspaniale, rozbudzając mój apetyt. I muszę przyznać, że przyjemnie będzie zjeść mięso, które nie pochodzi z jaka.

- Tak - mówię i w najwygodniejszym, najbardziej złachanym dresie i boso idę za nim do kuchni.

Z wielką rewerencją odsuwa dla mnie krzesło, żebym mogła usiąść.

- Wina?

Kiwam głową i nalewa mi kieliszek najlepszego rubinowego clareta,

który entuzjastycznie bulgoce, wydobywając się z butelki. Wydaje mi się, że minęły wieki, odkąd wpadłam na pomysł, żeby zalać mieszkanie. Pomijając kilka nierzucających się w oczy purchli na suficie, prawie nie sposób zauważyć, że miało to miejsce. Upijam łyk wina, smakuje znakomicie. Jake użył naszych „najlepszych”

kieliszków - tych, które wyciągamy na wyjątkowe okazje i święta. Mimochodem zastanawiam się, dlaczego mamy tyle przedmiotów.

Czy lata spędzone razem poświęciliśmy na gromadzenie dóbr materialnych? Mamy sześć różnych zestawów kieliszków do wina, na litość boską! Do czego są nam potrzebne?

Rzecz sprowadza się do tego, że ilekroć chcemy ich użyć, muszę bawić się w wycieranie i odkurzanie, bo tyle czasu minęło od poprzedniego razu, że nieodmiennie pokryte są kurzem. Obserwuję Jake'a, jak ożywiony kręci się po kuchni, wyciąga talerze, które nawet podgrzał, i półmiski, zapewne przeznaczone na warzywa.

- Kolacja niedługo będzie gotowa - mówi z grymasem, który być może jest tylko mrugnięciem.

Nie mam pojęcia, kim jest ten wesołek. W każdym razie sprawia, że nerwowo drzę.

- W porządku.

Rozglądam się po kuchni - wszystko jest lepsze niż śledzenie przemiany Jake'a w Nigellę Lawson. Mamy niewiarygodną ilość garnków, talerzy i półmisek. Ilu można użyć jednocześnie? Chociaż muszę przyznać, że Jake najwyraźniej starał się skorzystać z nich

wszystkich podczas przygotowywania zapiekanki. Czuję, że chciałabym całe moje życie popakować w worki na śmieci i wystawić za drzwi. Albo, jeszcze lepiej, oddać komuś, kto go potrzebuje. Czuję się tu nie na miejscu, wyrwana z kontekstu - zupełnie jak jeden z tych podróżników w czasie, który pomylił współrzędne i wylądował swoim wehikułem w niewłaściwym miejscu albo w niewłaściwym stuleciu. Być może podróżowanie po świecie stało się zbyt łatwe i przestaliśmy przykładać należyłą wagę do konsekwencji wyrwania z własnej kultury i lądowania w innej. Mam wrażenie, że na British Airways ciąży wielka odpowiedzialność. Czuję, że wino sprawia, iż moje powieki robią się ciężkie. Być może to tylko różnica czasu powoduje, że czuję się dziwnie i nie na miejscu.

Jake zakłada kuchenne rękawice i gwałtownie otwiera drzwi piekarnika.

- Ta-dam! - wykrzykuje, teatralnym gestem prezentując swoje dzieło.

Ocha i ach, niosąc je do stołu, gorący półmisek parzy mu palce mimo azbestowej ochrony. Jest przesadnie radosny i chciałabym móc dorównać mu entuzjazmem.

Mój były chłopak uśmiecha się szeroko, oczekując pochwały.

- Wygląda wspaniale - mówię posłusznie. I rzeczywiście. Górna warstwa ziemniaków jest złocista i chrupka, zapach doprawionej ziołami jagnięciny sprawia, że ślina napływa mi do ust.

- Zamierzam nauczyć się gotować masę rzeczy - oznajmia Jake, pędząc po półmiski z warzywami. - To dopiero początek. Chcę się

zmienić. - Patrzy na mnie z czołem zmarszczonym troską. - Zmieniłem się.

Nie wiem, co powiedzieć.

- Chcę więcej robić dla ciebie - mówi. - Dla nas.

- Mmm. - Koncentruję się na jedzeniu. Jest taki troskliwy, że chce mi się płakać, ale nie mogę się załamać, bo wtedy zechce mnie objąć, a z tym naprawdę nie potrafię dać sobie rady. Dlaczego nie mógł się tak zachowywać kilka miesięcy temu? Wtedy, kiedy jedynym, czego pragnęłam, było jego dziecko, a jedynym, czego pragnął on, była inna kobieta. Zieje między nami przepaść - przepaść, którą zapełniło poznanie innych miejsc i innych ludzi. Czy moglibyśmy wrócić do tego, co było wcześniej? A gdyby, czy tego bym chciała? Nie wiem, czy wyrwało mi się głośne westchnienie, ale Jake trochę bierze się w garść.

- Już przestaję się kręcić. Bo wystygnie. - Atakuje łyżką puree. -

Pomyślałem, że dobre, staroświeckie, brytyjskie żarcie sprawi, że ucieszysz się z powrotu.

Uśmiecham się z wdzięcznością, ale myślę, że potrzeba czegoś więcej.

Rozdział sześćdziesiąty ósmy

Jasna cholera - Edie otwiera drzwi. - Patrzcie, co kot przywlókł!

Padamy sobie w ramiona i ściskam ją z całej siły.

- Cuchniesz jakiem - mówi moja siostra.

- Wcale nie. I nie wyglądam jak jak, więc nawet nie próbuj.

- Wyglądasz wspaniale - stwierdza niechętnie, odsuwając się na

długość ramienia i obrzucając mnie krytycznym spojrzeniem. -

Opalona i sprawna. I prawie odprężona. - Edie ciągnie mnie do kuchni.

- Nie mogłam usiedzieć na miejscu. Dlaczego nie pozwoliłaś mi
sprawdzić, o której lądujesz, żebym mogła po ciebie przyjechać?

- Ktoś po mnie przyjechał. Edie unosi brwi.

-Pip?

- Pip? - Kręcę głową. - Nie, Jake.

- Ooo...

- Rzeczywiście „ooo”. Rozstał się z Action Woman i wprowadził do
domu.

- Fantastycznie! Jestem zdumiona. -Tak?

Edie ściąga brwi.

- Myślałam, że tego chciałaś.

- Ja też - przyznaję. - Ale dużo się wydarzyło.

- I chcę o tym usłyszeć ze wszystkimi szczegółami.

Za moimi plecami rozlega się okrzyk „Ciocia Lyssa!”, i zmieniam się
w ludzki wieszak, gdy większość siostrzenic i siostrzeńców chwytą
mnie za nogi i usiłuje wspiąć się wyżej.

- Zostawcie tę biedną kobietę w spokoju - upomina dzieciaki Edie, ale
wszystkie ją ignorują.

- Tęfkniliśmy za tobą. - Daisy zrasza mnie śliną, a jej seplenienie jest
bardziej dosadne z powodu braku dwóch przednich zębów. Uśmiecha
się szerzej. - Fpadłam z defki Liama - wyjaśnia.

- Mamo, powiedz jej, że nie może więcej jeździć na mojej desce -

prosi mały.

- Nie możesz więcej jeździć na desce, Daisy - potwierdza moja

siostra.

- Aaa! - Daisy reaguje, jakby spotkała ją największa życiowa tragedia.

I być może tak jest. Jeszcze nadejdzie czas, gdy spojrzy za siebie i za-
tęskni do czasów, kiedy jej największą troską był zakaz jazdy na desce.

- No już, spadać - nakazuje Edie. - Ciocia Lyssa i ja mamy dużo do
omówienia, a to babskie plotki, więc nie możemy plotkować z wami
pod bokiem.

Jedno po drugim odklejają się ode mnie i wreszcie grupowo pędzą na
górze jak stado spłoszonych słońi. Cisza, która następuje, jest

ogłuszająca, przerywana tylko brzękiem porcelany, bo Edie zajmuje
się przygotowaniem herbaty. Rozglądam się po kuchni. Moja siostra

też ma masę gadżetów - kuchenka mikrofalowa, zmywarka, robot,
wyciskarka do soku, ekspres do cappuccino, maszyna do pieczenia

chleba. Zastanawiam się, z ilu tak naprawdę korzysta. Nigdy nie
widziałam dowodów na to, że używa maszyny do pieczenia chleba -

żadnych lekkich jak puch croissantów ani wiejskiego chleba z

suszonymi pomidorami. Na stole Edie najczęściej pojawia się kupny
biały chleb, grubo krojony.

Kuchnia jest żółto-zielona, ponieważ kolory podstawowe działają na
dzieci stymulująco - tak twierdzi Edie - ale nie jestem pewna, czyjej
dzieci potrzebują większej stymulacji. Na moje oko o jakieś dziesięć

punktów przekroczyły już poziom hiperaktywności.

Najwyraźniej zapowiada się długa rozmowa, bo siostra plądruje dziecięcy zapas ciastek i do towarzystwa naszemu dzbankowi herbaty stawia talerz czekoladowych herbatników Digestive, co przypomina mi, że pewne brytyjskie zwyczaje wciąż uważam za stuprocentowo cudowne.

- No więc - w gryza się w ciastko - jak było?

- Genialnie. - Biorę herbatnika i zaczynam zlizywać z niego czekoladę. - W każdym szczególe.

- Ale cieszysz się, że wróciłaś?

- Nie. - Pocieram dłonią czoło. - Szczerze mówiąc, Edie, mam teraz więcej kłopotów niż przed wyjazdem. Jake najwyraźniej uważa, że możemy być ze sobą jak gdyby nigdy nic...

- A ty nie?

Skupiam uwagę na herbatniku.

- Są komplikacje.

- O? - Moja siostra zmienia się w słuch. - Jak ma na imię? Można być pewnym, że kochana Edie trafi w sedno. Obie wybuchamy śmiechem.

- Dean. Ma na imię Dean.

- A problem polega na...

- Jest bez grosza, nie może niczego obiecać i mieszka w Nepalu.

- Nie brzmi to dobrze - przyznaje Edie. - Lepiej, żeby był dobrze wyposażony.

- Jest.

- To uczciwy układ. - Niechętnie kiwając głową, moja siostra pożera kolejne ciastko.

- Przeżyliśmy rozkoszny, naprawdę rozkoszny romans - ciągnę, starając się zignorować stosowne wyłącznie dla widzów dorosłych wspomnienia, które stanęły mi przed oczami w tym jakże niewłaściwym momencie. - Ale teraz, kiedy wróciłam, nie jestem pewna, czy to było tylko to. To znaczy romans.

- Miałaś od niego jakieś wiadomości?

- On nie ma telefonu - wyjaśniam. - Nie ma nawet prądu.

- Ale ma inne zalety?

- Mnóstwo.

- Musisz mi o tym przypominać - stwierdza Edie.

- Jest cudowny. Naprawdę cudowny. Pokochałabyś go. Jest ucieleśnieniem moich marzeń o mężczyźnie.

- Ale z pieniędzmi, skłonnego do podejmowania zobowiązań i mieszkającego na tym samym kontynencie.

- Nie ma przeszkód nie do pokonania.

- Doprawdy? - mówi Edie dość zagadkowo. Jej uśmiech znika. -

Powiedziałabym, że jednak są.

Odstawiam kubek z herbatą.

- Rozumiem, że nie mówimy w tej chwili o mojej sytuacji.

- Nie. Mam tu własną „sytuację”. Dosłownie opada mi szczęka.

- O nie, nie kolejne!

- Owszem, kolejne - potwierdza moja siostra. - Wiem, że trudno ci w

to uwierzyć. Znów jestem w ciąży

- Jesteś pewna?

- Oczywiście.

- Zrobiłaś test?

- Nie. - Prycha. - Mam szóstkę cholernych dzieciaków, Lysso. Nie potrzebuję jakiegoś zestawu za dziesięć funtów, żeby wiedzieć, że znów będę miała brzuch.

- I co zamierzasz zrobić? - pytam cicho.

- Zrobić? To co zawsze, pożegnać się z widokiem własnych kostek i czuć się rozdęta jak jałówka przez następne dziewięć miesięcy.

- Ale czy tego chcesz? Naprawdę chcesz mieć kolejne dziecko?

- Dzieci to jedno, czego mam pod dostatkiem. Jeśli już o tym mowa.

- Zawsze możesz... - Szybko przeciągam palcem po gardle, nie potrafię wymówić tego słowa.

- Nie bądź śmieszna. Nie mogłabym tego zrobić. Jak ktokolwiek może to robić? - Spuszczam wzrok. - Jak mogłabym zrobić... to... kiedy wiem, jak rozpaczliwie pragniesz dziecka?

Co dziwne, dopóki Edie nie powiedziała tego głośno, w ogóle nie przyszło mi do głowy, że to kolejne wydarzenie, które podkreśla jej sukces w świetle mojej porażki. Czy miesiąc wcześniej zareagowałabym inaczej?

Siostra kładzie mi rękę na ramieniu.

- Nie masz z tym problemu, prawda?

- Nie, wszystko w porządku. - Pomijając zdumienie podatnością

mojej siostry na przypadkową prokreację, jestem

spokojna. - Bardziej bym się przejmowała, gdybym myślała, że tego chciałaś.

Siostra spuszcza głowę.

- Też bym się przejmowała, gdybym myślała, że tego chciałam.

- Ale jak to się stało, do licha? Patrzy na mnie nieufnie.

- W ten sam sposób, co zawsze.

- Myślałam, że do tej pory powinniście byli z tego zrezygnować.

- Prawdę mówiąc, to wszystko wina twojego przyjaciela Pipa.

- Pipa?

Waha się i widzę, że oblewa się rumieńcem.

- Jadłam z nim lunch, kiedy cię nie było... Patrzę na nią z ukosa.

- Ach tak?

Edie wpatruje się w stół.

- Rozmawialiśmy o tobie i Jake'u.

- Teraz rozumiem, dlaczego w Nepalu piekły mnie uszy.

- Stwierdził, że powinniśmy wyjść zaszaleć na miasto i solidnie się napić. - Edie wygląda na skępowaną. - Skorzystaliśmy z tej rady. A

wiesz, co się ze mną dzieje po wódce. Trochę nas poniosło.

- Och, Króliczku! - przywołuję jej stare przezwisko.

- Już ty mi tu nie króliczkuj. To twój napalony szwagier. Wykorzystał mnie. Zanim się zorientowałam, moje majtki znalazły się na wentylatorze pod sufitem.

- Ktoś coś o mnie mówił? - Lee wsadza głowę przez drzwi. Rzadko

widuję szwagra w całości, bo na ogół pędzi dokądś, żeby wbić gwóźdź albo coś przepiłować.

- Właśnie dzielę się z Lyssą radosną nowiną, że będziemy mieli dziecko. Znów.

- Owszem - przyznaje Lee. - Szczęściarze z nas.

- Widzisz? Jest zachwycony. Dumny ojciec.

- Przeprowadzam się do szopy - pogodnie oznajmia Lee.

Nawet gdyby został w szopie, a Edie w sypialni, i tak zdołaliby wyprodukować kolejnego potomka.

- Pogadamy później, siostrzyczko. - Już go nie ma. To najgłębsza dyskusja z Lee o wadach i zaletach posiadania wielodzietnej rodziny, na jaką można liczyć.

- Jeżeli mogę ci jakoś pomóc... - zaczynam.

- Wróć do Jake'a - jęczy Edie - i wtedy możecie dostać to dziecko.

- Rany, dzięki.

- Naprawdę, mówię poważnie. Odbębnię całe parcie i sapanie i po prostu wręcę ci dzieciaka. Nie mam pojęcia, gdzie go upchnąć. Czysty zysk i żadnych rozstępów. I załatwia problemy nas obu.

Myślę, że moja siostra nie do końca żartuje.

- Nie jestem pewna, czy to nadal dla mnie takie ważne -wyznaję.

- O rany! Nigdy nie sądziłam, że usłyszę coś takiego z twoich ust. Na pewno dobrze się czujesz? Na pewno zostawiłaś w Nepalu tylko serce?

- Nie wiem - przyznaję. Ale Edie ma rację. Gdzieś w górach zostawiłam i serce, i obsesję. Na chwilę spuściłam je z oka i zniknęły w

chmurach. I o ile serca mi brakuje, o tyle bez obsesji stanowczo sobie poradzę. I w tym momencie przychodzi mi na myśl coś potwornego.

Edie dostrzega w moich oczach strach.

- Wiem, co chcesz powiedzieć...

- Zrobiłaś to? - pytam. - Powiedziałaś już mamie?

- Co?! - wykrzykuje Edie. - Myślisz, że oszalałam?

- Tak się składa, że owszem.

- Staram się tego uniknąć. Ale nie było to trudne, ponieważ nasza matka... nasza płocha matka... jest w tej chwili dość zajęta.

- Nasza płocha matka?

Edie pochyla się konspiracyjnie w moją stronę.

- Widziałam ją z mężczyzną - szepcze radośnie. - Mężczyzną w marynarce i eleganckich spodniach. - Edie kiwa głową, jakby chodziło o dowód skazujący.

- Mamę? Pewnie miałaś halucynacje.

- Nie. Widziałam na własne oczy. W mieście. To była mama z seksownym facetem pod rękę. Seksownym, jeżeli jesteś w takim wieku, gdy uważasz Desa O'Connora1 za przystojniaka.

To nie może być prawda. Moja matka, która nienawidzi mężczyzn? Z facetem? Jedyнным mężczyzną, dla którego otworzyłaby drzwi swojego domu, jest Des O'Connor.

- A ona cię widziała? Co mówiła? - dopytuję się.

- Tak, i nic. Mam wrażenie, że unikałyśmy się nawzajem w oczekiwaniu na twój powrót.

- O, wielkie dzięki. - Oszołomiona odchyłam się na oparcie krzesła. To

bardziej szokujące niż wiadomość o kolejnej ciąży Edie.

- Wiesz co, naprawdę powinnaś do niej zadzwonić i powiedzieć, że zostanie babcią. Znowu.

- Czasami co za dużo, to niezdrowo - stwierdza Edie. - A poza tym przeczekuję, aż będzie bezpiecznie.

- Co, masz na myśli pierwsze trzy miesiące?

- Nie, mam na myśli moment, kiedy nie nakrzyczy na mnie, że znów byłam nieostrożna.

Zaczynamy chichotać.

- To naprawdę dobra wiadomość, Edie. - Biorę siostrę za rękę.

- Owszem - przyznaje. - Odkąd minął pierwszy szok. Ale obiecuję, że po tym podwiążę sobie jajowody.

- Może Lee też powinien sobie coś podwiązać?

- Ten facet jest zbyt płodny, żeby mu to wyszło na dobre. Moim zdaniem w tym przypadku potrzebna jest regularna kastracja.

- Słyszałem! - woła gdzieś z oddali Lee.

- Jeden niewłaściwy ruch piłą i sam może to załatwić.

- To też słyszałem! - krzyczy Lee.

- A skoro już jesteśmy przy wyznaniach - mówi Edie - rozumiem, że przyznałaś się do tego romansu z najbardziej pożądanym kawalerem w Nepalu?

1Des O'Connor - brytyjski artysta estradowy.

- Jake'owi nic do tego.

- Na litość boską - oburza się Edie - był bez ciebie zupełnie zagubiony. Zauważyłaś, jak schudł? - Prawdę mówiąc, zauważyłam. - Powinnaś mu przynajmniej powiedzieć, na czym stoi.

- Wiem. - Wszystko to bardzo pięknie, ale sama nie jestem pewna, na czym stoję.

- Kiedy cię nie było, przyszedł na kolację. Jeżeli można nazwać kolacją paluszki rybne i fasolę. Był w rozpaczliwym stanie. Wiem, że wrócił mu rozum. Mimo wszystkiego, co zaszło, w głębi serca zawsze cię kochał.

- W pewnych sytuacjach udało mu się to zręcznie ukrywać.

- Wiem, ale myśl realnie. Zanim wystrzeliła cała ta... bzdura, wiele was łączyło.

Czy romans z inną kobietą to „bzdura”? Moim zdaniem dość bolesna bzdura. Siostrze łatwo tak mówić, bo jej mąż zawsze jest oddany i kochający. Czy umiałabym przymknąć oko na zdradę Jake'a i żyć dalej, jakby nic się nie stało?

- Jak chcesz ciągnąć romans z facetem, który tkwi po drugiej stronie świata bez telefonu i prądu? - Edie przełamuje na pół ostatnie ciastko i daje mi kawałek. - Słuchaj, Lysso - bierze mnie za rękę - Jake zdaje sobie sprawę, że popełnił straszny błąd.

- Owszem. Kłopot w tym, że teraz ja nie chcę popełnić błędu.

Nie chcę grać w pokera, stary - mówi Jake.

- Nie bądź śmieszny. - Pip żuje cygaro, przyciągając plastikowe ogrodowe krzesło na miejsce dla rozdającego. Pip zawsze jest rozdającym, bo zwykle tylko on zachowuje trzeźwość na tyle długo, by pamiętać, co się dzieje. Wyjął ciemnozielony daszek i elastyczne opaski do podtrzymywania rękawów koszuli. Rzeczony rekwizyty zostały kupione podczas wyprawy do Las Vegas specjalnie na te spotkania. Trzeba przyznać, że Pip niczego nie robi połowicznie.

- Zawsze chcesz pograć w pokera - upierał się. - Twoje dobre samopoczucie jest uzależnione od regularnych rozgrywek.

Grywali razem w karty raz w miesiącu, zawsze w pokera, kolejno podejmując ryzyko przemiany jednego z domowych pomieszczeń w miejsce składowania toksycznych odpadów, gdyż do obowiązkowych wydarzeń wieczoru należało palenie największych i najohydniejszych cygar, jakie udało im się znaleźć. Współzawodnictwo dotyczące rozmiaru cygar było niemal równie zażarte, jak sama gra. Tym razem wygrał Pip - palił coś, co wyglądało na uformowane na rurze kanalizacyjnej i cuchnęło, jakby w takowej je składowano.

- Co to jest? - zapytał Jake.

- To, mój przyjacielu, zostało ręcznie zwinięte na udzie ciemnoskórej panny. - Pip energicznie wydmuchał dym.

- Żeby to zwinąć, potrzeba by słoniowego uda z cellulitem.

- Przemawia przez ciebie zazdrość. - Pip tasował karty w sposób niemal profesjonalny. Znow wypuścił dym. Jake starał się go nie

wdychać. Zapach przypominał nieco słoniowe gówno. Spotkania zawsze były długie i pijackie, ciągnęły się do rana, ale tym razem, choć nie minęła jeszcze dwudziesta pierwsza, Jake chciał wracać do domu. Znajdowali się w garażu Aidana, na zasobnym przedmieściu północnego Londynu. Do samego domu nie mieli wstępu, ponieważ żona Aidana nie znosiła zapachu dymu z cygar. W tym momencie Jake doskonale ją rozumiał. Stół z jadalni przeniesiono do garażu i przykryto, stosownie do okoliczności, zielonym suknem. Wszyscy pomogli Aidanowi usunąć kosiarkę, rowery dzieciaków, różne ogrodowe utensylia i na wpół puste pojemniki z farbą, żeby zamienić pomieszczenie w jaskinię hazardu. Aidan zaprosił Dana i Maxa z Dunstona i Bradleya, także stałych graczy. Musieli już oczywiście słyszeć o porażce Jake'a i rzekomym odejściu Neve, ale mimo wszystko przywitali się i potraktowali go jak kumpla, kolegę, a nie nieudacznika, przegranego i ofiarę losu - bo tak mniej więcej się czuł. A jednak miał wrażenie, że znalazł się poza grupą. Sam jak palec. Prawda była taka, że w tym momencie niewiele spraw go interesowało. Nie mógł przestać myśleć o Lyssie. Obchodzili się na paluszkach jak para zakłopotanych nieznajomych i nie miał pojęcia, w jaki sposób przerwać impas, w którym się znaleźli. Za każdym razem, gdy próbował z nią porozmawiać, uciekała z pokoju, a jeśli udało mu się zastąpić jej drogę na czas wystarczająco długi, by sklecić pełne zdanie, brzmiało tak bezsensownie, że żałował podjętego wysiłku.

- Panowie - zaczął Pip, ściskając w zębach cygaro - czas stracić parę

groszy. - Jake, Aidan, Max i Dan z szuraniem przesuwali ogrodowe krzesła, aż wygodnie usadowili się wokół stołu. Pip zatarł ręce, a potem zaczął rozprostowywać palce, strzelając każdym stawem po kolei. - Pora wyłożyć forszę - oznajmił.

Każdy z uczestników wydobył pękaty woreczek pensiaków i położył na stole. Kiedyś grali o duże pieniądze, naprawdę duże. Gdy wszyscy byli młodzi, wolni i nieżonaci nie przejmowali się, jeśli przepuścili pięć stów czy nawet tysiąka w ciągu jednej nocy, a jeśli byli bardzo pijani, nawet więcej. Teraz jednak tylko Jake i Pip nie mieli dzieciaków i nie spłacali zabójczych kredytów hipotecznych, więc stawki stały się znacząco skromniejsze. To nie ma nic wspólnego z prawdziwym hazardem, pomyślał Jake. Gdyby tylko był równie ostrożny w innych dziedzinach życia.

Trzynastoletni syn Aidana, Ethan, pełnił tego wieczoru funkcję barmana - do czasu pójścia do łóżka. Ethan miał dość sprytu, by kasować ich po dziesięć pensów za każdym razem, gdy wywoływali go z kuchni z prośbą o kolejne zimne piwo. Czasami Jake nie mógł pokryć z wygranej nawet rachunku za piwo, który potrafił urosnąć do funta dwudziestu pensów. Ale tu nie chodziło o wygraną, raczej o wzięcie udziału w grze. Zwykle uwielbiał poczucie braterstwa, wybuchy emocji, czasem łzy, a czasem pijackie sprzeczki. Nie tego wieczoru. Nie chciał siedzieć w garażu Aidana. Chciał być w domu, we własnym garażu, z własną żoną, która nie znosi dymu z cygar, i własnym trzynastoletnim synem, którym mógłby się wysługiwać.

Najbardziej na świecie - bardziej nawet niż wygranej w konkursie na największe cygaro - pragnął być żonatym mężczyzną z przyszłością, członkiem klasy średniej.

- Po pięć pensów na otwarcie, panowie - ogłosił Pip. Pozostali z szuraniem jeszcze bardziej przysunęli się do stołu i rzucili drobniaki na środek. - Reguły gry: wysokie asy, dwie niskie pary biją parę wysoką, minimalna stawka dziesięć pensów, dziesięć pensów za wymianę kart, żadnych walk na pięści, żadnych weksli, żadnych obietnic dorzucenia żon i dziewczyn w ramach spłaty długów, decyzja rozdającego jest ostateczna!

Jake nie był pewny, czy grają zgodnie z klasycznymi regułami pokera. Zawsze miał wrażenie, że Pip wymyśla je na bieżąco i przeważnie z korzyścią dla siebie.

- Jake. - Pip przerwał rozmyślenia przyjaciela. - Wciągaj na maszt pokerową minę. To nie w porządku, żebyś tu siedział i wyglądał tak żałośnie przez całą noc. Nie będziemy mieli szans.

Jake uważał, że ma pokerową twarz - kłamał jak z nut, blefem torował sobie drogę przez życie. Teraz jednak sztuka oszustwa mało go pociągała. Pip rozdał karty. Jake bez zaskoczenia stwierdził, że trafiło mu się wyjątkowo gówniane rozdanie. Nie miał nawet jednej pary czy porządnej wyższej karty.

Wszyscy układali karty w wachlarz, intensywnie się w nie wpatrując.

Jake zmusił się, by znów spojrzeć w swoje. Pip zwrócił się do Dana:

- Wymieniasz?

Dan rzucił mu dziesięć pensów.

- Daj dwie.

Pip posłusznie wyciągnął dwie karty.

- Aidan?

- Wezmę trzy - powiedział gospodarz, także rozstając się z częścią gotówki.

- Dla ciebie, Max?

Max wyglądał na zadowolonego.

- Nie dla mnie.

Gwałtowny wdech. Max nie opanował sztuki robienia pokerowej miny i dla wszystkich było jasne, że ma w ręku dobre karty.

- Jake, mój mały?

Jake rzucił wszystkie pięć kart.

- Wymieniam całość. Spojrzeli na niego z niesmakiem.

- Co? - prychnął. - To gówniane rozdanie. Żadne przepisy nie mówią, że nie można wymieniać wszystkich.

Pip nerwowo żuł cygaro i spojrzał ostro na Jake'a.

- Nie ma też pewności, że następnym razem lepiej trafisz - powiedział. - Musisz sobie radzić z tym, co dostałeś. Nie rezygnuj tak łatwo z tego, co trzymasz w garści. - Jake wiedział, że przyjaciel nie mówi o grze. Milcząc, podał pięć nowych kart.

Zgodnie z przewidywaniami Pipa wcale nie były lepsze. Prawdę powiedziawszy, znacznie gorsze. Czy to nie wygląda znajomo?

Zrezygnuj z tego, co masz, zaryzykuj z czymś nowym i wylądujesz w

gorszym szambie.

- Dan-Dan?

- Wchodzę. - Dan rzucił na stół kolejnych dziesięć pensów.

- Wchodzę za dziesięć i przebijam o dziesięć - oznajmił Aidan.

Rozległy się pełne aprobaty pomruki.

Maks wyglądał na jeszcze bardziej zadowolonego z siebie.

- Wchodzę za dwadzieścia i dokładam dwadzieścia. Wszyscy

wstrzymali oddech. Bojowa gadka.

- Jake?

- Pasuję. - Rzucił karty na stół.

- Nie możesz spasować - powiedział Pip.

- Mogę. Właśnie spasowałem.

- To żalosne! - wykrzyknął przyjaciel. - Nawet się nie starasz. -

Zmierzyli się wściekłym wzrokiem. - Jeżeli nie masz zamiaru grać jak należy, możemy równie dobrze pożyczyć od dzieci Aidana bierki albo chińczyka.

- Gram jak należy - zaprotestował Jake.

- Gówno prawda - prychnął Pip.

Jake się wyprostował i skrzyżował ręce na piersi.

- Chcę po prostu usnąć waszą czujność. - W głębi serca wiedział jednak, że nie gra jak należy. Nie gra jak należy już od bardzo długiego czasu.

Kiedy zrobili kolejną przerwę na piwo i siusiu, Jake był trzy funty

dwadzieścia pensów w plecy i czuł się paskudnie. Dostawał kiepskie

karty i przegrywał każde kolejne rozdanie. Spokojnie można było stwierdzić, że tego wieczoru nie ma dobrej passy. Widział w tym podobieństwo do własnego życia. Pip odciągnął go na bok.

- Musisz się wziąć w garść, stary - powiedział cicho. - Nikomu nie wychodzi to na dobre.

- Nic nie mogę na to poradzić - wyszeptał Jake. - Nie potrafię już grać. Na niczym nie mogę się skupić.

Pip oparł się o kosiarkę.

- W domu sytuacja nie wygląda lepiej?

- Jeśli to możliwe, to nawet gorzej. - Jake złapał przyjaciela za ramię.

- Porozmawiaj z nią, Pip.

- Nie, nie, nie.

- Tak, tak, tak. Ciebie wysłucha. Szanuje cię. Ona cię uwielbia.

- Nie wydaje mi się.

- Ależ tak.

- Nie prosz mnie o to - błagał Pip. - Nie jestem właściwą osobą. Nie dość właściwą.

- Ależ tak. Będziesz wiedział, co powiedzieć - nalegał Jake. - Zawsze wiesz.

- Powinienem ci coś wyjaśnić... -Co?

-Ja...

- Co? - Jake był zaskoczony. O co może chodzić? - Jeżeli nie odzyskam Lyssy, nie mam pojęcia, co zrobić. Musisz mi pomóc. Z niczym sobie nie radzę.

- Nic takiego. - Pip pokręcił głową. - Zapomnij, że coś mówiłem.

Przyjaciel schował się za wielkim cygarem, głęboko zamyślony. Jake nie miał pojęcia, co powiedzieć - i najwyraźniej nie był w tym osamotniony. Naprawdę liczył, że Pip potrafi przekonać Lysę.

Reszta kręciła się na krzesłach, zniecierpliwiona.

- Lepiej wracajmy do stołu - powiedział Pip.

Jake ruszył za przyjacielem. Należał do ludzi, którzy zawsze wiedzą, co robić, ale tym razem nie miał bladego pojęcia.

Rozdział siedemdziesiąty

Powrót do pracy to potężny szok. Dziś rano nikt nie przyniósł mi herbaty do łóżka, by łagodnie mnie obudzić. Sama musiałam przygotować sobie śniadanie - złożone z dwóch nędznych tostów z serem, a nie kuszącego wyboru naleśników, owsianki i kremowego puddingu ryżowego, do których przywykliśmy ja i mój burczący z głodu brzuch.

Wyleciały mi z pamięci wszystkie rutynowe czynności, które kiedyś wykonywałam automatycznie. Musiałam nawet przystanąć i zastanowić się, jak kupić bilet. Nie muszę chyba mówić, że pociąg jest wypełniony po dach i że znacznie lepiej było wstawać o świcie, by podziwiać górskie widoki i cudowne wschody słońca w Himalajach niż wciskać się pod czyjąś spoconą pachę w drodze do Londynu.

Większość życia spędziłam w St Albans, a nigdy nie widziałam wschodu słońca. Ciekawe dlaczego.

Myślałam, że wspomnienia z Nepalu zaczną blednąć, że osnuje je

delikatny woal albo przysłoni codzienność, ale z jakiegoś powodu stały się jaśniejsze i bardziej wyraziste przez kontrast z moim miejskim życiem. Chronię je niczym skarby, których utraty bym nie zniosła. A najjaśniejszym ze wszystkich wspomnień jest Dean.

Ludzka fala wylewa się ze stacji metra jak pasta z tubki. Przechodzę przez most Hungerford do biur „Mojego Dziecka” i „Mojego Rozvodu”. Dzień jest mroźny, ale nie mroźny z okrytymi śniegiem szczytami gór w tle, po prostu mroźny z wiatrem, który tnie do kości, wciskając się pod płaszcz przez wycięcie przy szyi, rękawy, obrąbek nad kozakami, by zamrozić mi kolana. Wolałabym, żeby raczej zmroził mi mózg. I wolałabym mieć na nogach buty trekkingowe, a nie trzycalowe obcasy. Podjęłam nieodwołalną decyzję o porzuceniu wszystkich rozsądnych macierzyńskich ciuchów, które tak starannie kolekcjonowałam, więc przedciążowe płaskie buty zostały wepchnięte na tył szafy, a niepraktyczne obcasy pośpiesznie powędrowały do centralnej części stojaka na buty, by wspomóc moją próbę zabłyśnięcia na nowo. Kolejną rzeczą, o której zapomniałam podczas krótkiej nieobecności w prawdziwym życiu, jest twardość i niewygoda wysokich obcasów. W tej chwili żałuję pochopnie podjętej decyzji. Nie powinnam była wskakiwać w absurdalne szpilki. Płoną mi stopy, a łydki za chwilę ściśnie skurcz. Nic dziwnego, że mówi się o zabójczych obcasach.

Niebo jest poznaczone szarymi, białymi i czarnymi ciapkami jak srokaty koń, a każdy, kogo mijam, bez wyjątku otulony jest wielkim

czarnym płaszczem. Ciężkie rytmiczne kroki dudnią na stalowym moście niczym marsz bezmyślnych automatów. Wszystko wygląda jak fotograficzny negatyw i nie mogę się oprzeć wrażeniu, że zostałam uwięziona w niewłaściwym życiu.

Docieram do biura i widzę, że fatalna pogoda przepłoszyła nawet najwytrwalszych palaczy. Monicę i Charlotte spotykam dopiero, gdy kulejąc i ociekając potem, wchodzę do dusznych przegrzanych biur.

Obie wydają na mój widok pisk i zrywają się od biurek.

- O mój Boże! O mój Boże! - pieje Charlotte. - Wróciłaś!

Uprzedziłam je e-mailem o moim zbliżającym się powrocie do świata drugoligowych czasopism, ale biorąc pod uwagę ich reakcję, raczej nie spodziewały się, że dobrowolnie wrócę do tego więzienia. Skaczą wokół mnie i radośnie klaszczą, witają, jakbym niczym syn marnotrawny wróciła na łono rodziny.

Charlotte zaczyna odwijać mój szalik, gdy tymczasem Monica zdejmuje mi płaszcz i z troską prowadzi do mojego biurka. Podobnie jak Jake traktuje mnie, jakbym była w ciąży, ale tym razem ta myśl nawet na chwilę nie wyprowadza mnie z równowagi.

- Zachowałyśmy dla ciebie miejsce. - Monica sprawdza, czy na blacie nie ma kurzu.

Patrzę na moje czyste i uporządkowane biurko ze wspaniałym widokiem i nie czuję ani śladu podniecenia.

- Pilnowałam, żeby widok się nie marnował - zaznacza moja szefowa.

- To doskonałe biurko.

Spoglądam na cynowej barwy wstęgę rzeki i zegar na budynku w stylu art deco, należącym do ministerstwa obrony po przeciwnej stronie. Nie ma jeszcze dziewiątej. Mam wrażenie, że widać ten zegar stanowczo zbyt wyraźnie. Siadam i przesuwam dłońmi po obcej powierzchni biurka.

- Charlotte, przynieś Lyssie kawę - prosi Monica. Charlotte wybiega.

Zastanawiam się, jak długo potrwa takie rozpieszczanie. Stawiam, że do lunchu. Monica siada na brzegu biurka.

- Podjęłaś już decyzję?

- Jaką decyzję? - Dotyczącą Jake'a? Deana? Mojego życia? Monica nic na ten temat nie wie, ale do lunchu pewnie się dowie. Kiedy wyjechałam, w ogóle nie myślałam o dziewczynach, ale teraz, po powrocie, zdaję sobie sprawę, że w jakiś dziwny sposób za nimi tęskniłam. Czuję, że tonę w odmętach poprzedniej egzystencji.

- Jaką? - śmieje się szefowa. - Głuptasie! Patrzę na nią, nie rozumiejąc.

- Przyszła pora na podjęcie wielkiej decyzji - mówi. - Ta-dam! „Moje Dziecko” czy „Mój Rozwód”? - W jej ustach brzmi to tak jak możliwość wyboru nagrody w teleturnieju.

- A, to.

Przygląda mi się, jakbym postradała rozum, i widzę, że przychodzi jej na myśl, iż być może, mimo wyjazdu wcale nie wzięłam się w garść.

- Jak było w Nepalu? - pyta ostrożnie.

Przychodzą mi na myśl żyzne pola, ryżowe tarasy, górujące nad nimi

szczyty i ciemne brązowe oczy.

- Fantastycznie. -1 pomogło ci?

Jeżeli chodzi o to, czy ucieczka od problemów pomogła je rozwiązać, to nie, wyjazd wcale mi nie pomógł. Zdałam sobie sprawę, że od kłopotów nie można uciec, po prostu zamienia się jedne na drugie.

- Tak - odpowiadam. - Pomogło.

- To wspaniale. - Wygląda, jakby poczuła wielką ulgę. Charlotte wraca z kawą, którą sączę z wdzięcznością, ciesząc się tym, że parzący płyn pozwala mi cokolwiek poczuć.

- Zdecydowałaś już? - z ciekawością pyta Charlotte. - Dla którego magazynu będziesz pracowała?

- Wszystko mi jedno. Dostosuję się do tego, co lepsze dla firmy. -

Wymieniają pełne obawy spojrzenia. - Nie, poważnie, wszystko mi jedno.

Mogę zostać tu albo przenieść się tam -wskazuję biurko w części należącej do „Mojego Rozvodu” i wzruszam ramionami.

Monica ściąga brwi.

- Na pewno jest ci wszystko jedno?

- Na pewno. - Próbuję się uśmiechnąć. - Po prostu cieszę się, że wróciłam. - Tak naprawdę guzik mnie obchodzi firma i wiem, że muszę się stąd jak najszybciej wydostać.

Obie stają za mną i wykonujemy grupowy uścisk.

- Fantastycznie, że wróciłaś - mówią unisono. Chciałabym móc powiedzieć to samo.

Rozdział siedemdziesiąty pierwszy

Przyszedłeś odwalić brudną robotę za Jake'a? - pytam, gdy spotykamy się z Pipem przed drzwiami mojego biurowca w czasie lunchu.

- Tak. - Pip patrzy na mnie skrępowany.

- Tak myślałam.

Pip opiera się o niski ceglany murek przy schodach. Ma na sobie znakomicie skrojony czarny płaszcz i grafitowy garnitur z różową falbaniastą koszulą, w którym wygląda jak macho, prawdziwy twardziel. Dociera do mnie, że tęskniłam za nim bardziej, niż skłonna byłabym się przyznać, i to mimo jego szczególnego gustu, jeśli chodzi o ubrania. Dobrze, że zadzwonił pierwszego dnia po moim powrocie - i nie tylko dlatego, że przerwał niekończące się pasmo nudy z majaczącym na horyzoncie lunchem, dzięki czemu mogłam się na chwilę wyrwać.

Podchodzi i obejmuje mnie, obdarzając braterskim uściskiem.

- Wyglądasz fantastycznie.

- Dzięki. - Rumienię się trochę pod jego czujnym spojrzeniem. Biorę go pod rękę i ruszamy w stronę kładki dla pieszych i bulwaru.

- Zjemy coś?

- Nie. Chyba że jesteś głodny.

- Nieszczególnie.

- W takim razie po prostu się przejdźmy. - Spoglądam na niego. -

Rozumiem, że masz mi coś do powiedzenia.

- Więcej niż możesz sobie wyobrazić - mówi Pip z niewyraźnym uśmiechem.

Zza chmur wyszło słońce i jego nieczęsta obecność wywabiła biegaczy. Mijają nas siwi mężczyźni w średnim wieku o kościstych kolanach, dyszący nieestetycznie pod frotowymi opaskami w stylu Marka Knopflera. Za nimi podążają sprężyste młode dziewczyny w niemożliwie ciasnych dresach, z iPodami. Na wysokich budynkach lśnią złocenia, rozjaśniając miasto złotymi promieniami.

- Czy Nepal był taki, jak sobie wymarzyłaś? - pyta Pip.

- Lepszy.

- Tęskniłem za tobą - wyznaje, patrząc na Tamizę. - Dużo o tobie myślałem.

- To miło. - Przyjemnie jest być na dworze, nawet jeśli jest tak zimno, że oddech zmienia się w parę. Potrzebny mi orzeźwiający spacer.

Dziwne, że kilka tygodni temu bolało mnie całe ciało, nie-przyzwyczajone do wysiłku fizycznego, a teraz sztywnieje z jego braku.

Nie wiem, jak przetrwałam ten poranek, ale przetrwałam. Po męsku.

Byłam tak niespokojna, że swędziała mnie skóra, zupełnie jakby oblażyła mnie mrówki. Zostało postanowione, że powinnam przenieść się do „Mojego Rozvodu”, ale żeby ułatwić przejście, pozwolono mi przez pierwszy miesiąc zostać przy starym biurku. Mam wrażenie, że wszyscy się boją, że kontynuacja pracy w „Moim Dziecku” i ponowne zagłębienie się w problemy związane z używaniem nocnika podsycą

moją obsesję na temat małych pulchnych dzieciątek, która powróci ze zdwojoną siłą. Nie sędzę, żeby tak się stało. Nie potrafię wyjaśnić, co się zmieniło, ale nie chcę już mieć dziecka za wszelką cenę. Kiedy próbuję zracjonalizować problem, mam wrażenie, że sprawia to widok szczęśliwych uśmiechniętych dziecięcych twarzy w Nepalu - dzieci, które mają tak mało i dają tak wiele. Dzieci, które mają tak wiele i wciąż chcą więcej, wypadają w tym porównaniu kiepsko. Czy naprawdę chcę sprowadzać dziecko na taki świat? Czy naprawdę chcę poświęcić się macierzyństwu, żeby w którymś momencie zachwiać się pod ciosem, gdy dziecko uzna, że zostało skrzywdzone, bo nie ma najnowszego modelu tramppek? Jeżeli chcę mieć coś słodkiego do przytulania, może lepiej nadawałaby się świnka morska albo terier? Pod wpływem najnowszej i jak zwykle niespodziewanej ciąży Edie zaczęłam myśleć o mojej trudnej relacji z Jakiem. Moja siostra może liczyć na stuprocentowe wsparcie ze strony męża - dlaczego ja miałabym się zadowalać czymś mniejszym? W tej chwili potrafię przyznać sama przed sobą, że Jake nigdy nie pragnął rodziny tak bardzo jak ja i że nie warto niczego budować na tak wątych podstawach. Poza tym chciało mi się rzygać od ciągłych zastrzyków z hormonów i teraz zdaję sobie sprawę, że ode mnie zależy, czy to zakończę. Myślę, że czułam tak rozpaczliwą potrzebę prokreacji, bo nie chciałam skończyć jak jedna z tych kobiet interesu po czterdziestce, które decydują się na dziecko w ostatniej chwili, zanim przestaną działać hormony, a potem wywyższają się, jakby nikt poza nimi nie

rodził. W tej chwili potrafię przyznać, że byłam dość blisko takiego stanu. Okres płodności, który dzieli nastoletnią matkę od matki emerytki jest krótki. Mam trzydzieści cztery lata i nie młodnieję. A poza tym chciałam przestać pracować i zajmować się dziećmi. Nie miałam zamiaru zmienić się w jedną z tych steranych kobiet, które usiłują pogodzić trudną karierę zawodową i równie trudne dzieci, a ostatecznie zawalają obie te sprawy. Nie mam pojęcia, co sądziłby o tym Jake, ale teraz chyba potrafię się domyślić. Czy w dzisiejszych czasach mężczyźni naprawdę chcą mieć w domu zoneczkę i matkę? Nie wiem, jak dokładnie zmieniliśmy się jako społeczeństwo, ale mam wrażenie, że nasze role zostały postawione na głowie. Kobiety mogą sądzić, że panuje równouprawnienie, ale jedyne, co możemy, to kłaść, upijać się do nieprzytomności, uprawiać seks z byle kim, pracować od świtu do nocy za małe pieniądze i rodzić dzieci poczęte ze spermy dowolnego dawcy. I w imię czego? Co dokładnie osiągnęliśmy dzięki tej defeminizacji? W dzisiejszych czasach dla większości facetów idealna kobieta to facet z cyckami. Wszystko jest znacznie prostsze, gdy jedno z pary musi wyjść i pracować w polu, a drugie zostać w domu i piec ciapaty, karmić dzieci i zwierzaki, robić pranie w strumieniu. Każda z tych ról jest równie ważna i znacząca dla dobra całej społeczności. Nie ma tego pomieszania z poplątaniem. Odkąd przestaliśmy żyć w ten sposób, wszystko bardzo się skomplikowało. Zaczynam się też zastanawiać, czy skoro nie potrafię począć dziecka w naturalny sposób, naprawdę mam prawo je „stworzyć”.

Co robiły bezpłodne pary, zanim wynaleziono całą tę szarlatanerię? Kładły się, żeby umrzeć, jęcząc z powodu naruszenia podstawowych praw, czy żyły dalej i ich wkład w życie społeczne polegał na czym innym? Nie mam już energii, by walczyć z nadzieją na osiągnięcie celu, płacąc za to tysiące klinikom leczenia bezpłodności - które w dodatku nie mogą się pochwalić wysoką skutecznością. Poza tym do tej pory udawało mi się unikać rozważania skomplikowanych kwestii moralnych, jakie mogą się wiązać ze spermą pochodzącą od anonimowego dawcy. Powiem tylko, że wszystko to bardzo proste, gdy anonimowo oferuje się trochę plemników, bo człowiekowi brakuje paru groszy na uniwerku, ale co należy zrobić, kiedy taki plemnik puka do twoich drzwi, bo wyrósł na dorodnego osiemnastolatka, z pytaniem „kim jest tatuś?” wytatuowanym na ramieniu? Matko jedyna. Kogo ja próbuję oszukać? Jeden dzień w „Moim Dziecku” i znów muszę mierzyć się z tymi kwestiami. Głowa kręci mi się wokół własnej osi jak Lindzie Blair w *Egzorcysty*. Pip nie ma pojęcia, z czym się zmagam, gdy idziemy w kierunku ścieżki nad rzeką, mijając urzędników z City, w pośpiechu jedzących kanapki. Przechodzimy obok eleganckiego budynku z czerwonej cegły, należącego do City of London School, i słyszymy śpiew wysokich chłopięcych głosów, a także jęk skrzypiec torturowanych niewprawną ręką. W niedużym, otoczonym murem ogrodzie, pełnym ciemnozielonych krzaków, które rosną zdrowo nawet w zatrutym powietrzu Londynu - niektóre rośliny potrafią bujnie rosnąć w dowolnym miejscu - w półokręgu stoją drewniane ławki. Czy

potrafię rozrosnąć się tu tak bujnie jak te krzaki? Nie jestem już pewna.

Pip prowadzi mnie w kierunku ławek i siadamy.

- Jake sobie bez ciebie nie radzi - oznajmia bez ogródek. - I dobrze.

- Wcale tak nie myślisz. Mięknę.

- Nie - przyznaję. - Masz rację. Nie myślę.

- Chce, żebyś wróciła, Lysso - proszącym tonem wyjaśnia jego

przyjaciel. - Ale nie ma pojęcia, jak się do tego zabrać.

- Może nie powinien był tak łatwo ze mnie rezygnować.

- Jestem pewny, że patrząc wstecz, doskonale zdaje sobie z tego

sprawę.

Odwracam się twarzą do Pupa.

- A co ze mną? - Przyglądam się szarym mewom, krążącym nad

spienioną wodą. - A jeżeli zdałam sobie wreszcie sprawę, że Jake był

beznadziejnym chłopakiem?

- Naprawdę tak uważasz?

Ścieżką w naszą stronę idzie zakochana para i siada na ławce obok,

obejmując się i chichocząc. Zlatują się gołębie i drepczą wokół ich nóg

w poszukiwaniu okruszków. Zwykle uwielbiam tę część Londynu. W

pobliżu rzeki, z dala od tłumów. Nigdy mnie nie nudzi obserwowanie

zmieniających się kształtów chmur, podziwianie sylwetki nowego

mostu Millenium, który po niezbyt udanej inauguracji bezproblemowo

przecina rzekę i prowadzi turystów do bezkompromisowej bryły Tate

Modern. Latem, kiedy terminy i tytuły w „Moim Dziecku” za bardzo

mi dopieką, jadam tu lunch. Dzisiaj ten widok mnie nie porusza i w

żaden sposób nie podnosi na duchu.

- Jake nie zna całej prawdy - przyznaję z westchnieniem, które porywa wiatr.

Pip przysuwa się bliżej i zatroskany patrzy mi w oczy.

- Poznałam kogoś w Nepalu - mówię spokojnie. Pip milczy.

- Myślałam, że nie potrafię pokochać nikogo tak bardzo, jak kochałam Jake'a - wyznaję, stawiając kołnierz dla ochrony przed zimowym chłodem - ale byłam w błędzie. - Na chwilę tracę wątek, myśląc o Deanie. - To nietrudne, kiedy poznaje się kogoś wspaniałego.

- Wiem - mówi Pip.

- Tak? - Uśmiecham się szeroko. - Ty też chcesz mi coś powiedzieć?

- Niespecjalnie. - Puszczam moje ramię i kładzie rękę na oparciu ławki.

Przez chwilę myślałam, że chciał pogłaskać mnie po głowie, ale potem jego dłoń znieruchomiła.

- No, mów! - Daję mu kuksańca w zębra. - Też kogoś poznałeś?

- Tak. - Wzdycha ciężko.

- I jest cudowna?

- O tak. Tak mi się wydaje.

- Od dawna się z nią widzisz?

- Niezupełnie się z nią widuję. - Wierci się, jest skrepowany.

Uśmiecham się do siebie. Mężczyźni są tacy żałośni, kiedy przychodzi do dyskusji o ich uczuciach. Chociaż muszę przyznać, że Pip jest lepszy niż przeciętna. Dość zabawnie jest patrzeć, jak się wije. -

Jesteśmy tylko przyjaciółmi.

- Ale chciałbyś pójść dalej?

- Z rozkoszą. - Pip drapie się po brodzie. - Jednak to mało prawdopodobne.

- Ta kobieta musi być szalona!

- Tak, pewnie jest - zgadza się Pip. - Ale jest też zakochana w kimś innym.

- To nie ułatwia sprawy.

- Owszem. Ale dopiero co się o tym dowiedziałem. Żyłem marzeniem, że któregoś dnia w jej życiu może znaleźć się miejsce dla mnie.

- Jasna cholera!

- W dodatku mój najlepszy kumpel jest w niej zakochany po uszy.

- Szczęśliwa babka. Musi być wyjątkowa.

- Jest.

- Ale co to oznacza dla ciebie?

- Nie mam najmniejszego pojęcia, Lysso. Całuję go w policzek.

- Coś wymyślisz. Jesteś w stu procentach rozkoszny. Jak mogłaby ci się oprzeć?

- Sam tego nie rozumiem - stwierdza z przesadnie promiennym uśmiechem. - Mniejsza z tym, nie chcesz słuchać o moich głupich rojeniach. Opowiedz mi o tym nowym facecie.

I opowiadam. Nie trzeba mnie zachęcać do mówienia o Deanie.

Właściwie mam ochotę wyciągnąć jego zdjęcie, ale zdaję sobie sprawę, że Charlotte i Monica mogłyby się nim zachwycić, natomiast Pip -

mało prawdopodobne. Roztropnie postanawiam polegać wyłącznie na własnej elokwencji, by mój kochanek stanął przed Pipem jak żywy. Pip słucha moich zachwyków bez komentarza.

- I co chcesz zrobić? - pyta, gdy wreszcie przestaję głądzić.

Jedyne, co pominęłam milczeniem, to fakt, że Dean nie odpowiedział na żaden z moich e-maili wysłanych od powrotu, i że coraz bardziej mnie to martwi. Może co z oczu, to z serca?

- Nie wiem. - Odległość między nami wydaje się nie do pokonania. -

Coś wymyślimy - stwierdzam optymistycznie, chociaż wcale się tak nie czuję. - Jeżeli oboje czujemy to samo, znajdziemy jakiś sposób.

Gdybym miała milion funtów, z chęcią wydałabym go, żeby się dowiedzieć, o czym teraz myśli Dean.

- Powinnaś powiedzieć Jake'owi o tym facecie. Mężczyźni lubią wiedzieć, jak bardzo beznadziejna jest ich sytuacja.

- No nie wiem...

- Przynajmniej będzie wiedział, z czym się musi zmierzyć

- Porozumiewanie się niespecjalnie dobrze nam wychodzi.

- Wiem. On też musi ci wyjaśnić pewne rzeczy.

- Co na przykład? - Otulam się płaszczem. Nagle jest mi strasznie zimno. - Myślałam, że ty zostałeś wybrany na rzecznika.

- Nie w tej sprawie. To zbyt ważne. Musisz porozmawiać z Jakiem.

Dokładnie tego usilnie staram się uniknąć.

Rozdział siedemdziesiąty drugi

Nie chcę nigdzie wychodzić. - Porządkuję biurko i przygotowuję się

psychicznie do długiej podróży do domu. -Naprawdę.

- Ależ chcesz - nalega Monica. - Choćby na krótko.

- Musimy uczcić twój pierwszy dzień w pracy - dorzuca Charlotte.

Mam wrażenie, że raczej nie ma czego „czcić”. „Praca” też nie wydaje się właściwym słowem. Ignorując stopy artykułów i listów zgromadzone na biurku, większą część popołudnia poświęciłam na układanie e-maila do Deana. Takiego, który jak owsianka Złotowłosej nie byłby ani zbyt gorący, ani zbyt chłodny. Który przypominałby o naszej bliskości, ale nie byłby przesadnie rozpaczliwy i emocjonalny. Zapewniam, że to cholernie trudne.

- Na jednego szybkiego drinka - kusi Monica. - Może dwa.

- Nie opowiedziałaś nam o swojej podróży - mówi Charlotte. - Nasza plotkarska sesja podczas lunchu była frustrująca. Widziałyśmy cię nad rzeką wiszącą na Pipie.

Czuję, że mój opór słabnie.

- Jeżeli pojedziesz prosto do domu, będziesz mogła patrzeć tylko na żalostną gębę Jake'a - przypomina mi przyjaciółka, grożąc palcem. I, muszę przyznać, to celna uwaga. Rozmowa z Pipem wyprowadziła mnie z równowagi i właściwie nie chcę wracać tylko po to, by przez cały wieczór unikać kontaktu z Jakiem.

- W takim razie na jednego - poddaję się.

- Hurra! - wrzeszczą obie.

Czuję przez skórę, że przywlokę się do domu pijana i szlochająca tuż przed północą.

Wszystkie bary w City są pełne. Mimo że to listopad, ludzie wychodzą na chodnik, ściskając w rękach butelki modnego piwa i szampana. Nie wróży to dobrze. Zastanawiam się, dlaczego nie śpieszą się do domu, nawet w taki zimny wieczór. Być może na zbyt wiele osób czeka w domu odpowiednik mojej sytuacji z Jakiem. Albo nie mają nikogo.

Monica wybiera odpowiednie dla nas poidelko przy jednej z wąskich uliczek - Wino i Cała Reszta - i pracując łokciami, przepychamy się do zadymionego baru. Jestem już na to za stara. Bardziej w moim stylu byłby cichy drink w wiejskim pubie. Poważnie zastanawiam się nad kupieniem labradora, którego mogłabym zabierać na długie spacery, tak już ze mną źle.

Jest to jeden z tych długich, wąskich, londyńskich lokali, w których nie ma miejsca, żeby się ruszyć, ale ściany pokryte dziesiątkami wielkich luster mają stworzyć wrażenie, że owszem, miejsca jest mnóstwo. Muzyka nie dudni, miękki jazz, który wybrano jako tło, niemal tonie w hałasie rozmów. Są tu niebieskie skórzane sofy i niebieskie halogeny - natężenie oświetlenia przypomina kopalnię - i podłoga z granitu zalana alkoholem. Na ścianach wiszą dzieła sztuki współczesnej. „Otwarty od 1870” oznajmia tabliczka na ścianie. Chciałabym dodać: „Zrujnowany w latach dziewięćdziesiątych”. Klientelę stanowi tłum ludzi po pracy. Jeśli chodzi o mężczyzn, obowiązkowym strojem są garnitury w prążki i koszule w różową kratę od Thomasa Pinka oraz krawaty w czerwone kropki. Gdzie się podziały wszystkie te grafitowe garnitury, meloniki i parasole ze starej

szkoły? Kobiety noszą mundurki od Armaniego, ciasne, czarne, o zbyt krótkich spódniczkach. Wszystkie mają tlenione włosy i przykre dla ucha wysokie głosy. Przepychamy się przez las porzuconych na podłodze laptopów i czarnych skórzanych teczek. Monica i Charlotte tworzą pierwszą linię ataku na bar, gdy tymczasem ja załośnie wlokę się za nimi. Nie jestem pewna, czy w ogóle potrzebuję drinka. Spoglądam na zegarek - osiemnasta. Która godzina jest w Nepalu? Prawie północ. Dean musi być w łóżku od wielu godzin. Żałuję, że mnie z nim nie ma - i nie tylko z oczywistych powodów. Zastanawiam się, czy jest sam.

Monica i Charlotte zostają w końcu obsłużone. Monica szarpnęła się na butelkę szampana, z pozoru jako powitalny prezent, ale mogę się założyć, że szampan trafi do wydatków służbowych „Mojego Dziecka” za przyszły miesiąc. To pewnie jeden z niewielu plusów bycia szefową. Jest za późno, żeby znaleźć wolną sofę, przepychamy się więc do jednego z tych maleńkich stolików, przy których trzeba stać, i Charlotte stawia na nim kieliszki. Monica strzela korkiem i obie wznoszą toast. Właściwie muszę przyznać, że ja też się trochę cieszę. Ledwie zdążyłyśmy wypić po łyku, kiedy przysuwa się do nas trzech ulizanych facetów z City w eleganckich garniturach i źle dobranych krawatach.

- Panie coś świętują? - pyta najbardziej ulizany z nich.

- Nasza przyjaciółka Lyssa właśnie wróciła z dziczy - informuje go

Monica. - Witamy ją po powrocie.

Wszyscy unoszą kieliszki w toaście.

- Witaj z powrotem, Lysso. Monica i Charlotte wtórują im.

- Witaj z powrotem!

- Zdrowie. - Unoszę kieliszek. Dziewczyny są już rozchichotane i urocze, mimo że nie miały kiedy wypić zamówionego szampana.

Nagle wychodzi na to, że znacznie mniej interesuje je moja nepalska wyprawa niż to, co mogą im zaoferować te młode ogiery.

Zdecydowanie to koniec naszego spotkania, bo trzech elegancików wyraźnie wzięło nas na muszkę. Krążą, rozpoczynając kampanię, by dzielić i rządzić.

- Cześć! - krzyczy do mnie jeden z chłopaków, próbując przebić się przez hałas. - To gdzie byłaś?

- W Nepalu - odpowiadam posłusznie.

- O! - wrzeszczy. - Interesujące! - Nie wygląda na zainteresowanego w najmniejszym stopniu. - Myślałem, że może brałaś udział w jakimś teleturnieju.

- Nie! - odwrzaskuję. - Niestety nie!

Za bardzo bolą mnie stopy, żebym siliła się na grzeczność. To potwornie ciężka praca. Mam wrażenie, że jestem o wiele za stara na podobne pogawędki. Czy takie właśnie czeka mnie życie po Jake'u? Czy znowu będę gotowym na wszystko singlem, kobietą, która próbuje poderwać podejrzanych facetów w podejrzanych barach? Na pociechę wypijam trochę szampana.

Monica i Charlotte jak szalone flirtują ze swoimi przystojniakami.

Wszelka myśl o mnie, przyjaciółce w potrzebie, którą wbrew jej woli

namówiły na wyjście, została wygodnie porzucona. Facet, który się do mnie przyczepił, pochyła się i pyta cicho:

- Wyjdziemy stąd?

Patrzy na mnie znacząco i nie mam żadnych wątpliwości co do intencji, które usiłuje zakomunikować. Wyraźnie nie wierzy w długą grę wstępną.

- Nie, dzięki.

Uśmiecha się złośliwie akurat na tyle, żeby naprawdę mnie wkurzyć.

- Chyba nie jesteś wstydliva, co?

- Nie. Jestem wybredna.

Złośliwy uśmiech zamiera i facet odchodzi pospiesznie, mruczając pod nosem coś przeznaczonego dla uszu kumpli, których mija. Obraca się, krzywi i pokazuje mi środkowy palec. Co za szkoda! Nie mogę powstrzymać uśmiechu. Wygląda na to, że dziś już nikogo nie poderwę.

Rozdział siedemdziesiąty trzeci

Wypijamy trzy butelki szampana. Monica nigdy w życiu nie zdoła wrzucić wszystkich trzech w wydatki służbowe i muszę pamiętać, żeby rano dać jej pieniądze na część rachunku.

Nie jestem w specjalnie dobrym nastroju. Próbowałam podtrzymywać rozmowę z przyjaciółkami, ale stało się oczywiste, że nie zamierzają zrezygnować z facetów, których mają pod ręką.

Pocieszałam się, wlewając w siebie szampana, by zagłuszyć ból, aż wreszcie się wymówiłam i samotnie ruszyłam do domu.

Idę ciemnymi wąskimi ulicami. O tej porze nocy City jest puste, wszystkie miejskie cwaniaczki siedzą w barach, a cała reszta mających choć odrobinę zdrowego rozsądku w domach. Wszystkie sklepy i knajpy są zamknięte, mają opuszczone żaluzje. W pobliżu nie ma nikogo - i żadnej taksówki. Idę tam, gdzie będzie więcej ludzi, niestety czeka mnie też długa podróż pociągiem. Kiedy stara i siwa będę kuśtykała w wygodnych kapciach, będę mogła wskazać dokładnie tę noc jako moment, w którym zaczęły mi się robić nagniotki. I stanowczo muszę uporządkować swoje życie.

Taksówka przemyka obok, ignorując moje rozpaczliwe próby jej zatrzymania. Idę więc dalej. Jestem niedaleko od katedry Świętego Pawła i stacji metra, ale nie cierpię jeździć metrem w nocy, bo zawsze kończy się to obmacywaniem przez pijaków w garniturach w prążki. Wolałabym pójść prosto na dworzec, ale mówi się trudno.

Mijam grupę dzieciaków - właściwie nastolatków - i zastanawiam się, co tu robią, dlaczego sterczą na ulicy w mroźną zimową noc. Założę się, że ich rodzice nie mają pojęcia, gdzie są ani co robią. Dawno minęły czasy, kiedy dzieci wieczorami siedziały w domu, zabawiając się kolorowankami i grami planszowymi. Jest ich czterech, dwóch ma na sobie tylko dresowe bluzy z kapturem i zdumiewa mnie zdolność dzieci do nieodczuwania zimna. Może mają nadzieję, że ogrzeją ich czapki bejsbolowe. Podpierają ścianę przy wejściu do ciemnej wąskiej alejki, wyglądają prowokująco i mam wrażenie, że bazgrzą na murze jakieś graffiti, ale nie jestem pewna.

- Cześć, śliczna! - krzyczy któryś, gdy ich mijam. - Chcesz się zabawić?

Wszyscy wybuchają śmiechem, niemądrym chłopięcym rechotem.

Też się uśmiecham. To już dziś druga propozycja. Szczęściara ze mnie. Śmieję się, że też mają czelność! Chyba żaden z nich nie zaczął się jeszcze golić. Jaki los czeka dzieciaki w dzisiejszych czasach?

Zanim udaje mi się sformułować odpowiednio ciętą ripostę, rzucają się na mnie. Któryś kopie mnie w plecy i upadam. Inny szarpie mnie za włosy i wyrywa torebkę. Raczej instynktownie niż z chęci jej obrony przyciągam ją do siebie i dostaje mi się starannie wymierzony kopniak w brzuch. Założyli kaptury, ale i tak widzę złość na ich zgorzkniałych młodych twarzach.

- Szybciej! Szybciej! Bierz ją! - krzyczy jeden z dzieciaków. Słyszę panikę w jego głosie przed mutacją.

Chcę krzyknąć, ale nie mogę, bo brakuje mi tchu i chyba także szok nie pozwala mi wydobyć głosu. To dzieci! Nie mogę uwierzyć, że mi to robią. Moją dłoń miażdży firmowy but sportowy i odruchowo puszczam torebkę. Z ulgą słyszę, jak odbiegają ulicą.

Próbuję wstać, ale nie mogę się ruszyć. Plecy i żołądek pulsują potwornym bólem. Na twarzy czuję lepłą krew, ale nie wiem, skąd się wzięła. Może, upadając, uderzyłam głową o chodnik. Zmuszam się do podniesienia na czworaka i pełnę przed siebie. Zaczynam płakać, chociaż wcale nie chcę. Nie chcę, żeby ci okropni podli chłopcy doprowadzili mnie do płaczu. A wszystko to dla paru nędznych funtów

i starej komórki.

Podjeżdża taksówka i warkot diesla mógłby równie dobrze być

tętentem kawalerii. Teraz szlocham nie ze strachu, ale z ulgi.

Obok mnie pojawia się para wielkich buciorów.

- Wszystko w porządku, kochanie? Kiwam głową, nie jestem w stanie mówić.

- No, no. Wstawaj. - Wyciągają się dwa potężne ramiona, ale ich właściciel chyba nie jest pewny, gdzie powinien mnie chwycić.

Wyciągam opuchniętą dłoń i korzystam z pomocy. Delikatnie mnie podnosi.

- Widziałem, jak te małe gnojki uciekały - mówi taksówkarz. Pomaga mi obciągnąć płaszcz i delikatnie strzepuje trochę piachu. - Wsiadaj, kochanie.

- Nie mam pieniędzy. - Głos mam ochryply i urywany.

- Tym się nie przejmuj. - Wnętrze taksówki jest wymalowane w lamparcie ciapki, coś reklamuje, ale nie wiem co. Widzę tylko słowa:

„Na zewnątrz jest dżungla!“. Szczera prawda. Potworna, depresyjna, okropna, cholerna prawda. Taksówkarz otwiera przede mną drzwi.

- Ktoś cię musi obejrzeć. Masz na głowie paskudne otarcie.

- Skopali mnie.

- Podłe gnojki - komentuje mój wybawca, ostrożnie ładując mnie na tylne siedzenie.

- Dziękuję - mamrocę przez łzy. - Bardzo dziękuję.

- Odpocznij przez chwilę. - Zawieziemy cię do szpitala najszybciej,

jak się da.

Wręcza mi swój telefon.

- Możesz zadzwonić, żeby ktoś po ciebie przyjechał? Kiwam głową i to tylko pogarsza ból. Taksówkarz wskakuje

do auta i ruszamy. Krzywię się, gdy wjeżdżamy w dziury w jezdni.

Wystukuję jedyny numer, który zachował się w moim oszołomionym mózgu.

Rozdział siedemdziesiąty czwarty

Jake urządza dramatyczne wejście na oddział, który ma ostry dyżur, więc wszyscy się odwracają, by na niego spojrzeć. Mój były chłopak musiał jechać z szaleńczą prędkością, bo minęła niewiele więcej niż godzina, odkąd do niego zadzwoniłam. Rozgląda się po poczekalni i twarz mu bieleje, kiedy rozpoznaje mnie siedzącą wśród innych pokrwawionych. Podchodzi dużymi krokami, jest strasznie zdenerwowany.

- Co ci zrobili? - pyta.

- Napadli mnie - odpowiadam cicho, sącząc trzeci od przybycia do Królewskiego Szpitala Londyńskiego kubek zrącej herbaty z automatu.

Szok, złość i strach zastąpiło potworne uczucie mdłości i rozczarowania co do innych istot ludzkich. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek w życiu czuła się równie podle. Odstawiam herbatę i wstaję.

- Dzięki, że przyjechałeś.

Jake wygląda na wstrząśniętego. Chce mnie uściskać, ale wyciągam rękę, by go powstrzymać. Nie jestem pewna, czy zniosę fizyczny

kontakt, mogłabym po prostu znów się załamać. Jego ręce drżą tak samo jak moje.

- Zarobiłam kopniaka w brzuch - mówię. - Nie dotykaj mnie. Miałam szczęście. Noc jest spokojna i obejrzał mnie już lekarz, choć tylko początkujący, który wyglądał na niemal rówieśnika moich napastników. Niczego najwyraźniej mi nie złamali, ale mam mnóstwo siniaków. Taksówkarz, który ruszył mi na ratunek, był tak miły, że wylałam kolejne łzy, i niemal przywrócił mi utraconą wiarę w ludzkość.

- Możesz już stąd wyjść? - pyta Jake.

- Tak. - Marzę tylko o tym, by wrócić do domu i zanurzyć się w miłej gorącej kąpieli.

- Samochód stoi przed szpitalem. - Jake ostrożnie bierze mnie pod rękę i z wdzięcznością kuśtykam za nim jak inwalidka.

Jedziemy **do** domu w milczeniu, zapadam w sen i się budzę.

Przypomina mi **to** drogę powrotną z lotniska, tylko że tym razem mam ważniejszy powód, by tak się zachowywać. Ręka pulsuje mi boleśnie, ale tabletki, które dostałam, zacierają ostrość wszystkich przeżyć.

Obejmuję się i, delikatnie masując sobie ramiona i przeklinając pecha, zastanawiam się, co mogłam zrobić, by zapobiec temu żalasnemu wypadkowi.

Jake podjeżdża pod dom i wprowadza mnie **do** środka.

- Zrobię herbatę - mówi. Wypiłam całe morze herbaty.

- Dzięki.

- Jadłaś coś? Kręcę głową.

- Nie jestem głodna. - Żołądek wciąż mam obolały i czuję mdłości, ale chyba raczej z powodu wstrząsu, a nie odniesionych obrażeń. - Idę prosto do wanny.

- Świetny pomysł - stwierdza Jake.

Wchodzę na schody, każdy stopień pokonując z potwornym wysiłkiem. Światło w łazience wydaje się za jasne, zwięzają mi się źrenice. To, co widzę w lustrze, trudno uznać za ładny widok. Patrzy na mnie ktoś przypominający wampira. Na policzku wykwit! mi wielki błękitny siniak, **do** czoła mam przyklejoną plastrem gazę, która zakrywa solidne otarcie. We włosach krew, policzki blade. Odkręcam kurki przy wannie, rozpaczliwie tęskniąc za ulgą, jaką przynosi gorąca woda. Wszystko mnie boli, kiedy zdejmuję ubranie. Spalę te rzeczy, spalę je wszystkie. Wyniosę do ogrodu i zrobię ognisko. To okropne, czuję się zbrukana i muszę się pilnować, by zachować właściwe proporcje. Zostałam napadnięta przez pryszczatych nastolatków, którzy chcieli skombinować parę funtów, takie rzeczy zdarzają się codziennie najróżniejszym ludziom. To nie koniec świata, ale w tej chwili jakoś trudno mi w to uwierzyć.

Z trudem wchodzę do wanny i pozwalam, by lecznicza moc wody zaczęła działać. Kiedy tak leżę, a woda opływa mi ramiona, rozlega się nieśmiałe pukanie i Jake wsadza głowę do łazienki. Wydaje się dziwne, że mężczyzna, który był moim kochankiem, mój przyjaciel od tak wielu lat, traktuje mnie teraz tak

oficjalnie.

- Przyniosłem ci herbatę. - Stawia filiżankę przy wannie i nie

wychodzi.

- Dzięki.

- Kiepsko wyglądasz - stwierdza.

- Nic mi nie będzie, kiedy porządnie się wyśpię.

- Powinnaś zawiadomić policję. - Siada na klapie sedesu.

- Dlaczego? - Krzyżuję ręce na piersi i widzę, że Jake odwraca wzrok.

- Żeby trafić do statystyk? Policja nic tu nie poradzi. - Słyszę

rezygnację w swoim głosie. - To były dzieciaki. Zupełne dzieciaki,

trzynasto- czy czternastolatki. Chłopcy, z jakimi chodzi Kelly. -

Dzieciaki, jakie kiedyś mieliśmy nadzieję mieć, chcę powiedzieć. -

Nawet gdyby policja kogoś złapała, skończyłoby się na zakuciu w

kajdanki. Wiesz, jak to jest. Więc po co?

- Chciałbym ich dostać w swoje ręce - mówi Jake. Wzdycham.

- Ja też bym chciała. - Żałuję, że podczas napadu niczego nie

zrobiłam, żałuję, że byłam tak cholernie bezradna.

- Nie wiem, dokąd zmierza ten kraj - wzdycha Jake.

- Ja też nie. - Chcę znowu być wśród pól i gór, przejmować się tylko

tym, czy udało mi się zrobić dobre zdjęcie przelatującego zimorodka.

W Nepalu drobna przestępczość jest na bardzo niskim poziomie.

Buddyści, w mojej opinii bardzo rozsądnie, wierzą w karmę - to, co

dajesz, z całą pewnością do ciebie wróci. Chciałabym, żeby tak samo

było tu, gdzie przestępcy są prawie bezkarni, zwykle dzięki interwencji

jakiegoś durnego sędziego, który nigdy nie słyszał o telefonach komórkowych. Czy nie byłoby cudownie, gdyby ci młodzi dranie wiedzieli, że zostaną ukarani stosownie do popełnionego przestępstwa? Musieliby się wtedy bać, że przed ich domem pojawi się jakaś staruszka, która sprayem wymaluje im graffiti albo przejedzie kluczem po drzwiach ukochanego samochodu. Moim zdaniem to byłoby sprawiedliwe.

- Wiem, że to kiepski moment - mówi Jake - ale musimy porozmawiać. Muszę ci powiedzieć o pewnych sprawach.

Opieram głowę na zaokrąglonym brzegu wanny, który wbija się w napięte mięśnie mojej szyi.

- Pip już mi powiedział. Jake się prostuje.

- O dziecku?

Prostuję się gwałtownie, żeby na niego spojrzeć.

- Jakim dziecku?

W tej chwili jest równie blady jak ja. Nie odzywa się przez bardzo długą chwilę.

- Neve była w ciąży.

Mam wrażenie, że znów zaliczyłam cios w brzuch. Kopanie leżącego.

Do oczu napływają mi gorące łzy.

- Była w ciąży?

- Usunęła. - Jake opuszcza głowę. - Ale dziecko było moje, Lysso.

Byłem ojcem.

- Masz rację. - Zamykam oczy w nadziei, że wszystko zniknie. - To

nie jest dobry moment.

Rozdział siedemdziesiąty piąty

Jest trzecia nad ranem i dwa razy zapadałam w męczący sen i zaliczyłam dwa koszmary. Teraz nie śpię i krople zimnego potu moczą moją poduszkę. Pierwszy koszmar był o tym, że kilkunastu potężnych napastników o pustych twarzach otacza mnie i kolejno uderza, ale wszyscy mają dziecięce czapeczki i biją mnie grzechotkami z Kubusiem Puchatkiem. W drugim koszmarze chodziłam na zajęcia do szkoły rodzenia, gdzie jako jedyna kobieta nie byłam w ciąży i nikt nie chciał mi tego powiedzieć. Wszystkie kobiety były tłuste i kołysały się na boki jak Edie tuż przed rozwiązaniem, wszystkie miały na sobie ciążowe ciuchy wielkości namiotów. Ja byłam ubrana w dopasowaną lycrę i wysokie obcasy, próbowałam przyłączyć się do rozmów o hemoroidach i opuchniętych kostkach, gdy dla wszystkich było oczywiste, że nie mam pojęcia, o czym mówię, więc też postanowili mi dołożyć. Czy może być coś smutniejszego?

Trzęsę się pod kołdrą. Jak mogę wyłączyć mózg? Potrzebuję więcej tabletek przeciwbólowych. A może mniej.

Nie ma sensu leżeć i przewracać się z boku na bok, wkładam więc szlafrok i cicho schodzę na dół. Nie mogłam rozmawiać z Jakiem, odkąd rzucił tę bombę. Zdołałam tylko wpełznąć do łóżka z nadzieją na łagodną i przyjemną śmierć. Nie mogłam niczego pojąć po tym, co zaszło wieczorem.

W kuchni grzebię w czeluściach szafki. Gdzieś mam resztki horlicks

kupionej, kiedy Jake przechodził trudny moment w pracy i nie mógł spać.

Znajduję puszkę, sprawdzam datę - nie po to przetrwałam wcześniejsze myśli samobójcze, żeby otruć się przeterminowanym *napojem* w proszku.

Taki los byłby zbyt straszny. Nalewam mleka do rondla i czekam, aż się zagotuje. Nie jestem pewna, czy w ogóle lubię horlicks, ale i tak zamierzam to wypić. Nie mam pojęcia, co jeszcze mogłabym zrobić.

Po ciemku idę do salonu i wyglądam przez okno. Zaskoczona dostrzegam, że nawet o tej porze w niektórych domach przy naszej ulicy palą się światła. Zastanawiam się, czy inni też toczą życiowe zmagania, chodząc tam i z powrotem, mając na pociechę tylko mleczny napój.

Badania mówią, iż żyjemy podejrzliwość w stosunku do ludzi, którzy mieszkają blisko nas, głównie dlatego, że jako populacja jesteśmy płytcy, odszczepieni od rdzenia rodziny w związku z zatrudnieniem i kwestiami ekonomicznymi. Znowu uderza mnie myśl, że w ogóle nie mam pojęcia, kim są moi sąsiedzi. Kilka domów dalej mieszka emerytowany lekarz, jest też obowiązkowa para gejowska, ale na tym koniec. Nie mam pojęcia, jak się nazywają. Jeżeli zdarza nam się dostać nieprzeznaczony dla nas list, nie wiemy, gdzie go odnieść, więc odsyłamy z adnotacją: *Nie mieszka pod tym adresem*. To chyba o czymś świadczy?

Nie pasuje do nas określenie „wspólnota”. Nie spotykamy się na grillu, nie wstępujemy do siebie, żeby pożyczyć szklankę cukru, nie ozdabiamy naszych domów nagietkami z okazji świąt. Zdaje się, że bardzo rzadko mamy coś, co można by świętować. Jeżeli chodzi o spontaniczną manifestację wolności i szczęścia, w okolicy najbliższy jest jej pies

sąsiadów, kiedy wystawia głowę przez okno samochodu, gdy jadą w dół ulicy. Praktycznie jedyny moment, kiedy widzimy się dłużej niż przelotnie, ma miejsce na wiosnę, gdy poprawia się pogoda i w niedzielę rano wszyscy pędzimy myć samochody i ścinać uschnięte zimą kwiaty. Trudno w ten sposób nawiązać kontakt. Zastanawiam się, czy ktoś z sąsiadów zadałby sobie trud, by pomóc człowiekowi, który został napadnięty.

Nie mogę się zmusić, by zapalić światło, więc siedzę po ciemku i staram się nie myśleć. Po kilku minutach słyszę kroki na schodach, odwracam się i widzę stojącego w drzwiach Jake'a.

- Też nie mogę spać - mówi.

- Zrobić ci horlicks?

Jake kiwa głową i idziemy do kuchni. Wykonuję wszystkie czynności związane z przygotowaniem napoju, a on tymczasem siedzi przy stole i przygląda mi się bez słowa. Kiedy mleko jest zagrzane, wręczam mu kubek i siadam naprzeciwko.

Zdobywam się wreszcie na rozmowę.

- Twoja rewelacja trochę mnie zatkała.

- Wiem - przyznaje, mieszając mleko. - Nie chciałem tak z tym wyskoczyć. Głupio zrobiłem.

- Wygląda na to, że Neve postąpiła jeszcze bardziej głupio.

- Oboje zachowaliśmy się beznadziejnie - przyznaje. - I mnie wylali. To znaczy złożyłem wymówienie, ale to była tylko kwestia czasu. - Patrzy na mnie skrępowany. - Sypiała też z moim szefem.

- Pracowita dziewczyna.

- Z tym już koniec. Ją też wyrzucili. Zaczyna mnie boleć głowa.

- Strasznie tandetna historia.

- Wiem. Jak to się stało, że tak wszystko pochrzaniiliśmy? -Gdybym

miała w sobie choć odrobinę energii, spierałabym się o tę liczbę mnogą.

Ale może Jake ma rację. Przeczesuje włosy palcami. - Nie chciałem, żeby

tak to wyszło.

- Nie. Pewnie nie chciałeś.

- Ale w jakiś dziwny sposób wynikło z tego coś dobrego. Nie zamierzam

też prosić Jake'a, by zdefiniował określenie

„dobre”.

- Dzięki temu zdałem sobie sprawę, jak bardzo chcę z tobą być. - Jake

bierze mnie za rękę. Tę, która nie wygląda jak roztrzaskana młotkiem.

Bawi się moimi palcami, a ja nie mam siły, by go powstrzymać.

- A dziś wieczorem... - Jake owi załamuje się głos - nie mogłem znieść

myśli, że coś mogło ci się stać. -- Pociera oczy i widzę, że są

zaczerwienione. - Chcę, żebyśmy się pobrali. Od razu. Za długo z tym

zwlekaliśmy. Mogę znaleźć nową pracę. Lepszą. Byłem na kilku

rozmowach i wszyscy są bardzo zainteresowani. Dostałem świetne

referencje...

Patrzę na niego zaskoczona.

- Zmusiłem Aleca, żeby je napisał, zanim mu przyłożyłem. Uśmiecham

się, chociaż ten uśmiech raczej nie dociera do moich ust. Co za typowe dla

Jake'a zachowanie.

- Ta historia z Neve - ciągnie z trudem - potwierdza, że mogę zostać tatą.

- W oczywisty sposób mówienie o tym sprawia mu przykrość. Stara się wziąć w garść, zanim podejmuje: - Chcę mieć dzieci, teraz to wiem.

Mnóstwo dzieci. I uda nam się - mówi z przekonaniem. - Razem nam się uda.

To dobry moment, żeby wszystko wyznać. Powiedzieć mu o aborcji i dlaczego tak rozpaczliwie chciałam zostać matką. Powinnam mu powiedzieć. Wyczyścić sytuację między nami. Wyrównać rachunki. Ale nie mogę. Nie potrafię już rozmawiać z nim na tak osobiste tematy. Tamte rzeczy dotyczyły zupełnie innej mnie niż ta, która siedzi teraz twarzą w twarz z Jakiem.

Patrzymy na siebie, on wyczekująco. Zaplatam palce wokół kubka w poszukiwaniu ciepła. Bolesne pulsowanie w dłoni odbija się echem w mojej głowie.

- Powiedz coś - ponagła mnie Jake.

Trwa wieki, zanim udaje mi się przepchnąć słowa przez ból, który czuję.

- Nie wiem, czy jeszcze tego chcę. Jake jest zaszokowany.

- Poznałam kogoś. - Kogoś cudownego. - W Nepalu.

- Nieważne. Nie obchodzi mnie, co zrobiłaś. Nawet jeżeli z nim spałaś...

Poraża mnie jego naiwność. Myślę o tym, jak śmialiśmy się z

Deanem w moim śpiworze, kochaliśmy w gorącym źródle, spaliśmy w jego prowizorycznym łóżku. Dlaczego Jake uważa, że dla mnie czas stanął w miejscu?

- To ja jestem tutaj, a on... Gdzie on jest?

Daleko ode mnie. I odległość między nami wydaje się powiększać z każdym mijającym dniem.

- Zaczniemy od nowa -nie ustępuje Jake.

Jak mam mu wyjaśnić, co się dla mnie zmieniło, skoro sama nie jestem stuprocentowo pewna, na czym ta zmiana polega?

- To nie takie proste.

- Ależ tak - upiera się Jake. - Lysso, chcę, żebyś za mnie wyszła.

Chcę, żebyś była moją żoną. I będę prosił tak długo, aż się zgodzisz.

- Zmieniłam się, Jake.

- Niebyło cię tylko przez miesiąc. Nie mogłaś się zmienić. Nie ma racji.

Rozdział siedemdziesiąty szósty

Co mam zrobić? To pytanie zaprzęta moje myśli. O piątej rano wciąż leżę bezsennie i jestem prawie przekonana, że Jake ma rację, że mogę zapomnieć o Neve i Deanie, i całej reszcie, że możemy wrócić do tego, co było między nami. Mogłabym zanurzyć się w tym, co znajome, co wypróbowane, nawet jeśli niekoniecznie godne zaufania. W chłodnym świetle dnia zdaję sobie jednak sprawę, że choćby najbardziej przekonujący, Jake może się mylić.

Przyniósł mi śniadanie do łóżka, chcąc w ten sposób skruszyć mój upór - jajko na miękko i chlebowe paluszki, jedzenie, które przynosi ulgę rozdrażnionym i chorym. A z pewnością można mnie zaliczyć do obu tych grup. Nic na to nie poradzę, ale przypominam sobie, że

tamtego paskudnego poranka, kiedy wszystko się zaczęło i odszedł, też gotował jajka. Wydaje się, że było to bardzo dawno. Najwyraźniej pamięć Jake'a nie jest równie skrupulatna jak moja, bo wyraźnie nie ma emocjonalnego stosunku do tej konkretnej potrawy. Mój były chłopak przetrzepał mi poduszkę i wygładził kołdrę. Ułożył gazety, telefon i pilota do telewizora w miejscu, gdzie mogę bez trudu sięgnąć, nie wykonując zbyt wielu ruchów. Jego troska doprowadziła mnie prawie do łez, z pewnością bardzo się stara, ale chyba już na to za późno. A potem, dokładnie tak blady jak ja, Jake niechętnie wyszedł na ważne spotkanie, o którym mówił wcześniej, a ja życzyłam mu powodzenia, bo naprawdę życzę mu powodzenia. Zjadłam jajko, po czym musiałam zadzwonić do pracy i powiedzieć Monice o moim żalonym losie, a także wyjaśnić, że przez kilka kolejnych dni nie zaszczycę swoją obecnością biur „Mojego Dziecka”. Mon oczywiście była przerażona tym, co się stało, ale podejrzewam, że jeszcze bardziej przykry okazał się dla niej fakt, że świeżo poznani faceci wypili tyle szampana, ile się dało, a potem zwinęli się bez słowa podziękowania. Moim zdaniem to po prostu bardziej wyrafinowana forma rabunku.

Jestem za bardzo roztrzęsiona, żeby czymś się zająć, chociaż moje urazy fizyczne wyglądają znacznie lepiej. Mam na policzku siniaka w kolorze kanarkowym i czerwone otarcie na łepetynie. Ręka wróciła już prawie do normalnych rozmiarów i chociaż ma ładny fioletowy odcień, wygląda na to, że nie stało się nic poważnego. Obawiam się, że

nie da się tego powiedzieć o moim życiu osobistym. Otulam się kołdrą i włączam telewizor. Dużo czasu minęło, odkąd mogłam sobie pozwolić na luksus oglądania telewizji w ciągu dnia, ale po przeleceniu przez wszystkie kanały, nie znajduję niczego choćby w niewielkim stopniu zdolnego przykuć moją uwagę, pstrykam pilotem i sięgam po czasopisma.

Przejrzałam mniej więcej połowę „House Beautiful” i właśnie się dowiaduję, jak używać pasteli, by zmienić swój dom, gdy dzwoni telefon. Przewracam się na bok, usiłując nie zmiażdżyć sobie przy tym ręki, i sięgam po słuchawkę.

- Halo.

- Cześć. - Na linii są trzaski, ale tego amerykańskiego głosu nie mogłabym z niczym pomylić.

- Dean? - Siadam na łóżku i próbuję przygładzić włosy i poprawić piżamę.

- To dobry moment? - pyta. - Pomyślałem, że może złapię cię, zanim wyjdiesz do pracy.

- Nie idę dzisiaj do biura.

- O. To dobrze, prawda?

- Cudownie.

- No i jak jest z powrotem w domu?

- Okropnie.

Słyszę jego odległy śmiech i wszystko się we mnie przewraca.

- Możesz rozmawiać?

- Jasne - odpowiadam, a spod rzes wymyka mi się iza. - Już prawie postawiłam na tobie krzyżyk.

- Mieliśmy tu trochę kłopotów - wyjaśnia z wymownym westchnieniem. - W zeszłym tygodniu niespodziewanie padało, w efekcie spadła piekielna błotna lawina i zasypała ścieżkę. Ostatnich pięć dni spędziłem z mieszkańcami wioski, przekopując się przez błoto. Pierwszy raz, odkąd wyjechałaś, udało mi się zejść do Pokhary. Zapominam, że Dean musi się zmagać z bardziej podstawowymi problemami.

- Pomyślałem, że możesz się martwić - mówi Dean. Mocniej przyciskam słuchawkę do ucha, starając się znaleźć bliżej niego, nawet jeśli tylko o kilka milimetrów.

- Bardzo się martwiłam.

- Czytałem wszystkie twoje e-maile - mówi. - Pogodne i pełne energii.

Zaciskam usta, a potem odpowiadam:

- Może nie powinieneś wierzyć we wszystko, co czytasz. Jego troska dociera do mnie nawet przez słuchawkę.

- Naprawdę wszystko u ciebie w porządku?

- Doskonale - odpowiadam bez przekonania. - A u ciebie? Następuje długa pauza i przez chwilę myślę, że może nas rozłączyło.

- Nie - przyznaje z westchnieniem. - Chyba niezbyt doskonale. -

Kolejna długa, wypełniona trzaskami pauza, podczas której moje serce wali głośno. - Tęsknię za tobą.

Nie potrafię powstrzymać łez.

- Ja też tęsknię.

- Och, Lysso. - Wiem, że powinniśmy powiedzieć sobie tysiąc rzeczy i nie możemy. - Są jakieś szanse, że wrócisz i mnie odwiedzisz?

- Bardzo bym chciała. Głos Deana łagodnieje.

- To nie zwlekaj - prosi mój wspaniały kochanek.

I w tym momencie wiem dokładnie, czego pragnie moje serce.

Rozdział siedemdziesiąty siódmy

Nie mogę zostać - wyjaśniam Monice. Przysunęła krzesło i siedzi tuż obok mojego biurka.

- Myślałam, że już to ustaliłyśmy - odpowiada.

Po napadzie przez cały tydzień nie mogłam się zdobyć na powrót do biura, a kiedy wreszcie wyszłam z domu, przeraziły mnie przewalające się obok i napierające na mnie tłumy, bałam się nawet tego, że ktoś może na mnie wpaść. Miałam wrażenie, że siniaki naznaczyły mnie jako osobę, która nie potrafi o siebie zadbać, a nie chcę spędzić reszty życia stłamszona przez wrogo nastawionych ludzi i wykolejone dzieciaki, których nic a nic nie obchodzę. Nigdy wcześniej nie bałam się Londynu, ale teraz się boję i nie chcę tu zostać. Pragnę przynależeć, znaleźć się w jakimś cichym miejscu w otoczeniu przyjaciół, gdzieś, gdzie moje życie będzie miało cel. I każdą komórką mojego jestestwa wiem, że nie potrafię dłużej żyć w mieście - czterech okrutnych nastolatków pozbawiło mnie wszelkich złudzeń.

Czuję się okropnie, oszukując Jake'a, który trzęsie się nade mną jak

nad jajkiem, próbując udowodnić, jak bardzo nadaje się na męża. Jego przekonanie, że zdoła zmienić moje nastawienie siłą swojej woli i kilkoma dobrymi domowymi posiłkami prawie złamało mi serce, ale prawda jest taka, że gdy tylko wychodzi, rzucam się do Internetu, planując ucieczkę. Nie jestem z tego dumna, ale wiem, że to właśnie muszę zrobić. Znowu skupiam uwagę na Monice.

- Robię to z powodów charytatywnych - wyjaśniam bez przekonania.

- Ach tak? - Przyjaciółka nie daje się nabrać. - Nie możesz wrzucić po prostu paru funtów do puszeki jak wszyscy?

Przez Internet znalazłam organizację wolontariuszy wysyłającą do Nepalu nauczycieli, która załatwi mi tam posadę. Zapewnią mi mieszkanie i potrzebne szkolenie. Ja sama muszę tylko jak najszybciej zebrać bardzo dużą sumę pieniędzy.

- Potrzebuję dwóch tysięcy funtów, Mon.

- I to zapewni ci posadę?

- Tak. - Przypodchlebiam się trochę. - I mam nadzieję, że załatwicie mi te pieniądze.

- Ooo, w takim razie musimy szybko zorganizować jakąś sponsorowaną imprezę alkoholową. To najszybszy sposób, żeby zebrać kasę.

- Jesteś bardzo wyrozumiałą szefową - ściskam ją i całuję w policzek.

- I szczerze zatroskaną przyjaciółką - dodaje z westchnieniem.

- Jesteś pewna, że robisz to z właściwych powodów?

- Nie wiem. - Czuję buzujące w duszy w równych proporcjach

podniecenie i przerażenie. Nikomu jeszcze o tym nie mówiłam

- nawet Deanowi - więc dziwnie się czuję, słysząc własne słowa:

- Zobaczyłam inny sposób życia i muszę tego spróbować.

- Cóż, bardziej szczerą być nie możesz.

- W dodatku na stałe odziedziczysz mój widok. - Obie spoglądamy przez okno na szarą Tamizę.

- Super. - Monice wyraźnie poprawia się nastrój. Zaciera ręce.

- Mam wrażenie, że jedna z nas powinna dziś trochę popracować.

- Dzięki, Mon.

- Nawiasem mówiąc - wstaje - gdzie chcesz urządzić pożegnanie?

Muszę przyznać, że to najmniejszy z moich problemów.

Rozdział siedemdziesiąty ósmy

Jak minął pierwszy dzień po powrocie? -pyta Jake wesoło. Znów ma na sobie falbaniasty fartuszek i trzyma brytfannę z lazanią, którą z wypraktykowaną gracją wsuwa do otwartego piekarnika.

Zdejmuję płaszcz i rzucam torbę na stolik, masując skronie.

- Jake, usiądź. Musimy porozmawiać. - Brzydzą mnie te słowa, brzmią jak kwestia drugoplanowej aktorki w operze mydlanej, ale mimo starań nie udało mi się wymyślić innego sformułowania.

- Chcesz kieliszek wina? - Macha nim w moją stronę. - Otworzyłem przyjemną butelkę czerwonego, żeby pooddychało. -Pokazuje mi butelkę i wacha ją z aprobatą. - Mmm, cudowne.

- Nie. Żadnego wina. Dzięki.

- Mam zetrzeć do lazanii parmezan? Wyskoczyłem dzisiaj do centrum,

do tych nowych włoskich delikatesów, i kupiłem naprawdę niezłe sery.

- Jake. - Jak mam zamknąć mu usta? - Po prostu usiądź. Proszę. To ważne.

Siada przy stole.

- Kolacja będzie niedługo.

- Więc się streszczę - obiecuję.

Jake patrzy na mnie z nadzieją. Wyraźnie nabrał otuchy i z trudem przychodzi mi zadać mu cios, ale z takiej sytuacji nie ma chyba łatwego wyjścia. Przy każdym zerwaniu ktoś musi być bardziej zraniony. Ostatnim razem to byłam ja. Tym razem kolej Jake'a. Zastanawiam się, czy też przeżywał takie męki, gdy porzucił mnie dla Neve? Ale nie mogę się tym teraz przejmować. Co się stało, to się nie odstanie, i nie zdołamy cofnąć czasu. Oddycham głęboko.

- Wracam do Nepalu.

Patrzy na mnie, nic nie rozumiejąc.

- Wracam - powtarzam, a Jake milczy.

- Po co? - pyta wreszcie.

- Załatwiłam sobie pracę nauczycielki.

- Ale jesteś redaktorką w czasopiśmie - zauważa.

- Już nie. Dzisiaj złożyłam wypowiedzenie.

Jake ogląda palce, nagle zafascynowany własnymi paznokciami.

Wreszcie pyta:

- Jedziesz tam, żeby być z nim?

- Po części - przyznaję. Chcę być z Deanem. Mam szczerą nadzieję,

że czeka nas wspólna przyszłość, ale to nie jedyny powód.

- Dzwoniłem dziś po południu do kliniki - oznajmia Jake. - Chcę, żebyśmy jeszcze raz spróbowali z in vitro. W klinice nie mają obiekcji, żebyśmy kontynuowali program.

- Nie mogę tego zrobić.

- Ale tak bardzo chciałaś dziecka. A teraz ja też tego chcę. Wciąż mamy oszczędności. Możemy je wydać na leczenie.

- Nie chcę już dziecka za wszelką cenę. - Uważam, że i tak ponieśliśmy za wysokie koszty.

Jake spuszcza głowę.

- Przedtem chciałam dziecka dla siebie. Chciałam tego, co dziecko mogłoby zrobić dla mnie. Teraz widzę to inaczej. - Wzruszam ramionami, co trudno uznać za sensowne wyjaśnienie nagłej zmiany punktu widzenia. - Nie zależy mi już na wyprodukowaniu własnej repliki. To nie koniec świata, jeżeli nie będę miała dzieci. Mam już dość hormonów i zastrzyków, Jake. Jeśli to ma się zdarzyć, chcę, by nastąpiło w sposób naturalny. - Dziś rano dostałam okres. Spóźniony, ale nawet nie zwróciłam na to uwagi. Zachowanie zupełnie nie w moim stylu. A raczej nie w moim starym stylu. W którymś momencie przestałam liczyć godziny i dni. I kiedy zobaczyłam w toalecie jaskrawoczerwoną wymowną kroplę, nie miałam uczucia, że poniosłam porażkę. Nie chciałam umrzeć. To po prostu miesiączka.

Zdrowy naturalny cykl, który określa mnie jako kobietę. Mogę całkiem szczerze stwierdzić, że nie będzie mi to już spędzać snu z powiek. Po

prostu zdaję

sobie sprawę, że w ciągu dwudziestu ośmiu dni bardzo dużo może się zdarzyć. Ale jak Jake miałby to zrozumieć? Patrzę na jego ściągniętą twarz i zastanawiam się, czy kiedykolwiek coś z tego pojmie. Mówię dalej: - A póki co znalazłam inne sposoby, które, mam nadzieję, przyniosą mi spełnienie. - Myślę o uśmiechniętych buziach rozkosznych dzieciaków z wioski i wiem, że mam im mnóstwo do zaoferowania. A one mogą mnóstwo dać mnie.

- Nie chcę przejść przez życie z uczuciem, że niczego nie udało mi się zmienić.

- A ja nie chcę przejść przez życie bez ciebie - mówi Jake głosem bez wyrazu.

- Nie zawsze możemy mieć to, czego chcemy. - Skręca mnie na myśl, że go ranię. Dlaczego łatwiej jest mieć złamane serce niż złamać serce komuś innemu? Wszystko byłoby znacznie prostsze, gdybym mogła znowu pokochać Jake'a, gdyby moje uczucia dla Deana po prostu zniknęły bez śladu jak cukier w herbacie, ale tak się nie stanie.

Jake zmusza się do uśmiechu.

- Nie zapytasz, jak mi poszło?

- Oczywiście.

- Dostałem nową pracę. Większa odpowiedzialność. Większa pensja.

Mniej atrakcyjne koleżanki? Tak się tylko zastanawiam.

- Myślałem, że to wszystko zmieni. Że to będzie ten nowy początek, o który się modliłem.

- Jake...

- Możesz mieć wszystko, czego zapragniesz, Lysso. Szpanerski samochód, egzotyczne wakacje. Pierścionek zaręczynowy. Możemy się przeprowadzić do większego domu. Możesz nawet rzucić pracę, jeśli zechcesz. Cokolwiek.

Myślę o mężczyźnie, który nie może mi ofiarować niczego oprócz swego serca. Dotykam dłoni Jake'a.

- Jake... - Jak mogę zadawać tyle bólu innej ludzkiej istocie?

- Jedyne, czego chcę od ciebie, to przyjaźń.

Jake się odsuwa.

- Nie prosz, żebym był twoim przyjacielem, Lysso. - Wstaje, zrywa falbaniasty fartuszek, rzuca go na podłogę i wychodzi. -Za bardzo cię kocham, żeby tylko cię lubić.

Rozdział siedemdziesiąty dziewiąty

Żałuję, że nie zaczęłam palić - mówi Edie. - Przydałaby mi 'się fajka.

Nie wytykam, że okresy „bezciażowe” w jej życiu nie były wystarczająco długie, by rozważyć wpadnięcie w nałóg. Wrzucam kierunkowskaz i wyprzedzam staruszkę, która starym gratem wyciąga dwie mile na godzinę. Jedziemy w górę Holywell Hill moją śliczną fiestą, wciąż powgniataną w miejscu, gdzie dachówka walnęła w maskę. Z lubością poklepuję kierownicę - kolejna rzecz, bez której będę musiała się obyć w Nepalu. Po namyśle podjechałyśmy na stację benzynową, żeby kupić wiązanek przesadnie drogich kwiatów w krzykliwych kolorach w nadzieji, że pomogą nam udobruchać mamę.

Patrzę na rodzinne miasto świeżym okiem - teraz, kiedy mam je opuścić. Lepiej późno niż wcale. Chyba. Jest czyste, porządne i nienarzucające się. Przez wiele lat dobrze mi służyło. I świetnie sobie radzi, niedługo będzie można zarobić na tutejszych posiadłościach tyle, by przejść na emeryturę. Myślę o pełnej miłości trosce, którą nepalskie kobiety

otaczają swoje domy z niewypalanej cegły, i zaryzykowałabym stwierdzenie, że nie postrzegają ich wyłącznie w kategoriach przyszłego potencjału inwestycyjnego. A mamy wokół siebie tyle kultury - St Albans było sporym rzymskim miastem, na litość boską. Co kawałek sterczą tu szczątki rzymskich ruin. Problem w tym, że nie ma rzymskiego klimatu. Dysponujemy rozwodnioną wersją kultury - miło jest mieć ją w tle, ale żeby nie wpływała na nasze życie codzienne. Nie zrozumcie mnie źle, jest tu bardzo przyjemnie, ale bez śladu egzotyki. Czy będę za tym tęskniła? Raczej nie.

- Jak myślisz, dlaczego zostałyśmy wezwane na audiencję? -pyta z niepokojem moja siostra.

- Nie mam pojęcia. - Stajemy na światłach. Edie i ja zostałyśmy zaproszone na niedzielny lunch do mamy. Moja siostra otrzymała wytyczne, że ma przybyć sama, bez męża i wnuków. To nie jest dobry znak. Oznacza, że matka ma nam do powiedzenia coś ważnego.

Jesteśmy szczerze wdzięczne, że te rodzinne narady nie zdarzają się zbyt często. Wiążą się one ze spożywaniem niejadalnych potraw

produkcji mamy w kamiennym milczeniu i kończą tym, że albo ja, albo

Edie musimy wysłuchać reprimendy dotyczącej jakiegoś

pomniejszego - i zwykle nieprawdziwego - wykroczenia. Możemy

tylko mieć nadzieję, że kwiaty wystarczą.

- Dostanie szału, kiedy jej powiem, że będę miała kolejne dziecko. -

Edie bawi się frędzlami przy swojej torebce.

Zamierzamy wykorzystać tę okazję, by mama faktycznie miała nas za

co zganić. Edie, jak wspomniała, musi przyznać się do nadchodzącego

radosnego wydarzenia. A ja nie wspomniałam jeszcze, że chcę

cichcem przeprowadzić się do Nepalu.

- Właśnie do mnie dotarło, że naprawdę znów jestem w ciąży, Lysso.

- Edie kręci głową. - Nie mogę w to uwierzyć. Skończę jako jedna z

tych kobiet, które przedstawiają na rozkładówce w „Ekspressie” z

dwanaściorciem upiornie wyglądających dzieci. To będzie jeden z

artykułów o tym, ile bochenków chleba i kwart mleka zużywamy w

tygodniu, i ile długich godzin spędzam na prasowaniu.

Na moje oko raczej zbyt mało.

- Na zdjęciu wszyscy będą uśmiechnięci - ciągnie. - Oprócz Lee,

który będzie wyglądał na znękanego, a wszyscy czytelnicy pomyślą:

biedny koleś.

- Jeszcze większego szału dostanie, kiedy jej powiem, że zamierzam

uczyć biedne dzieci na drugim końcu świata.

- Lysso, dlaczego? Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego? - Siostra

naśladuje najbardziej wyniosły ton mamy. - Cóż te biedne dzieci

zrobiły, żeby na coś takiego zasłużyć?

Chichoczę, przyznając jej rację. Nasza mama uznaje tylko do-
broczynność na pokaz.

- Chociaż przyznam, że sama nie do końca cię rozumiem - mówi Edie
już normalnym głosem.

- Zrozumiałabyś, gdybyś zobaczyła to miejsce - zapewniam.

- I tych ludzi - dodaje, puszczając oko. Myślę, że obie wiemy, którego
konkretnie człowieka ma na myśli. - Mam nadzieję, że jest tego wart.

Uśmiecham się z zadowoleniem.

- Tak myślę.

- I co ja bez ciebie zrobię?

- Kelly jest już wystarczająco duża, żeby zajmować się maluchami.

Edie wymierza mi cios w rękę, którą zmieniam biegi.

- Nie tylko do tego cię potrzebuję.

- Oczywiście, że tak. Do całej reszty masz Lee.

- Ale zawsze byłeś w pobliżu, Lysso. - Wzdycha. - Poza tym, spójrz
tylko, co się stało, kiedy Kelly ostatnio zajmowała się dziećmi. -

Spogląda na swój brzuch.

Podjeżdżamy pod dom mamy i dostrzegam drgnienie firanki - za
późno, teraz już nie możemy uciec. Nasza mama mieszka w ładnej
części miasta, w niedużym bliźniaku, który utrzymuje w nieskazitelnej
czystości. Nie chodzi o to, że lubi prace domowe, ale nigdy nie
wiadomo, kto może wpaść niezapowiedziany. Dom nigdy nie miał
specjalnie domowego nastroju, bo pod żadnym pozorem nie wolno

nam było nabałaganić. Mama twardo trzyma się wystroju z lat siedemdziesiątych. Jest jedyną znaną mi Osobą, która uważa dywan w brązowe i pomarańczowe koła za szczyt dobrego smaku. Myślę, że dlatego stałam się wybredna. Firanka opada na miejsce.

- Widziałam ostatnio Pipa - mówię. - Zapomniałam mu przekazać, że winisz go za to ostateczne szczęśliwe wydarzenie.

Siostra wygląda przez okno.

- Co u niego? - pyta.

- W porządku. Jest zakochany - odpowiadam.

Odwraca się do mnie tak gwałtownie, że o mało nie skręca sobie karku.

- Zakochany? Powiedział ci?

- Tak. - Ściągam brwi. - Bez wzajemności, obawiam się. Zakochał się w tej samej kobiecie, co jego najlepszy przyjaciel. Ona chyba nie wie nic o jego uczuciach.

- Jesteś po prostu świetna! - prychnął Edie. - Co?

- To ty. Pip jest zakochany w tobie.

- Naprawdę? - Jestem co najmniej zaskoczona. - Tego nie powiedział.

- Wygląda na to, że próbował dać ci to do zrozumienia!

- O cholera. Wyśmiałam go.

- No to ładnie, siostrzyczko.

- Mógł być mniej tajemniczy.

- Tak? Nie jestem pewna, co jeszcze miał zrobić, chyba że zerwałby z ciebie ciuchy i się na ciebie rzucił.

- Zadzwoń do niego - obiecuję. - Będę go przeproszała na kolanach.

- No chodź już. Złapmy byka za rogi.

- Masz kwiaty?

Edie bierze je z tylnego siedzenia. Wsiadamy z samochodu i podążamy ścieżką do frontowych drzwi.

- Coś mi się zdaje, że niedokładnie mi opowiedziałaś o waszym lunchu - mówię, a w mojej głowie obracają się liczne trybiki. - Wydaje się, że twoja opowieść była wyjątkowo zdawkowa.

Edie patrzy na mnie krzywo i chyba widzę w jej oczach błysk poczucia winy.

W idealnym momencie mama otwiera drzwi.

- Moje kochane! - Zupełnie jakby się nas nie spodziewała. - Jak miło was widzieć!

- Cześć, mamó - Edie unika mojego pytającego spojrzenia i podaje mamie pojednawczy bukiet kwiatów. - Też się cieszę, że cię widzę.

Przesłuchanie siostry zostaje odłożone.

Rozdział osiemdziesiąty

Stół jest przykryty wykrochmalonym białym irlandzkim lnem i zastawiony białą delikatną porcelaną. Wygląda fantastycznie.

Wjechały wszystkie srebra. I kryształ. Całość ozdabia delikatna kompozycja z białych goździków i zielonych pierzastych liści. Mama potrafiłaby bez mrugnięcia okiem przygotować stół na uroczystość państwową. Z drugiej strony, osiągnęła mistrzostwo w przygotowywaniu grudkowego

ziemniaczanego

purée. Jej

umiejętność prezentacji znacznie przewyższa zdolności kulinarne. Z wdzięcznym uśmiechem i eleganckim wygięciem ręki stawia na środku stołu miskę z szarym pagórkiem. Muszę przyznać, że w jakiś surrealistyczny sposób przypomina nowoczesną rzeźbę. Pasowałoby do wystawy Salvadora Dalego, nie jest za to jadalne. Czasami rozumiem, dlaczego ojciec od nas odszedł. Mogę tylko mieć nadzieję, że Cecilia była lepsza w łóżku, a jeśli nie, to bardzo mu współczuję.

- Jakie to urocze. - Mama spleta ręce na niewielkim biuście. - Obie moje duże dziewczynki tutaj, razem.

Edie i ja uśmiechamy się z fałszywą słodyczą.

- I wiem, że najbardziej lubicie pieczeń. Nienawidzimy pieczeni - szczególnie w wydaniu mamy.

Z podgrzewacza w kącie pokoju cicho unosi się para, a to nigdy nie jest dobry znak. Oznacza, że marchewki stoją tam od wczoraj.

Mama lubi wcześnie zaczynać przygotowania. Nie zna terminu al dente. Kapusta? Minimum dwie godziny intensywnego gotowania.

Jedzenie w domu mojej mamy nadawało by się doskonale dla osoby ze źle dopasowaną sztuczną szczęką. Oczywiście nie licząc mięsa. Mama stawia na stole kawał czegoś czarnego.

- Wszystkie lubimy mięso dobrze wypieczone? - Wykonuje teatralny gest nożem. „Dobrze wypieczone” w rozumieniu mojej matki oznacza spalone na węgiel.

- Tak - odpowiadamy.

Wymieniamy z Edie spojrzenia, ale żadna z nas nie potrafi rozpoznać mięsa. I nie możemy zapytać wprost, co to takiego. Raz to zrobiłam i mama nie odzywała się do mnie przez ponad miesiąc. Jedyne wskazówki co do pochodzenia pieczeni stanowią dodatki.

Wieprzowina - pojawi się sos jabłkowy. Jagnię - sos miętowy. Wołowina - chrzan. Kurczak - wodniste nadzienie Paxo. Jeżeli mama kiedykolwiek odstąpi od rutyny, będziemy zgubione. Celebryje przestawianie podłużnych szklanych półmisek z podgrzewacza na żaroodporne maty na stole, a potem wystawia delikatną kryształową łódkę z jaskrawozielonym sosem miętowym. Obie z siostrą wzdychamy z ulgą.

- Alkohol - bezgłośnie szepcze Edie. - Muszę się napić.

- Jesteś w ciąży - odpowiadam bezgłośnie, kiedy mama się odwraca.

- A ty prowadzisz! - rzuca złośliwie.

- Kupiłam „Błękitną Zakonnicę” - mówi Cecilia. Jestem pewna, że potrafi czytać w myślach. - To rozkoszne wino. Miłe i słodkie. Tak się cieszę, że wróciło na sklepowe półki. Było bardzo popularne w latach siedemdziesiątych.

Podobnie jak Gary Glitter i proszę, co z niego wylazło. Cecilia siada i zaczynamy. Edie i ja nałożyłyśmy sobie najmniejsze porcje, na jakie pozwala grzeczność.

- Zdrówko - mówi Edie i wychyla cały kieliszek. Niechętnie zaczynamy jeść, ale matka się nie przyłącza, tylko grzebie widelcem w

talerzu. Wymieniamy z siostrą nerwowe spojrzenia.

Cecilia odkłada widelec, stukając nim o talerz, jakby przywoływała nas do porządku. Delikatnie kaszle w serwetkę i spuszcza wzrok.

- Chcę coś z wami przedyskutować - mówi. Grudkowata masa staje mi w gardle. Zwykle czeka, aż będzie po szarlotce, więc tym razem musi chodzić o coś niezwykle ważnego. Edie i ja czekamy pełne nadziei - każda z nas liczy, że dostanie się tej drugiej.

- Wychodzę za mąż - bez wstępów oznajmia mama. Grudkowata masa wpada mi w niewłaściwą dziurkę i głośno kaszlę, chwytam kieliszek, by popić, gdy tymczasem Edie wali-mnie w plecy.

- Tak myślałam, że może was to zaskoczyć - mówi nasza nie-wzruszona rodzicielka.

Zaskoczyć?

- Za mąż? - Dławię się. - Za mąż?

Mama uśmiecha się dystyngowanie.

- Za kogo? - udaje mi się wydusić. - Za kogo?

- Za bardzo miłego dżentelmena - mówi z błyskiem w oku, jakiego nigdy wcześniej u niej nie widziałam. Cecilia nienawidzi mężczyzn.

Wszystkich.

- Des O'Connor - szepcze moja siostra. - Mówiłam!

- Na imię ma John i jest emerytowanym architektem. - Mama poprawia włosy. - Jest też świeckim kaznodzieją oraz sędzią pokoju.

Bardzo szanowanym - zaznacza przyciszonym głosem. - Ma najnowsze volvo i bungalow w Suffolk, do którego jeździ na weekendy.

Rozbiła bank! Pierwszy mężczyzna, na którym zatrzymała wzrok w ciągu dwudziestu lat, i proszę.

- Rany! - mówię.

- O kurwa! - szepcze Edie.

- Słyszałam to, Edith. - Mamie nawet nie drgnie powieka. - Nie jesteś za duża, żeby wyszorować ci buzię mydłem.

- Gratulacje. - Unoszę kieliszek. - Kiedy nastąpi ten wielki moment?

- Niedługo. I mam nadzieję, że nie będziecie rozczarowane, ale lecimy wziąć ślub do Antiguy, na plaży. Tylko my dwoje. - Ciasno obejmuje się ramionami. - John jest taki romantyczny.

Jeszcze lepiej! Nie ma mowy, żebyśmy musiały się przebierać za przejrzałe druhny.

- No cóż, trzeba wznieść toast - stwierdzam. Edie chlupnęła do swojego kieliszka jeszcze trochę wina i stukamy się. -Za małżeństwo!

- Za małżeństwo!

Cieszę się, że nie muszę już wyjaśniać mamie, że przenoszę się z „Mojego Dziecka” do „Mojego Rozwodu”, bo oberwałoby mi się w związku ze świętością małżeńskiego stanu. Obie ściskamy mamę.

- Naprawdę się cieszę, mamó - mówię. I cieszę się, o wiele za długo była sama. Jest też korzyść dla mnie, bo to oznacza, że nie muszę się martwić, iż zostawiam ją samą. Mam tylko nadzieję, że nie spróbuje gotować dla Desa - Johna - przed ślubem.

- Jedzenie stygnie - przypomina mama, jakby to nie ona spowodowała

całe to zamieszanie.

- Cóż - wymierzam Edie kuksańca pod żebra - my też mamy ci coś do

powiedzenia.

- Ty pierwsza - mówi Edie. Dzięki. Nabieram powietrza.

- Wracam do Nepalu.

- Na wakacje?

- Na stałe. - Mam nadzieję. Mama lekko się wzdryga. - Bo widzisz, ja

też kogoś poznałam.

- A czym się zajmuje?

A, najpierw to, co ważne! Nie jestem pewna, czy Dean ma równie

dobre listy uwierzytelniające jak wybranek matki.

- Zajmuje się ochroną środowiska i jest przewodnikiem wycieczek.

Mama wygląda na bardzo zaniepokojoną. Nie mogę się wdawać w

szczegółowe wyjaśnienia. Mamo, mój chłopak kopie

latryny, sadi kapustę i zarabia niespełna trzydzieści dolarów miesięcznie,

ale hej, potrafi wykonać niesamowite ćwiczenia gimnastyczne w bardzo

małym namiocie.

- Jest wspaniały - zapewniam.

- A czy cię kocha? - Oto jest pytanie.

- Tak. Myślę, że tak.

- To bardzo daleka podróż, skoro tak „myślisz”, Lysso.

- Dostałam tam pracę nauczycielki - wyjaśniam. - To dla mnie równie

ważne. - Jak mam wytłumaczyć, że muszę to zrobić? Muszę się stąd

wyrwać. Muszę znaleźć się w miejscu, w którym nie będę z lękiem
oglądała się przez ramię, gdzie będę żyła nie tylko po to, by spłacać kredyt
hipoteczny, gdzie każdego dnia mogę być otoczona dziećmi, dziećmi,
które mnie potrzebują.

Mama wygląda na przerażoną.

- Nie będziesz mieszkała w glinianej chacie na jakimś pustkowiu,
prawda?

- Nie. Nie. Nie.

Edie rewanzuje się kuksańcem.

- Tak. Prawdę mówiąc, owszem. - Czuję, że się uśmiecham, a uśmiech
wypełnia mnie całą.

- Kiedy cię zobaczę? - pyta mama, a niepokój sprawia, że ściąga brwi. -
Jak będę cię odwiedzała?

- Wskoczysz w samolot. To nie Mongolia Wewnętrzna. - Milknę. - Cóż,
właściwie prawie.

Mama przenosi uwagę na moją siostrę.

- A ty jesteś wyjątkowo cicha, Edie.

- Jestem w ciąży - wyrzuca z siebie moja siostra. Cecilia kładzie dłoń na
czole.

- Widziałam, jak trzymaliście się za ręce z tym kwiecistym mężczyzną w
restauracji - oznajmia. - Mniemam, że nie masz mi nic więcej do
powiedzenia?

- Nie. - Edie wygląda na zawstydzoną.

Zerkam na nią, ale nie patrzy mi w oczy. Matka ociera usta serwetką, a

potem ją składa i wypraktykowanym ruchem rzuca na stół.

- W takim razie ja też więcej o tym nie wspomnę.

Edie wyraźnie odczuwa ulgę. Niech no tylko dostanę ją w swoje ręce.

- No cóż - wzdycha mama - siedmioro wnucząt.

- W niektórych kulturach siódemka to bardzo szczęśliwa liczba -

włączam się ze sztuczną pogodą.

- Nie w naszej. - Głos matki jest napięty jak wykrochmalony obrus.

Edie niżej opuszcza głowę.

Nasza postarzała rodzicielka potyka się lekko, wstając od stołu.

- Uważam jednak, że na miejscu będzie mały toast. Przyniosę sherry. -

To ta sama butelka, którą trzyma w szafce od ostatniej Gwiazdki.

Siostra chce dokończyć wino, ale mama odsuwa jej kieliszek sprzed nosa.

- Na jakiś czas pożegnasz się z alkoholem - mówi. - Dla ciebie sok z

czarnego bzu, młoda damo.

Edie się krzywi. Cecilia wychodzi z pokoju.

- To chyba tyle, jeżeli chodzi o gratulacje.

- Na to wygląda. - Gapię się na siostrę. - Kwiecisty mężczyzna?

- Pip.

- Trzymaliście się za ręce?

- To było czysto przypadkowe.

- Cieszę się, że to słyszę.

Siostra spogląda mi w oczy i decyduje się podjąć wyzwanie:

- Prawdę mówiąc, pytałam go, czy chce mieć ze mną romans.

- Jasne. - Zatyka mnie. Znam Edie dość długo, by wiedzieć, że nie

żartuje. - I co?

- I nic. Stwierdził, że nie tknąłby mnie kijem i jest zakochany w tobie.

- Och. - Ja też potrzebuję więcej wina. - Powiedział to? Edie zaciska usta.

- Coś w tym stylu.

- Wspaniale. - Chyba raczej okropnie?

Chciałabym, żeby mama pospieszyła się z sherry. Garbię się na

krześle, w głowie mi wiruje.

- Trochę zaskakujący ten dzień, prawda?

- Owszem - zgadza się Edie.

Nie wiem, co jeszcze mogę powiedzieć.

Rozdział osiemdziesiąty pierwszy

No więc to by było na tyle. Zarezerwowałam bilet w bardzo, bardzo tanich liniach lotniczych i odlatuję ku nowemu życiu dziś po południu.

Ooo. Czy to nie przerażające? Opuściłam „Moje Dziecko” przy

minimum zamieszania z czekiem na dwa i pół tysiąca funtów, które z

nadwyżką pokryją koszty związane z moją posadą. Mam wrażenie, że z

ulgą dali mi te pieniądze, pozbywając się mnie raz na zawsze. Monica i

Charlotte uroniły kilka łez, obiecały wysyłać do mnie e-maile, ale

znudzą się tym, kiedy nie będę mogła zapewnić im stałego dopływu

plotek.

Jest jasny, słoneczny, zimowy dzień, który z całej siły próbuje

udawać wiosnę. Mam ochotę pogwizdywać. Mój wierny plecak znów

został powołany do służby, o wiele wcześniej niż można się było

spodziewać. Wyobrażam sobie, że nastawił się na długą nudną

emeryturę w kącie komórki pod schodami -najlepszy dowód, że zawsze należy spodziewać się niespodziewanego. Czuję, że to dobry moment, by odejść. Siostra będzie wkrótce zajęta przygotowaniem do narodzin dziecka, nie czuję się winna, że opuszczam mamę teraz, gdy zaczęła nowe życie, przestała nienawidzić mężczyzn i podczepiła się pod nadzianego sobowtóra Desa O'Connora. Wszystko stało się tak szybko, że właściwie nie miałam czasu, żeby usiąść i zastanowić się nad tym, co robię. I w sumie bardzo dobrze, bo mogłabym dostać ataku tremy.

Wszystkie moje ciuchy leżą na łóżku i próbuję podjąć decyzję, bez których rzeczy z mojego obecnego życia nie dam sobie rady. Jest ich zaskakująco niewiele. Rozlega się niepewne pukanie do drzwi i pojawia się Jake.

- Cześć. - Przygląda się stercie na łóżku. Wchodzi, szurając nogami, i skrępowany zatrzymuje się przy drzwiach. - Więc naprawdę jedziesz?

- Tak. - Jake i ja celowo unikaliśmy kontaktu przez kilka ostatnich dni.

- I nic nie mogę zrobić, żebyś zmieniła zdanie?

- Nie - odpowiadam łagodnie.

- Tak myślałem. - Uśmiecha się ze znużeniem. - Mogę przynajmniej odwieźć cię na lotnisko?

Kręcę głową.

- Wolę pojechać sama. Mam po drodze parę rzeczy do załatwienia.

- Wypłaciłem z banku połowę naszych oszczędności. - Jake podaje mi plik banknotów. - To twoje. Pomyślałem, że mogą ci się przydać.

- Dzięki. - Nie jestem pewna. Tam, dokąd jadę, nie ma na co wydawać, ale doceniam gest. Mam zapewnione wyżywienie i tygodniówkę na osobiste wydatki wysokości mniej więcej pięciu funtów.

Przekonałam Monicę, że chce zamieścić kilka artykułów o ciąży w różnych częściach świata z nadzieją, że pisząc je, uzupełnię nieco moje skromne wpływy albo odłożę trochę pieniędzy na ciężkie czasy.

Niewypowiedziane słowa wiszą między nami.

- Co chcesz zrobić z domem? - pyta Jake.

- Możesz sobie pozwolić na to, żeby tu mieszkać?

- Tak. Nowa praca wiąże się z dobrą pensją. - Jake stara się mówić z optymizmem. - Moglibyśmy sobie pozwolić na wszystko, czego byśmy chcieli. Cóż... Prawie wszystko.

Staramy się na siebie nie patrzeć.

- Może go sprzedam i przeprowadzę się do większego- stwierdza z brawurą, która nie brzmi szczerze.

- Nie musisz niczego robić w pośpiechu. - I kto to mówi! -Nie potrzebuję jeszcze swojej części pieniędzy za dom - wyjaśniam. Jeżeli będę potrzebowała miejsca, gdzie mogłabym zamieszkać, zostanie mi zapewnione. Wyjaśniłam swoją sytuację organizacji wolontariuszy, z którą będę związana, i teoretycznie postarają się umieścić mnie w pobliżu wioski Deana, ale muszę poczekać i zobaczyć, co da się zrobić.

W praktyce wyraziłam zgodę na wyjazd w dowolne miejsce, bo w

całych Himalajach brakuje nauczycieli. W przyszłym tygodniu o tej porze będę być może urządziła się u stóp Everestu. Zastanawiam się, co pomyślałaby o tym Neve. - Zobaczymy, jak wszystko się ułoży.

- Cóż, w każdym razie nie straci na wartości. - Jake odwołuje się do brytyjskiego zwyczaju postrzegania domów jako towarów. ~ A gdybyś musiała wrócić... chciała wrócić - mamrocze - będziesz miała dokąd.

- Doceniam to. - A potem, by zmienić temat na mniej ponury, pytam:

- Kiedy zaczynasz nową pracę?

- W przyszłym tygodniu. - Głos ma bardziej pogodny. - Nie mogę się doczekać. Pomoże mi to nie myśleć... o pewnych sprawach.

- Mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze. Na pewno ci się powiedzie.

- Wolałbym, żebyś została tu, by dzielić ze mną sukces.

- Cóż...

- Słuchaj - Jake skubie paznokcie - jeżeli wam nie wyjdzie z jakiegokolwiek powodu... będę czekał. - Oczy ma pełne łez. -Będę czekał.

Podchodzę do niego, obejmuję i delikatnie całuję.

- Nie czekaj na mnie - mówię.

- Podobno, jeżeli się kogoś kocha, trzeba go uwolnić, i jeżeli ten ktoś też naprawdę cię kocha, wróci.

- Nie sądzę, żebym wróciła.

Jake kładzie mi palec na ustach.

- Mogę żyć nadzieją. - Załamuje się i płacze w moich ramionach. -

Przepraszam.

- Ja też.

- Straszny szczęściarz z tego faceta. - Jake pociąga nosem. Głos

łamie mu się z emocji. - Ja też byłem szczęściarzem - przyznaje. -

Żałuję, że wcześniej nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Trzyma mnie mocno i zastanawiam się, czy któreś z nas zdoła rozluźnić ten uścisk.

Rozdział osiemdziesiąty drugi

Nie jestem pewna, ile jeszcze zniosę. Mama, Edie i Daisy płaczą.

Siedzimy w kuchni siostry.

- Ale dlaczego wyjeżdżasz? - Daisy jest niepoczyszona.

- Będę uczyła dzieci, które mnie potrzebują.

- My cię potrzebujemy! - Dramatycznym gestem wyciera nos i

rozsmarowuje wszystko na moim rękawie. Przypuszczam, że po-

winnam się do tego przyzwyczaić w nowej roli nauczycielki małych

zasmarkanych stworzeń. Moja najstarsza siostrzenica, Kelly, wyszła.

Postanowiła darować sobie pożegnanie ze mną, mając w perspektywie

randkę z miejscowym obiektem westchnień, i to mimo protestów i

napomnień Edie. Kelly uznała, że jej ulubiona ciotka może poczekać,

natomiast Daniel Evans nie. Tak to już jest w niestałym świecie

nastolatków. Moich dwóch siostrzeńców nie wzruszył zbliżający się

wyjazd cioci i ledwo oderwali się od telewizora i wygłupów Sponge

Boba, by wysłuchać informacji o wyprawie. Anna bardzo rzadko

okazuje jakiegokolwiek emocje, ale w milczeniu schroniła się w

sanktuarium swojego pokoju, a Archie jest za mały, żeby przejmować się czymkolwiek oprócz kolejnego posiłku. Dziwne, że można żyć w przekonaniu, że zajmuje się

najważniejsze miejsce w czyimś wszechświecie, a jednak zniknąć z niego, wywołując tylko przelotne drgnienie na radarze życia.

Mama, ze swej strony, zamierza dopilnować, żeby wyjazd nie przyszedł mi zbyt łatwo. Jej biała lniana chusteczka jest często używana. Siedzi przy kuchennym stole i cicho szlocha. John, emerytowany architekt, jej amant, nie wtrąca się do rozmowy, nie do końca włączony w rodzinne konflikty. Jedną rękę położył na ramieniu mamy, w drugiej trzyma kubek tradycyjnej angielskiej herbaty - widzę, że Edie traktuje go bezceremonialnie. Ma dobre oczy i włosy przyprószone siwizną. Wydaje się, że doskonale pasuje do mamy.

- Mam nadzieję, że ten mężczyzna dokładnie zdaje sobie sprawę z tego, z czego dla niego rezygnujesz - ostro mówi mama.

- Oczywiście, że tak. - A jednak nie, przede wszystkim dlatego, że nic mu nie powiedziałam. Pomyślałam, że po prostu się pojawię i zobaczę, co będzie. Lekkomysłne? Chyba tak.

- Moim zdaniem to wspaniały pomysł - odważnie włącza się John, narażając się tym samym na gniewne spojrzenie mamy. - Zrobić coś znaczącego, kiedy jesteś młoda. Jestem pewny, że wszystko wspaniale się uda. - Klepie moją mamę po ramieniu. - Córka pani Devereux, Colette, była szanowaną prawniczką i zrezygnowała ze wszystkiego, by podjąć pracę w schronisku dla kobiet w Egipcie.

Mama się rozjaśnia, łzy nagle przestają płynąć. Dotyka pereł na szyi.

- Naprawdę? - Pani Devereux prowadzi miejscowy Instytut Kobiecy i jest wysoko postawiona w kościelnej hierarchii. John puszcza do mnie oko. Już kocham tego człowieka. Właśnie otworzył przed moją matką nowy prestiżowy świat. Jeżeli córka pani Devereux potrafi coś zrobić, jej własne dziecko potrafi to zrobić jeszcze lepiej! Widzę, jak w mózgu Cecyli obracają się trybiki - pomoc potrzebującym dzieciom jest z pewnością bardziej prestiżowa niż pomoc dorosłym.

Lee opiera się o lodówkę, piastując w dłoni butelkę piwa zamiast zwyczajowego młotka.

- Do kogo Edie będzie dzwoniła, kiedy zacznie panikować z powodu porannych mdłości i innych dziewczyńskich nonsensów? - pyta mój szwagier.

- Ma już sześcioro dzieci - przypominam. - Wie znacznie więcej niż ja. Cała moja wiedza na ten temat jest teoretyczna i pochodzi z cotygodniowej rubryki listów od czytelniczek. Na pewno sobie poradzi.

Moja siostra zaczęła zawiązywać wokół talii sweter, żeby ukryć brzuch. Nie żeby już go miała - wciąż wygląda jak patyczak, ale z doświadczenia wiem, że niedługo przestanie widzieć własne stopy. Obejmuje mnie.

- Będę za tobą tęskniła. - Płacze.

- Ja też będę tęskniła - szepczę jej we włosy.

- I nie będzie cię, kiedy dziecko się urodzi - narzeka. Przykro mi to

mówić, ale im więcej ma dzieci, tym mniej mnie

to porusza. Tym razem nie poczułam tęsknoty, która towarzyszyła mi przy wszystkich poprzednich ciąży Edie. Może obu nam wyjdzie na dobre, jeśli nie będę zaangażowana w tę ciążę. A może za kilka miesięcy pożałuję, że mnie z nią nie ma - jak by nie było, będziemy musiały jakoś to przeżyć. Jestem pewna, iż żadna z nas nie będzie narzekała na brak zajęć. Zerkam na zegarek.

- Lepiej już pójdę.

Edie, mama i Daisy znów wybuchają płaczem i nie mam siły wyczołgać się z kuchni.

Na ratunek przychodzi mi mój uroczy szwagier.

- Cześć, siostrzyczko - mówi, obdarzając mnie ciepłym pocałunkiem i uściskiem.

Głos prawie odmawia mi posłuszeństwa.

- Opiekuj się nią - proszę. - Mów jej codziennie, że ją kochasz.

- Obiecuję.

Daisy zdejmuje z kucyka i podaje mi różową połyskującą gumkę.

- Weź ją, żeby mnie nie zapomnieć, ciociu - prosi poważnie.

Ściskam ją z całej siły.

- Nie zapomnę. - Zbieram włosy i zakładam gumkę. Mama z trudem wstaje. Obejmuje mnie i mocno trzyma.

- Bądź ostrożna.

- Mam nadzieję, że ślub będzie wspaniały. - Przelykam łyżę.

-Przypilnuj Edie, żeby wysłała mi zdjęcia.

Odsuwa mnie na długość ramienia i przygląda się mojej twarzy, jakby próbowała nauczyć się jej na pamięć.

- Nigdy nie przypuszczałam, że możesz zrobić coś takiego.

Wzruszam ramionami, siląc się na pogodę.

- Ja też nie. - Ściskam ją ostatni raz i ruszam do drzwi. - Pa. Edie idzie za mną i jeszcze raz mnie obejmuje.

- Lepiej, żeby był dla ciebie dobry, albo będzie miał ze mną do czynienia.

- Powiem mu.

- Rozmawiałaś już z Pipem? - pyta cicho Edie.

- Chcę to zrobić w drodze na lotnisko.

- Przekaż mu gorące pozdrowienia ode mnie - prosi.

- Nie - odpowiadam. - Oszczędź tę energię dla męża.

- Reprimenda przyjęta - ze smutkiem mówi Edie. - Kto mnie będzie upominał, kiedy wyjedziesz?

Poklepuję miejsce, w którym wkrótce pojawi się brzuch.

- Przez jakiś czas to cię utrzyma na prostej drodze. A poza tym, zawsze mogę cię ochrzanić w e-mailu.

- Nie ociągaj się z tym - prosi i znów wybuchamy płaczem.

Rozdział osiemdziesiąty trzeci

To by było na tyle, jeśli chodzi o moje szlachetne koncepcje porzucenia starego życia. Mimo starań większość rzeczy jakoś zakradła się do plecaka, który teraz waży tonę.

Wsiadam z metra i wlokę się do domu Pipa. Cieszy mnie widok motoru

przymocowanego łańcuchem do poręczy przy chodniku. To oznacza, że jest w domu.

Pukam, a potem czekam z rosnącym niepokojem. To moje pierwsze spotkanie z Pipem po ujawnionych przez Edie rewelacjach i najwyraźniej zmieniły one równowagę naszej relacji. Nie wiem, dlaczego miałyby się tak stać, ale się stało.

Pip otwiera. Jest nagi od pasa w górę, tylko w spodniach od dresu, i czuję, że twarz zalewa mi gorący rumieniec. Włosy ma potargane i próbuje je przygładzić. Wygląda na szczerze zaskoczonego, chyba nie tylko potwornymi rozmiarami mojego plecaka.

- Cześć - wita mnie szerokim, ale zmieszonym uśmiechem. - Podróżujesz bez bagażu?

- Jestem w drodze na lotnisko.

- O. - Rzednie mu mina. - To lepiej wejdz.

Z trudem przepycham się przez drzwi z nieporęcznym plecakiem, a potem skupiam się na próbie zdjęcia go z pleców.

- To Lena - rzuca Pip.

Walcząc z ciężarem, nie zauważyłam niezwykle pięknej i rozczochranej dziewczyny rozłożonej w rogu sofy. Jest grudzień, a ona ma na sobie kusą koszulkę i bardzo krótkie szorty. Je coś białego i kremowego w dość pornograficzny sposób.

- Och - mówię. - Cześć.

Lena kiwa głową i macha do mnie łyżeczką. Gdybym zjawiała się kilka minut wcześniej, mogłabym ich zastać w trakcie. Ściszam głos.

- Powinnam była najpierw zadzwonić. - Teraz to ja jestem zmieszana.

- Nie chciałam ci przeszkadzać.

- Ależ nie przeszkodziłaś - zapewnia Pip.

- Pójdę, jeżeli to nieodpowiedni moment.

- Ależ nie - upiera się. Wreszcie coś do niego dociera. - Cóż,

właściwie jest nieodpowiedni, jeżeli chciałaś pogadać z Simonem. -

Rzuca okiem na młodą ślicznotkę. - Lena to jego dziewczyna.

Oboje uśmiechamy się do Leny nieszczerze, a ona rewanżuje się bez przekonania.

- Chodźmy do kuchni. - Pip bierze mnie pod rękę i prowadzi we właściwym kierunku.

Jeszcze bardziej ściszam głos i pochylam się w jego stronę, mruczając:

- Myślałam, że Simon jest gejem.

- Ja też.

- Ooo.

- Lysso - Pip wzdycha - życie nigdy nie przestaje mnie zadziwiać.

- Myślałam, że to twoja... No...

- Wiem. - Zdezorientowany kręci głową. - Mogłaś mnie podejrzewać o lepszy gust.

Wymieniamy ukradkowe spojrzenia.

- Masz czas na kawę? - pyta, odwracając się tyłem. Siadam na jednym ze stołków, wspominając, kiedy ostatnio piłam tu kawę w znacznie mniej przyjemnych, choć równie dziwnych okolicznościach.

- Nie. Wpadłam tylko się pożegnać.

- To brzmi bardzo ostatecznie.

- Wracam do Nepalu.

Przez chwilę kiwa się na piętach, po czym odzyskuje opanowanie nad sobą.

- Cieszę się, że tak ci się ułożyło.

Jake opowiadał mi o legendarnej pokerowej twarzy Pipa. Wszystko zatrzymaj dla siebie, z niczym się nie zdradź.

- Naprawdę?

- Ach, więc moje nieudolne wyznanie wreszcie do ciebie dotarło.

Zastanawiałem się, jak długo to potrwa.

- Nie miałam pojęcia...

- Cóż, to przynajmniej dowodzi, że nie ja jeden wolno kojarzę.

- Edie opowiedziała mi o waszym lunchu - przyznaję. - Ocen-zurowaną wersję.

- Jak bardzo ocen-zurowaną?

- Wiem, że rzuciła ci się w ramiona, a ty uprzejmie podziękowałeś.

Pip się śmieje.

- Było trochę bardziej subtelnie.

- Naprawdę? To nie w stylu mojej siostry.

- Cóż, w każdym razie zjedliśmy przyjemny lunch.

- Dorobiła się po nim ładnej pamiątki. Pip jest zaskoczony.

- Jest w ciąży - wyjaśniam.

- Rany!

- Tak. Wini o to ciebie - dodaję. - Chyba potraktowała twoją radę, by spędziła szaloną noc nieco zbyt dosłownie.

- O nie! - Pip łapie się za głowę. - Muszę do niej zadzwonić.

- Może lepiej nie.

- Może nie. - Zgadza się ze mną. - Ale pozdrów ją. To wspaniała

kobieta. - Wpatruje się we własne stopy. - Ale nie tak wspaniała, jak jej starsza siostra.

Nie wiem, co powiedzieć.

- Rozumiem, że Edie się wygadała?

- Tak - potwierdzam słabo.

- A ja sądziłem, że jesteś błyskotliwa jak super detektyw. Oboje wybuchamy śmiechem,

- Nie. W kwestiach miłości najwyraźniej jestem bardzo ograniczona.

- Muszę cię o to zapytać. - Pip przeczesuje włosy. - Czy gdybyś wcześniej wiedziała o moich uczuciach, coś by to zmieniło?

- Nie wiem. Gdybym nie poznała Deana... - milknę.

- O jednego faceta za daleko. - Pip wygląda na zranionego. - Nie jestem pewny, czy lepiej się po tym czuję. Szczególnie, że sam zasugerowałem, żebyś wykonała jakieś radykalne posunięcie. Nie przypuszczałem, że pojedziesz do Nepalu. - Parska śmiechem. - Chyba mam talent do sugerowania nieodpowiednich rzeczy kobietom, które biorą mnie poważnie.

- Domyślam się, że są też komplikacje związane z Jakiem.

- A, Jake. - Pip wzdycha. - Czy świętej pamięci Elvis Presley nie

śpiewał o „dziewczynie mojego najlepszego przyjaciela”? To się musi

często zdarzać. - Rzuca mi krzywy uśmiech. - Więc i ja wpadłem.

Chciałem, żebyś nie zmarnowała szansy na zejście się z Jakiem, gdybyś tego chciała. Teraz mam wrażenie, że strzeliłem sobie w stopę.

- Uważam, że jesteś naprawdę wspaniałym facetem - mówię.

- Z fatalnym wyczuciem czasu. Żadne z nas nie może temu zaprzeczyć. Próbuję go pocieszyć:

- Wszystkie moje przyjaciółki uważają, że jesteś niesamowity.

Najwyraźniej moja siostra również.

- Ale nie ty?

- Naprawdę nigdy nie myślałam o tobie... w ten sposób - jakoś udaje mi się wydusić.

- To wiele mówi.

Naprawdę nie wiem, co jeszcze mogłabym powiedzieć.

- Mogę ci zostawić parę telefonów - proponuję. Pip się śmieje.

- Wystarczy, że rujnę sobie życie, jeśli pozwolisz.

- Byłeś fantastyczny. Gdyby ułożyło się inaczej...

- Kto wie? - Wzrusza ramionami.

- Chcę, żebyśmy zostali przyjaciółmi. Bliskimi przyjaciółmi.

- No cóż, jeżeli muszę na tym poprzestać, niech tak będzie. Wstaję i zaczynam zbierać się do wyjścia.

- I co mam teraz zrobić? Nie wiem, czy powinienem uścisnąć ci dłoń, czy wziąć w ramiona i wykorzystać, póki mam okazję.

- Chyba coś pośrodku. - Nerwowo oblizuję usta.

- Tylko już nie oblizuj ust bo nie odpowiadam za własne czyny -
ostrzega.

Przyglądamy się sobie przez szerokość kuchni, oboje zastanawiamy się, co mogło by być. Pip podchodzi, ujmuje obie moje dłonie i całuje mnie czule.

- Gdybyś kiedykolwiek czegoś potrzebowała, nie zapomnij do mnie zadzwonić. - Z trudem się od niego odsuwam. - Daj czadu. I powiedz temu facetowi, że ma drań szczęście.

W tym momencie moje serce niebezpiecznie się telepie. Jedyłą osobą na świecie, która jeszcze nie wie o mojej zbliżającej się długoterminowej wizycie w Nepalu, jest Dean.

Rozdział osiemdziesiąty czwarty

Jestem zbyt oszołomiona - i za bardzo spuchnięta - żeby mówić.

Wreszcie dotarłam i mój umysł z trudem nadąża za ciałem. Maszeruję od trzech godzin, każdy zakręt przybliża mnie do Deana. Chciałam mu zrobić niespodziankę, ale coraz bardziej się martwię, że jak Shirley Valentine - kiedy rzuciła wszystko i postanowiła zostać w Grecji tylko po to, by zobaczyć swojego kochanka całującego inną kobietę - to ja mogę przeżyć zaskoczenie. A jeśli w ciągu kilku ostatnich tygodni zamieszkał z którąś z wieśniaczek albo znalazł równie jak ja uczynną turystkę? Albo jeżeli coś się stało i wrócił do Kalifornii? Albo jeżeli na mój widok zmieni zdanie?

Dla mnie sytuacja się nie zmieniła. Moje uczucia do Deana pozostały

takie same. Jestem roztrzęsiona i pełna wrażeń. Sceneria wydaje mi się bardziej fantastyczna i widowiskowa niż zapamiętałam. Pokryte śniegiem szczyty gór są wyższe i wywierają większe wrażenie, niebo powiela głęboki błękit himalajskich maków, białe chmury pienia się jak nurt rzeki Mardi. Kiedy krętą drogą podążam przez pola ryżowe do wioski Deana, czuję, że przepelnia mnie radość wędrówki.

Pierwszą noc spędziłam w Katmandu, co miało mi pomóc dojść do siebie, ale jestem w ekstatycznym nastroju i za bardzo zakręcona, żeby odczuwać różnicę czasu. Działam na potężnej dawce adrenaliny.

Mogłabym sama jedna zasilić sieć elektryczną dla całego miasta. Nie mogę uwierzyć, że jestem tak blisko Deana, a jednocześnie nadal tak daleko. Ludzie w głównym biurze mojej organizacji nauczycielskiej w Nepalu byli fantastyczni, kiedy przedstawiłam się im następnego ranka wyszorowana i ubrana stosownie nauczycielsko. W dodatku, cud nad cudami, znaleźli dla mnie miejsce w wiosce tuż obok wioski Deana. O nędzną godzinę drogi! W nepalskich warunkach to tuż za rogiem.

Zaczynam szkolenie za tydzień i mam nadzieję, że będę miała dość czasu, by odnowić znajomość z obiektem mojego pożądanego. Potem spędzę w Katmandu sześć tygodni na szkoleniu nauczycielskim w domu dziecka. Czy to może być trudne? Wszystkie te cudowne uśmiechnięte buzie, patrzące na mnie prosząco oczy wielkości spodków. Jeszcze zanim zacznę, wiem, że będę chciała zabrać połowę tych dzieciaków do domu. Przejdę też przyspieszony kurs nepalskiego,

co jest wspaniałą nowiną, ponieważ na razie nie wychodzę poza *namaste*. Po tym wszystkim obejmę stałą posadę. Nie mogę się doczekać! Mam tylko nadzieję, że ktoś jeszcze - kogo nie wymienię z imienia - będzie choć w połowie tak podekscytowany jak ja.

Gdyby kolana nie bolały mnie tak bardzo po marszu, na pewno by drżały. Im bliżej jestem Deana, tym bardziej się martwię, że to był naprawdę zły pomysł. Może powinnam wysłać e-mail albo telegram czy cokolwiek, żeby uprzedzić o wizycie. W tej chwili pozostaję żałośnie niezapowiedziana i zaczynam tego żałować.

Staję na szczycie wzgórza, dyszę, usiłując wyrównać oddech, i patrzę w dół na trawiaste zbocze, które służy jako droga do wioski. Kilka minut i już tam będę. To nie jest dobry moment, żeby pogrążyć się w wątpliwościach. Wioska leży w dole cicha, spokojna i pogodna.

Najgwałtowniejsze ruchy wykonują kłębiaste białe chmury, które wysoko na niebie krążą wśród gór. Kilka kurczaków popiskuje i szuka robaków w trawie, nagietkowe łańcuchy ze Święta Braci wciąż wiszą rozciągnięte między domami, trochę wyblakłe, ale nadal piękne, przed pokrytą strzechą kawiarnią grupka dzieci gra kamykami w grę przypominającą warcaby.

Zbieram się na odwagę i ruszam w stronę domu Deana. Za daleko zasłamałem, żeby teraz radzić sobie z odrzuceniem. Gdy docieram do ostatniego spadku przed wioską, z grupki dzieci rozlega się znajomy okrzyk *Gora! Gora!*. „Obca! Obca!” Zastanawiam się, jak długo będą mnie tak nazywały, skoro ta cudowna część świata ma być moim

domem.

Tłoczą się wokół, ciągną za ręce, krzyczą radośnie *namaste* i prowadzą mnie w dół ulicy. To bardzo miła świadomość, że niektóre mnie rozpoznały - chociaż z drugiej strony nie spotykają tu chyba zbyt wielu blondynek. Próbuję iść w stronę chatki Deana, ale dzieci są uparte i ciągną mnie gdzie indziej.

Słyszę okrzyki poganiaczy wołów napędzających młockarnię, gdy tymczasem trwa zbieranie pozostałości złotych plonów. Grupa wieśniaków pomaga ułożyć wymłócone proso w smukłe wysokie stogi i na szczycie jednego z nich widzę charakterystyczną postać. Wyróżnia się na milę wśród niskich ciemnych Nepalczyków. Podkoszulek poplamiony potem, brwi ściągnięte, gdy koncentruje się na ciężkiej pracy - wciąganiu bel słomy na szczyt stogu.

Dzieci wciąż krzyczą roześmiane, ciągną mnie, aż w końcu biegniemy w dół zbocza. Serce bije mi szybciej niż poruszają się stopy. Mężczyźni przerywają pracę i spoglądają w naszą stronę. Dean odkłada belę słomy i prostuje się, osłaniając oczy przed palącym słońcem.

- *Gora! Gora!* - wołają dzieci.

I nagle na twarzy Deana pojawia się wyraz rozpoznania, gramoli się w dół stogu najszybciej jak potrafi.

- *Lyssa!*

Biegnie przez pole, pokonując otaczający je niski murek jednym potężnym susem.

- Dean! - Ciężka niezgrabna klucha emocji blokuje mi gardło.

Mój kochanek nie zwalnia, bierze mnie w ramiona i wirujemy, aż niebo i pola zlewają się w jedno. Szaleńczo kręci mi się w głowie.

Ostrożnie stawia mnie na ziemi i ujmuje moją twarz w dłonie.

- Czy wiesz, jak bardzo za tobą tęskniłem? - pyta.

- Ja też tęskniłam.

Otacza nas tłum wieśniaków, porzucono wszelką myśl o pracy, ludzie schodzą z okolicznych pól, by utworzyć wokół nas krąg ciekawskich.

Widzę znajome uśmiechnięte twarze, które pamiętam ze święta.

- Wiedziałem, że wrócisz.

- Chcę tu zostać. - Z trudem wymawiam słowa. - Jeżeli mnie chcesz.

- Jeżeli zostaniesz, będziesz musiała za mnie wyjść - ostrzega

poważnie. - Tak się tu postępuje.

Uśmiecham się szeroko.

- Chyba jakoś to zniosę.

- Więc wyjdiesz za mnie? Po policzkach płyną mi łzy.

- Tak.

Dean wydaje okrzyk radości.

- Marzyłem, że to powiesz!

Całuje mnie w usta i w tej chwili nie dbam o to, czy tak się tu postępuje, czy okazuje się uczucia publicznie, bo radość pochłania mnie bez reszty. Myślę, że wieśniacy też się tym nie przejmują, bo narasta aplauz i rozlegają się znajome melodie nepalskich piosenek. Ludzie tańczą wokół nas i obsypują nas płatkami na-

gietków.

Dean obejmuje mnie w talii.

- Wygląda na to, że możemy się spodziewać zaimprovizowanej

imprezy powitalnej na cześć przyszłej pani Macaulay.

- Mnie to pasuje - stwierdzam, wtulając się w niego. Patrzymy na

ośnieżone góry, wiatr rozwiewa mi włosy. Moją duszę ogarnia spokój.

- Naprawdę uważam, że mamy co świętować.